



**MÓJ
ŁAGODNY
BLIŹNIAK**

Nino
HARATISCHWILI

Nino Haratischwili

Mój łagodny bliźniak

A stylized, handwritten signature or logo in black ink, consisting of three interconnected, flowing characters that resemble 'MKS'.

*Ciało drugiego człowieka, które przeszkadza wejrzeć w jego duszę.
Och, jak ja nienawidzę tego muru!*

Marina Cwietajewa

**CZEŚĆ PIERWSZA
TAM**

* * *

Widzę przed sobą twoją twarz – bladą i spokojną. I wiesz, nadal mam to stare, dobrze znane uczucie. Nie dowierzam mu, chociaż nie mija. Zastanawiam się, jak to możliwe, że nie czuję nic poza tą *bliskością*. Nawet teraz...

Nikommu nie zdołam wyjaśnić tego uczucia: nie wolno mi go doświadczać ze względu na to, co się wydarzyło, i ze względu na przyszłość, *moją* przyszłość. Ale je odczuwam i powoli godzę się z nim, z tym doznaniem, które – jak się wydaje – potrafi wszystko przetrwać.

Stoję tak sama, po raz pierwszy sama w każdym znaczeniu tego słowa, sama ciałem, duchem i umysłem. Ale nawet w tej chwili, dzięki naszemu uczuciu, które wypełnia mnie teraz, tutaj – mając twoją twarz przed oczami – potrafię przezwyciężyć i wymazać cały strach. Zostaje tylko ta ogromna bliskość i łagodność.

Nie wiem, jak to możliwe, że zawsze umiałeś dać mi tę łagodną bliskość; bo przecież żadne uczucie nie może być łagodne, sama łagodność bowiem ma już to do siebie, że przemija. Jest zjawiskiem, które pojawia się jak ukłucie szpilki i gubi w nicości. Moja łagodność zaś nie znika, jest inna, trwalsza niż wszystko. I już dawno przestałam zadreć ją pytaniami...

Tak więc siedzę tu na kilka dni przed odjazdem. Siedzę tutaj, na naszej plaży, z której zawsze wypływaliśmy w zimne morze, na piasku chłodnym i wilgotnym, bo od dwóch dni pada deszcz.

Za chwilę obetnę włosy i łysa wyjdę naprzeciw nowym myślom i chłodnemu wiatrowi. Pasma za pasmem będę stawać się coraz lżejsza, coraz bardziej pozbawiona ciężaru i może też coraz bardziej wolna. Siedzę w naszej zatoczce, gdzie nikt oprócz nas się nie zapuszczał, bo to miejsce wydaje się takie zimne i nieprzyjemne; siedzę tu, gdzie po raz pierwszy chciałam ofiarować ci miłość, a ty jeszcze nie potrafiłeś jej przyjąć; gdzie spędziliśmy tyle poranków i wieczorów w czasach, kiedy znowu nauczyłeś się mówić; gdzie tak często powierzaliśmy morzu nasze tajemnice, obietnice, marzenia, plany.

Siedzę tutaj. Widzę cię i jak zawsze czuję odurzenie bliskością, tańczę w tym odurzeniu na grobie samotności, bo bliskość jest dla mnie tylko zaprzeczeniem wszelkiej samotności, zwycięstwem elementarnej, dionizyjskiej żarłoczności.

Jestem łagodna, jestem miękka jak wełna, a w środku gładka niczym jedwab – zupełnie jak niemowlę, płód: bezpieczny, upragniony i jeszcze niedotknięty przez świat.

Tak często mi zarzucałeś, że zapomniałam, kim jestem. Może nawet to prawda. Może nie wiedziałam też, jak było z tobą. Może dostrzegłam to dopiero, kiedy przestałam walczyć z tą łagodnością we mnie, kiedy najadłam się jej już do syta, nie wiem. Ale wiem, że nie jestem tobą, już nie. I to odkrycie budzi we mnie równie mało lęku jak samotność, cisza, jak pytania, które po tym wszystkim padną, które da się może streścić w słowie „przyszłość”. Będę musiała płakać. Wszystko, co zjedzone, będę musiała wymiotować, i nikt nie potrzyzyma mi wtedy ręki na czole – to też jest dla mnie jasne. Ale co z tego?

Widzę twoją twarz. Jesteś piękny. Przepiękny jak zawsze, a ja muszę się uśmiechnąć. Widzę twoją twarz i myślę, że jestem ci wdzięczna za tę łagodną bliskość – i straszliwą obcość. I pozwalam tej bliskości odejść, nawet jeśli nigdy więcej nie będę mogła dzielić z nikim tego uczucia, a przez to zostanie w końcu skazane na śmierć.

Widzę cię.

Właściwie zaczęło się od końca.

Tego ranka zadzwoniła Tulja i powiedziała, że przyjechał. Obudziła mnie. Mark odwiózł Theo do szkoły, a ja zostałam w łóżku – z wyrzutami sumienia, że nie wstałam, nie zrobiłam śniadania i nie odegrałam żadnej roli w porannych rytuałach. Mimo wszystko nie zwlokłam się z łóżka – przewyciężenie wyrzutów było łatwiejsze, niż mogło się zdawać, a mój sen wart tego, by przegapić każdą sekundę szarego hamburskiego poranka.

Chwilę po tym, jak drzwi się zatrzasnęły, rozległa się melodyjka telefonu. Dzwonił tak uparcie, że w końcu – bliska łez i wściekła na marnowanie cennych minut snu – zmusiłam się, by wstać z łóżka i dopełnić na czworakach do komody, na której leżał. Zawsze kładliśmy go w niewłaściwych miejscach, jakby to było jakieś prawo natury.

– Obudź się, wiem, że to ty. On znów tu jest.

– Mój Boże, Tuljo, wiesz, co właśnie mi robisz? Pierwszy raz od stu lat mogę pospać chwilę dłużej, a ty dzwonisz i mnie budzisz. Naprawdę, nie możesz później...

– Nie, nie mogę. Zrozum wreszcie! On przyjechał! Boże, obudź się! To nie do pojęcia. Wparadował tu jak gdyby nigdy nic, nasz mały Adonis. Nie masz pojęcia, jak świetnie wygląda. O siódmej rano dzwoni do mnie i mówi, że jest w mieście, że chce tu trochę posiedzieć, chce...

– Tuljo, kto? O kim mówisz, o kogo ci chodzi, do cholery?

– Ivo, Ivo, nasz Ivo!

Telefon zaczął wysuwać mi się z ręki. Może nawet z niej wypadł, już nie pamiętam. Byłam tak wytrącona z równowagi, że zatoczyłam się do tyłu i opadłam na brzeg łóżka. A raczej przewróciłam się na brzeg łóżka.

Nie było dnia, żebym o nim nie pomyślała, nie zastanawiała się, co właśnie robi, gdzie jest, jak się miewa. Ale w ciągu tych siedmiu lat podobne myśli stały się rutyną, spokojną, nie histeryczną, oczywistą. Żywiłam więc głębokie przekonanie, że nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Miałam *swojego* Ivo – żył we mnie i troszczyłam się o niego, ale ten właściwy, prawdziwy Ivo z krwi i kości, którego nie widziałam od siedmiu lat, ten Ivo zniknął z naszego życia, poszedł własną drogą, tak bardzo daleką od mojej, że każdy krok, jaki na niej postawił, tylko jeszcze bardziej oddalał nas od siebie.

– Po co przyjechał? – Nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy.

– Skąd mam wiedzieć? Jest u mnie dopiero od godziny, a teraz właśnie wyszedł po papierosy. Więc po prostu musiałam do ciebie zadzwonić...

– Ale przecież chyba coś powiedział?

– Mój Boże, a co to za różnica. Mam go przy sobie i na razie tylko to się liczy. Mówił, że chce tu trochę posiedzieć, a ja nie będę próbowała go od tego odwozić.

– Pytał o mnie?

– Przez godzinę go obcałowywałam, biedak nie mógł wydusić słowa. Myślę, że jeszcze chwila, a zagłaskałabym go na śmierć.

Znowu usłyszałam w głosie Tulji niemal już zapomniane podniecenie ogarniające ją zawsze, kiedy była mowa o Ivo – mieszaninę matczynej dumy z dziecka skrzywdzonego przez los, które przez to trzeba kochać jeszcze mocniej i mądrzej, oraz pewnej dumy z siebie samej, Ivo bowiem uosabiał wszystko, co zdawało jej się warte zachodu, i z pewnością to właśnie w nim najwyraźniej dostrzegą wpływ swojego wychowania.

– Co mam teraz zrobić? Skakać z radości? I dlaczego dzwonisz akurat do mnie? To znaczy, czego ode mnie oczekujesz? – powiedziała bezradnie i od razu pożałowała tego głupawego pytania, bo w ciągu sekundy wmanewrowałam się znowu w rolę małej dziewczynki, wychowawcy Tulji. W telefonie na chwilę zapadła cisza. Dobrze wiedziałam, że Tulja postępuje bardzo niekonsekwentnie, całkowicie daje się porwać emocjom i nie zawsze zastanawia się, zanim coś

zrobi albo powie. W tej kwestii nie ufałam jej zupełnie, bo przez te wszystkie lata nie odkryłam do końca, co tak naprawdę myśli o historii Ivo i mojej, ile wie, a ile sobie dośpiewała, co sobie wyobraża i czemu dokładnie chciała zapobiec.

– O, dzwonek do drzwi, wrócił. Muszę otworzyć. Odezwe się za kilka godzin. Albo on sam zadzwoni. W każdym razie wkrótce się tu ciebie spodziewam.

Chciałam coś odpowiedzieć, ale Tulja już odłożyła słuchawkę. Potrzeba snu zniknęła jak kamfora, byłam zupełnie przytomna. Próbowałam jakoś uporządkować myśli, poszłam do kuchni, zaparzyłam kawę i usiadłam za barkiem, o który Mark tak długo walczył, ja zaś nigdy go nie polubiłam. Cała się trzęsłam i piekły mnie oczy. Mocno ścisnęłam filiżankę z kawą i patrzyłam przez okno na szarą mżawkę. Zwyczajny widok, do którego nigdy się nie przyzwyczaję. Moje spojrzenie padło na wilgotne palce i obrączkę – wąską, dyskretną; tak długo nie mogłam się zdecydować, czy jest właściwa, czy nie, by nosić ją przez całe życie.

Wiedziałam, że wszystko się zmieni, że najlepiej byłoby się przed tym bronić – zadzwonić do Marka i poprosić go, by zabrał mnie ze sobą w podróż służbową, odwiedzić małego do dziadków i zniknąć gdzieś do czasu, aż ciemne chmury się rozpląną.

Któregoś dnia musiał wrócić. Spodziewałam się tego, często wyobrażałam sobie ten moment i oczami duszy widziałam wszystkie możliwe scenariusze. Zbroiłam się, trwałam w złudnym poczuciu bezpieczeństwa. Ale do dzisiaj wszystko rozgrywało się w mojej głowie. Do tej pory to ja bawiłam się lalkami i ja pociągałam za sznurki.

Tyle lat z nim i tyle wojen stoczonych przez Ivo, z Ivo albo bez Ivo nie odebrało mi pewności siebie w obchodzeniu się z naszą przeszłością; wytrzymałam próbę i zachowałam go w swoim życiu. Nie zwracając uwagi na żadne dobre rady, postawiłam na widoku nasze zdjęcia z dzieciństwa, opowiedziałam Markowi oficjalną wersję naszej historii, w dniu urodzin wysyłałam Ivo prezenciki bez życzeń – dopóki miałam jego adres – a w czasie urodzin raz po raz wznosiłam toast za zdrowie Ivo, co nierzadko prowadziło do gorących dyskusji, a nawet awantur przy stole.

Zabalsamowałam go w przeszłości, odebrałam mu wszelką przestrzeń do rozwoju – tego także byłam zupełnie świadoma. Zachowałam go w pamięci jako dziecko, chłopca, mężczyznę, z którym dzieliłam życie, który istniał we mnie, w moim wszechświecie. Ale on odszedł. Odszedł z mojego życia i odszedł ze swojego, które tak długo uważałam za własne.

Otrząsnęłam się z zamyślenia, poszłam do łazienki, wzięłam prysznic, wypiałam jeszcze jedną kawę i włożyłam ciemne spodnie. Stałam przed szafą, próbując zdecydować się na bluzkę, ale nagle jakbym wpadła w czarną dziurę, gapiłam się tylko na półki upchane swetrami, podkoszulkami i bluzkami. Gapiłam się i gapiłam, jakby gdzieś tam leżało rozwiązanie, wyjaśnienie skrywające spokój, którego tak bardzo teraz potrzebowałam. Widziałam przed sobą jego twarz, jego twarz z czasów, kiedy zobaczyłam go po raz ostatni, i odruchowo przyłożyłam sobie rękę do ust, żeby nie krzyknąć.

Właściwie to wszystko zaczęło się od końca. Ale tak było w moim życiu zawsze: rodzinne układy, w których dorastałam, my dorastaliśmy, zawsze były postawione do góry nogami. W pewnym momencie nie miałam już odwagi, by określając krewnych, używać zaimków dzierżawczych. Bo kiedy mówiłam „mój ojciec” albo „moja matka”, „mój brat” albo „moja babcia”, zawsze musiałam dodać słowo „właściwie”.

– Twój ojciec? A dlaczego z nim nie mieszkasz?

– Bo moi rodzice się rozwiedli.

– A dlaczego nie mieszkasz z matką?

– Bo ona przeniosła się do Ameryki.

– Ale dlaczego nie zabrała cię ze sobą?

– Bo tak postanowiliśmy.

– A przyjeżdża tu czasami?

– Nie, to my zawsze jeździmy do niej.

– A dlaczego mieszkasz u Tulji?

– Jest ciotką mojego ojca, czyli moją babcią.

– A dlaczego nie mieszkasz u swojej prawdziwej babci?

- Ona jest prawdziwą babcią, nie mamy innej.
- A czemu twoja siostra ma na nazwisko tak samo jak ty, a brat nie?
- Bo mój brat jest adoptowany i zachował nazwisko swoich rodziców.

Żeby uniknąć tego wszystkiego, później mówiłam: to jest Leni. To jest Tulja. To jest Ivo.

To jest...

Obudziłam się z tego stanu przypominającego śpiączkę z granatowym podkoszulkiem w dłoni i naciągnęłam go na siebie. Przypominał mi męża, dziecko, to, że jestem tu i teraz, i wszystko, o czym właśnie myślałam – odpłynęło. Odetchnęłam głęboko i zmusiłam się do uśmiechu, koniecznie musiałam znowu poczuć grunt pod nogami.

Poszukałam telefonu, który tym razem zniknął pod kołdrą, i zadzwoniłam do redakcji.

– Hej, Leo. Chciałam powiedzieć, że nie będzie mnie przez kilka dni, muszę trochę poszperać przed biennale. Przyjdę do biura dopiero we środę. Czy tak będzie w porządku?

– Och... rozumiem. Ale co z jutrem? Chyba wpadniesz do nas na kolację jutro wieczorem?

Przyjęcie niespodzianka dla Nadii, pamiętasz?

Kompletnie o tym zapomniałam.

– Przypomnij mi jeszcze jutro, spróbuję pojawić się chociaż na chwilę, okay?

– Wszystko dobrze?

– Tak. Dlaczego pytasz?

– Masz taki drżący głos.

– Tylko zwyczajne rodzinne stresy. Znasz to przecież.

– Dobrze, zadzwonię do ciebie jutro. Spróbuj przyjść. To dla niej ważne. Rozumiesz?

– Postaram się. Na razie.

Odłożyłam telefon i poczułam wstyd, że zrzucam winę na moją małą rodzinę. Aż nazbyt dobrze znałam ten stary wzór: że kłamię, kłamię dla Ivo. Już od tak dawna nie musiałam tego robić i chociaż akurat to kłamstwo było naprawdę nieszkodliwe, wstydziłam się. Wołałabym nie odebrać tego telefonu, byłoby lepiej, żeby Tulja, stara jędza, nie zadzwoniła do mnie. Znowu się przed tym broniłam, uciekałam przed rzeczywistością. Broniałam się przed zaakceptowaniem faktu, że moje życie jest tak związane z jego życiem. Poszłam do gabinetu i włączyłam laptopa. Po godzinie się poddałam. Siedziałam szlochając przy biurku, przyciskałam do siebie zdjęcie syna – niczym ostatnią kotwicę, ostatni punkt zaczepienia – z zaciśniętymi oczami przycisnęłam twarz do blatu stołu i niewiele brakowało, a zaczęłabym krzyczeć na całe gardło, wzywając pomocy.

Przybycie Ivo do naszej rodziny także było końcem, od którego wszystko się zaczęło.

Jego matka, z którą mój ojciec miał romans, umarła. Ojciec Ivo najpierw trafił do więzienia, a kilka lat później w nim umarł. On sam zaś oniemiał – nie chciał powiedzieć do nikogo choćby słowa. I tylko ja potrafiłam zrozumieć jego język i nim władać, co zresztą było jedynym powodem, dla którego Ivo mógł u nas zostać.

Miałam wtedy siedem lat, a moja siostra jedenaście.

Rodzice właśnie się rozstali. Matka dość prędko po rozwodzie przeniosła się do USA, żeby pracować dla wielkiego koncernu farmaceutycznego. Mieszkała tam jakieś trujące chemikalia w nadziei, że wszelkie szkody usprawiedliwi lepsza i zdrowsza przyszłość. Przeniosła się do Stanów dla Jamesa, tak, dla Jamesa, za którego potem wyszła. Zostawiła nam wybór, a moja siostra i ja z bardzo różnych powodów zdecydowałyśmy się – choć z dzisiejszej perspektywy wydaje się to kompletnie niewyobrażalne – zostać z ojcem, przez którego doszło przecież do rozpadu naszej rodziny i naszego życia. Ale tak się po prostu stało...

Matka musiała zrzec się prawa do opieki, chociaż jej przysługiwało – była zmęczona, bardzo zmęczona. Wszyscy byliśmy zmęczeni. Gdyby poszła do sądu, nigdy nie zostalibyśmy u ojca, nigdy by mu na to nie pozwolono, ale ona zdecydowała inaczej. Na pytanie, czy w wypadku sporu o prawo do opieki matka dostałaby też Ivo albo czy w ogóle chciałaby go zaadoptować, nigdy nie potrafiłam sobie odpowiedzieć.

Tak jak nigdy nie powinni byli pozwolić ojcu adoptować Ivo. Ale dziwnym trafem wszyscy zostaliśmy właśnie z nim.

Moja siostra odwróciła się od matki – nie mogła zrozumieć, dlaczego ta chce opuścić mężczyznę, z którego powodu zastrzelono kobietę. Została z tatą z przekory, bo do tamtego czasu był jej mniej więcej obojętny. W przeciwieństwie do mnie nie miała z nim specjalnie silnej więzi jako dziecko. Została, żeby zranić matkę, bo nie potrafiła jej wybaczyć, że ma zamiar odejść, że pokochała innego mężczyznę, że rozważa walkę o własne szczęście, w razie konieczności nawet bez nas.

Ja zaś zostałam z ojcem, bo bałam się, że mamie nie dadzą Ivo i w ten sposób nas rozdziela.

Moja matka, wrzeszcząc histerycznie jak furiatka, kłóciła się z ojcem – wrzaski trwały prawie rok. W końcu usiadła po prostu naprzeciwko mojej siostry i mnie i zapytała, gdzie chciałbyśmy mieszkać. Dzisiaj myślę, że to było najuczciwsze i najbardziej właściwe, co mogła dla nas zrobić: zostawić nam wolność wyboru. Nie wciskać nas na siłę w przytłaczającą obcość innego kraju. Mimo to moja siostra jej nie wybaczyła, a we mnie na zawsze pozostało puste miejsce, właśnie dlatego, że postawiła nas przed tym wyborem, do którego nigdy nie potrafiłyśmy wystarczająco dorosnąć.

Zostawiła nas ojcu, który wziął do siebie syna swojej zmarłej kochanki, bzykał coraz więcej kobiet i coraz więcej pił. Ojciec z poczucia winy podrywał teraz wszystko, co przypominało kobietę i miało dwie nogi; stracił pracę i zaczął żyć na koszt swoich dzieci utrzymywanych przez mamę dzięki przemysłowi farmaceutycznemu oraz Jamesowi. Wszystko to kompletnie przerosło ojca i właśnie wtedy w nasze życie wkroczyła Tulja.

Tulja była ciotką mojego taty, wielokrotnie rozwiedziona, bezdzietną damą, wtedy jeszcze w średnim wieku. Za dom służyła jej przebudowana szopa, jeździła ciężarówką i nie miała kotów, chociaż można by się tego po niej spodziewać. Kochała wiersze i wszystkich umarłych poetów, słuchała włoskich arii operowych i żyła z małej wypożyczalni łodzi, która została jej po drugim czy trzecim mężu. Co dziwne, prawie nie mówiła o tych mężczyznach. Jej życie składało się z mnóstwa historii, prawdziwych i wymyślonych, w które sama w pewnym momencie zaczynała wierzyć tak mocno, że stopiły się wszystkie w jedną wielką historię życia i już niemożliwe stało się oddzielenie prawdy od fikcji. Prawda, opowiadana przez Tulję, zawsze robiła wrażenie wymyślonej. Tulja

wierzyła w astrologię, mistykę i naturę. W jej żyłach płynęła podobno perska krew, a ona sama miała twarz babilońskiej królowej – to przecież widać! – wyjątkowe rysy, które odziedziczył także mój ojciec. Między innymi właśnie im przypisywano jego powodzenie u kobiet.

Kiedy skończyłam dziewięć lat, przeprowadziliśmy się do Tulji nad morze, do Niendorfu, sennej wioski na wybrzeżu. Moja siostra, Ivo i ja. Ojciec zabierał nas do siebie na weekendy, a lipiec zawsze spędzaliśmy w Newark w New Jersey, gdzie mama wraz z Jamesem prowadziła eksperymenty chemiczne dla Merck & Co. W lecie udawaliśmy, że nasze życie z ojcem jest bajkowe, a Tulja to tylko taki bonus. Robiliśmy tak, bo szopa, ojciec alkoholik ze swoimi paniami zmieniającymi się jak w kalejdoskopie, absolutnie szalone wyprawy łodzią, które odbywaliśmy na własną rękę, i obrzydliwa marmolada pigwowa roboty Tulji – wszystko to wydawało się nam o wiele przyjemniejsze niż Newark i rozpaczliwe usiłowania mamy, żeby nas do siebie przywiązać.

Dziwne było to, iż koniec końców z nas trojga tylko Ivo dawał jej poczucie, że nadal jest naszą matką, oraz pewność, że w żadnym razie nie potrafilibyśmy jej nikim zastąpić, nie mówiąc już o tym, że wcale byśmy tego nie chcieli. Było tak, od kiedy się pozbierał, znów zaczął mówić – i zawsze w lecie w Newark odstawiał przedstawienie dające naszej matce iluzję bliskości.

Wszyscy troje cierpielśmy z powodu tej nieistniejącej rodziny. Ivo milczał, ja próbowałam jak najmniej rzucać się w oczy, najlepiej stać się niewidzialną i skupiać tylko na tym, by służyć Ivo za coś w rodzaju tuby, a moja cztery lata starsza siostra coraz bardziej zamykała się w sobie jak w kapsule. Odnosiło się wrażenie, że ona poniosła najbardziej widoczne szkody, chociaż nie chciała się do tego przyznać. Zaczęła obwiniać – przede wszystkim obwiniała o wszystko naszą matkę i Ivo. I oduczyla się uśmiechać.

Matka też cierpiała, kłóciła się z Jamesem i obrzucała nas całą masą bezsensownych prezentów albo w nerwowej atmosferze organizowała wycieczki do niezliczonych dzikich zakątków lub parków przyrody. Przysiadła jeszcze na brzegach naszych łóżek, kiedy już dawno wyrosliśmy z wieku, w którym człowiek się cieszy z bajki na dobranoc.

Straszliwie do niej tęskniłam, ale byłam zbyt dumna, żeby jej to okazać, i wiecznie udawałam, że nasze życie jest uosobieniem normalności. Odgrywałam rolę niekłopotliwej córki, Ivo zaś, który już wtedy miał fenomenalne wyczucie w kontaktach z ludźmi, dostosowywał się: był delikatny, przyklepny, rozmowny, pełen entuzjazmu wobec męczących wędrówek i wycieczek, pełen szczerego zachwytu dla wszystkiego, co matka nam organizowała.

Poradziliśmy sobie z tym, przyzwyczailiśmy się, że nasze życie jest, jakie jest. Leni skończyła wreszcie z karaniem Ivo za nieszczęścia rodziny. I tak było to dzieciństwo niemal szczęśliwe; trochę szalone, trochę awanturnicze, trochę zdewastowane i niemal wypełnione miłością, której załazek dali nam zagubieni dorośli, a która zawsze była nieco toksyczna, bo nigdy nie obdarzali nas nią w zdrowej formie.

Tyle, jeśli chodzi o wersję mojego życia, z której potem zwierzyłam się mężowi, przyjacielom i kilku bliskim znajomym. Dużo zrobiłam, żeby inni przyznali nam prawo do określania się mianem rodziny. Resztę uzgodniłam ze sobą. Resztę uzgodniłam z Ivo.

Zadzwoił, kiedy umyłam zapłakaną twarz, wlałam w siebie kolejną filiżankę kawy i pożegnałam się z nadzieją, że jak zwykle jakoś uporządkuję sobie dzień i jakoś go przetrwam.

Nic nie wyjaśnił, powiedział tylko, że wpadnie, zapytał, czy jestem i czy mam coś przeciwko temu. Oznajmił, że jest w mieście przejazdem, że chyba w takim razie może się jednak ze mną zobaczyć. Nic nie odpowiedziałam, potakiwałam tylko bezgłośnie głową. Obiecał, że przyjedzie za czterdzieści minut.

Czas, który mi został, spędziłam na balkonie zawinięta w koc. Patrzyłam w dół na ulicę. Z oddali dochodziły syreny statków, a ten odgłos wprowadził mnie w stan półsnu. Wreszcie myśli przestały mi buzować w głowie. Nie zadałam sobie trudu, żeby się umalować, żeby namalować sobie twarz, która potrafiłaby ukryć strach.

Przyszedł punktualnie. Zanim mu otworzyłam, długo stałam w drzwiach, próbując odzyskać kontrolę nad oddechem. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, włosy jak zwykle bardzo krótko ostrzyżone. Wydawał się wyższy niż kiedyś i przyszło mi na myśl pytanie, czy dorośli nadal rosną, czy też to upływ czasu wywołuje takie wrażenie. Uśmiechnął się do mnie, w dłoni trzymał maleńki

kwiat. To był przebiśnieg z ogrodu Tulji. Musiałam się roześmiać.

Nic nie mówiliśmy, zaczął krążyć po moim mieszkaniu jak tygrys, oceniał pokoje, zatrzymał się przed zdjęciami stojącymi na półce. Wziął fotografię Theo i przyglądał się jej długo, a potem nagłym ruchem odstawił ją na miejsce. W końcu usiadł za naszym barkiem i powiedział:

– Ten barek naprawdę nie jest ani trochę drobnomieszczański! – To było pierwsze zdanie, jakie usłyszałam od Ivo po siedmiu latach. Potem zapytał, czy może dostać coś do picia: – Gin z tonikiem byłby rewelacyjny. W takim mieszkaniu na pewno macie gin i tonik, prawda?

– Mark i ja pijemy gin od czasu do czasu, więc pewnie jeszcze trochę się znajdzie, nie dlatego, że moim zdaniem w *takim* mieszkaniu musi być gin. A barek jest zupełnie w porządku!

– Hej, naprawdę czujesz się zaatakowana?

– Daj sobie spokój.

Po tej wypowiedzi poczułam się odrobinę pewniej. I bardzo szybko pojawiło się wspomnienie, bardzo szybko wróciła ta niedobra lekkość.

Ustałam, poddałam się i zmieszałam mu gin z tonikiem. Nie musiałam się długo namyślać – sobie też nalałam szklaneczkę. Była pierwsza po południu.

Uśmiechnął się i podniósł szklanę do ust.

– Postarzałaś się, ale podobają mi się te zmarszczki mimiczne. Włosy ci trochę ściemniały. Poza tym wcale nie uważam, żeby twoje mieszkanie było złe. Chociaż to jednak dziwne, że teraz żyjesz w ten sposób. Nieważne. Zdaje się, że Tulji bardzo się podoba twój mąż, to już dobry znak.

Tulja musiała kłamać jak z nut, bo przecież uważa, że Mark to nudziarz, i kiedyś wręcz zagroziła mi zakazem wstępu do siebie, gdy jej oznajmiłam, że wychodzę za niego za mąż.

– No właśnie – bąknęłam i wypiłam łyk. Rozgrzewające, lekko oszałamiające działanie alkoholu popijanego w środku dnia dało mi wreszcie poczucie wyzwolenia.

– Cieszę się, że cię widzę. Wyglądasz przepięknie. Tak jak zawsze wyobrażałem sobie ciebie w połowie drogi między trzydziestką a czterdziestką. Jesteś naprawdę jedną z tych, które późno rozkwitają. Twoje najlepsze lata dopiero nadchodzą!

– Ivo, co za głupoty pleciesz! To bezczelność, że nagle zjawiasz się jak gdyby nigdy nic. Gdzie się podziewałaś tak długo? Dlaczego nigdy mi nie odpowiedziałeś, dlaczego ty...

– Taką mieliśmy umowę.

– Chrzanić umowę. Bałam się o ciebie. Ja...

– Frank zawsze wiedział, gdzie jestem, Tulja też... A Gesi na pewno co tydzień coś ci o mnie wspominała.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Chyba nie sądzisz, że kogokolwiek bym się dopytywała, gdzie mieszkasz i na jakim kontynencie akurat przebywasz!

– Sama tak chciałaś, Stello. Więc nie rób mi wyrzutów. Ty tak postanowiłaś.

– No to czemu tu teraz siedzisz, skoro postanowiłam, że więcej się nie zobaczymy?

– Może z zasady nigdy nie przestrzegam umów.

Spojrzałam na niego i musiałam stłumić uśmiech. Był jak zawsze piękny, niemal smutną, budzącą lęk pięknnością samotnego człowieka. Człowieka, który rozpaczliwie wątpi w samego siebie. Jego oczy o delikatnym kształcie migdałów, ciemnoszare, zamglone oczy z dziewczęcymi rzęsami nadal były pełne tajemnic, które tak długo próbowałam rozwikłać. Nie zmienił się zawadiacki, lekki uśmieszek w kącikach ust. Moja miłość do Ivo była jak rana, która nigdy nie chciała się naprawdę zagoić.

– Zatem, żeby skrócić sprawę: nadal żyję w Nowym Jorku. Jeśli można to nazwać życiem.

Wyjął papierosy z torby. Zaczęłam się zastanawiać, kiedy ja ostatnio paliłam.

– Dużo jeżdżę, jestem wolnym strzelcem, dostaję całkiem niezłe zlecenia, biorę wszystko, czego nie podejmują się inni. Przez ostatnie trzy miesiące siedziałem w Kabulu. Czasami nie było specjalnie miło. Ale ja i mój przyjaciel, pan wojna, nadal świetnie się rozumiemy. Nie ożeniłem się, inaczej na pewno zaprosiłbym rodzinę na wesele. Często widuję Gesi. James niedomaga ostatnimi czasy, ale Gesi mnie odwiedza, kiedy jestem w Nowym Jorku. Nadal kłócę się z nią o badania na zwierzętach i substancje trujące. Ale to nie szkodzi. Świat pozostał taki sam, to zadziwiające, że nie udało mi się go uratować. Widzisz więc, że u mnie wszystko dobrze, Stello. Od czasu do czasu

brakowało mi ciebie. I to tyle. A jeśli chodzi o miłość, to też wszystko się nieźle układa przez te dwa czy trzy miesiące, które spędzam w jednym miejscu.

Wstał i wyjrzał przez okno.

– Chciałbym zobaczyć twoje dziecko! – powiedział nagle, a ja stwierdziłam, że jego niemiecki stał się bardziej miękki pod wpływem angielskiego, i było to przyjemne dla ucha.

– Możesz je poznać.

– A poznam też twojego męża?

– Tak, możesz poznać też mojego męża.

Przez chwilę oboje wyglądaliśmy przez okno. W końcu zebrałam się na odwagę i zapytałam:

– Dlaczego wróciłeś?

– Nagle ogarnęło mnie uczucie, że nie wiem już, kim jestem. Nie można ustawić swojego życia na szybkie przewijanie do przodu. Ja tak zrobiłem i przez całkiem długi czas to działało. Ale teraz muszę przewinąć taśmę do tyłu, a to niemożliwe bez Franka, bez Tulji, bez ciebie. Tak, może nawet Leni będzie mi potrzebna, ale przede wszystkim ty mi jesteś potrzebna, Stello. Muszę znowu tu pobyć przez chwilę. Doskonale wymieszałaś ten gin z tonikiem. Wcześniej byś tego nie potrafiła. Przypuszczam, że to osiągnięcie ostatnich lat.

– Definitywnie zamknęliśmy ten rozdział, Ivo, i nie sądzę, żeby dobrze było teraz...

– Niczego nie zamknęliśmy, nie miej złudzeń.

Jego głos nagle zrobił się zimny, zdystansowany, lekko pogardliwy. Ivo roztaczał nadzwyczajny chłód, kiedy bał się odrzucenia. Jakże mnie tym ranił, chociaż wiedziałam, że to było wyreżyserowane, że Ivo tylko udawał. Robił to jednak tak przekonująco, że nie można było nie poczuć się dotkniętym.

– To jest zamknięty rozdział, Ivo, teraz mam nowe życie, zupełnie inne priorytety. Przede wszystkim mam dziecko, którego szczęście jest dla mnie ważniejsze niż jakieś tam stany ducha. Znalazłam spokój.

– Ach tak, znalazłaś spokój? Świetnie, naprawdę świetnie. Posłuchaj mnie, Stello. Musisz mi pomóc, a może ja też będę mógł pomóc tobie.

– Pomóc? Pomóc mi? Dostałam już pomoc, nie potrzebuję żadnej innej. A tobie? Jak miałabym ci pomóc? Jak to sobie wyobrażasz? Poszedłeś w swoją stronę. Jesteś inny niż *wtedy*. Masz teraz inne doświadczenia, uczucia, myśli. Nie mogę zachowywać się tak, jakby nie upłynął szmat czasu. To ma dla mnie znaczenie. Jestem zdezorientowana, przytłoczona twoją obecnością, a jednocześnie cieszę się, może nawet czuję ulgę, że znów jesteś obok. Nie wiem jednak, co mogę zrobić. Jeśli chcesz rozmawiać, to rozmawiajmy, ale nic więcej, Ivo.

– Muszę tylko trochę sobie przypominać. A ty możesz mi w tym pomóc, prawda?

Nie odpowiedziałam i tak przez kilka minut wpatrywaliśmy się w milczeniu w nasze szklanki. Rozległ się dzwonek telefonu, skoczyłam na równe nogi i zaczęłam go szukać. Znienawidzony dźwięk tym razem obiecywał mi odroczenie, dawał możliwość ucieczki. Myślałam o tym, dlaczego znowu czuję się tak beznadziejnie zdana na łaskę i niełaskę Ivo, naszej przeszłości i tego, co miało teraz nastąpić. Poczułam ulgę, słysząc w słuchawce głos obcej kobiety.

– Przepraszam, z kim rozmawiam?

Nazwisko nic mi nie mówiło.

– Jestem wychowawczynią Theo w świetlicy. Dzwonię, bo jeszcze go państwo nie odebrali, a w poniedziałki zwykle nie jest w mojej grupie. Jeśli się nie mylę, wtedy zawsze idzie na trening piłki nożnej. Dlatego chciałam po prostu...

I znowu nienawidziłam telefonu!

– O mój Boże! Będę za dwadzieścia minut. Czy mogłaby pani przez ten czas...?

– Tak, oczywiście, żaden problem.

– Mój mąż i ja musieliśmy się nie dogadać.

Kolejny raz skłamałam.

Ivo wstał i znów zajął się zdjęciami rodzinnymi na półce.

– Muszę iść. Muszę odebrać Theo.

- Możemy to przecież zrobić razem.
- Myślę, że będzie lepiej, jak pójdę sama.
- Też chcę pójść. Będę mógł go poznać.
- To naprawdę nie najlepszy moment, Ivo!

Ale on opróżnił szklaneczkę i już trzymał w rękę skórzaną kurtkę. Poczułam działanie alkoholu, do którego w ogóle nie byłam przyzwyczajona w ciągu dnia. Zaczęło mi dzwonić w uszach, jakby coś mi dolegało. Pociłam się.

Zbiegliśmy po schodach. Po drodze zarzuciłam na siebie płaszcz. Ivo robił wrażenie odprężonego i lekko rozbawionego – jak zawsze.

Kiedy próbowałam otworzyć samochód i kluczyki wyslizgnęły mi się z ręki, ze znaczącym uśmiechem dał mi znak, żebym usiadła na miejscu pasażera.

- Pozwól – powiedział. Przyjęłam to z ulgą. Po raz drugi tego dnia byłam bliska łez.

Prowadził szybko i pewnie, wiedząc, że właśnie emanuje tym tak typowym dla siebie samozadowoleniem, które mnie straszliwie złościło i irytowało. Zastanawiałam się, czy w tych wszystkich cholernych kryzysowych regionach, w których musiał zbierać materiały do swoich ach-jakże-prawdziwych-i-demaskatorskich reportaży, też był taki pewny siebie i nonszalancki. Czy w zbombardowanych miastach i na ulicach usianych zwłokami spacerował sobie równie beztrudnie i swobodnie. Pewny swego, zawsze patrzący na innych trochę z góry, zawsze trochę bardziej świadomy własnej wartości i zawsze trochę bardziej wolny, niezależny, nieodgadniony.

Wiem, dokładnie pamiętam, kiedy zaczął się tak zachowywać. Pamiętam, jak zaczął palić papierosy do samego filtra, obgryzać paznokcie i mierzyć kobiety zaczepnym wzrokiem; pamiętam jego smutne spojrzenie, które inni zawsze uważali za wyzywające. I pamiętam jego notatniki – zawsze wypełniał je zapiskami aż po marginesy, jakby rzucał małe kotwice w ocean.

- Teraz w lewo.

Kilka krótkich wskazówek – tylko na tyle byłam w stanie zdobyć się w czasie jazdy do szkoły Theo.

Palił, choć był to samochód Marka, a ten poczuje smród i będzie się wściekać, ale nie miałam odwagi nic powiedzieć, bo przez cały czas myślałam o „niedrobnomieszkańskim barku” i nie chciałam, żeby Ivo znów mnie ocenił.

Opuścił szybę i rozglądał się z ciekawością ucznia. Sprawiał wrażenie, że rozpoznaje miasto albo że właściwie wcale go nie zna i z zadziwieniem ogląda je pierwszy raz – nie byłam tego pewna.

Powiedziałam mu, żeby zaczekał w samochodzie. Theo siedział z grupą popołudniową w sali na parterze i jadł marchewkę. Zrobił obrażoną minę, wyglądało jednak na to, że nie dąsa się aż tak bardzo, by natychmiast nie skoczyć na równe nogi i nie podbiec do mnie. Podziękowałam wychowawczyni, próbując sprawić wrażenie swobodnej i pewnej siebie, jakby cała sytuacja była po prostu drobnym nieporozumieniem.

Przez długi czas nie chciałam mieć dzieci, właściwie nigdy nie chciałam ich mieć. Nie czułam się dojrzała do roli matki i jeszcze na długo przed zajściem w ciążę z Theo, obawiałam się, że cokolwiek zrobię – nigdy nie będę wystarczająco dobra. Ani dla siebie, ani dla dziecka.

– Gdzie tata? – zapytał mój syn i wetknął resztę marchewki do kieszeni kurtki. Inne dzieci, na ogół starsze, siedziały w ciszy, rysując albo odrabiając pracę domową; ignorowały Theo. On też nie pożegnał się z nikim poza wychowawczynią.

- Dziś moja kolej. Przecież wiesz.
- No to dlaczego zapomniałaś mnie odebrać?
- Nie zapomniałam. Przecież jestem. Spóźniłam się tylko.
- Pracowałaś?
- Nie, spóźniłam się, bo mamy gościa.
- Gościa?

Jego ciemnobrązowe oczy roziskrzyły się, a wściekłość zdawała się ulatniać.

– To ktoś bardzo ważny dla mnie. Członek rodziny. Już kiedyś ci o nim opowiadałam, jeśli pamiętasz.

– Z rodziny twojej czy taty?

– Z mojej.

Już od lat nie mówiłam „brat”, kiedy miałam na myśli Ivo. Nikt z naszej rodziny nie nazywał go moim bratem. Ale dziwiło mnie, że teraz nie powiedziałam tego Theo. Próbowałam postępować wobec niego uczciwie i z szacunkiem; z taką samą powagą, z jaką wychowywała nas Tulja. Może odarło nas to z bez troski, ale za to sprawiło, że cała nasza trójka wyrosła na ludzi samodzielnych.

Zbliżyliśmy się do parkingu, na którym stał samochód. Ivo wyglądał przez okno i palił kolejnego papierosa. Obserwował nas, wiedziałam o tym, choć z tej odległości nie mogłam jeszcze wyraźnie dostrzec jego twarzy.

– To samochód taty – odezwał się Theo i w tym momencie najchętniej bym nim potrząsnęła za to, że tak otwarcie okazywał ten zaborczy sposób myślenia, tę, jak by powiedziała Tulja, kapitalistyczną dziecięcą chorobę. Z niewielu rzeczy byłam dumna w dzieciństwie. Może z naszej wolności, z Ivo, z tego, że zawsze umieliśmy pływać lepiej niż inni, i z tego, że zawsze wszystkim się dzieliliśmy. U nas w domu potępiano się sobkostwo. Między dzieciństwem Marka a moim nie było nawet krzty podobieństwa. On nie widział nic złego w tym, że jego syn tak wcześnie rozumiał, co mu się należy. Nie, wręcz temu przyklaskiwał.

– Mój jest w warsztacie, kochanie – odparłam i ścisnęłam odrobinę mocniej małą rączkę Theo. Próbował rozluźnić uchwyt, ale nie dawałam za wygraną. I tak, prowadząc tę próbę sił, znaleźliśmy się nagle przy samochodzie. Ivo wysiadł i podał mojemu synowi dłoń. Theo spojrzął w górę na niego, uwolnił rękę z mojej i odwzajemnił uścisk.

– To jest Ivo – powiedziałam i spojrzałam na nich z wyczekiwaniem. Widok ich obu niemile mnie uderzył, zapowiadając jakąś kolosalną zmianę, na którą wcale nie byłam przygotowana.

– Ale dziwne imię – powiedział mój sześciolatek syn i wsiadł do auta. – Mamy w domu twoje zdjęcie.

– Naprawdę?

– Tak. Ale wyglądasz na nim inaczej. Masz inne włosy.

– To prawda. Myślę, że wtedy nie tylko moje włosy były inne.

– A co jeszcze?

Pomyślałam sobie, że może powinnam była ostrzec Ivo, by w żadnym wypadku nie dał się wciągnąć w odpowiedzi na pytania Theo, ponieważ wtedy nie będzie im końca. Zazwyczaj Theo nie zdradzał żadnego zainteresowania otoczeniem ani ludźmi wokoło. Jeśli jednak już raz coś wzbudziło jego ciekawość, zdawało się, że nic nie zdoła jej zaspokoić. Czasami życzyłam sobie, by dało się sterować tą ciekawością, bo nie wszystko, co go interesowało, interesowało także mnie, i na odwrót.

– No cóż, powiedziałbym, że wszystko.

Wyglądało na to, że Theo zastanawia się nad tym. Ivo spojrzął na mnie pytająco.

– Dokąd jedziemy, moi państwo? – zakrzyknął po chwili z udawanym entuzjazmem.

– Najpierw do domu, muszę się szybko przebrać, a potem na piłkę. Nie mogę się spóźnić, rozumiesz? – Theo rzucił rozkazującym tonem z tylnego siedzenia, a ja nic nie odpowiedziałam, pogodziłam się z tym pańskim zachowaniem i skinęłam głową.

Po drodze Theo nie przestawał zadawać pytań: gdzie też Ivo się podziewał, dlaczego nas częściej nie odwiedzał, dlaczego pali, skoro tata nie lubi palaczy w samochodzie; opowiadał o treningach piłki i o swoim najlepszym koledze, którego ojciec miał hodowlę królików. O naprawdę wielkim pawilonie, w którym ten pan pracuje i dokąd Theo czasem może wejść. Że raz zwyciężył Tulję, kiedy się siłowali na ręce, i że uważa najstarszego syna Leni za przyglupiaстого, bo on lubi dziewczyny i strasznie zadziera nosa, od kiedy dostał skuter.

W domu zrobiłam mu kanapkę z masłem, na nic ciepłego nie starczyło mi fantazji ani czasu. Do tego byłam kompletnie pochłonięta obecnością Ivo i pytaniem, co znaczy dla mnie jego pobyt tutaj.

Theo wyjął resztę marchewki z kieszeni i położył ją demonstracyjnie na samym wierzchu patery z owocami. zaproponowałam mu, żeby ją wyrzucił, bo wygląda dosyć nieapetycznie, a

wtedy on wpadł w złość i zaczął się upierać, że to jego marchewka i może z nią robić, co chce. Zdawało się, że Ivo bawi podpatrywanie naszej codzienności. Spoglądał z zaciekawieniem to na mnie, to na Theo.

Miałam przemożne pragnienie, by zabarykadować się w sypialni i zostać tam sama do późnej nocy. I znowu ustąpiłam. Nadgryziona marchewka nadal leżała na owocach – niczym symbol kapitalistycznej choroby dzieci, jak mawiała Tulja, niczym znak mojej niemocy.

We troje pojechaliśmy samochodem mojego męża na boisko syna. Patrząc z boku można by sądzić, że na obrazku wszystko się zgadza. Z jednym wyjątkiem: nie zgadzał się mężczyzna.

Ten, który by tutaj pasował, zapewne stał właśnie w studiu i montował jeden ze swoich filmów dokumentalnych: mój mąż, który nie miał bladego pojęcia o tym, że tego ranka całe nasze wspólnie wywalczone bycie razem, nasza codzienność, zwyczaje, obietnice, podobieństwa i różnice, nasze noce, plany wakacyjne i święta, które tak chętnie razem przygotowywaliśmy i obchodziliśmy, stanęły pod znakiem zapytania. I że nie zrobiłam nic, by z tym walczyć – wręcz przeciwnie: w pożyczonym życiu, pożyczonym samochodem z pożyczonym mężczyzną jechałam na boisko, zastanawiając się, jak mogło tak szybko dojść do tego, że wszystko, po prostu wszystko wokół mnie zaczęło wydawać się takie nieprawdziwe. Tak wiele ryzykowałam dla minionego, nigdy nierokującego najmniejszego szczęścia związku, dla którego nie znalazłam określenia przez te trzydzieści sześć lat, kiedy byłam na świecie.

Resztę dnia pamiętam jak przez mgłę.

Ivo zawiózł mnie do domu, odstawił samochód Marka do garażu – i zniknął. Powiedział tylko, że ma jeszcze coś do załatwienia. Byłam jak zamroczona, nie pytałam o nic więcej.

Potem Mark i Theo wrócili do domu. Mark odebrał Theo z treningu, a moje auto z warsztatu.

Zjedliśmy kolację, a Mark wiercił mi dziurę w brzuchu pytaniami o Ivo i o to, co oznacza jego nagłe pojawienie się w Hamburgu. Najwidoczniej był zazdrosny, chciał ze mną spać i upewnić się w ten sposób, że wszystko jest po staremu. Pragnął potwierdzenia, a ja mu je dałam. Spałam z nim i próbowałam robić wrażenie obecnej.

Kiedy zasnął, usiadłam i długo patrzyłam na swoje nagie ciało. Nie wiem dlaczego. Nie wiem, jakiego potwierdzenia ja szukałam.

Następnego dnia zaczęło się szaleństwo. Mogłoby się wydawać, że cała rodzina jest znowu jednością. Nawet mama zadzwoniła: chciała wiedzieć, czy Ivo dojechał i jak zareagowaliśmy na jego powrót.

Ku mojemu zdumieniu życie toczyło się dalej, jak gdyby nigdy nic. Siedziałam przy laptopie, odwoziłam Theo do szkoły, załatwiałam sprawy przez telefon, troszczyłam się o Marka.

Pewnego wieczoru wparadowała do nas moja siostra. Włosy Leni połyskiwały sztuczną czerwienią henny, a z torby wylewały się zabawki jej najmłodszego dziecka.

Leni przez całe życie próbowała – jak to nazywa – naprawić stracone dzieciństwo. Studiowała socjologię, a potem zaczęła pisać książki dla dzieci. Sukces kazał na siebie czekać do czasu, aż poznała swojego męża, który prowadził oficynę wydającą literaturę dziecięcą – od tamtej pory mogła żyć z pisania. Zaczęła odwracać się od Tulji, zdawało się, że coraz bardziej się jej wstydzi. Urodziła troje dzieci i zamieszkała w wytwornej dzielnicy willowej. Swoją nową rolę grała doskonale: na wszelkich możliwych zgromadzeniach rodzinnych opowiadała krewnym i wszystkim innym, jak się wychowuje dzieci, jak należy przystosować świat do dzieci, jak pisze się książki dla dzieci. Jakby jedynym celem naszego życia było rodzenie dzieci, wychowywanie i pisanie dla nich książek.

Chyba tylko dlatego nigdy naprawdę nie oderwałam się od Leni, że jej potrzebowałam. Była dla mnie potwierdzeniem wszystkiego, co się stało, ale o czym się nie mówiło, o czym wszyscy wiedzieli i o czym nikt w naszej rodzinie nie chciał pamiętać, a co ona – wprawdzie inaczej niż Ivo i ja – też przeżyła. Co dokładnie tak samo ją okaleczyło. Co tak samo próbowała zostawić za sobą. Była przy tym potwierdzeniem jedyne prawdziwego sformułowania w moim życiu: Leni to moja siostra i mówiąc o niej, nie muszę dodawać słowa „właściwie”.

Kiedy urodziła trzeciego syna i pożegnała się z nadzieją na dziewczynkę, której kupowałyby różowe sukienki z falbankami i zaplatała słodkie złote warkoczyki, było mi coraz trudniej wytrzymać nieznośną, emanującą z niej zaściankowość, coraz bardziej prowincjonalną urodę, zgaszoną przez to, że Leni przytyła i farbowała włosy henną. Także fakt, że jeździła golfem, bo bała się, że w jej podmiejskiej idylli większy model wydawałby się zbyt prowokujący.

– Tulja zaprasza nas na sobotę. Mamy się wszyscy spotkać. Świętować powrót syna marnotrawnego. Nic dodać, nic ująć – powiedziała ostro, siadając na kanapie, by już w następnej sekundzie gwałtownie podskoczyć i zacząć przetrząsać całą zawartość szafek kuchennych w poszukiwaniu zdrowej herbaty. Jedną z cech Leni, z którą w ostatnich latach coraz gorzej sobie radziłam, to sarkazm.

– Już tu był.

– Co? Już go widziałas? Znowu się u ciebie pojawił niczym upiór w operze? Po prostu cudownie. A co też szanowny pan miał do powiedzenia? Jak stoją jego akcje?

– Dobrze wygląda. Potrzebna mu chwila przerwy.

– Jestem zaskoczona. Nie, naprawdę. I że też Gesi pozwoliła mu tak po prostu do nas przyjechać!

Leni lubiła odgrywać rolę porzuconej córki, zapominając przy tym, że to ona przecież w wieku jedenastu lat na całe gardło sprzeciwiała się przeprowadzce do Newark. Przydzieliła mamie rolę tej winnej. Cieszyło ją, że zawsze może przypisać Gesi rolę kozła ofiarnego, oskarżając ją o wszystko, co jest nie tak. Nie utrzymywała z nią właściwie żadnego kontaktu i od samego początku nie chciała spędzać u niej urlopu z dziećmi.

– Czy to zbrodnia, że Gesi czasem się z nim widuje?

– I znowu zaczynasz.

– O co ci chodzi?

– No cóż, znów go bronisz.

– Nie bronię. Tak po prostu jest.

Obrzuciła mnie nieufnym spojrzeniem i nadal grzebała w szafkach. Przyszło mi do głowy, że to właściwie nadzwyczajny widok – Leni sama, bez dzieci. Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy tak było ostatnim razem, i nie potrafiłam. Leni od początku demonstracyjnie obnosiła się ze swoją rolą matki i dawała całemu światu do zrozumienia, że kobieta, którą zostawiła własna matka, nie musi być złym rodzicem. Leni doprowadziła swoje życie rodzinne do perfekcji – i wszyscy powinni to z łaski swojej zauważyć.

Znalazła jakąś herbatkę odpowiadającą jej ekologicznym pretensjom i nie pytając, czy mam ochotę, zaparzyła także dla mnie. Również to cechowało Leni: zawsze wiedziała, co dobre, a co złe dla innych.

– Cieszę się, że znów tu jest. – Staralam się, jak już tysiąc razy, traktować ją w miarę uczciwie.

– Wątpię, żebyś wiedziała, co dla ciebie dobre, a co nie. Znasz go przecież, w każdym razie powinnaś. Więc sama wyciągnij niezbędne wnioski z jego wizyty.

– Przepraszam bardzo, a co to ma znaczyć?

– Jego wyjazd do Ameryki był dla nas wszystkich najlepszym wyjściem. To, że odszedł, było dla wszystkich najlepszym wyjściem. I że nie wrócił. Dopiero wtedy odzyskałaś panowanie nad swoim życiem. Kiedy go nie było, ojciec się uspokoił. Nawet Tulja zrobiła się spokojniejsza od czasu, gdy wyjechał. Tak było po prostu lepiej. Nie przynosił nam szczęścia!

Leni nigdy nie przestała upatrywać w Ivo korzeni wszelkiego zła, tak jak nigdy nie przestała winić mamy za coś, czemu była najmniej winna. Ale kiedy Leni uparła się i już raz utwierdziła w jakiejś opinii, nic nie mogło jej przekonać, że może być inaczej.

Patrzyłam na jej twarz, kiedyś bardzo ładną: jasnoniebieskie oczy i pełne usta, które tak wielu kusiły do całowania, twarz o śniadej karnacji i wystających kościach policzkowych. Kiedy spogląda się tylko na nią, nie zwracając uwagi na ociążałe ciało, ubranie, sposób bycia – wtedy Leni okazuje się przepiękną kobietą, która po każdym z rodziny odziedziczyła najlepsze rysy: mały zadarty nosek po mamie, pełne wargi po ojcu, duże jasne oczy po Tulji. Ale gdy tylko otwiera usta, kiedy tylko zaczyna się zwracać uwagę na jej figurę, w oczy rzuca się coś niemalże okropnego: wymuszona gestykulacja, przykładnie wyprostowane ramiona, początek drugiej brody, niezadbane dłonie i miękkie, matronowate ciało. Zrozumienie tego wywołało we mnie ból i znów miałam to nieodparte uczucie, że to nie moje życie – że jestem aktorką w jednym z filmów dokumentalnych nakręconych przez Marka dla telewizji.

– Nie mam teraz ochoty na herbatkę z kopru włoskiego.

– Ach, przestań, od czasu do czasu trzeba zrobić dla siebie coś dobrego.

– Ale ona wcale mi nie robi dobrze; nie znoszę tej herbatki. Dostaję od niej skurczów w brzuchu.

– Nikt nie dostaje skurczów w brzuchu od herbatki z kopru włoskiego.

– Nienawidzę kopru włoskiego.

Leni obrzuciła mnie karcącym spojrzeniem, które mówiło, że totalnie się mylę, że w ogóle fatalnie się odżywiam, że piję absolutnie niewłaściwą herbatę.

Ona popijała swoje zdrowe ziółka, rozglądając się naokoło. Jakby z kondycji mojego

mieszkania chciała wyczytać stan mojego życia.

– No i? Przyjedziesz? – zapytałam, by przerwać nieprzyjemną ciszę.

– Co masz na myśli, gdzie?

– W sobotę, do Tulji?

– No chyba muszę, prawda? W przeciwnym razie pozbawi mnie swojego świętego błogosławieństwa. Tulja wręcz nie posiada się z radości. Ma wreszcie z powrotem swojego ukochanego chłopczyka. Jak się tak porządnie zastanowić, Ivo zawsze był lepszym wnukiem, lepszym synem, lepszym dzieckiem, w każdym razie był lepszy niż my kiedykolwiek. Niewiarygodne.

Leni, zazdrośnica. Jako najstarsza z nas musiała jeszcze mocniej niż ja mierzyć się z rzeczywistością, z katastrofami naszej przeszłości. Może to dlatego nigdy nie przezwyciężyła poczucia niedosytu. Może całe to jej szaleństwo wokół dzieci było jedną wielką ucieczką, jedną wielką tęsknotą za normalnym dzieciństwem.

– Rozmawiałaś już z tatą? – spytałam mimochodem, rzucając okiem na zegarek. Jakby Theo, którego Mark miał wkrótce przyprowadzić do domu, mógł uratować mnie przed tymi torturami. Na barku, obok wiklinowej patery na owoce, na której ciągle jeszcze królowała resztką marchewki Theo, stały – niczym symbol naszej siostrzanej klęski – parujące filiżanki o mocnym zapachu kopru włoskiego.

– Ojciec przyjdzie z tą swoją flama! O Boże! Czy przyjrzałaś się jej ostatnio na jego urodzinach? To niesamowite: wygląda jak ropucha.

– Przynajmniej nie jest od niego dwadzieścia sześć lat młodsza. Chociaż wiek zgadza się między nimi.

– Ach, bzdury. U niej nic się nie zgadza, ani z przodu, ani z tyłu. I pochodzi też niekoniecznie z najwytworniejszych sfer, to widać na kilometr, a na dodatek ten okropny dialekt! Rzygać się chce!

– Opanuj się. Są już razem ponad dwa lata. To też jakaś sztuka!

– Ojciec jest nadal przystojnym mężczyzną, mógłby mieć kogoś lepszego. Czasami myślę, że tylko mu jej żal. W jej wieku, w jej sytuacji nie ma już szans na rozsądnego faceta.

Leni kochała ojca. Wprost wielbiła. I widziała w nim ofiarę naszego strasznego losu. Świat był niesprawiedliwy dla Franka: jego żona, dzieci, nikt mu nie pomógł. On, szlachetny rycerz, adoptował chłopca, zaniedbanego, nieszczęsnego, pozostawionego przez wszystkich na lodzie chłopca, który nawet nie okazał mu wdzięczności. Leni udawało się w taki sposób ułożyć strzępy wspomnień, tak wszystko poprzekręcać, że wyłaniał się z nich obraz ojca, jakim zawsze chciała go widzieć.

– Ona nie jest taka znowu paskudna. Okazuje mu wiele czułości.

– Przepraszam bardzo, a co to znowu znaczy „paskudna”? To ordynarna dziwka. Nic więcej. Z tymi tlenionymi włosami i makijażem jak w jakimś cholernym hollywoodzkim filmie...

Leni chciała jeszcze coś dodać, ale rozległ się dzwonek jej komórki; najwidoczniej jej mąż się wściekał – czy naprawdę zapomniała, że trening karate środkowego syna jest odwołany i że ma po niego, proszę bardzo, przyjechać? Leni, w panice, że zdarzyło jej się to małe potknięcie, skoczyła na równe nogi, przewracając przy tym torbę. Gumowa kaczka, plastikowy samochodzik bez jednego kółka, jajko niespodzianka zamalowane długopisem i tubka żelu nawilżającego potoczyły się po kamiennej podłodze mojej kuchni. Tubka była wąska, różowa i ozdobiona błyszczącymi gwiazdkami, dobrze pasowała do świata zabawek w jej torbie. Kiedy Leni zorientowała się, że zauważyłam połyskujący przedmiot, zachowała się tak, jakby była to najnormalniejsza rzecz pod słońcem: pozbierała wszystko, jak gdyby nigdy nic – żel demonstracyjnie na końcu – i wsadziła z powrotem do torebki. Od czasu, kiedy dorosłyśmy, miałyśmy śmiertelnie milczącą umowę o zachowaniu śmiertelnie absolutnego milczenia na temat spraw, które mogłyby powiedzieć coś o nas samych. A więc darowałam sobie komentarz.

Jednak gdy już stała w przedpokoju zbierając się do wyjścia, wyrwało mi się:

– Chyba uprawiacie dziki seks, co?

Uśmiechnęłam się i to było wspańnięte uczucie – jakbym znowu miała piętnaście lat i mogła

tak otwarcie interesować się życiem seksualnym siostry.

– Co za durne pytanie, Stello!

Leni zalała się czerwienią, a ja wiedziałam, że cała kurczy się konwulsyjnie, zacisnęła dłoń w pięści.

– No co? Po prostu mnie to interesuje!

– Co cię interesuje? Czy i jak śpiam z moim mężem?

– Tak, dlaczego nie? Przecież jesteś moją siostrą, kiedyś wolno mi było zadawać ci takie pytania.

Zamknęłam za nią drzwi, oparłam się o nie i roześmiałam. Sytuacja była taka absurdalna... a jednocześnie przeraził mnie własny śmiech. Przeraził, bo wiedziałam, że to zerwanie z utartymi wzorcami wiąże się wyłącznie z *kiedyś*, a temu *kiedyś* było na imię Ivo.

Tulja zapowiedziała, że zrobi przyjęcie stulecia i każdego, kto nie skorzysta z jej zaproszenia, wykluczy z rodzinnego grona. Zadzwoiłam do ojca, ojciec zadzwonił do Leni, Leni zadzwoniła do mnie, Tulja znowu zadzwoniła do ojca, ojciec poskarżył się na zaborcze, mamuśkowate zachowanie Tulji, ja pocieszałam ojca, a Leni zadzwoniła do mnie i wygadywała na niego, narzekając, że się nie oszczędza. Tulja robiła uzgodnienia z mamą. Mama znów do mnie zadzwoniła, wygadywała na bezczynność Leni i wyrażała obawę, że moja siostra zepsuje powrót Ivo. I tak to się toczyło przez cały nerwowy tydzień.

Ivo zamieszkał w szopie na plaży w Niendorfie i pławił się w troskliwości Tulji. Nie dzwonił do nikogo z nas, przyjąwszy do wiadomości, że Tulja planuje powitalne przyjęcie i ponowne zjednoczenie rodziny.

Mark podpisał właśnie umowę na nowy film dokumentalny i zajmował się organizowaniem podróży na plan. Mieli kręcić na Cyprze. Przez większość czasu Theo i ja byliśmy sami.

Oczywiście zapominałam o telefonie w sprawie imprezy koleżanki z pracy – chyba wszyscy w redakcji mieli mi to za złe. Leo, nasz redaktor naczelny, miał mi to za złe podwójnie, ponieważ upatrzył sobie Nadię, na której przyjęcie nie poszłam, i liczył na moje wsparcie, włącznie z próbami ich wyswatania. Pracowałam nad artykułem o biennale sztuki, które powinno być „nowoczesne, przełomowe i torujące nowe drogi”, a w rzeczywistości było tylko wtórne, zaściankowe i kompletnie konserwatywne. Poprosiłam o przesunięcie terminu oddania tekstu, co niekoniecznie poprawiło ogólnie panujący nastrój.

Do mojej pracy należało kłamanie w niektórych momentach. Przedstawianie rzeczy kompletnie pozbawionych sensu jako „nowoczesnych, przełomowych i torujących nowe drogi”, a dekadencjonalnych, absolutnie nadętych i pozbawionych wszelkich pomysłów dzieł sztuki, wywiadów z artystami, premier filmowych i nowości wydawniczych jako ważnych wydarzeń. Ale w tej chwili zawodowe kłamstwo zdawało mi się zupełnie niemożliwe.

Theo sprawiał wrażenie rozdrażnionego, coś go zajmowało, kwękał i marudził. Marchewka wciąż jeszcze leżała na paterze, a on kazał Markowi i mnie złożyć przysięgę, że ani jej nie zjemy, ani nie wyrzucimy. Wyjaśnienie, o co mu chodzi z tą marchewką – to już było za wiele dla mojej obolałej głowy. Odłożyłam warzywo na bok, żeby zająć się sprawą później, po sobocie.

– Lecę już w piątek do Nikozji – powiedział Mark i rozpiął rozpiorek dzinsów. Właśnie wyszłam spod prysznic, owinięta w jego szlafrok. Nie chciałam kupić sobie własnego.

– A co z zaproszeniem Tulji? – zapytałam.

– Nie mogę przesunąć lotu.

– Ja muszę tam iść.

– Przecież nic nie mówię.

– Wezmę ze sobą Theo i przenocuję u Tulji. Wrócimy w niedzielę.

– W niedzielę ma trening.

– Ach tak. W takim razie spróbuję wrócić wcześniej.

– Jesteś pewna, że chcesz tam iść?

– Mark...

– Dobrze, dobrze, tylko pytam.

– Chciałabym, żebyś poszedł ze mną.

– Hej, to twoja rodzina, znasz ich wszystkich, przecież cię nie zjedzą.

Odniosłam wrażenie, że mówiąc „twoja rodzina”, miał na myśli Ivo, lecz bał się powiedzieć głośno, co mu leży na sercu.

– Odzwyczaiałam się już od nich. Te przyjęcia! I odzwyczaiałam się od niego.

– Hej, chodź tu. Co się z tobą dzieje? Dlaczego tak się nim przejmujesz? Myślałem, że wasze problemy są rozwiązane.

– Jestem podenerwowana, to wszystko. Nie mam ochoty na uwagi Leni, nie mam ochoty na orgię pijacką taty i nie mam ochoty na historyjki Tulji o dawnych czasach. Jestem przede wszystkim zmęczona, wierz mi.

– Wielkanoc... Właściwie moglibyśmy gdzieś razem wyjechać na tych kilka dni. Taki nudny miniurlop z opieką nad dziećmi i z okropnymi turystami. Coś takiego dobrze by nam zrobiło.

Zaczął masować mi kark i znowu mu wierzyłam, wierzyłam w nasze wyobrażenie o szczęściu. Od zawsze zadawałam sobie pytanie, jak to możliwe, że Mark, jedyne dziecko rodziny wykładowców akademickich, którzy byli zbyt liberalni nawet na to, by zmuszać go w dzieciństwie do pobierania lekcji gry na skrzypcach, ożenił się ze mną. On, który robił w życiu wszystko jak należy i zdawał się nie znać słowa „problemy”, który studiował w Heidelbergu i Londynie historię i anglistykę, a teraz produkował wysokiej klasy historyczne filmy dokumentalne, chciał mnie za żonę. Mark, który dobrze wyglądał, lubił literaturę, także te książki, które ja chętnie czytałam; Mark, który był najlepszym kierowcą na świecie i ubóstwiał swojego syna, będąc lepszym ojcem niż ja matką... Jak udawało mu się żyć z kimś takim jak ja? Życie Marka, w przeciwieństwie do mojego, nie miało żadnych ukrytych wątków czy tajemnic – jego życie biegło prosto jak strzała, a jedyną skazę, jakiej można by się ewentualnie dopatrzeć na jego idealnej biografii, stanowiła depresyjna była dziewczyna, z którą od czasu do czasu palił trawkę. No i... może jeszcze to niepoohamowane dążenie do perfekcji, słabość do szybkich samochodów i okropny sposób obchodzenia się z własnym ciałem. Ale to wszystko dałoby się wytłumaczyć banalną, domorosłą psychoanalizą jego wychowania. Mark dorósł do swojego życia, a kilka razy, gdy na mnie wrzasnął i wściekły wyszedł z domu, ja go do tego sprowokowałam.

Po raz pierwszy zobaczyłam go zaledwie kilka tygodni po wyjeździe Ivo, przy okazji programu telewizyjnego, którego był producentem. Kilka osób z naszej redakcji zaproszono na pokaz. Chodziło o skandal narkotykowy, o którym pisałam reportaż razem z kolegą, skandal narkotykowy w administracji państwowej. Wtedy zbierałam jeszcze materiały dla pewnej lewicowej gazety. Była to sprawa, której bulwersujące szczegóły znałam od informatora. Na przyjęciu po filmie Mark szarmancko i otwarcie zabawiał towarzystwo dowcipnymi anegdotami i co chwila dolewał wina. Nigdy bym nie pomyślała, że w ogóle mogłabym pasować do mężczyzny tego typu. Flirtował z jedną z koleżanek z pracy, a przy tym cały czas patrzył na mnie. Pamiętam jego długi uścisk dłoni, gdy wychodziłam. Wcześniej zaproponował, że odwiezie mnie do domu. Odmówiłam. Pochwalił mnie za odwagę i zapytał o numer telefonu.

Miałam wtedy romans z mężczyzną grającym na perkusji, który borykał się ze sporymi problemami alkoholowymi – czułam, że nie nadaję się dla nikogo lepszego.

– Wszystko pójdzie dobrze. Zadzwonię do ciebie, okay? – powiedział Mark i zaczął skubać mi płatek ucha.

– Tak – szepnęłam i pocałowałam go w przegub dłoni.

Padał deszcz i Theo narzekał, że jest zmęczony i wolałby grać na komputerze z przyjaciółmi z treningu. Skupiałam uwagę na autostradzie, mocno ściskając kierownicę.

Dzwonili bez przerwy już od świtu. Leni: w co ma się ubrać; mama: czy Frank obiecał, że będzie; Tulja: czy mogłabym odebrać ze sklepu zamówiony ser. W końcu wyłączyłam telefon.

– Czemu jest to przyjęcie, mam? – spytał Theo znudzony, rysując jakieś potwory na zaparowanej szybie.

– Bo on należy do naszej rodziny i od dawna go z nami nie było.

– A teraz zostanie tu na zawsze?

– Tego nie wiemy, przecież dopiero przyjechał.

– Nie mam ochoty widzieć Andreasa. Znowu będzie mi dokuczał tym swoim skuterem.

– Nie musisz się z nim bawić, jeśli nie chcesz. Poza tym przecież będzie też Alex i możecie razem pobudować coś z klocków. Do tej pory zawsze sprawiało ci to przyjemność.

Alex był środkowym synem mojej siostry i najbardziej znośnym członkiem jej rodziny.

Pierworodny, Andreas, przechodził właśnie okres dojrzewania, był obsypany pryszczami i wszystkich tyranizował. Dwuletniego Antona nadal traktowano jak niemowlę i nie pozwalano mu bawić się z innymi chłopcami. To, że imiona wszystkich dzieci zaczynały się na literę „A”, nie było dziełem przypadku. Miały podkreślać nadzwyczajną wartość osób je noszących.

– A będziemy mogli popływać łódką? – Theo dalej wiercił mi dziurę w brzuchu.

– Jest za zimno, a poza tym morze będzie wzburzone.

– Skąd możesz to wiedzieć? Przecież nawet dojechaliśmy jeszcze na miejsce!

– Wychowałam się tam, Theo. Twoja mama naprawdę dobrze zna się na wodzie.

W każde wakacje pracowaliśmy przez kilka tygodni w starej wypożyczalni łodzi, zanim lecieliśmy do New Jersey; Leni zawsze na ranną zmianę, a Ivo i ja na późniejszą. Poza nami pracowali tam też inni młodzi ludzie z wioski. Przypomniłam mi się Harry, Holender, dwa razy zatrudniony u nas na lato jako mechanik. To jemu ofiarowałam swoje dziewictwo. Harry, który miał taką bladą skórę, bo ciągle tkwił w ciemnym warsztacie, i który tak przyjemnie pachniał smarem. Harry z piegami i w brudnych dżinsach podartych na tyłku. Ivo bardzo go lubił i tego lata, kiedy miałam piętnaście lat, z czystej zazdrości postanowiłam też go lubić, lubić go inaczej, niż robił to Ivo. I rzeczywiście, w ciągu kilku tygodni doprowadziłam do tego, że osiemnastoletni Harry, który słuchał metalu, a przyszłość chciał spędzić na morzu, złapał mnie za tyłek i przycisnął do zimnej betonowej ściany. Wiedziałam, że Ivo jest w pobliżu, wiedziałam, że w każdej chwili może wejść do warsztatu. Tylko dlatego pozwoliłam upapranym olejem łapom Harry’ego wylądować na moich poślaskach.

Ivo wszedł, kiedy Harry właśnie zabierał się do dzieła. Sekundę później Harry już leżał na ziemi z butem Ivo na gardle, a ja równie szybko znalazłam się na podwórzu. Ivo pochylił się nade mną i zaczął na mnie wrzeszczeć. Nie pamiętam już dokładnie treści jego słów, ale wiem, że miał łzy w oczach.

Dwa wieczory później wymknęłam się z domu i poszłam do Harry’ego, który zajmował małe mieszkanie na strychu. Wspięłam się po drzewie, a kiedy on – z twarzą wciąż jeszcze pokrytą siniakami – otworzył okno i spojrzął na mnie z przerażeniem, rozpięłam płaszcz i pokazałam mu się naga.

Spaliśmy ze sobą w jego skrzypiącym, o wiele za wąskim łóżku. Przez cały czas zasłaniał mi usta i wydawał dziwaczne odgłosy. Nie czułam nic poza tępym bólem i absolutnym brakiem zainteresowania jego ciałem. Po prostu pozwoliłam, by to się stało, kurczowo łapiąc się myśli, że do głębi ranię tym i upokarzam Ivo. Właśnie owym brakiem miłości, uporem i czysto mechanicznym wykonywaniem tego, co on mógłby dostać ode mnie w zupełnie inny sposób. Czule, namiętnie, z miłością.

– Uważaj!

Automatycznie wcisnęłam hamulec. O mały włos nie wjechałam w ciężarówkę. Szybko skręciłam kierownicą, by odbić w bok. Na szczęście nie jechał za nami żaden samochód.

– Przepraszam, mistrzu! – powiedziałam i odetchnęłam głęboko. Przeraziłam się tak, że odzyskałam jasność myślenia: przez Ivo wszystko zaczęło wirować, a ja muszę znów to zatrzymać, nie wolno mi wprowadzać chaosu w życie Marka ani Theo. Przez resztę drogi do położonej na uboczu szopy Tulji w Niendorfie próbowałam wytłumaczyć sobie, że mam trzydzieści sześć lat i bardzo uporządkowane życie, jestem matką i wreszcie czuję się na tym świecie szczęśliwa.

Przyjechałam ostatnia. Przed wjazdem do wioski stałam jeszcze jakiś czas w wieczornym korku. Obok domu zobaczyłam samochody Leni i ojca. Już z ogrodu słychać było harmider, jaki robili chłopcy Leni. Theo przylgnął do mnie, ukrywając buzię w moim płaszczu.

– Czy musimy tu dziś nocować?

Wiedziałam, dlaczego o to pyta. Uwielbiał komfort jak jego ojciec, nie mógł ścierpieć żadnej, nawet najmniejszej zmiany w swoim bezpiecznym, ciepłym świecie. Kochał Tulję, kochał jej drobne wariactwa i kochał swojego dziadka z jego napuszonymi przemowami, ale nie znosił małego drewnianego łóżeczka, w którym musiał spać, i nie cierpiał zimnego korytarza do łazienki. Poczułam, jak narasta we mnie wściekłość, poczułam się bezbronna i zdradzona. W tym momencie pojawił się mój ojciec i zamachał do nas.

– To tylko jedna noc, Theo. I to dla mnie ważne, że przy mnie jesteś. Okay? – szepnęłam do niego, kiedy zbliżaliśmy się do ojca stojącego w drzwiach do domu. Trzymał się bardzo prosto, miał wprawdzie brzuch, którego nie dało się nie zauważyć, ale był jak zawsze elegancki i zadowolony z siebie. Uśmiechał się do mnie tryumfująco. Zawsze to robił, jakbyśmy mieli wspólną tajemnicę, jakbyśmy oboje dokładnie wszystko o sobie wiedzieli – bo w gruncie rzeczy jesteśmy do siebie podobni. Nigdy nie wiedziałam, czy postawa, jaką przybierał wobec mojej osoby, ma mnie cieszyć czy martwić. Na widok Franka Theo prędko zapomniał o wcześniejszych wątpliwościach i wspiął mu się na plecy niczym mały miś koala. Frank pogłaskał go. Pocałował w głowę i odstawił na ziemię, bo właśnie zza węgła nadbiegło dwóch rozkrzyczanych starszych synów Leni i objęło go w posiadanie.

Wokół unosił się zapach pieczeni, a ja przez chwilę wyobrażałam sobie, że nadeszło Boże Narodzenie i że jesteśmy po prostu na najzwyklejszym w świecie spotkaniu rodzinnym. Ale oto już rzuciła się na mnie Tulja: trudno powiedzieć, czy ze śmiechem, czy z płaczem, i porwała mnie w ramiona tak mocno, że nie mogłam złapać tchu. Jak zwykle pachniała staromodnymi perfumami, których nazwy nigdy mi nie zdradziła. Zapachu Tulji nie dało się z niczym pomylić. Mimo wieku miała kruczoczarne włosy jak jej babka i prababka – która podobno była królową perską. Nie zabłąkał się tam ani jeden siwy włos, od kiedy widziałam ją po raz ostatni. Okulary na złotym łańcuszku huśtały się na jej piersiach, a pomalowane na ciemnoczerwono, trochę nienaturalnie wyglądające usta złożyły się w szerokim uśmiechu.

– Wreszcie znowu jesteśmy wszyscy razem!

Kuchnia Tulji była bardzo przestronna, z długim drewnianym stołem i dwiema równie długimi ławami. Wszędzie stały kwiaty w dużych, wysokich wazonach, misy, talerze, paczki z mąką, solniczki i małe słoiczki z przyprawami, które Tulja – jak pigwy na swoją marmoladę – sama uprawiała, suszyła i przesypywała. Wszyscy mieliśmy w szafkach kuchennych te małe suszone przyprawy Tulji. Pamiętam nawet, że widziałam kilka takich pojemniczków w kuchni mamy w Newark.

Frank zniknął, a Ivo nie przyszedł przywitać się ze mną. Leni pomagała w kuchni, teraz właśnie z zapamiętaniem przygotowywała ciasto. Anton siedział w naszym dzieciennym krzeselku – właściwie był o wiele za duży na to stare jak świat krzeselko, pamiętające jeszcze czasy mojego dzieciństwa – i malował kolorowe kreski na tabliczce kredowej.

Hanna, przyjaciółka ojca, ulokowała się w najdalszym kącie kuchni. W żadnym wypadku nie była dziwką, za jaką uważała ją moja siostra, ale wątłą, przemiłą kobietą, sprawiającą wrażenie trochę głupawej. Ojciec poznał ją w szpitalu – pracowała tam jako pielęgniarka, kiedy chorował na zapalenie płuc. Była bezdietna i skora do poświęceń, podziwiała Franka, zaczęła się z nim

spotykać i od początku bez sprzeciwu zaakceptowała jego romanse. Zdawała się w tym kącie zagubiona – Tulja chyba wskazała jej to miejsce, postawiła przed nią popielniczkę i nie zaplanowała dla Hanny żadnych kuchennych zadań.

Wyrzałam na dziczają, zarośnięty ogród: przed kuchnią ciągnął się długi taras z hamakiem. Wszędzie walały się zabawki, z oddali dochodziły piski dzieci. Pod jabłonią w dalekim końcu ogrodu Frank i Ivo palili papierosy pochłonięci rozmową, która najwyraźniej musiała być poważna.

– Widzisz, panowie chcą pozostać we własnym gronie. Jan dojedzie, musiał jeszcze na chwilę skoczyć do wydawnictwa – poinformowała mnie Leni bez śladu współczucia, nie przerywając zagniatania.

– Przywiozłaś goudę? Ivo mówi, że w Stanach nie można dostać porządnego sera! – wykrzyknęła Tulja euforycznie.

– Ach, biedak, naprawdę bardzo mi go żal – rzuciła drwiąco moja siostra, a Tulja spojrzała na nią z obrażą, co zaraz zamknęło Leni usta.

– Ależ to przystojny mężczyzna – nagle z zadymionego kąta dobiegł głos Hanny i wszyscy odwrócili się w jej stronę; patrzyła z zadumą na ogród, na mężczyzn pod drzewem.

Nikt już nie powiedział nic więcej. Tulja planowała, co kiedy podać, Leni zajmowała się ciastem, a ja podjęłam się opieki nad dziećmi i z Antonem na ramieniu zniknęłam w ogrodzie. Chłopcy zabunkrowali się w domku na drzewie, który ojciec zbudował dla nas przed tylu laty i który ciągle jeszcze opierał się surowemu nadmorskiemu klimatowi. Theo odpędził mnie bardzo szybko. Upewniłam się, że Leni nie patrzy w naszą stronę, i ostrożnie postawiłam Antona na ziemi. Od razu zaczął raczkować, spróbował wstać, przewrócił się i znów dzielnie dźwignął się na nogi. Frank i Ivo wciąż jeszcze stali pod jabłonią. Ojciec dał mi znak ręką, żebym do nich podeszła, więc wzięłam Antona za rękę i zbliżyłam się do drzewa. Ivo pocałował mnie w policzek i zatrzymał moją prawą dłoń w swojej.

– Trochę sobie pogadaliśmy – powiedział ojciec i znów uśmiechnął się do mnie w swój dziwny sposób. Znałam powód tego uśmiechu, wszyscy troje go znaliśmy, ale udawaliśmy, że jest inaczej. Spojrzenie Franka zawsze zawierało w sobie wiedzę o czymś, o czym wolałoby się zapomnieć. Ale może tylko wmówiłam to sobie, ponieważ kiedy tylko Ivo, ojciec i ja zostawaliśmy sami, nie mogłam robić nic innego, musiałam myśleć o przeszłości, o tym, co się stało i co tak chętnie wyrzuciłabym z pamięci.

– Jak tu pięknie. Pięknie jak zawsze – odezwał się Ivo i spojrzał na mnie. Potem pogłaskał Antona i zapytał, czy może nam jakoś pomóc w kuchni.

Frank zostawił nas samych. Ivo i ja milczeliśmy, patrząc w dal, słuchaliśmy szumu morza.

– Dobrze wyglądasz, Stello.

– Dziękuję.

Potem zapadło milczenie.

Podjęłam wątek.

– Ciepło szczęścia rodzinnego. Prawda. Brakowało ci go.

– Przestań być niesprawiedliwa.

– Nie jestem.

– Jesteś, jesteś. Przecież to naprawdę miło znów tu być, znów wszystkich zobaczyć. Franka, Leni, Tulję. Dzieci, których nie znałem. Ciebie.

– Zawsze mogłeś nas odwiedzić, wiesz o tym.

– Nie mogłem.

Nie powiedziałam nic więcej. Kiepsko się czułam, wtłoczona w stary schemat rodzinnego podziału ról, tu, pod drzewem, wśród gwaru dzieci hałasujących wokół nas – to mogłyby być nasze własne głosy, jak gdyby z sekundy na sekundę czas cofnął się o dwadzieścia czy trzydzieści lat.

Wiatr powiał, poczułam zapach Ivo. Poczułam tę woń z absurdalną gwałtownością i musiałam na chwilę puścić dłoń Antona, bo aż zakręciło mi się w głowie. Zapach Ivo się nie zmienił: kwiatowy i ostry w specyficzny, niemalże nieludzki sposób, jakby pochodził od jakiejś zaginionej rośliny, nieznannej przyprawy – trujący, a przez to tak bardzo kuszący. Znów ujęłam dłoń

Antona i zrobiłam kilka kroków do tyłu. Nie potrafiłam czuć obcości wobec Ivo, nieważne, jak bardzo się o to starałam.

Spojrzałam na niego, a żal za nim, za nami, sprawił, że nagle znowu stałam się zupełnie malutka.

Ktoś mnie zawołał. To była Tulja. Nie mogła znaleźć siatki z serem, więc powlokłam się w stronę domu, ciągnąc za sobą Antona, który protestował i pojękiwał.

Pamiętam, że bardzo przyjemnie spędziliśmy ten wieczór: jedliśmy pieczeń Tulji, szarlotkę Leni, a dzieci, jak na siebie, kłóciły się bardzo mało. Nawet kiedy musiały już iść spać, obyło się bez szczególnych protestów; Anton zasnął bez zwykłego tyranizowania otoczenia wrzaskiem. Frank zachował umiar z alkoholem. Unikaliśmy nieprzyjemnych tematów.

Dzisiaj jestem pewna, że stało się tak dzięki obecności Ivo, jego zabawnym historyjkom obieżyświata i dobremu nastrojowi, urokowi, którym owinął nas sobie wokół palca. Nikt nie mógł powstrzymać się od śmiechu, nawet Hanna nie czuła się jak ciało obce w naszej rodzinie, przy tym stole – w miejscu z przeszłości nas wszystkich, które na kilka godzin przenieśliśmy do chwili obecnej. Tulja potrafiła wyczarowywać po kolacji coraz ciemniejsze i bardziej niezwykle napoje – koniak śliwkowy albo likier z lukrecji – których próbowaliśmy razem z Leni, chichocząc, z zamkniętymi oczami i zatkanym nosem.

Na krótki czas rzeczywiście staliśmy się rodziną i było nam z tym dobrze.

Frank zazwyczaj wygłaszał przy stole jakieś napuszone przemówienie. Tym razem jednak było krótkie i znośne. Wzniósł nawet toast za Gesi, którą bez śladu ironii określił mianem swojej szanownej byłej żony. Gesi – dla niego zazwyczaj temat tabu. Po toaście nie padł ani jeden złośliwy komentarz. Ivo został posadzony między Tulją i Leni. Bez ustanku obejmował je i całował, wołał do siebie chłopców, przekomarzał się z nimi i pił jak kiedyś hektolitry wina, nie dając po sobie poznać efektów jego działania. Od czasu do czasu spoglądałam na niego, odwracając wzrok, gdy tylko zauważał moje spojrzenie. Bolała mnie tak jasna świadomość jego obecności, bolał fakt, że tak wyraźnie miałam go przed oczami. Jego obecność teraz, tutaj jeszcze bardziej uświadamiała mi, jak bardzo nam go brakowało w ostatnich latach. Nawet Leni i jej mąż Jan, który dołączył do nas w trakcie wieczoru, zachowywali się niezwykle serdecznie. A gdy potem zadzwonił Mark i poszłam porozmawiać z nim w kuchni, czułam w sobie głęboki spokój.

– No to jakie masz teraz plany? – spytała nagle Leni, mrużąc oczy, kokieteryjnie chybotając swoim kieliszkiem do wódki przed nosem Ivo i krztusząc się dymem z jego papierosa. Frank też palił, a to uprawniało wszystkich do oddawania się temu nałogowi.

– Co masz na myśli? – odpowiedział pytaniem rozbrajająco uśmiechnięty Ivo i pociągnął łyk z kieliszka.

– No cóż, zostajesz tutaj czy znów się dokądś wybierasz?

Wszyscy na siebie popatrzyli, a Tulja otoczyła go ramieniem w opiekuńczym geście, by jeszcze raz podkreślić, że to on gra tutaj rolę honorowego gościa.

– Nie wiem. Myślę, że to zależy tylko od Stelli.

Zakrzusiałam się, chciałam udać, że nic nie słyszałam, ale wszyscy inni słyszeli i patrzyli na mnie z rozdrażnieniem. Spojrzałam na niego pytająco.

– Od Stelli? – powiedziała Leni nadzwyczaj opryskliwie i rozdziawiła usta w szerokim uśmiechu. Mogłabym ją udusić.

– No tak, myślę, że my dwoje musimy sobie to i owo wyjaśnić.

Próbowałam wywnioskować z głosu Ivo, czy wyskoczył z tym pod wpływem alkoholu, czy też kierowała nim czysta chęć prowokowania.

– Teraz proszę bez *tego* tematu – wtrąciła Tulja błagalnie, a ja zajęłam się resztką pieczeni, którą miałam jeszcze na talerzu, wyschniętą i zbędną; aż w którymś momencie uświadomiłam sobie, jak bardzo przypomina mi mnie samą.

– Czy to naprawdę konieczne?! – Także Frank jęknął głośno i wypił wino jednym haustem. – Uważam, że to nie na miejscu, Ivo. Powinniście to omawiać między sobą, jeśli w ogóle.

– Dlaczego? Skoro swego czasu wszystkich nas to obchodziło, to przecież teraz nie mogę nic ukrywać. Chodzi mi o to, że kiedyś przecież otwarcie dyskutowało się o tych sprawach, a teraz

nagle mamy zachowywać dyskrecję?

– Ivo, przestań!

Wreszcie udało mi się sformułować zdanie i spojrzeć na niego. We wzroku Ivo czaiło się wiele różnych uczuć: wyrażał jednocześnie zadowolenie, pogardę i zdziwienie.

– Dosyć. Nie ma o czym mówić, koniec. Jeśli o tym dyskutowaliśmy, to tylko dlatego, że nie wpływaliście dobrze na siebie. Nie wtrącałem się, póki wszystko było w porządku. Ale nie było. Dosłownie się zadręczaliście. To dlatego musieliśmy coś zrobić. Rodzina stała po waszej stronie, wiesz o tym, Ivo.

Szczerść ojca pozbawiła mnie ostatniego kawałka gruntu pod nogami i wiele bym dała za to, żeby nigdy tutaj nie przyjechać. Musiałam coś powiedzieć, ale z wściekłości zapomniałam języka w gębie.

– Tak uważasz? – ciągnął Ivo z zadowoleniem, dolewając sobie wina, przy czym nie zapomniał sprawdzić, czy szklanka Tulji jest jeszcze pełna. Kiedy się o tym przekonał, odstavil butelkę z uśmiechem. – Mam co do tego pewne wątpliwości. Ale żeby to wyjaśnić, trzeba by zacząć od tego, co było o wiele wcześniej, a to zepsułoby nam wieczór. Nie chcę, żebyście mnie źle zrozumieli. Muszę w tym miejscu wyrazić serdeczne podziękowania: dziękuję wam wszystkim za moje życie w poczuciu bezpieczeństwa. A szczególnie dziękuję tobie, Stello. Za życie, które mogłem sobie *od ciebie* pożyczyć. Dziękuję, bardzo dziękuję.

Wstał, jednym haustem wychylił kieliszek, przeprosił, kłaniając się ceremonialnie, i odszedł od stołu. Tulja pobiegła za nim, Leni z oburzeniem kręciła głową. Frank westchnął, a ja po prostu siedziałam, jakby mnie zamurowało. Chociaż wiedziałam, że tylko jakieś moje wyjaśnienie mogłoby jeszcze uratować ten wieczór. I nagle przestało mi przeszkadzać, że znów jestem w samym centrum wydarzeń, w samym środku drogi nieuchronnie wiodącej ku katastrofie; nagle przestało mi przeszkadzać, że wszyscy się na mnie gapią, że nikt nie spuszcza ze mnie wzroku. Wypełniał mnie spokój, wściekłość się ulotniła i nagle pomyślałam o Theo, który spokojnie spał w starym pokoju dzieciennym obok Alexa i Antona i nie tęsknił za niczym, absolutnie za niczym na świecie. Ta myśl uspokajała mnie bardziej, niż były w stanie zdenerwować jakiekolwiek uwagi przy tym stole. Siedziałam więc dalej nieruchomo, jakby to wszystko nie dotyczyło mnie w najmniejszy nawet sposób. Tylko wystraszone spojrzenia Hanny od czasu do czasu przywodziły mi na myśl absurd sytuacji, w jakiej się znalazłam.

– To niełatwe. Nadzwyczaj się cieszę, że on tu jest, i chciałbym, żebyśmy wszyscy się cieszyli. Trzymamy się razem, o to w tym wszystkim chodzi. I... Stello, Stello, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Ojciec pochylił się ku mnie, a ja ujrzałam jego dumne, władcze odbicie w oczach Leni.

– Nie chcę, żeby znowu zaczęły się dyskusje. Słyszysz? Ivo ma święte prawo tu być i zadawać nam pytania. Nam zadawać pytania, podkreślam: *nam*. Nie tobie.

Ojciec mówił jeszcze długo o rodzinie i o tym, jak trzymamy się razem, a jego starania o zachowanie pozorów harmonii, do czego potrzebował tylu kobiet, lat i butelek, budziły we mnie tylko współczucie. Robił wszystko, żeby jego świat nie zachwiał się w posadach, a wszyscy – również Tulja, która tymczasem wróciła do stołu – zdawali się go w tym umacniać. Wiedziałam jednak, że ja nie zrobię niczego, co mogłoby powstrzymać tę przeszłość, która tak szybko, z taką łatwością wgryzała się w teraźniejszość. W duchu odczuwałam niemal coś w rodzaju *Schadenfreude* z powodu nieprzyjemności, prowokacji, na jakie naraził nas Ivo, z powodu jego pytań, które padną, a na które nikt nie chciał odpowiadać. Nagle zapragnęłam rozerwać tę zasłonę spowijającą nas wszystkich tak ciasno, odetchnąć wreszcie świeżym powietrzem, w końcu wykrzyczeć wszystko, co było do wykrzyczenia.

Ivo nie pojawił się więcej i nikt z nas nie zamierzał nakłaniać go, żeby wrócił do stołu. Teraz już tylko Frank zabawiał towarzystwo. A potem Tulja przyniosła gitarę i zaczęła śpiewać piosenki w jakimś zapomnianym, niezidentyfikowanym języku, twierdząc, że to persko-cygański, język jej przodków.

Piliśmy dalej. Zdawało się, że tamten zgrzyt poszedł już w zapomnienie. Cieszyłam się widokiem twarzy wokół mnie, cieszyłam się z szorstkiego głosu Tulji, z władczego, coraz

głośniejszego tonu ojca, zagubionego uśmiechu Hanny, z obecności mojej siostry i jej milczącego, zawsze lekko obrażonego męża. Zjadłam resztę szarlotki, pomyślałam z zadowoleniem o śpiącym Theo. Słuchałam skrzypienia drewnianych desek w przedpokoju i świstu marcowego wiatru.

Około drugiej nad ranem Leni z mężem wycofali się do pokoju gościnnego na poddaszu; ojciec posiedział jeszcze chwilę z Tulją na tarasie, gdzie jak zwykle toczyli pojedynek na słowa, przekomarzając się ze sobą serdecznie, ganiąc, krytykując i już z zasady nie dochodząc do zgody. Tuż po trzeciej Tulja zaproponowała espresso, ale wtedy Frank zaczynał już drzemać i w końcu poszedł spać do dużego pokoju na pierwszym piętrze. Ja wyraziłam gotowość przespania się w pokoju dzieciennym koło syna i siostrzeńców.

Chciałam właśnie zgasić światło na tarasie, kiedy dostrzegłam postać Ivo w ogrodzie. Stał bez ruchu, palił papierosa, jego sylwetka zdawała się rozwiewać w dymie. Nie namyślając się długo, podeszłam do niego z kocem zarzuconym na ramiona, który Frank powiesił wcześniej na krześle.

– Czego ty ode mnie chcesz? – spytałam bez ogródek.

– Jesteś mi jeszcze coś winna – odparł, jakby przez cały wieczór czekał na to pytanie, i ruszył ku mnie. W ciszy nocy słychać było szum morza. Wciągnęłam w płuca ciężkie, słone powietrze niczym lekarstwo na strach.

– Zupełnie nic ci nie jestem winna. Wszystko spłaciłam, jeśli już chcemy rozmawiać w ten sposób. I nie mam najmniejszej ochoty na te gierki, zabraniam ci kolejny raz mieszać się w moje życie.

– W twoje życie? W twoje życie, Stello? Zadałaś sobie kiedyś pytanie, czy to naprawdę jest twoje życie, czy naprawdę żyjesz takim własnym i niezależnym życiem? Życiem, które należy tylko do ciebie?

– Co to ma znaczyć? Co ty sobie wyobrażasz?

– Chcę prawdy. Jesteś ją winna sobie i mnie, Stello.

W tej samej chwili zrozumiałam, o co chodzi, i poczułam, jak robi mi się niedobrze. Miałam nadzieję, że przyszło mi to na myśl tylko dlatego, że za dużo wypiałam. Nadzieja była daremna. Nie chodziło o to, co wszyscy wiedzieli, lecz o to, o czym nie wiedział nikt.

– Czego ode mnie chcesz?

– Nie pamiętasz już? Mam ci podpowiedzieć, Stello?

– Jesteś pijany. Wracajmy do domu.

– Nie, powiedz, że wiesz. Przyjechałem tu, ponieważ chcę się dowiedzieć, czy zawdzięczam ci życie i czy twoje życie należy do mnie, i czy jest możliwe, że pewnego dnia wrócimy do siebie... do siebie takich, jacy powinniśmy byli się stać.

– Ivo, proszę, przestań.

– Nie mogę...

Po raz pierwszy, od kiedy przyjechał, usłyszałam w jego głosie cierpienie, które kazało mi zamknąć usta. Widziałam, jak zdeptuje papierosa w wilgotnej ziemi, poczułam, jak się do mnie zbliża, jak prawie niedostrzegalnie ociera się ramieniem o moje ramię. Poczułam w sobie dawno zapomniany, gorączkowy impuls z czasów, kiedy go ubóstwiałam – ten impuls latami określał moje dni i noce. Chciałam go dotknąć. Cofnęłam się. Przestraszył mnie fakt, że to pragnienie znowu było tak silne. Przez chwilę staliśmy koło siebie i wsłuchiwalismy się w noc, w szum morza, mając za plecami śpiący dom i historie jego domowników zatopionych we śnie.

– Co teraz zamierzasz? – zapytałam.

– Chciałbym, żebyś mi pomogła – odpowiedział.

– Ale jak mam ci pomóc, Ivo?

Byliśmy szczerzy. Po raz pierwszy, od kiedy znów się pojawił, szczerze ze sobą rozmawialiśmy.

– Ten numer przy stole był naprawdę poniżej pasa.

– I tak wszyscy wiedzą, Stello. Nie łudź się.

– O czym wiedzą? O czym, do diabła? Zwariuję przez ciebie!

– Wiedzą na przykład, że jestem tu tylko ze względu na ciebie, że wyjechałem tylko ze

względu na ciebie. I wiedzą, że nie jesteś tam, gdzie powinnaś być, i że ja nie jestem tam, gdzie powinienem. Wiedzą o tym, bo również żadne z nich nie jest tam, gdzie powinno. A więc dotyczy to nas wszystkich.

– Mylisz się, Ivo. Każdy z nas ma swoje życie. Każdy robi swoje. Nie możesz twierdzić, że wiesz, co byłoby lepsze dla każdego z nas. Wszyscy jesteśmy dorośli.

– Właśnie, jesteśmy dorośli, a tym, czego brakuje, jest początek, dzieciństwo.

– Proszę cię, nie psychologizuj.

– Do diabła z psychologią czy też ezoteryką, czy wszystkim innym. To przecież chłam, to tylko idiotyczne wymówki! Po prostu wszyscy jesteśmy uwikłani w te same okropne historie i nie możesz zacząć szukać początku tak zupełnie po omacku.

– Ivo, dosyć!

– Wszyscy zaczęliśmy drogę od końca i teraz kręcimy się w kółko. Spójrz na Franka, spójrz na Leni z tym jej wymuszonym krygowaniem się, na Tulję, która żyje w ciągłym strachu, że burza zmiecie jej lukrowaną chatkę z piernika. Spójrz na siebie!

– Tak, a co jest ze mną? Powiedz mi: co dokładnie jest nie tak z moim życiem? Zjawiasz się u nas po siedmiu latach, nie minął jeszcze nawet tydzień, a już wiesz wszystko najlepiej. Już wiesz, jak wygląda moje życie. Przecież ty nie masz o tym najmniejszego pojęcia. Mam rodzinę, którą kocham, zrozum to wreszcie, i mam pracę, i mam...

– Jaką pracę? Pisanie o prowincjonalnych wystawach w oddziale banku?

– Jesteś wstrętny! Spójrz na siebie! Może to z twoim życiem coś jest nie tak.

– Oczywiście. Z moim życiem jest wiele nie tak i w ostatnich latach ciągle mam uczucie, którego nie mogę się pozbyć: że jestem nie w tej bajce.

– Zawsze się wykręcasz, zawsze zręcznie unikasz tematu.

– Kiedy jesteś sama, bez tego twojego typu wypolerowanego na wysoki połysk i wolna od matczyńskich trosk, tak, sama, kiedy jesteś sama, myślisz czasem o tamtym popołudniu?

– Przestań!

– Myślisz?

– Nie zniszczysz tego, nie pozwolę, żebyś jeszcze raz mnie zniszczył. Słyszysz? – Mój głos zrobił się głośny i drżący.

– Próbuję właśnie wszystko uzdrowić. Nic więcej, Stello – szepnął i dotknął mojej dłoni. Chciałam ją cofnąć, ale jego chłodne palce trzymały mnie za nadgarstek i dałam za wygraną. I tak staliśmy jak para niezgrabnych nastolatków i patrzyliśmy przed siebie. W noc. W ciemność.

– Kocham ich – powtórzyłam głośno. W kółko sobie mówiłam, że kocham moich dwóch mężczyzn: męża i dziecko, a także nasz dom i całe życie. – Kocham ich – powtarzałam to zdanie, jakbym rzuciła kotwicę.

– Wierzę. Nie chcę ci zabierać twojej miłości. Chcę tylko znów odzyskać swoją.

– Chodźmy do środka... – powiedziałam i wyjęłam dłoń z jego ręki.

– Chcę odzyskać swoje życie – naciskał uparcie.

Stał przed mną i zagroził mi drogę. Spojrzałam na jego ciało i wyostrome, gładkie rysy twarzy – wyraziste i obce. Nie miał w sobie nic z Tissmarów, nic podobnego do nas.

Walczyłam ze łzami i zauważyłam nagle, że marznę – z zimna, ze strachu i dlatego, że dawka Ivo była zbyt mocna.

– Boże, po co wróciłeś? – zapytałam, a on złapał mnie za ramiona.

– Żeby ci przypomnieć. Żeby sobie przypomnieć.

Uwolniłam się od niego i pędem pobiegłam do domu.

Leżąc przy ciepłym, małym Theo, między dwoma dziecięcymi ciałkami, doszłam w końcu do siebie i objęłam synka. Miałam nadzieję, że spłynie na mnie trochę jego spokoju.

Moja miłość do niego była jak rzadkie, cenne wino, którego człowiek nie chce otwierać, lecz chowa butelkę gdzieś głęboko, ciesząc się, że kiedyś go posmakuje. Potem zaś ciągle odkłada to na później, oszczędza trunka na wyjątkową okazję. Ona jednak nigdy nie nadchodzi, gdyż żadna okazja nie wydaje się wystarczająco dobra, by go skosztować. Człowiek trzyma to wino i trzyma, aż któregoś dnia z jakiegoś błahego powodu butelka się rozbija, a ono rozlewa się na podłogę. I nieodwołalnie znika. Zostaje tylko mieszanina żalu, smutku, nieokreślonej tęsknoty za czymś utraconym i nadziei, że kiedyś znów gdzieś odnajdziemy dokładnie takie samo wino i natychmiast wychylimy je jednym haustem.

W dniu, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Ivo i zawarłam z nim znajomość, byłam mniej więcej w tym samym wieku co Theo. Poszłam właśnie do pierwszej klasy naszej pseudoliberalnej szkoły – ja, naprawdę żywy, przemądrzały dzieciak, który ponad wszystko ubóstwiał swojego przystojnego ojca, wtedy jeszcze odnoszącego sukcesy zawodowe w lewicowym wydawnictwie.

Mieszkaliśmy w Hamburgu, w dzielnicy Eimsbüttel, gdzie ludzie nie obnosili się ze swoimi pieniędzmi i jeździli granatowymi volkswagenami, chociaż skrycie zachwycały ich czerwone kabriolety, na które spokojnie mogliby sobie pozwolić. Dom należał do mojej matki, po rozwodzie z ojcem nadal był jej własnością, ale ona mu go zostawiła – jemu, który do końca życia powinien ratami spłacać jej takie lokum. On oczywiście tego nie robił, ponieważ nie miał pieniędzy, a także dlatego, że nasza matka przeniosła się do innego kraju i sama nie mogła już tu mieszkać.

Przepiękny stary dom z romantycznymi zdobieniami w esy-floresy na fasadach, który bez szwanku przetrwał drugą wojnę światową.

Moja cztery lata starsza siostra, wtedy już gimnazjalistka, różniła się ode mnie. Była córeczką mamusi, rozpuszczoną, ale bardzo sumienną i zdyscyplinowaną, trochę zadzieriała nosa. Pobierała lekcje jeździectwa, gry na organach i baletu, a kursowanie z nią pomiędzy lekcjami jeździectwa, gry na organach i baletu należało do zadań mamy, współpracującej wtedy jeszcze jako wolny strzelec z pewnym dość nieszkodliwym koncernem chemicznym. Mama dzięki temu miała dość czasu, by od przypadku do przypadku bywać też na demonstracjach przeciwko eksperymentom na zwierzętach i kapitalizmowi, jak to się podobało mojemu ojcu z jego lewicowym światopoglądem. Nawiasem mówiąc, później zawsze się tego wstydziła. Matka bowiem pochodziła z szanowanej, zamożnej rodziny lekarzy, która w weekendy urządzała u siebie koncerty muzyki kameralnej i spędzała wakacje na wyspie Sylt.

Trochę żeby wyemancypować się spod wpływu rodziny, zakochała się w naszym ojcu, wolnym duchu, studencie nauk politycznych i socjologii, piszącym radykalne pamflety i uważającym się za komunistę; w rzeczywistości jednak wcale nie był aż tak radykalny ani komunistyczny, jak by sobie tego życzył.

Krótko mówiąc: ja, uwieszona na ojcu, byłam socjalistycznym dzieciakiem w kaloszach przywiezionych przez ojca z Pragi, a Leni dzieckiem lekarzy, któremu mama ofiarowała w prezencie kucyka o imieniu Willow. W pewnym momencie rozwiały się iluzje rodziców, matka zrezygnowała z ruchów wolnościowych na rzecz mieszczańskiego stylu życia, a ojciec poświęcił socjalistyczną karierę dla kariery swojego penisa – i nie spędzał już letniego urlopu we Włoszech z zamiarem pomieszkiwania z takimi jak on. Matka przestała demonstrować z uprzejmości wobec niego, a za to znalazła upodobanie w pieniądzu. Wspiwała się po szczeblach kariery aż do stanowiska szefowej działu, nagle usprawiedliwiając to tym, że nie można uciec przed swoim pochodzeniem, zwłaszcza że było o tyle lepsze od pochodzenia męża, który – wychowany bez ojca – miał za matkę marną aktorkę, a w jego żyłach płynęła krew przybyszów ze Wschodu i mieszkańców Europy. Męża, który miał ciotkę tak dziwną i o tak wątpliwej reputacji, że niemal zaliczała się do osobliwości swojej wioski.

Czasem zastanawiam się, czy wszystko potoczyłoby się dokładnie tak samo, gdyby zamiast

mnie chodziło o Leni? Czy było dziełem przypadku, że to ja stałam się socjalistycznym, krnąbrnym dzieckiem tatusia, kiedy matka i ojciec postanowili w duchu równouprawnienia podzielić się wychowywaniem dzieci, jednakże zupełnie nie z zamiarem wychowania ich w kompletnie odmienny sposób? A gdybym to właśnie ja była dziecięciem zajęć pozalekcyjnych i sukienek szytych na miarę, czy w ogóle jeździłabym z ojcem do domku koło portu i poznała Ivo?

Ojciec, którego ubóstwiałam i z którym siedziałam do późna w nocy zamiast iść spać, pracował w wydawnictwie. Publikowało lewicową literaturę podziemną, ale płaciło bardzo niewiele. Robił korekty, nawiązywał kontakty, dużo jeździł i pisał. Właśnie poszłam do podstawówki, a on po prostu wszędzie mnie ze sobą ciągał. Odbierał mnie po szkole rowerem i we dwoje pedałowaliśmy do jego biura. Siedzieliśmy razem do późnego wieczoru, odwiedzaliśmy przyjaciół, przysiadaliśmy w knajpach przy gorących dyskusjach politycznych i zimnym, apolitycznym piwie. Przez to wrastaliśmy w siebie coraz bardziej, bo chodziło o to, żeby oszukać matkę: nie mogła się dowiedzieć, że w wieku sześciu lat już jeździłam skuterem, piłam piwo i śpiewałam piosenki dla dorosłych.

Żyłam w świecie ojca i kochałam ten świat, ale już wtedy zaczęła pojawiać się na nim rysa. Coraz częściej bowiem mama po kłótni przychodziła do naszego pokoju z zaczerwienioną twarzą i zapuchniętymi oczami, żeby z nami prznocować. Świat zaczął rozpadać się na dwa obozy. Ja ze strachu przed Willowem i baletem trzymałam się zadymionych knajp, wydawnictw w suterenie i głośnych kumpli ojca.

W tym właśnie czasie po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że człowiek może się rozbić jak porcelanowa filiżanka. Zaczęło się po wakacjach, podczas których walcząc o resztki rodzinnego szczęścia, pojechaliśmy na kilka tygodni do Włoch.

Któregoś jeszcze ciepłego, jesiennego dnia ojciec po raz pierwszy zabrał mnie do niej. Mieszkała w domku z dużym ogrodem w pobliżu hamburskiego portu, niedaleko Landungsbrücken, gdzie na kotwicy stały okręty muzea. Ciągnęła się stamtąd długa, zawsze wietrzna promenada ze straganami rybnymi jeden przy drugim, błędzącymi turystami i zapatrzonymi w siebie parami; zawsze otulona słonym zapachem morza i głośnymi syrenami frachtowców. W połowie wąskiego zbocza, które od drugiej strony prowadziło do dzielnicy czerwonych latarni oraz niezliczonych knajpek i kafejek, stał dom z ogrodem otoczonym parkanem. Rósł tu gęszcz zdziczałych krzaków malin, stały kolorowe, bujane fotele, które przy każdym podmuchu wiatru skrzypiały i jęczały. Wszystkiego pilnował wielki czarny pies.

Przedstawił mi ją. Koleżanka z pracy, powiedział, a ona poczęstowała mnie kawałkiem cukru gronowego – nadal dokładnie to pamiętam: dała mi cukier gronowy o smaku cytrynowym.

Na chwilę zostawili mnie samą z psem, a ja zwiedziłam w jego towarzystwie najbliższą okolicę. Było słoneczne popołudnie i pachniało wodą, bliskością morza. Po chwili ojciec i ta kobieta znów wyszli z domu, roześmiani, ze szklankami w dłoniach. Już dawno nie widziałam ojca tak rozluźnionego i po prostu śmiałałam się razem z nimi.

Od tego czasu po wyjściu z biura nie chodziliśmy już do jego przyjaciół do knajpy, ale jeździliśmy razem rowerem do Emmy. Tak nazywała się ta kobieta. Ani ciocia Emma, ani pani taka a taka, po prostu Emma.

Była filigranowa i delikatna, zawsze miała bardzo czerwone wargi, zdawała się blada i słabowita, co może wynikało z tego, że wiązała ciemnobrązowe włosy w mocny kok, a okrągłe oczy koloru orzechów laskowych zawsze były nieco zamglone. Nie potrafiłam nic wyczytać ze spojrzenia Emmy. Jej sposób bycia, mowa ciała zupełnie niczego nie zdradzały. Nie była ani piękna, ani niepiękna. Nie miała w sobie nic szczególnego. Kiedy dzisiaj o tym myślę, sprawiała wrażenie, jakby ktoś przejechał gąbką po jej twarzy i stał z niej oczy, rysy – jak zapiski z tablicy po ostatniej lekcji. Ale była dla mnie miła, dawała mi mnóstwo słodyczy i pozwalała robić, co chciałam, biegać swobodnie po ogrodzie, bawić się z psem, a nawet oglądać telewizję, czego matka nam zabraniała.

Kiedy w taki czy inny sposób zajmowałam się sobą, ojciec i Emma byli w domu. W jednym z ciemnych, zatęchłych pokoi na końcu korytarza. Wychodzili z niego rozpromienieni, jedno bardziej od drugiego.

Nawet jako sześciolatka rozumiałam, że więcej czasu spędzamy u Emmy niż w domu i że coś musi być nie w porządku, skoro nie wolno o tym mówić mamie. Ale byłam dzieckiem i dobrze się czułam, ojciec dobrze się czuł, a wcześniej też przecież przesiadywaliśmy całymi godzinami w jakichś knajpach. Na pewno wszystko musiało być w porządku.

W pewien październikowy dzień, dżdżysty i mokry, jak zwykle wjeżdżaliśmy na małe zboczce prowadzące do domu Emmy. Zaraz potem stanęła w bramie i pomachała do nas. Obok kręcił się szczupły chłopiec z odstającymi uszami i nieprzenikniętym wyrazem twarzy.

– Ivo, mój syn. – Tak Emma mi go przedstawiła. – A to Stella, córka Franka. Wiem, że zostanieie przyjaciółmi. Chodź, Ivo, nie wstydź się, podaj jej rękę, powiedz „cześć”.

Ivo tylko skinął głową i zniknął w domu. Pies szczeknął i pobiegł za nim, merdając ogonem.

Zaczęła mnie ogarniać coraz większa panika, czułam, że wszystkie słodczyce, ogród, a nawet uwaga psa, telewizja i serdeczne spojrzenia dorosłych nagradzające mnie za grzeczność są w niebezpieczeństwie – od tej pory będę musiała walczyć o to wszystko. W ogóle nie lubiłam chłopców, a już na pewno nie takich, którzy rzucali równie ponure spojrzenia i mieli odstające uszy.

Na początku nie odzywał się do mnie ani słowem, a ja się wycofałam, niepewnie chowałam się w ogrodzie, kiedy był w domu, albo snułam się bez celu po ciemnym salonie, gdy on bawił się z psem na dworze. Nudziłam się, to on objął w posiadanie telewizor, a pies kleił się już tylko do niego. Został jeszcze wprowadzić cukier gronowy i tego typu dowody uwagi, ale to nie mogło mnie pocieszyć. Przepelniało mnie rozżalenie, a odległy śmiech ojca wydawał mi się drwiący. Nadełam się jak balon – rozczarowaniem i gniewem po utraconym tronie. Kiedy przyszła zima, coraz większe chłody dokonały reszty: już nie wchodziło w grę chowanie się w ogrodzie.

– Gdzie byłeś wcześniej, kiedy ja już tu byłam, a ciebie nie było? – zapytałam go, gdy z przymusu siedzieliśmy razem przed telewizorem i znudzeni gapiliśmy się przed siebie.

– U taty.

– A gdzie jest twój tata?

– W Szwajcarii. Bardzo dużo pracuje.

Potem znów zamilkliśmy, a moje spojrzenie ostrożnie powędrowało ku niemu. Był trochę wyższy ode mnie, zdawało się, że posępny wyraz twarzy przylgnął do niego na dobre. Oczy przypominały mi natychmiast oczy Emmy, tyle że były jaśniejsze i bardziej otwarte, choć nigdy w pełni. Oczy Ivo także były jakby nieco zamglone. Miał długi nos i krzywe zęby. Było w nim coś bardzo dorosłego i władczego, nie miałam odwagi mu się sprzeciwić ani walczyć z nim o terytorium, które całymi tygodniami uważałam za swoje.

Nagle wstał i zaproponował, że pokaże mi swój pokój. Jeszcze nigdy nie odważyłam się pójść na koniec korytarza, bo tam zamykali się ojciec i Emma, ale pokrzepiona odwagą Ivo podążyłam za nim przez wąski hol. Weszliśmy do jego pokoju – przylegał do sąsiedniego, w którym byli Emma i ojciec.

Ten pokój zdawał się trochę jaśniejszy niż inne pomieszczenia w domu. Stało tu tylko małe łóżko i zielone biurko. Samochodziki parkowały porządnie w rzędach na półce, brakowało innych zabawek. Może wyglądałam na nieco rozczarowaną, bo zapytał mnie, czy mam dużo zabawek.

– Moja siostra ma całe mnóstwo, ja zresztą też, ale nie aż tyle – powiedziałam i usiadłam na łóżku.

Przez ścianę usłyszeliśmy skrzypienie, a potem jakby warknięcie. Przelekłam się, a Ivo gwałtownie się odwrócił i zaczął nasłuchiwać. Po raz pierwszy poczułam coś, co uświadomiło mi istnienie niebezpieczeństwa, choć go nie rozumiałam. Niebezpieczeństwo tego popołudnia, ciemne, zakazane, groźne – niebezpieczeństwo, które spacerowało sobie po tym domu, powodowało trzeszczenie desek, wdzierало się do środka przez szpary w oknach jak ulewa. Spojrzałam na Ivo i poczułam niebezpieczeństwo w jego ruchach, w jego małej, zaciśniętej piąstce, w poważnej twarzy.

– Mamo? – wyrwało mu się i w tym samym momencie jak gdyby zawstydził się swojego strachu i zamilkł. Nie padła żadna odpowiedź, zamiast niej dał się słyszeć stłumiony chichot dochodzący z sąsiedniego pokoju.

– Skąd oni się znają? – zapytałam go cicho i podniosłam się z łóżka. Podeszłam do niego, staliśmy ramię w ramię; jeszcze nigdy nie zbliżyłam się do niego tak bardzo.

- Nie wiem.
- Tata mi powiedział, że razem pracują.
- Bzdury!
- Jak myślisz, co tam robią?

Zadałam to pytanie, mając nadzieję, że w odpowiedzi Ivo skłamię.

- To, co robią dorośli, kiedy są razem.
- Ale oni nie są razem.
- Jasne, że są.
- Ale... nie chodzą ze sobą.
- Nie chodzą, leżą.

Widziałam jego wściekłość. Miał rozszerzone źrenice i przyspieszony oddech, próbował być silny.

Potem w drodze do domu, kiedy jechaliśmy wzdłuż morza, zapytałam ojca, skąd ją zna. Odparł, że są kolegami z pracy i przyjaciółmi. Nie ustępowałam, powiedziałam, że ona przecież nie jest zatrudniona w wydawnictwie, więc jak mogą być kolegami? Bo ona pracuje w innym wydawnictwie. I gdzie jest ojciec Ivo? – chciałam wiedzieć. Za granicą i nie ma czasu. A dlaczego w takim razie Emma i Ivo nie są razem z nim? Bo on pracuje tam, Emma w Hamburgu, a Ivo właśnie poszedł tutaj do szkoły.

Trwało to chwilę, kiedy tak jechaliśmy w milczeniu w zapadających ciemnościach. Próbowałam przyporządkować odpowiedzi do pytań, zanim spytałam go, czy zamierza poślubić Emmę. Wtedy zatrzymał się raptownie i zszedł z roweru, a potem przytulił moją głowę do twarzy. Głaskał mnie i całował po policzkach. Pocieszał, mówił, że nie powinnam się bać, że wszystko będzie dobrze, że jestem jego dziewczynką na zawsze, zawsze. Leni i mamę też bardzo kocha, bardzo, bardzo, i wszystko się ułoży. Nie powinnam się martwić. Oni z Emmą po prostu świetnie się rozumieją, mama jest taka zajęta nową pracą, a on potrzebuje przyjaciół, żeby nie być samotnym – i tak dalej.

Wiedziałam, że kłamię, ale pozwoliłam na to. Chciałam być okłamywana. Niebezpieczeństwo, które wyczułam tego dnia w powietrzu, nie zniknęło, wyczuwałam je niczym nocną zjawę czatującą na mnie – miała szpony i krzyczała moje imię.

- Stella, Stella? Nie słyszysz nas?

Mark stał przede mną w bokserkach, z resztką żelu do kąpieli we włosach i patrzył na mnie ze zdziwieniem.

- Och, przepraszam. Wołaliście mnie?
- Tak, Theo woła cię cały czas.
- Musiałam się zamyślić.

Siedziałam przed laptopem i próbowałam nanieść ostatnie poprawki do artykułu – następnego dnia miałam ostateczny termin oddania go i wiedziałam, że nie okażą mi łaski i nie dostanę kolejnego odroczenia. Doskonale też zdawałam sobie sprawę, że artykuł nie jest dobry.

Theo mył się w wannie. Mark przysiadł obok niego na taborecie i opowiadał mu jakieś historyjki, które zawsze wymyślał w kąpielni, a mały śmiał się i klaskał dłońmi o wodę.

– Mamo, popatrz! – wykrzyknął z zachwytem, kiedy mnie zobaczył, i zanurkował z zatkanym nosem i mocno zaciśniętymi oczami. Chwilę później wynurzył się z powrotem, dysząc dramatycznie i łapiąc powietrze.

– Ojej, ale jesteś odważny – pochwaliłam go i przyniosłam ręcznik. Po licznych próbach przekonania nas, żeby pozwolić mu jeszcze chwilę posiedzieć w wodzie, poddał się i rzucił w moje ramiona, gdzie czekał na niego rozpostarty suchy ręcznik.

Położyliśmy Theo spać, a ja znowu usiadłam przed laptopem, z niechęcią wpatrując się w klawiaturę. Pół godziny później do gabinetu wszedł Mark z butelką wina i oparł się o stół, zmuszając mnie, bym na niego spojrzała.

- Co się dzieje?

Odkorkował wino i rozlał je do kryształowych kieliszków, które dostaliśmy od Tulji w prezencie ślubnym – jakoby cenna pamiątka ze spadku po jej perskich przodkach, którzy z

dziwnego powodu mieszkali na Węgrzech. Mark wybierał te kieliszki zawsze wtedy, kiedy mieliśmy później uprawiać jakiś wyjątkowy seks albo chciał odbyć ze mną ważną rozmowę.

– Nie, nie teraz. Widzisz przecież, że pracuję. I nie mogę skończyć. Jutro mam ostateczny termin.

– Nie to cię zajmuje.

– Czuję po prostu, że mam za dużo na głowie, i potrzebuję czasu. Wszystko będzie dobrze.

Ta niedziela i ten artykuł, i Theo, i...

– Ivo? Od kiedy się pojawił, dziwnie się zachowujesz.

– No tak, oczywiście, on też ma z tym trochę wspólnego. To był zresztą naprawdę dziwny weekend. Nagle wszyscy razem siedzimy sobie jak kiedyś, a jednak nie jest już tak jak kiedyś. No i pewne sprawy wychodzą na wierzch. Ale jakoś się pozbieram.

– Może powinniśmy wyjechać na kilka dni? Moglibyśmy zostawić Theo u moich rodziców.

– Ale jak to sobie wyobrazasz? Naprawdę mam ogromne zaległości. Muszę jeszcze bardzo dużo...

Ujął moją twarz w dłonie i przycisnął wargi do moich – smakował winem i musiałam na chwilę wrócić myślami do naszego pierwszego pocałunku: tamtego dnia też oboje smakowaliśmy winem; ale wino na naszych ustach miało przyjemny i słodkawy smak. Teraz ten smak był gorzki.

Dorosłość to ten moment w życiu, w którym przestaje się żyć i czuć ot tak, po prostu, od którego wszystko, dosłownie wszystko, co się czuje lub czym się żyje, wymaga jakiegoś uzasadnienia, pomyślałam i spojrzałam na niego.

– Proszę, nie bądź teraz taka... – mruknął i usiadł na starym skrzypiącym krześle naprzeciwko mnie, z nogą założoną na nogę, rozluźniony, pewny siebie. Dobrze wyglądał, nic się pod tym względem nie zmieniło. I był też dobry, dobry dla mnie, dla Theo, dobry dla naszego życia, dla przyszłości. Wrażliwy mężczyzna, uważny, taki, który zawsze jest, kiedy się go potrzebuje. W pierwszych miesiącach małżeństwa nie mogłam pojąć, że rzeczywiście od teraz codziennie rano będzie się budzić obok mnie. Zawsze budziłam się odrobinę wcześniej niż on i obserwowałam go, obserwowałam jego twarz, jego sen, taki zdrowy i beztroski, o jakim marzą ludzie cierpiący na bezsenność – w takich chwilach odczuwałam niezasłużone szczęście.

– A jakąż to jestem?

Wstałam, zamknęłam laptopa i podeszłam do niego, ujęłam go za rękę i spojrzałam mu prosto w oczy.

– Daleka. Jakbyś nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, że mógłbym dzielić twoje zmartwienia.

– Ach, Mark.

– Opowiedz mi o nim, nigdy o tym nie mówisz. Wiem przecież, że to nie jest łatwe, ale opowiedz, Stello. Chciałbym wszystko wiedzieć, chciałbym zrozumieć, dlaczego wciąż jeszcze ciąży ci taka stara historia. Wiem, że to niezwykle i na pewno trudne, to znaczy, byliście w końcu jak rodzeństwo i...

– Nie ma tu już specjalnie nic więcej do opowiadania.

– Widzisz, jesteś...

– Co? Jestem, jaka jestem, Mark, to po prostu taka cholerna faza. Proszę, nie utrudniaj mi tego jeszcze bardziej, do diabła!

Wzięłam jego kieliszek i wypiałam całe wino, a potem podeszłam do parapetu. Spojrzałam na ulicę, na przejeżdżające samochody i plac zabaw, gdzie tak dużo czasu spędzałam z Theo. Zawsze patrzyłam wtedy na siebie jakby z boku: Stella, zagubiona matka obok tych wszystkich pięknych, doskonałych matek, spełniających się w swojej roli, które wiedzą, co jest dobre dla dziecka, które zawsze służą gotową radą na wszystko i zawsze mają na podorędziu nowe ubranka albo zabawki, albo zdrowe jedzenie, i się tym chęlnie.

Wyraźnie czułam, jak powoli zaczyna w nim narastać rozdrażnienie, którego już nie dało się stłumić – zaczął masować sobie palce, żeby nie stracić panowania nad sobą. Było mi go potwornie żal, było mi przykro, że nie mogę przyjąć Marka ani jego pomocy, że zostawiam go tak zupełnie samego z tym martwieniem się o mnie.

Usiadłam mu na kolanach i zaczęłam go dziko całować, jego twarz z króciutkim zarostem, pełnymi ustami i jasnoniebieskimi dużymi oczami. Te oczy nie znały jeszcze żadnej porażki i zawsze odbijały tylko to, co w życiu dobre. Całowałam mały zadarty nos, zupełnie taki sam jak nos Theo, który go po nim odziedziczył.

Podniecony objął mnie w talii i mocno przycisnął do siebie. Zdjął ze mnie sweter, poczułam na nim zapach żelu do kąpieli, poczułam na nim zapach naszego syna i próbowałam przemienić żal w namiętność. Wczepiłam się w niego.

Kiedy ciągnęłam go za włosy, a on rozpinął mi spodnie i zastanawiał się, czy wziąć mnie do sypialni, bo obok spał Theo, przypomniałam sobie, jak w ostatnich latach udawało mu się prowadzić mnie ku swojej łagodnej i opiekuńczej miłości, ku swojej bezbolesnej miłości, i jak oderwał mnie od mojej miłości, pełnej blizn, udręczonej, pozszywanej ze strzępków, i w tej chwili nienawidziłam go za to. Nienawidziłam go za jego delikatny seks, za jasne zasady życiowe, za ciepłe ręce, pełen zrozumienia sposób bycia, rozwinięte poczucie obowiązku, za jego niewinność. A jeszcze bardziej nienawidziłam siebie, bo jednocześnie tęskniłam za bólem, za możliwością, by jeszcze raz otrzymać potwierdzenie swojej winy, za tym, żebym dalej mogła się ranić.

– Czekaj, Stello, nie – wymamrotał i rzucił okiem na uchylone drzwi do pokoju Theo.

– Zostań – jęknęłam i zdjęłam mu spodnie. Dotykałam jego ciała w poszukiwaniu blizn, niedoskonałości, zniekształceń, miejsc, które może przypominałyby mnie. Ale nic nie znalazłam.

Nie ruszył się, dał za wygraną. Wzięłam sobie jego ciało, dotykając go i posuwając się ciągle do przodu, krok po kroku przywłaszczałam go sobie, poruszając się coraz szybciej, mocniej obejmując jego plecy.

Kiedy skończył, miałam uczucie, że kochałam się sama ze sobą. I że to dlatego nie został we mnie po tym żaden ślad, nic takiego.

Potem wstał i zamknął za sobą drzwi.

– Wystawa jest po prostu zła, jak mam napisać o niej coś dobrego? Zbieranina nadętych typów, towarzystwo wzajemnej adoracji. Jaką wiekopomną treść mogę przekazać z tak żenującej imprezy?! – krzyknęłam z oburzeniem, kiedy Leo oznajmił mi z poważną miną, że zawaliłam sprawę i jak najszybciej muszę przeredagować artykuł.

Leo był starym gazetowym wyjadaczem, zawsze we właściwym czasie na właściwym miejscu. W końcu udało mu się dochrapać stanowiska redaktora naczelnego średniej i przeciętnej gazety. Pracowałam z nim od sześciu lat i co roku obiecywał mi, że przekaże mi cały dział kulturalny. Od wieków niepamięci na tym stanowisku trzymała się totalnie przeceniana pani redaktor, nad której felietonami można było tylko sięgnąć i płakać. Gazeta przynosiła zyski, koncern planował, że zbliży się bardziej do czytelników i zwiększy nakład, a tym samym i pensję Leo. Z tego właśnie powodu mój szef od niedawna zaczął maniakalnie pilnować naszych tekstów i krytykować nas.

Na początku robił mi bardzo wyraźne awanse, a ja ciągle dawałam mu kosza, aż w końcu zaczęłam zatrudniać tylko ładne praktykantki, które zwracały na siebie jego uwagę. Wychodziło mi to tylko na dobre. Od tej pory dobrze się rozumieliśmy, dawał mi swobodę działania, od czasu do czasu mogłam nawet być trochę bardziej krytyczna, niż pozwalała na to linia pisma wyznaczona przez górę.

– Mam nadzieję, że to rozumiesz. W tym sezonie sponsorzy tej wystawy są naszymi największymi klientami reklamowymi. Nie możesz tego napisać w ten sposób, Stello.

Podniósł głos i z szelestem kartkował strony mojego artykułu, kręcąc głową, przebiegał wzrokiem jedną po drugiej, odkładał je na bok, by zaraz znów wziąć do ręki.

– Nadal uważam, że zaprezentowana sztuka jest okropna, kurator to katastrofa, towarzystwo nie na miejscu. To kostyczna zgraja zarozumiałych pryków, którzy kiszą się we własnym sosie, to samo od lat.

– A co cię to obchodzi? Nie żądam od ciebie, żebyś ich nominowała do największej nagrody w tym kraju, prosiłem tylko o neutralny reportaż.

– Ale to niemożliwe. Nic w tej wystawie nie jest neutralne!

– Stello, co się z tobą dzieje?

Znowu wziął do ręki tych kilka stron mojego artykułu i uderzył nimi w stół.

– Wiesz, w jakiej jesteśmy sytuacji, nie mogę sobie teraz pozwolić na najmniejszy błąd. Masz problemy w domu?

– Ależ to, czego ode mnie oczekujesz, to absolutny bezsens, wszystko to nieprawda, nie mogę przecież pisać o tym z takim bezwstydnym zakłamaniem.

– Stello, mam zaraz konferencję i nie mogę ani nie chcę z tobą dyskutować. Jutro idziemy do druku i chciałbym, żebyś napisała ten artykuł od nowa, neutralnie i bez wartościowania. Jak dla mnie może być krótki i zwięzły. O twoje zdanie nikt w tym momencie nie pyta. Linia musi się zgadzać. Jeśli chcesz, w przyszłym miesiącu możesz zrobić jakiś wywiad czy portret, znaleźć sobie zdolnego artystę, który zmienia świat, ale teraz pozwól nam wykonywać naszą robotę.

Odprowadził mnie do drzwi. Stałam, czekając na windę, i trzęsłam się z wściekłości. Wiedziałam, że moja złość na Leo jest niesprawiedliwa, przecież tak to właśnie działało od lat, mogłam sobie pozwolić na to i owo, a teraz on oczekuje, że zamknę gębę i okażę mu wsparcie, ale z jakiegoś powodu nie potrafiłam. Choć rozumiałam, że tak naprawdę czuję wściekłość na siebie samą, na tę pracę, którą wykonywałam bez większych protestów, na życie, w którym nagle zaczęłam się sobie wydawać nie na miejscu.

Poszłam do swojego małego biura w końcu korytarza, całego obwieszzonego karteczkami, zdjęciami, wycinkami, wspomnieniami z sześciu lat życia. Wezwałam do siebie nową, wysoką praktykantkę o wyglądzie lalki, która sprawiała wrażenie tak zorganizowanej, stojącej mocno na

ziemi i ambitnej, że chwilami było to aż nieprzyjemne.

– Chciałabym, żebyś to ty napisała ten artykuł. Żadnej krytyki. Poszukaj pozytywów. Niech wynika z niego, że to była ważna impreza; podpiszesz go własnym nazwiskiem i krótko przed ósmą rano oddasz Leo. Wszystkie informacje znajdziesz w moim tekście. Nie patrz tak na mnie. Wszystko jest w porządku, nie będziesz miała żadnych kłopotów, to przecież szansa dla ciebie. Może Leo wreszcie zacznie cenić twoją pracę, czego chcesz więcej? – skłamałam i zauważyłam, że jej początkową nieufność udało mi się przekuć w zachwyty.

W holu poprosiłam strażnika, żeby pozwolił mi zadzwonić.

– Muszę z nim porozmawiać! – wrzasnęłam do słuchawki. Tulja ledwo łapała oddech, najwidoczniej zbiegła po schodach albo przybiegła z ogrodu.

– Już u mnie nie mieszka, od dwóch dni jest w mieście. Pisze i chyba na kilka dni zakwaterował się w jakimś hotelu.

– W którym?

– Nie mam pojęcia. Pewnie to jakaś nora, znasz go przecież. Za każdym razem mówię mu, że powinien szarpnąć się na coś lepszego, ale on...

– Daj spokój, Tuljo, na pewno ci powiedział, to ważne.

– Przecież już się widzieliście. Naprawdę nie musicie znowu.

– No więc?

– Hotel Pacific. W St. Pauli, jeśli dobrze pamiętam.

Tulja miała fenomenalną pamięć.

– Dziękuję ci.

– Nie rób głupstw! Słyszysz?

Odłożyłam słuchawkę i pobiegłam do samochodu. W aucie panował dziki bałagan, pełno pustych papierowych kubków pomieszanych z zabawkami Theo. Ruszyłam z miejsca. W radiu leciał przebój Led Zeppelin, a ja przypomniałam sobie, jak ojciec zawsze przymykał oczy, słuchając tej piosenki.

Musiałam chwilę szukać miejsca, źle zaparkowałam, przeszłam kilka bocznych uliczek i w końcu dotarłam do małego, szarawego budynku, który mimo dźwięcznej nazwy faktycznie był norą. Zapytałam o Ivo. Portier zadzwonił do niego, a zaraz potem Ivo stanął przede mną w podupadłym hotelowym holu. Uśmiechnął się do mnie i rozpostarł ramiona.

– Ciebie najmniej się tu spodziewałem.

– Czego ty szukasz w tym hotelu? Nie możesz pozwolić sobie na nic lepszego?

– Podoba mi się tu, w takim miejscu człowiek nie wydaje się sobie taki ważny.

Wjechaliśmy windą na drugie piętro, poszliśmy do jego pokoju i opróżniliśmy minibarek. Potrzebowałam alkoholu, już po raz drugi od jego powrotu piłam w biały dzień.

Usiadłam na łóżku Ivo. Miał na sobie czarne dżinsy i dziurawą koszulkę, ubranie, które wydawało się tak przypadkowe, tak bezmyślnie dobrane, a na nim zawsze wyglądało tak bajecznie. Patrzył na mnie, a jego uśmieszek robił się nie do wytrzymania. Pomyślałam, że wszystko o mnie wie. Sięgnęłam po tanie wino i przytknęłam butelkę do ust.

Na sfatygowanym biurku stał otwarty laptop, obok leżał drogi nikon. Kilka wydań „Timesa”, otwarty notatnik i cała masa zapisanych karteczek, walających się po całym pokoju. Podniosłam kilka z nich, przekartkowałam fragmenty artykułów, obejrzałam zdjęcia, a Ivo mierzył mnie zadowolonym wzrokiem. Wszędzie chodziło o Gruzję, kraj, którego nie znałam i o którym nie miałam pojęcia.

W końcu odwróciłam się w stronę Ivo. Zobaczyłam jego krótko obcięte paznokcie, brudne botki z cholewami i zdartymi obcasami. Ten pozorny porządek – pomijając papierowy kram – wprawił mnie w smutek, zobaczyłam jego samotność.

– Proszę, wyjedź znowu, Ivo. Nie chcę tego. Mam dziecko, proszę, pomyśl przynajmniej o Theo. To się znów zaczyna. Nie mogę już pracować. To wszystko znów się zaczyna, nie mam siły.

– A myślisz, że szczęśliwe będzie dziecko, którego matka przestaje wiedzieć, kim jest?

– Nie wyskakuj mi teraz z takimi frazesami, dobrze? Przecież nic o nim nie wiesz.

– Twierdzisz, że nie wiem, jak to jest, kiedy się ma sześć, siedem, osiem lat i nieszczęśliwą

matkę?

– Nie jestem nieszczęśliwa!

To ostatnie zdanie wykrzyczałam, po czym zerwałam się na równe nogi, by zaraz znowu rzucić się na łóżko. Zbliżył się o krok i pochylił nade mną. Miał szorstką skórę, a oczy mu błyszczały, oczy zamglone szarą zielenią. Oczy, które potrafiły tak wiele ukryć.

Ukląkł przede mną i wziął mnie za rękę. Wzdrygnęłam się, strącając małą, do połowy pustą butelkę z winem. Żadne z nas nie zwróciło na to uwagi, żadne nie spojrzało, czy drzwi są otwarte, czy zamknięte. W świecie straconych marzeń nie ma drzwi, nie ma dzieci, nie ma codzienności ani zwyczajnych spraw. Zupełnie tak samo jak popołudniami, kiedy skradałam się z nim po ogrodzie i podpatrywałam świat dorosłych, Ivo mocno trzymał moją rękę w swojej chłodnej, wilgotnej dłoni. Oparłam twarz na jego czole i trwałam sztywno w tej pozycji.

– Chcę, żebyś ze mną pojechała.

– Nie mogę.

– Tęskniłaś za mną? Myślałaś o mnie?

– Myślałam o tobie.

– Często?

– Często.

Patrzyliśmy na siebie i nagle jego oczy przestały mi się wydawać takie zamglone. Byłam poruszona łagodnością światła wczesnego popołudnia, łagodnością w jego twarzy, łagodnością w sobie samej. Zamknęłam oczy, przestałam stawiać opór, a on mnie pocałował. Przeszedł mnie dziwny dreszcz, jak zimne drżenie. Potem wokół zrobiło się cicho. Zastłony tłumyły odgłosy miasta, trąbiących samochodów, życia toczącego się poza tym naszym pokojem, dźwięki oddalały się, aż zniknęły zupełnie.

Jeśli myślałam, że stoję nad przepaścią, myliłam się – ja już spadałam.

Kiedy pochylił się nade mną, odwróciłam twarz. Była tu, znów była moja bolesna, pokryta bliznami, pozszywana ze strzępków miłość.

– Proszę, nie odwracaj się.

Nagle Ivo zasłonił twarz dłońmi i zaczął szlochać, płakał zupełnie tak samo jak wtedy, kiedy mu powiedziałam, że nigdy już nie będziemy razem, bo nie jestem w stanie z nim żyć. Objęłam go ramionami, poczułam odór kwaśnego wina wsiąkającego w podłogę. Trzymałam go mocno i kołysałam, jak kołyszę Theo, kiedy boli go brzuch i nie może spać.

Znowu mnie pocałował, a przez te jego łzy pocałunek smakował solą, wszystkim, co już było, a nie przyszłością. Przyciągnął mnie do siebie, przycisnął do brzegu łóżka, poczułam drewno wpijające mi się w kręgosłup, i oto znowu miłość przybrała swoją zwyczajną formę: miłość z ostrymi kantami, o które człowiek się kaleczy.

Lizał moją szyję, ale ja mocno przytrzymałam go za ramiona.

– Przestań! – krzyknęłam i przekreśliłam się na bok. Znieruchomiał i spojrzał na mnie. Miał zaczerwienione oczy, kąciki ust ściągnięte w dół. Wyprostowałam się i odgarnęłam włosy z twarzy.

– Muszę już iść.

– Zapomnij!

Świdrował mnie wzrokiem i wtedy, dokładnie w tym momencie, postanowiłam się poddać. Gdybym wytrzymała jeszcze dwie, trzy sekundy, może by się to nie stało, ale między nim a mną zawsze była to kwestia sekund, krótkich chwil, z których każda mogła wszystko zmienić, biorąc pod uwagę, jacy stawaliśmy się delikatni i wrażliwi, kiedy byliśmy razem.

Rozpięłam płaszcz, powiesiłam go ostrożnie na krześle, zsunęłam dzinsy, rozwiązałam sznurówki botków, czarny sweter ułożyłam starannie na płaszczu, rozpięłam stanik i zdjęłam majtki. Stanęłam przed nim naga.

Potem położyłam się na łóżku i wyciągnęłam do niego lewą rękę. Długo stał bez ruchu, potem rozbierając się powoli, przyszedł do mnie i położył się obok.

Bliskość przypominała cienką nić, a my dwoje byliśmy jak para tancerzy, którzy na niej tańczą.

Odwracałam się, wierciłam, kręciłam, jakbym chciała zniknąć w małej norce daleko od

reszty świata.

Szukając swoich śladów na ciele Ivo, odnajdywałam się wszędzie: w małej plamce poniżej sutka, koło zadrapania przy pępku, w jego małej bliźnie na brodzie.

Ivo i ja szybko się zaprzyjaźniliśmy. Znaleźliśmy wspólny język podczas długich miłosnych popołudni naszych rodziców. Przez to, że razem musieliśmy dochowywać tajemnicy, prędko powstała między nami silna więź. Bo oboje wiedzieliśmy o niebezpieczeństwie, oboje widzieliśmy, że bezustannie czyha na nas w domu, i postanowiliśmy w swojej dziecinnej prostocie chronić przed nim dorosłych, zrobić wszystko, żeby – o ile to tylko było możliwe – nie czuli tego niebezpieczeństwa.

Ivo był nieśmiały i krnąbrny. Ja uparta i roszczeniowa. Dogadaliśmy się. W naszym własnym mikroświecie nad wodą zbudowaliśmy sobie małą wyspę, krainę pasibrzuchów, na którą składały się ślady dorosłych, odciski naszych dziecięcych stóp na piasku i dalekie odgłosy z portu.

Kiedy zliśmy na naszą wyspę, nie było szkoły, nie było innych ludzi, innych przyjaciół, nie było wspomnień. Im bardziej mój ojciec i jego matka odgradzali się od świata zewnętrznego, tym silniej broniliśmy ich, nas, tajemnicy.

W domu ojciec i matka ciągle się kłócili. Leni zrobiła się nieznośna, bez przerwy zapadała na jakieś dziecięce choroby. Tym, czego nie mogę zapomnieć z tamtego okresu, jest niekończący się płacz Leni. Pamiętam, jak w nocy budziła się z przerażeniem i wołała mamę, jak potem zaczęła jeszcze wołać ojca, chociaż była wobec niego coraz bardziej niegrzeczna i w ciągu dnia praktycznie nie chciała już przebywać w jego pobliżu. Myślę, że matka dokładnie wiedziała, co się dzieje, ale chciała uniknąć najgorszego i przed nami udawała całkiem nieświadomą.

Kiedy dzisiaj sięgam wstecz pamięcią, jestem pewna, że matka musiała już od dawna wiedzieć o romansie ojca i Emmy; do dzisiaj nie wiem, dlaczego tak długo udawała, że nie ma o niczym pojęcia. Mogę tylko przypuszczać, że się bała, że sama nie miała już rozeznania, co czuje do męża. Może wierzyła jeszcze w ratunek dla małżeństwa, w to, że wciąż jest możliwe, by córka lekarzy kochała podupadłego rewolucjonistę. Może. A ponieważ nie mówili głośno o przyczynie rozpadu swojego związku, kłócili się o drobiazgi.

Robiła mu wyrzuty z powodu jego nieokiełznanego trybu życia, obojętności wobec spraw domowych, picia alkoholu, nieskoszonego trawnika, nienaprawionego roweru, brudnych butów. I, i, i...

Czasami zastanawiam się, jakim cudem mnie – sześciolletniemu czy siedmioletniemu dziecku – udawało się przez ponad rok dochowywać naszej tajemnicy, tak długo milczeć; a jeszcze bardziej dziwi mnie teraz, jak mało martwił się mój ojciec: o mnie, o to, co wymógł na mnie tą przysięgą milczenia.

Jednak z biegiem miesięcy, kiedy moja rodzina krok po kroku coraz bardziej się ode mnie oddalała, a ja dostawałam coraz gorsze stopnie w szkole, nie rozumiałam się już z siostrą ani nie mogłam spojrzeć matce prosto w oczy, znalazłam najważniejszy punkt odniesienia w swoim życiu: Ivo.

Późną jesienią na tydzień przyjechał do Hamburga ojciec Ivo, który pracował jako menadżer dla jakiegoś koncernu elektronicznego w Bernie. W tym czasie ojciec i ja siedzieliśmy w domu. Wtedy nagle w ramach błyskawicznego programu nadrabiania zaległości zaczął przywiązywać wielką wagę do moich prac domowych i regularnych posiłków. Jego poczucie winy dawało o sobie znać tym bardziej, im bardziej brakowało mu Emmy.

Tymczasem matka zaczęła czuć się zagrożona w swojej matczynej roli i w niektóre dni okazywała nawet pewnego rodzaju smutek, kiedy tylko powiedziałam coś dobrego o tacie.

Myślę, że gdyby nie miała tego kompleksu córki lekarzy, o wiele wcześniej wniosłaby pozew o rozwód. Ale ona starała się wszystkim dogodzić i zaczęła coraz bardziej tracić kontrolę nad samą sobą, nad swoim życiem, mężem i córkami.

Czasem mam ochotę zadzwonić do Gesi i powiedzieć, że już dawno jej wybaczyłam, jeśli w ogóle było cokolwiek do wybaczenia. Myślę, że życie mojej matki do tej pory składa się w głównej mierze z wyrzutów wobec siebie. Chętnie bym jej powiedziała, że ją rozumiem, po tym wszystkim, co było, przez co musiała przejść; że najzupełniej rozumiem, dlaczego wtedy uciekła – jak sarna

potracona przez samochód ucieka do lasu, zostawiając za sobą krwawe ślady. Udało się jej – ocalała.

Całymi latami wysuwano zarzuty tylko wobec niej, całymi latami Leni trzymała przed nią lustro z odbiciem jej błędów, a ja milczałam...

Gdy dzisiaj sięgam wstecz pamięcią, jest mi żal mamy i nie przestaję mieć nadziei, że kiedyś będę mogła jej to powiedzieć, dać jej trochę spokoju ducha. Dzisiaj wiem, że niezależnie od tego, jak bardzo próbuje się być dobrą matką, to nigdy nie wystarcza. Że to za mało, by ominąć wszystkie pułapki niesione przez życie, że nigdy nie uda się uchronić przed nimi własnego dziecka. Chętnie bym jej powiedziała, że wiem wszystko i zrozumiałam, że widzę jej szczerzy żal w decyzji, by pojechać do nowego kraju i zacząć wszystko od początku z nowym mężczyzną, rezygnując z kolejnych dzieci.

– Która godzina?

Usiadłam gwałtownie i spojrzałam na Ivo. Siedział przy biurku ubrany i świeżo ogolony, patrząc na mnie z uśmiechem.

– Wpół do czwartej. Zasnęłaś.

– Cholera. Cholera! Muszę odebrać Theo z treningu.

– Chcesz kawy?

– Muszę iść, głuchy jesteś?

Skoczyłam z irytacją na równe nogi, miałam tego wszystkiego dosyć i potrzebowałam dwa razy więcej czasu niż zwykle, żeby wcisnąć ciało w ubranie.

– Nie musisz się zadręczać tylko dlatego, że ze mną spałaś.

– Zostaw te bzdury! Akurat teraz najmniej mi potrzeba twoich rad.

– Dam ci czas, którego potrzebujesz. Wiem już, że nic nie minęło. A to dużo dla mnie znaczy. To zawsze jakiś początek.

– To koniec, Ivo, to jest koniec. Absolutny koniec.

– Nigdy go nie zdradziłaś?

– Nie twoja sprawa. Gdzie te cholerne buty? Znowu się spóźni!

Ivo schylił się i wyjął moje buty spod łóżka, potem klęknął przede mną i założył mi je. Gapiałam się na jego włosy, niezdolna nic zrobić ani powiedzieć.

Patrzył na mnie, dłoń zacisnął wokół mojej kostki, potem powędrował nią w górę łydki, po wewnętrznej stronie uda i zatrzymał się między nogami. I znowu poczułam, jak wypełnia mnie lodowate zimno, jak ten dreszcz wstrząsa całym ciałem; zrozumiałam, że dla niego pozwolę stać synowi w deszczu na boisku i zostanę tu. Byłabym do tego zdolna i nienawidziłam się za to.

Właśnie ta nienawiść pozwoliła mi w końcu złapać go za rękę i odepchnąć od siebie.

– Świnia z ciebie, wiesz? Egoistyczna świnia.

– Potrzebuję cię! – krzyknął za mną, gdy otworzyłam gwałtownie drzwi i rzuciłam się w stronę windy.

Siedziałam u Tulji na tarasie i przyglądałam się, jak burzliwy wiosenny wiatr podrzuca wysoko w powietrze kurz i ziarenka piasku. Wiedziałam, że wiatr się uspokoi, a kiedy ucichnie, rozpocznie się sezon żeglarski i zdecydowanie poprawi się nastrój Tulji; wiedziałam, że potem nad plażę nadpłyną z chmurami spokojne dni. Tutaj, w sennej okolicy Niendorfu, spędziłam drugi etap swojego dzieciństwa, który zdawał się nie mieć nic, ale to zupełnie nic wspólnego z pierwszym.

Tulja przyszła z kawą i ciastem i pogładziła mnie po kolanie, usiadłszy na huśtawce obok, po czym zapaliła skręconego własnoręcznie papierosa.

– Martwię się o ciebie – powiedziała, zaciągając się.

Było w niej coś niemal nierzeczywistego. Jej twarz, jej wygląd zdawały się nie z tego świata, a już na pewno nie pasowały do małej nadmorskiej wioski na północy Niemiec. Może w jakimś innym miejscu Tulja wyglądałaby zupełnie zwyczajnie, w plemienu Nomadów gdzieś na pustyni w Afryce Północnej albo w innych czasach jako królowa w Zatoce Perskiej. Spojrzałam na nią i położyłam jej głowę na ramieniu, potem ujęłam jej lewą dłoń i tak już trwałam. Była jedyną osobą z naszej rodziny, przy której nadal potrafiłam czuć się jak dziecko. To uczucie dawało się przywołać: musiałam tylko ją poczuć, dotknąć jej i na chwilę zamknąć oczy, a już zmieniałam się w małą dziewczynkę, którą chroniła, rozpieszczała i przywoływała do porządku.

– On chce coś wyjaśnić, nie rozumiem jeszcze dokładnie co, i jestem od tego po prostu chora; naciska na mnie, cały czas mówi, że potrzebuje mojej pomocy.

Pachniało solą, minionymi dniami i zastanawiałam się, co kazało mi ciągle spoglądać wstecz, dlaczego moja terażniejszość wydawała się taka wątła i bezcielesna, podczas gdy przeszłość była tak bardzo z krwi i kości.

Zdawałam sobie sprawę, że Tulja dużo *wiedziała*, ale że – jak wszyscy z naszej rodziny – zdecydowała się na milczenie. Trwała przy Ivo, bo go kochała i broniła, i widziała w nim coś, co wszyscy inni przeoczyli; od lat starała się nie otwierać starych ran zbyt głęboko, a teraz oczekiwała ode mnie dokładnie tego samego: milczenia, samokontroli i dyscypliny. W żadnym wypadku patrzenia w przeszłość.

– Nie mam pojęcia, co on tu próbuje wyjaśniać, ale jestem pewna, że pod żadnym pozorem nie powinnaś się w to angażować. Dzisiaj ciąży już na tobie zupełnie inna odpowiedzialność i powinnaś być rozsądna.

Milczałam, nie wiedząc, od czego zacząć, czy w ogóle mam w głowie choćby jedną jasną myśl poza zimnym, niemym strachem o siebie, o syna, męża, o swoje z trudem sklecone szczęście.

Wzięłam kawałek ciasta z kruszonką i chciwie wypiłam mocną kawę. Najchętniej bym się gdzieś zaszyla i odczekała, aż burza na zewnątrz przejdzie. Aż znów zacznie się sezon na pływanię, aż...

Zwróciła na mnie wzrok i popatrzyła mi bacznie w oczy, jak to zawsze kiedyś robiła, gdy chciała się dowiedzieć, czy ją oszukuję. Próbowałam wytrzymać jej spojrzenie.

– Och, nie – jęknęła i odwróciła się. Wstała, przeszła kilka kroków i zaciągnąwszy się papierosem, z westchnieniem znów usiadła koło mnie. Doskonale wiedziałam, o co jej chodzi, więc spojrzałam na nią i próbowałam przestać się przed tym bronić; moje oczy, w przeciwieństwie do oczu Ivo, nigdy nie potrafiły niczego ukryć. Zdradziły mnie już tyle razy, bo miałam oczy mojej matki; odziedziczyłyśmy je po niej, Leni i ja, oczy córki lekarzy: zawsze trochę zbyt bojaźliwe wobec świata, zawsze odrobinę niepewne.

– O co ci chodzi? – zapytałam na wszelki wypadek.

– A więc poszłaś do niego do hotelu?

– Tak.

– To nie może być prawdą, Stello. Dlaczego to robisz? Daj mu żyć własnym życiem, a ty zajmij się swoim. On musi niedługo znów wyjechać, tak powiedział, zbiera materiały, jest na tropie

jakiejś historii. I nie mam pewności, czy w ogóle myśli o tym, żeby kiedykolwiek tu wrócić. Wątpię nawet, czy zamierza znów jechać do Nowego Jorku. Widziałam papiery na jego biurku: wymówił mieszkanie, przeniósł wszystkie swoje rzeczy do Gesi.

– Co mam robić? – szepnęłam, spoglądając na pochmurne niebo, którego barwa przechodziła od ciemnej szarości do błękitu.

– Zaczniemy może od tego, że zapytasz siebie, czego chcesz.

– Nie wiem! – odparłam przekornie.

– Stello, popatrz na mnie i odpowiedz mi na pytanie: chcesz go? Chcesz go znowu? Chcesz dla niego ryzykować męża, rodzinę? Chcesz tego dawnego życia, które ci nie służy? Chcesz tego wszystkiego? Naprawdę?

Wstałam i odeszłam. Pośpieszyła za mną – teraz już nie zostawi mnie w spokoju – złapała mnie za łokieć i przyciągnęła do siebie. Zobaczyłam, że się boi.

W tamtej chwili poczułam rozdrażnienie. Zrozumiałam, że Tulja też nie chciała patrzeć w przeszłość, a poszukiwania Ivo również dla niej mogły wiązać się z przykrościami, że wprawdzie bardzo serdecznie obdarzała nas wszystkich miłością, ale robiła to na swoich warunkach, i zarówno od Ivo, jak i ode mnie oczekiwała milcząco, że nie zrobimy nic, co zakłóciłoby spokój, o który walczyło się tak długo.

– Chciałabym tego nie chcieć, Tuljo. Ale co mam powiedzieć? Czasem zastanawiam się, czy nie musiało tak być, że on wróci, by dostać odpowiedzi na swoje pytania. Czy to nie jest po prostu logiczne, że tu przyjechał, a ja powinnam mu dać, czego ode mnie żąda?

– Powiedz, jesteś przy zdrowych zmysłach? Co chcesz przez to osiągnąć? Co powinnaś i chcesz mu dać? Nie jesteście już przecież dziećmi, dorośnij wreszcie, Stello! Rozejrzyj się, popatrz na swoje życie, popatrz na siebie.

– Tak, właśnie to robię. Właśnie to mam na myśli. Przez te wszystkie lata nikt mu nie przyznał prawa do mówienia, do pamiętania. Ani ojciec, ani ja...

– Byliście małymi dziećmi. On nie może nic na to poradzić. Dlaczego znowu zaczynasz?

– Wszyscy możemy coś zrobić, wszyscy ponosimy konsekwencje. Czy tata kiedykolwiek o tym mówił? Czy ja kiedykolwiek to zrobiłam? Czy robiła to Leni? A teraz chcemy nagle, żeby wszystko toczyło się dokładnie tak samo jak wcześniej, żeby nic nie zakłócało spokoju. To przecież nie jest normalne?

– Nie jest normalne, żeby dorosła kobieta nie chciała wziąć odpowiedzialności za swoje życie, tłumacząc to tym, że ona i sześciolatek, z którym się wtedy przypadkiem bawiła, coś tam zrobili nie tak, jak powinni.

– To nieprawda, wygadujesz bzdury, wszystko było zupełnie inaczej. Nie było cię przy tym, nikogo nie było. Skąd niby masz to wiedzieć? Dlaczego nikt nas nie pyta, dlaczego nikt nas nigdy nie spytał, co się wtedy stało, co to dla nas znaczyło?

– Do jasnej cholery, Stello! Wystarczająco długo chodziłaś na wszystkie możliwe terapie, zrobiliśmy dla ciebie, co tylko w naszej mocy. Jak ci się zdaje, czego chcieliśmy? I jemu też daliśmy wszystko, co mogliśmy. Daliśmy wam wszystkim to, co najlepsze. Spójrz na niego: jest samodzielnym mężczyzną, odnosi sukcesy. Chyba to nie on jest tu problemem.

– Okay, w takim razie ja jestem problemem? A więc ja jestem problemem rodziny, okay, okay...

– Nikt tak nie twierdzi!

– Może nie chodzi o to, co nam daliście, ale o to, czego my chcieliśmy się pozbyć?

– Chodzi o to, że źle na siebie wpływaliście, nie służyliście sobie, zadręczaliście się, szkodziliście sobie, i po prostu nikt z nas nie chce się znowu o was martwić.

– Czasem to nie wystarczy. Czasem nie wystarczy być dla kogoś, kochać go, nie wystarczy, żeby ten ktoś zapomniał. Nieważne, jak bardzo inni się o to starają – powiedziałam i zaczęłam płakać. Od dawna nie płakałam, nie tak często jak w ostatnich dniach. Całym moim ciałem wstrząsały spazmy płaczu, kiedy tak stałam oparta o drzewo, z którego spoglądał na mnie nasz zaniedbany i osamotniony domek. Tulja objęła mnie ramieniem, spojrziała mi w oczy i pokręciła głową nade mną, nad sobą i nad tym wszystkim, co miało się stać.

Tulja i ja usiadłyśmy znowu i gapiliśmy się przed siebie. Łakomie zjadłam całe ciasto. Trochę mżyło. Głaskała moją dłoń. Najchętniej wspięłabym się do domku na drzewie i obwarowała się w nim.

– To nic nie da, naprawdę nic nie da takie wracanie do przeszłości. Trzeba iść dalej, posuwać się naprzód, zawsze tak trzeba, wierz mi – powiedziała i spojrzała na mnie swoimi ciemnymi, cudownymi oczami.

Podziwiałam ją, od zawsze, nawet już wtedy, kiedy mieszkałam w Eimsbüttel i byłam rozdarta między eterycznością Emmy i przyziemnością mamy. Tulja przez całe swoje życie była „inna” i zawsze potrafiła tę inność wyrazić. Podziwiałam jej dumę i siłę, miłość do morza, zamiłowanie do teatralności; jej dzikie róże, niezłomność i wytrwałość. Była matką zastępczą nie tylko dla nas, ale także dla mojego ojca, jego własna bowiem cierpiała na depresję, była uzależniona od alkoholu i często zostawiała syna samego w domu, goniąc w jakichś podłych powojennych kabaretach za swoim wielkim marzeniem o karierze aktorskiej. Aż w końcu umarła na przechodzone zapalenie płuc, kiedy ojciec skończył czternaście lat. Wtedy jego matką została Tulja.

Ale milczenia Tulji nienawidziłam bardziej niż swojego własnego, bardziej niż milczenia matki, milczenia ojca, milczenia Leni. Może dlatego, że zawsze była dla mnie wzorem i najprędzej po niej spodziewałam się szczerości. Może to właśnie od niej najbardziej chciałam usłyszeć pytania. W jakiś absurdalny sposób łatwiej było mi pogodzić się z zapomnieniem u moich rodziców niż u niej. Im starsza się stawałam, tym mniej ufałam jej spokojowi, owej idylli, jaką urządziła sobie w tym sennym miejscu; coraz mniej ufałam światu marzeń Tulji i jej inności, coraz częściej zadawałam sobie pytanie, czy życie, którym żyła, nie było dokładnie taką samą ucieczką jak egzystencja wszystkich członków mojej rodziny.

– Nie wiem, Tuljo. Mam pustkę w głowie. Od czego zacząć? To znaczy, co on chce znaleźć?

W chwili, w której wypowiedziałam te słowa, już znałam odpowiedź na to pytanie, w tej chwili zrozumiałam właśnie, że było źle zadawać je sobie wciąż na nowo. Pojęłam też, nie czując przy tym ani odrobiny współczucia dla samej siebie, że odpowiedź zrujnuje mi życie, że przyjechał tu po to, by wysłuchać mojego wyznania winy.

Zawsze opowiadał mi o swoim poczuciu pożyczonego życia, poczuciu, które nie opuszczało go ani na chwilę, a ja – tamtego popołudnia, siedząc obok Tulji – zrozumiałam nagle, co miał na myśli.

Po raz pierwszy zakochałam się w Ivo, kiedy miałam sześć lat. Wtedy ta miłość była samotna, zatrwazająca, pełna wyczekiwania. Tajemnica naszych rodziców sprawiła, że staliśmy się milczący i impertynency.

Po raz drugi zakochałam się w nim, gdy przestał mówić i wprowadził się do nas. Budził się w nocy z płaczem i krzykiem, i nikt nie był w stanie uspokoić tego dziewięcioletniego chłopca z ostrymi zębami i wielkimi uszami. Całymi miesiącami się nie odzywał, a ja nauczyłam się zastępować mu język dzięki temu, że stworzyliśmy swój własny, niemy słownik. Wtedy chodziłam razem z nim do tych wszystkich terapeutów i opiekunów, bo tylko ja potrafiłam przetłumaczyć jego mimikę i gestykulację na słowa, aż w końcu te spotkania stały się w o wiele większym stopniu moimi sesjami terapeutycznymi, nawet jeśli zawsze starałam się odbijać w swoich oczach jego świat.

Po raz trzeci zakochałam się w Ivo dziewięć miesięcy po naszej przeprowadzce do Tulji do Niendorfu, która nastąpiła w związku z chroniczną nieporadnością mojego ojca – po blisko roku milczenia Ivo, kiedy już nauczył się wiosłować, coraz lepiej pływał i znowu chodził do szkoły; tego ranka, gdy zapukał do pokoju Leni i mojego, obudził mnie i powiedział:

– Chodź, pójdziemy na plażę, jest ciepło. – To były pierwsze słowa w jego nowym życiu u nas. I należały do mnie.

Po raz czwarty i ostatni była to miłość upalnego lata, przylegająca do moich kostek i skroni jak lipcowy pot, którego nie byłam już w stanie z siebie zmyć – skończyłam piętnaście lat i pierwszy raz zobaczyłam go w kąpielni: rozebrał się i skoczył do wody. Widziałam już wcześniej

setki, tysiące razy, jak wchodzi do wody, a jednak ten widok był inny, moje spojrzenie się zmieniło.

Patrzyłam na niego z daleka. Kierowana jakimś dziwnym instynktem pozostałam w oddali, chociaż niczego nie pragnęłam bardziej, niż rozebrać się i pobiec do wody. Do Ivo. Do morza.

Tak, myślę, że uczuciem, które tak w nim kochałam tamtego lata – w te popołudnia na plaży, w czasie tych godzin w szopie między świeżo pomalowanymi łodziami z wypożyczalni Tulji – było uczucie terażniejszości, które roztaczał wokół siebie po królewsku, rozsiewał je wszędzie wokół jak złoty pył w karnawałową noc. Istniał w terażniejszości jak żaden inny człowiek. Czasem jego brak przyszłości i przeszłości doprowadzał do szaleństwa innych i mnie także. Nigdy nie wiedział, jaki dzień będzie jutro, dokąd powinien iść, co ma zadane w szkole na pojutrze, kiedy kto obchodzi urodziny. Zawsze jednak fascynowało mnie to, że kiedy taki dzień już nadszedł, kiedy jutro zamieniało się w dzisiaj, o wszystkim zawsze pamiętał, był, czujny i ciekawy.

Brak *wczoraj* i *jutro* umożliwił nam w tamte wakacje, a także w wiele kolejnych wakacji nasze *dzisiaj*, które było silniejsze i żywsze niż wszystkie marzenia, jakie do tej pory żywiłam. Jego rzeczywistość była tak mocno zakotwiczona w chwili obecnej, w samym życiu, że każde marzenie usuwała w cień. On żył, ja marzyłam i stopniowo coraz bardziej uczyłam się przy nim pojmować swoje marzenia jako część *tu* i *teraz* albo z nich rezygnować. Trudno to wytłumaczyć komuś obcemu, wyjaśnienie tego mojej rodzinie okazało się niemożliwe.

Być może w ciągu tego niecałego roku swojego milczenia, żałoby z powodu tragedii rodziców, zamknięty w tym swoim autyzmie, jak gdyby koniecznie chciał jakoś ukarać samego siebie, wymazał wszystko, co nie działo się w danej chwili. Może po to, by w ten sposób wykluczyć możliwość straty, rozczarowania i kolejnych pożegnań. Tego nie wiem, ale wiem, że trzymał się dnia dzisiejszego. Aż do czasu, kiedy po siedmiu latach postanowił wrócić.

Do mnie, a tym samym do *wczoraj*.

Może właśnie ten aspekt sytuacji był taki zatrważający, może przerastało mnie właśnie to, że zobaczyłam innego Ivo, który nagle zaczął szukać przeszłości, zrezygnował ze swojego *dzisiaj*, a swoje *jutro* uzależnił od *wczoraj*.

Tamtego lata na plaży widziałam go z oddali, wypłynął daleko w morze. I tego dnia wszystkie *wczoraj*, *dzisiaj* i *jutro* zbiegły się w *teraz*. W ten malusieńki punkcik w morzu, który cały czas się oddalał.

Kiedy przyплыł z powrotem, siedziałam na jego ręczniku i czekałam na niego z dwoma jabłkami w dłoniach. To były jabłka z naszej jabłoni. Zerwałam je prosto z drzewa, kiedy biegałam po ogrodzie. Trząśł się z zimna, a ja wycierałam mu plecy, gdy słońce chowało się do morza. Pachniał solą, a w jego mokrych włosach roilo się od ziarenek piasku. Był bardzo wysoki – tego lata urósł o ponad głowę – i patrzył na mnie z góry z kumplowskim uśmiechem. Miał mocne kości, nie jak jego matka, która robiła wrażenie tak bardzo kruchej i bezcielesnej. On zawsze miał w sobie coś szalenie twardego.

Pod gładką skórą widać mu było żebra, a krople wody połyskiwały na jego brzuchu jak małe gwiazdeczki. Siedziałam tak, nie mając odwagi spojrzeć na niego, i wycierałam te jego plecy, i wycierałam, aż złapał mnie za rękę, spojrział mi w oczy i zapytał, co też nagle we mnie wstąpiło.

Siedzieliśmy tu sami, mała zatoczka była naszą niepisaną tajemnicą, tutaj bardzo rzadko zapuszczali się turyści, ponieważ powszechnie uważano, że ten zakątek nie nadaje się do kąpieli. Stały tu bowiem kutry rybackie na kotwicach, drewniany pomost bez końca ciągnął się w głąb morza, a woda wydawała się za zimna. My jednak przywłaszczylimy sobie to miejsce i polubiliśmy stalowe i chłodne morze.

Narzucił na siebie podkoszulek i przestał szczerkać zębami. Był piękny, taki zalany blaskiem słońca, z tym swoim chmurnym spojrzeniem, z ostrymi zębami, które były odrobinę zbyt kanciaste, i z pełnymi ustami, i z ciemnym meszkiem na twarzy – od roku obnosił się z nim z taką dumą, golił go i pielęgnował. Właśnie tego dnia zaczęłam pożądać Ivo, a to pożądanie jednocześnie bolało mnie, podniecało i zawstydzalo.

Zwiesiłam głowę i przyciągnęłam kolana do piersi. Wtedy strzygłam się na pazia i obgryzałam paznokcie, palce u nóg malowałam lakierem Tulji na krzykliwą czerwień i nosiłam letnią lnianą sukienkę z czerwoną szarfą w talii. Mama kupiła mi ją w porywie romantyzmu w

eleganckim butiku w Nowym Jorku. Nazywałam tę sukienkę swoim nowojorskim wdziakiem elegancja-Francja i w głębi duszy byłam dumna, że to ja ją dostałam, a nie Leni.

Uniósł moją brodę i zmusił mnie do spojrzenia na niego.

– Zabujałaś się czy co? – spytał swoim typowym, nieco obojętnym tonem. Milczałam. Wtedy roześmiał się i w tym właśnie momencie ostatni promień słońca padł mu na czoło. Ivo, opromieniony łagodnym, letnim światłem, wyglądał jak święty. Oczy przesłaniała mu zwykła mgielka, a mnie chciało się płakać. Poczułam żal tak głęboki, że w jednej chwili postarzałam się o całe lata; może byłam taka smutna, bo w ułamku sekundy zrozumiałam, że miłości, którą odczuwamy, nigdy nie da się zaliczyć do żadnej kategorii, a tym samym pozostanie tajemnicą dla innych. Tymczasem ja nienawidziłam tajemnic, nienawidziłam ich od tamtego dnia, kiedy ojciec Ivo przyjechał do domu...

Może zrozumiałam to wszystko, kiedy tak siedziałam koło Ivo i po raz pierwszy nie potrafiłam powiedzieć mu, co się ze mną dzieje. A może był to intuicyjny żal za wszystkim, co proste i elementarne, z czego zrezygnowaliśmy, kiedy siedzieliśmy tak naprzeciwko siebie, a ja zaczęłam dostrzegać jego ciało. Może.

Ivo zauważył mój żal i pogłaskał mnie po ramionach. Przestał się uśmiechać i teraz już tylko czekał, aż znowu zwróci twarz w jego stronę.

– Mów, w kim? No już, powiedz – rzucił i ugryzł jabłko.

– W tobie – odpowiedziałam cicho i spojrzałam na niego. Zakrztusił się albo tak udawał, żeby zyskać sekundę czy dwie na zastanowienie. Potem położył jabłko na ręczniku.

– Stello.

Szukał słów i mimowolnie trochę się odsunął. Ja jednak poczułam pewną ulgę i spojrzałam na niebo, które już ściemniało. Słysząc było kutry rybackie kołyszące się we wspólnym rytmie.

– Tak – potwierdziłam i dostrzegłam, że to słowo nieoczekiwanie dodało mi siły i wystrzeliło mnie na jakąś autonomiczną, nieosiągalną gwiazdę. Potem przekreśliłam się na bok i wyciągnęłam na ręczniku. On patrzył na wodę i bawił się swoimi palcami.

– To niemożliwe – powiedział patrząc na mnie. Miał ponure spojrzenie i prawie zupełnie nie mogłam dostrzec jego tęczy.

– Dlaczego? – zapytałam i znów usiadłam. Czułam się niesamowicie, kiedy tak patrzył na mnie z góry.

– Bo niemożliwe. Przecież nie jesteś głupia.

– Niemożliwe, bo ty, no bo... z powodu rodziny, czy niemożliwe, bo nie czujesz tego samego?

– Jedno i drugie.

Wzdrygnęłam się – nowo zdobyta siła nagle przemieniła się w strach, który pozbawiał mnie tchu. Zaczęłam przygryzać palce. A jednak nie chciałam zrezygnować, nie wierzyłam mu i nie miałam zamiaru okazać lęku bez podjęcia jeszcze jednej próby.

Rozebrałam się. Rozwiązałam szarfę sukienki i chociaż Ivo już nieraz widział, jak się ubieram i rozbieram, chociaż już wiele razy biegliśmy nago do wody, wiedziałam, że samo wyznanie mojej miłości wszystko to zmieniło w coś zupełnie innego.

Zdjęłam sukienkę przez głowę i odłożyłam. Ivo patrzył na mnie z irytacją, jeszcze niezdecydowany, jak powinien się zachować, ale patrzył, patrzył na mnie, na moje ciało, które w mgnieniu oka zmieniło się po prostu w ciało.

– Co ty robisz? – spytał niepewnie i usiadł w kucki, jakby chciał przygotować się na wszystko, co nadejdzie.

Rozpięłam stanik, jeszcze niewprawnymi ruchami, moje gesty nie były jeszcze takie wyćwiczone w uwodzeniu, takie oczywiste. Ale zadałam sobie trud i się nie pogubiłam; całkiem szybko siedziałam już przed nim z obnażonymi piersiami i zaczynałam zdejmować majtki. W tym momencie złapał mnie za przegub i wykręcił mi rękę. Patrzył na mnie. Wtedy pochyliłam się i pocałowałam go. Miał taki smak, jak sobie wyobrażałam: soli, jabłek i życia. Zawsze, kiedy chciałam pocałować Ivo, ten właśnie smak zwiększał radość z pocałunku, który miał zaraz nastąpić.

Odwzajemnił mój pocałunek, a potem przejechał ręką, którą mnie trzymał, do łokcia w górę,

potem aż do obojczyka i objął mnie za szyję. Znowu go pocałowałam, a on popchnął mnie na piach i rzucił się na mnie. Nie wiem, czy Ivo miał przede mną dużo dziewczyn, nigdy mi tego nie powiedział. Wtedy cieszył się wyjątkowym powodzeniem wśród koleżanek ze szkoły, ale uważały go za zbyt dziwnego, żeby poważnie szukać jego bliskości. Był jednak dojrzały, dojrzały ode mnie, dojrzały w swojej woli, w swoim prawie do mojego ciała. I tak leżał na mnie, a ja rozchyliłam nogi. Wtedy skoczył jak oparzony, odwrócił się i odbiegł. Popędził do wody, a ja zostałam, leżałam sama, czując palenie między nogami i niezmierną pustkę w brzuchu. Zdawało mi się, że zaraz spłonę od środka. Skuliłam się i zaczęłam krzyczeć. Krzyczałam tak głośno, że uszy bolały mnie od echa własnego głosu. Krzyczałam i uderzałam się co chwila w brzuch, chciałam, żeby to palenie się skończyło.

Kiedy wrócił, siedziałam ubrana i obejmowałam dłońmi kolana, żując jabłko. Te minuty, na które zniknął w morzu, zmieniły mnie. Dorosłam, nagle, błyskawicznie i bez ostrzeżenia.

– To niemożliwe – powiedział. Był nagi, a jego penis zwisał sflaczały od zimnej wody.

Przewiązał się ręcznikiem i usiadł koło mnie.

– W porządku, nie, to nie – powiedziałam i podniosłam się. – Idę.

– Hej, zaczekaj, Stello. Zaczekaj!

Wstałam i zaczęłam iść. Wołał mnie po imieniu, ale ja już się nie odwróciłam.

Dwa tygodnie później poszłam do Harry'ego i przywarłam łonem do jego tyłka, kiedy on reperował coś pochylony nad łodzią. Tamtej nocy, kiedy wspięłam się do jego pokoju przez okno, zaspokoiliam swoją żądzę zemsty.

Ivo dowiedział się o tym dopiero kilka dni później. Zdradziłam ten sekret pewnej dziewczynie z wioski. Nienawidziłam jej, bo przystawiała się do Ivo, a ona nienawidziła mnie, bo odbierałam jej jego uwagę. Oczywiście wiedziałam, że wszystko mu wypaple, a on oczywiście wiedział, dlaczego to zrobiłam.

Tulja zawsze mówiła, że kiedy kochamy, to nie kochamy po prostu mężczyzny, kobiety, dziecka, matki czy ojca, brata. Że zawsze chcemy kochać wszystko i wszystkich w jednej osobie. Że kategoryzowanie miłości jest dekadencją potrzebą naszych czasów, by wszelkim uczuciom nadawać jakąś strukturę. Mówiła, że zawsze potrzebujemy wszystkiego od tego jednego człowieka, którego kochamy. Że zawsze tęsknimy do tego, by zjednoczyć wszystkie osoby w jednej, i że w końcu ta tęsknota zawsze pozostawia w cieniu samą miłość. Bo przecież nie możemy być wszystkim, nie jednocześnie. Ale miłość w swojej istocie dąży do różnorodności, do zjednoczenia w nas tego, co już w sobie nosimy. Tulja mówiła, że taka miłość byłaby możliwa, gdybyśmy nie stworzyli systemów ani społeczeństw, gdybyśmy zachowali w sobie to, co elementarne, ale... Tulja mówiła mnóstwo rzeczy.

Może miłość rzeczywiście przypomina anarchię?

Może nigdy nie kochałam życia, które powinnam była kochać?

Może Ivo musiał od nas wszystkich pożyczać swoje życie?

Może naprawdę nie wiem, kim jestem?

Może teraz znajdę odpowiedzi, teraz, lata świetlne od tego, co przez tak długi czas nazywałam swoim życiem.

Patrzę na teraźniejszość, która jest pusta i niczego nie obiecuje. Ale wiem, że tylko ona może dostarczyć mi odpowiedzi, odpowiedzi na temat tego, co minęło, i może też tego, co nadzieje.

Trzy dni sprawiły, że stałam się tym, kim dziś jestem. Pierwszym z nich był dzień tamtego deszczowego popołudnia, kiedy ojciec Ivo nieoczekiwanie wrócił do domu, drugim tamten dzień na plaży z Ivo, a trzecim dzień narodzin mojego syna, i chociaż ten trzeci nie miał nic wspólnego z Ivo, pielęgniarka, która położyła mi Theo na piersiach – kiedy już ocknęłam się z wyczerpania i zobaczyłam swojego zakrwawionego syna – zapytała, kto to jest Ivo. W bólach porodowych najwidoczniej krzyczałam jego imię. Uznała, że chodzi o ojca dziecka. A ja nie zaprzeczyłam.

Usiedliśmy do obiadu. Próbowałam nie brać udziału w rozmowie, na ile tylko się dało. Theo siedział na kolanach u babci i wcinał paluszki rybne, przyrządzone specjalnie dla niego. Mark i jego ojciec pograżyli się w rozmowie, dyskutowali na tematy polityczne tygodnia. A to niemal nieskrywane wymuszenie, z którym trzeba było poruszać tak zwane istotne kwestie, działało mi na nerwy. Ojciec Marka był emerytowanym profesorem historii i politologii, jego matka uznanym psychologiem z własną praktyką. Określali się mianem wolnomyślicieli – po prostu takie wyższe sfery wykształconego mieszczaństwa, z domem w Blankenese, dwójką adopcyjnych dzieci w Nigerii i Gwatemali; lubiano tu indyjską kuchnię.

Matka Marka nadal jeszcze zajmowała się wyszukiwaniem we mnie błędów, które mogłyby skazić jej syna. Uważałam to za swego rodzaju *deformation professionelle*, za jej chorobę zawodową, i nauczyłam się z tym żyć. Mark był jedynym dzieckiem, Theo jedynym wnukiem, a oni ubóstwiali i rozpieszczali obydwu w sposób prawie niemożliwy do zniesienia.

Nagle poczułam nieopanowaną ochotę na papierosa. W najdrobniejszych szczegółach pamiętam moment, kiedy paliłam ostatni raz. To pragnienie naszło mnie w ciąży tak silnie, że musiałam pójść w nocy na stację benzynową i za jakimś rogiem w ukryciu zapalić, jak nastolatka, która się boi, że ją nakryją.

Co to za cholerna dyktatura szczęścia, to życie, pomyślałam i postanowiłam, że zaraz po wyjściu kupię sobie papierosy.

Na deser była sałatka owocowa z mango lassi, hinduskim jogurtem z mango. Czekałam niecierpliwie na martini, które u rodziców Marka zawsze podawano dopiero po posiłku. Kiedy skończyły się tematy polityczne, Mark zaczął opowiadać o swoim najnowszym projekcie. Nowy serial miał olbrzymią oglądalność. Teraz przygotowuje dokumentację do filmu o Cyprze.

Rodzice spijali każde słowo z jego ust. Rozejrzałam się wokoło, nadal siedząc przy stole. Wszyscy byli tacy zadowoleni: para dziadków, ciesząca się swoim dobrobytem i spoglądająca wstecz na uporządkowane, udane, wzorowe życie. Mój mąż, który równie wzorowo wziął dla siebie z rodzinnego domu to co najlepsze. Mój syn, przed którym stały otworem wspaniałe perspektywy wzorowego wychowania i który mógł się spodziewać odpowiednio wzorowego życia. A pośród nich ja, która zdawałam się nie całkiem pasować do tej wzorowości. Bo moja przeszłość w żadnym razie nie przebiegała w linii prostej przez ten urządzone ze smakiem w minimalistycznym stylu salon, umeblowany designerskimi meblami. Miałam bowiem za sobą bolesny seks w podłym pokoju hotelowym, z mężczyzną, którego można by nazwać moim bratem, a swój artykuł kazałam przerabiać praktykantce, bo byłam zbyt przekorna. Poczułam nagle nieskończoną tęsknotę za morzem, podczas gdy rosło we mnie coś ciemnego i wdierało się do wszystkich włókien ciała. Robiło się czarne, coraz czarniejsze. Byłam czarna, po prostu tylko czarna, a wszystko wokół wydawało się takie jasne, takie białe i czyste. A ja – plama w samym środku. Czarna plama.

Bolało, bardzo bolało, nagle coś we mnie bolało tak bardzo, że przeprosiłam, wstałam od stołu i poszłam do łazienki. Długo trzymałam twarz pod strumieniem zimnej wody, potem gapiłam się w lustro marki Villeroy & Boch. Z pewnością cholernie drogie, z pewnością cholernie ekskluzywne.

Kim byłam, kiedy nie chciałam pamiętać? Uwięziona między niezliczonymi straconymi możliwościami. Gapiłam się na siebie i miałam ochotę krzyknąć. Przyłożyłam palce do szyby lustra i przyglądałam się ich odciskom.

Powiodło mi się, miałam szczęście. Właściwie wciąż jeszcze dobrze mi się żyło. Ludzie, którzy czekali na mnie na zewnątrz, którzy tak ciepło ze sobą rozmawiali, kochali się. Kochali mojego syna, męża, akceptowali mnie. Przynajmniej ze względu na wnuka, którego nigdy nie miałabym bez Marka, nie dlatego, że nie byłoby innych mężczyzn, ale ponieważ to on dał mi wiarę, że mogę, że wolno mi być matką. A teraz patrzyła na mnie z lustra pusta, obca twarz.

Miałam rozszerzone źrenice, a kąćki ust opadały w dół. Wokół oczu kilka zmarszczek mimicznych, nos ostry i ciągle jeszcze zbyt mały do mojej twarzy. Szminka się starła, a resztki czerwieni sprawiały niezdrowe wrażenie czegoś bezcelowego, nieokreślonego.

Jako dziecko często stawałam przed lustrem, żeby stwierdzić, czy do kogoś pasuję. Chciałam być jedną z nich, chciałam być pewna, że należę do mojej rodziny. Czy miałam oczy takie same jak Leni? Były węższe, a przez to bardziej przypominały oczy mamy. Wszyscy mieliśmy oczy w kolorze miodu, łagodne i jasnobrązowe, skłonne do łez i odrobinę zbyt zmęczone, zbyt pełne tęsknoty jak na codzienność. Jednak moje spojrzenie z biegiem lat zrobiło się ostrzejsze, spojrzenie Leni zaś straciło na jasności.

Wystające kości policzkowe miałam po Tulji, zdecydowanie. Czulałam się z nich dumna już jako dziecko, między innymi dlatego, że Tulja była taka piękna, a ja chciałam być równie piękna jak ona. Czoło, otwarte i odrobinę za wysokie, przypominało czoło ojca. Usta pełne i małe. Ty i twoje usteczka stworzone do całowania, mówiła mama zawsze, kiedy się ze mną czuliła. Usta też miałam po ojcu.

Tylko mojego nosa nie miał nikt inny. Nie wyglądał jak europejski zadarty nosek mamy ani jak nos ojca. Jego nos był długi i trochę garbaty, ale dumny i piękny. Jako mała dziewczynka lubiłam go tarmosić. Nos Leni? Miała go po matce. Ale mój był tylko mój i dlatego też czasami wieczorem, w starym, ledwie zipiącym domu Tulji, kiedy barykadowałam się w łazience i szukałam samej siebie, wywoływał we mnie taki smutek. Mój nos, taki obcy. A potem kiedyś Ivo powiedział mi, że mój nos jest najpiękniejszym nosem na świecie.

Teraz zaś patrzyłam na swoją twarz i zastanawiałam się, gdzie spoglądają te oczy, w jaką przyszłość; dlaczego usta są pozbawione życia i zaciśnięte, czemu jestem taka blada, bledsza niż zazwyczaj. Jak to się stało, że włosy – gęste, ciemne i sięgające do ramion – zwisają mi smętnie na szyi.

Patrzyłam na siebie i nie wiedziałam, na kogo patrzę.

Theo został na weekend u dziadków, a my wracaliśmy samochodem terenowym Marka. Jechaliśmy wzdłuż Łaby. Po drodze zaproponował, żebyśmy skorzystali z wolnego wieczoru i poszli na drinka. W tym stanie zagubienia zgodziłam się z wdzięcznością.

Poszliśmy do baru Atlantic; mieli tam dobre koktajle. Zostałam przy martini. Wytworna atmosfera tego miejsca, tak świetnie pasująca do niedbałego, a jednak eleganckiego ubioru Marka, podziałała na mnie dziwnie przygnębiająco. Nie po raz pierwszy byliśmy w tym barze. Kiedyś Mark i ja bardzo lubiliśmy spędzać wieczorne godziny przy muzyce jazzowej. Ale teraz z tym miejscem coś było nie tak, chociaż bardzo dobrze wiedziałam, że tak naprawdę to ze mną coś jest nie tak.

Mark tłumaczył mi jakieś sprawy. Próbowałam go słuchać, gapiąc się w swój kieliszek.

– Stello?

– Uhm?

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Co się z tobą dzieje? Chodź tu, no, chodź.

Był lekko wstawiony. W takich sytuacjach zawsze robił się zmysłowy. Objął mnie i przycisnął moją głowę do swojej szyi. Zesztywniałam.

– Dlaczego nic nie mówisz?

– Jestem po prostu zamyślona.

Zamówił sobie jeszcze jedną whisky. Czulałam jego rozczarowanie; był rozczarowany mną, moim oddaleniem. Po wizycie u rodziców zawsze znajdował się w stanie dziwnej euforii, a tu pojawiło się niebezpieczeństwo, że moja odmowa, moja niedyspozycyjność odbierze mu teraz ten entuzjazm. Mark pił, pił dla kurażu i tym samym stwarzał sobie złudzenie, że jest całkowicie tu i teraz i nie musi myśleć o niczym nieprzyjemnym, choćby to miała być tylko taka kwestia, jak się dostaniemy do domu.

Wychyliłam kieliszek, unikając jego wzroku.

– Myślę, że tak nie powinno być – powiedziałam. Zdziwiła mnie siła, która nagle pojawiła się w moim głosie. Nie zdecydowałam świadomie, że będę mówić, poczułam jedynie silny impuls i spróbowałam mu się więcej nie opierać.

– Jak nie powinno być?

Mark odstawił kieliszek i nie spuszczał ze mnie wzroku.

– To wszystko. Jak żyję, kim teraz jestem.

– Co to ma znaczyć?

– Chcę ci to wytłumaczyć. Daj mi trochę czasu. To nie jest proste i wiele rzeczy mówię tylko dlatego, że tak czuję, nie mam twardych argumentów, wiele rzeczy nie jest jasnych nawet dla mnie.

– Okay, okay. Przecież cię słucham.

Był niecierpliwy. Najwidoczniej obawiał się, że zwrot, jaki przyjmie ta rozmowa, będzie dla niego nieprzyjemny; może przygotował się na monolog o moich wahaniach uczuć. I oto zaczął szybciej pić, zbrojąc się przeciwko temu, co powiem. Mój wewnętrzny opór rósł, czułam, jak narasta we mnie wściekłość, i wychyliłam kieliszek do dna, zamiast coś powiedzieć. Potem kolejny raz nabrałam rozpedu:

– Myślałam, że się tego nauczyłam. Mam na myśli życie, jakim teraz żyjemy. Myślałam, że takie powinno być. To znaczy... nadal tak uważam, ale czuję, że problem leży gdzie indziej, poza granicą między tym, co właściwe i niewłaściwe. Poza takimi kryteriami. Jedyłą miarą dla życia jest samo życie. Wiele spraw przestaje biec utartym torem. Dni przeciekają mi przez palce. I nie wiem co dalej.

Mark spojrział na mnie i widziałam, jak próbuje walczyć z niezadowoleniem; odwrócił wzrok, wypił kolejny łyk wina, a potem spuścił głowę. W którymś momencie dotknął mojego nadgarstka – mały znak, jak wiele zadaje sobie trudu, żeby znaleźć drogę powrotną do mnie, do naszej rozmowy.

– To tak, jakby nic już nie było realne, jakbym przez cały czas patrzyła na siebie z boku i śmiała się z siebie, bo...

– Hej, hej, wszystko jest dobrze, wszystko będzie dobrze. Rozumiem przecież, że nie zawsze łatwo nam spotkać ludzi, z którymi kiedyś coś nas łączyło. Mam na myśli to, że wasza sytuacja jest po prostu trudna i może ekstremalna, bo wy po prostu... Było, minęło. Popelniliście błąd wchodząc w to jakieś dziwne uwikłanie. Ale przecież to nie było żadne kazirodztwo ani nic takiego.

Spojrziałam na niego i w tej samej chwili zrozumiałam, że nie pojął nic z tego wszystkiego, o czym mówiłam. Nie dlatego, że nie był do tego zdolny, lecz dlatego, że tak sobie postanowił; pewnego pięknego dnia podjął decyzję, że nie chce rozumieć pewnych rzeczy. Tak jak ja podjęłam decyzję, że przegnam z pamięci rzeczy odbierające mi grunt pod nogami.

Między nami istniała przepaść – otworzyła się wielka rozpadlina, a most z jednego końca na drugi wysadziłam w powietrze słowami, które właśnie wypowiedziałam.

– Problem nie polega na tym, że miałam romans z mężczyzną, z którym się wychowywałam. Chodzi o coś innego, o coś więcej.

Mark starał się przybrać cierpliwy, ojcowski ton pewnej wyższości. Zdenerwował mnie jeszcze bardziej, pytając, na czym więc dokładnie polega problem.

– Spałam z nim – odparłam i spojrziałam na niego.

Lekko rozchylił usta, jakby chciał wypowiedzieć dobrze przygotowane, politycznie poprawne zdanie, które skłoni mnie do tego, bym spokojnie i potulnie poszła z nim teraz do domu. Potem opuściło go opanowanie. Wtedy pożałowałam swojej głupoty i spuściłam wzrok. On jednak wpatrywał się we mnie bez słowa, przez cały czas na mnie patrzył i milczał. Nagle wstał, wziął kluczyki do auta i wyszedł z baru.

Zostawszy sama, rozejrzałam się wokół. Byłam ostatnim gościem. Zamówiłam jeszcze jednego drinka, a im bardziej ocieężała i bezwładne stawało się moje ciało, tym jaśniej pracował umysł.

Barman rzucał mi od czasu do czasu krzepiące spojrzenia, nie odważył się mnie wyrzucić – taka kłótnia między małżonkami, zwłaszcza kiedy mąż jest stałym gościem, nie, w podobnej sytuacji trzeba okazać wyrozumiałość. A ja siedziałam i siedziałam. W którymś momencie wtoczyłam się do foyer i poprosiłam portiera, żeby zadzwonił do hotelu Pacific. Ivo odebrał i

obietkał przyjechać po mnie.

Wszystko zaczęło teraz staczać się po równi pochyłej. Stałam na ulicy i szukałam go wzrokiem w przejeżdżających samochodach. Przyjechał taksówką i podbiegł do mnie. Roześmiałam się. O nic nie pytał. Pierwsze, o co go poprosiłam, to papieros. Oddał mi tego, którego właśnie zapalił.

– Jesteś pijana – stwierdził z rozbawieniem, kiedy kaszłac i z trudem łapiąc powietrze, zaciągnęłam się po raz pierwszy.

– Jestem przytomniejsza niż kiedykolwiek – odpowiedziałam, idąc za nim. Zatrzymał taksówkę, pojechaliśmy do jakiegoś baru w St. Pauli. Nie potrafię go już sobie przypomnieć: wiem, że było tłumnio i głośno i że siedzieliśmy na parapecie w jakimś kącie, i że nadal piłam martini. Iwo niewiele mówił, obserwował mnie, raz musnął moje kolano. Spojrzałam w dół na jego dłoń wędrującą coraz wyżej i ścisnęłam nogi. Zakręciło mi się w głowie.

– Mam cię odwieźć do domu? – zapytał, a ja odmówiłam. Pojechaliśmy do jego hotelu. Rozebrał mnie i zaniósł do łazienki. Puścił mi wodę na kąpiel i położył mnie w wannie. Woda nie była dość ciepła i pisnęłam. Wtarł mi szampon we włosy i splukał pianę. Zapięły mnie oczy i jęknęłam. Poprosiłam o więcej alkoholu, odmówił. W pewnej chwili przyciągnęłam go do siebie i pocałowałam. Podał się i zamoczył cały. Poczulałam podniecenie i było mi wszystko jedno; coś we mnie krzyczało, żeby przekroczyć wszelkie granice. Mimo zamroczenia alkoholem wiedziałam, że poranek będzie straszny, wiedziałam, że wtedy rozbiję się o ziemię. Jeszcze spadałam, to było przecudowne uczucie, uczucie, jakbym frunęła, jakby nie istniała siła ciężenia. W końcu huknę o ziemię i rozpadnę się na tysiąc kawałków, może nawet nic nie zostanie.

Wszystkie noce, które spędziłam z Iwo, przypominały walkę. Nie rozumiem, jakim cudem, bardzo pijana i wykończona, byłam w stanie wykrzesać z siebie taką siłę, taką żądę podjęcia tej walki. W jego podłym łóżku hotelowym.

Wzięłam go sobie, wzięłam jego ciało, pokonałam szorstkość Iwo, jego udawaną nonszalancję wobec świata, obnażałam je warstwa po warstwie.

Mocno trzymałam go za dłonie, a moje usta wędrowały po łędźwiach Iwo, po jego torsie, wokół pępka. Wzbraniał się przed tym, tak jak zawsze bronił się przed przyjęciem prezentu, ale nie zostawiłam mu wyboru. Pieściłam go dłonią, patrząc przy tym na niego. Widziałam zmęczoną twarz Iwo, na pół przymknięte oczy i lekko rozchylone usta; widziałam, jak walczy sam ze sobą i jaki jest samotny w tej walce; i jak w końcu się poddaje, znajdując w moim ręku krótki, bolesny spokój.

Długo leżeliśmy obok siebie w milczeniu. Potem usiadł i spojrzał na mnie. Trwałam bez ruchu, naga, ciągle jeszcze zamroczone. Próbowałam zebrać myśli.

– Co zrobisz? – zapytał i położył mi palec wskazujący między nogami.

– Powiem ci, co chcesz usłyszeć. Ale nie pojedę za tobą.

– Chcę tylko, żebyśmy wrócili pamięcią do tego, co się stało. Tylko tyle.

– Po co?

– Żeby przestać, żeby skończyć z tymi bitwami. Podoba mi się to, jak teraz na mnie patrzysz; jakbyś wiedziała więcej ode mnie, jakbyś wiedziała wszystko, czego ja nie mogę wiedzieć, tylko dlatego, że ty to ty.

Rozchyliłam nogi i czekałam, że się na mnie położy.

– Ale nie podoba mi się, że tak dużo zapomniaws: wszystko, o czym nie można zapomnieć. Albo udajesz.

Położył się na mnie.

– Że uczepliws się tej winy, że nie popuszczasz, sama sobie stoisz na drodze. Jest jeszcze kilka rzeczy, których musimy dowiedzieć się razem. Bo nikt inny nie może ani nie chce tego zrobić. Wiesz o tym.

Przyjąłam go i to bolało.

– Czy nie tak? Często myślę o tamtym popołudniu, Stello. Ostatnio ciągle myślę o mamie i o tym, że może wtedy nie było dobrze nie zadawać żadnych pytań.

Zaczął poruszać się szybciej, a ja pochyliłam się trochę do przodu, żeby musiał na mnie

patrzeć, co chwila, co chwila na mnie patrzeć, sprawiając mi ból.

Wyszłam mu naprzeciw, podłożyłam sobie pięść pod plecy i oparłam się na niej.

– Szukałem cholernego spokoju, ale on jakoś nie chce naprawdę zapanować. I wiesz, jakie sobie zadaję pytanie, Stello? Mam ci powiedzieć?

Jego głos stał się rozdygotany, a oddech płytszy.

– Pytam siebie, co ma znaczyć całe to gówno między nami. Dlaczego, na litość boską, nie przewidziałaś wtedy w tej swojej mądrej główce, że powinniśmy byli wcześniej odnaleźć koniec, do końca walczyć, do końca rozmawiać, do końca się pieprzyć.

Ciasno objął mi szyję ramieniem i przycisnął mnie do siebie. Uwolniłam się z jego uścisku i odepchnęłam go.

– Dlaczego przerwaliśmy w samym środku, w życiu, w cholernym seksie, dlaczego przerwaliśmy? Może znaleźlibyśmy spokój, osiągnęlibyśmy wyżyny naszego życia, może tak by było, co? Chodzi mi o to, że może mielibyśmy tę zasraną normalność, która jest dla ciebie ach-taka-strasznie-ważna?! Moglibyśmy znaleźć sobie tę cholerną normalność!

Wcisnął mnie w stelaż łóżka i krzyczał mi w twarz, krzyczał, że nie miałam prawa zniszczyć jego życia, najpierw sobie wszystkiego zabrać, wszystkiego zażądać, a potem się wymknąć, zniknąć w tej swojej cholernej normalności. Że ukradłam mu spokój i pozbawiłam go domu rodzinnego – sam już nie może siebie znieść – i to wszystko moja wina, to ja jestem winna, z tym moim krygowaniem się i poprawnością, z moim strachem przed tym, co było. Krzyczał, że nic nie zastąpi dzieciństwa, że nic nie zastąpi miłości, nic nie zastąpi życia, własnego życia.

I dalej wciskał mnie w zagłówek, znowu poczułam ból w plecach, jak za pierwszym razem, kiedy ze sobą spaliśmy. Wściekłość sprawiła, że zrobił się bardziej bezwzględny, a moje ciało jęczało, dyszało i wiło się jak w gorączce, a jednak się nie poddawałam, czułam nawet przy tym jakąś perwersyjną ulgę, osiągnęłam punkt absolutnej pustki i szczerości.

Może rzeczywiście nie było żadnego początku dla mnie i Ivo. Może w tym właśnie tkwił fatalizm owego deszczowego popołudnia, kiedy jego ojciec bez zapowiedzi wrócił do domu. Że to odebrało nam początek, że nasz początek przyszedł na końcu.

Wróciwszy do domu, wzięłam długi prysznic i położyłam się do łóżka. Było niepościelone, a w kuchni wszędzie wały się puste butelki po piwie. Nie wiem, dlaczego nie wpadłam w panikę ani nie utonęłam w poczuciu winy. Marka nie było. Theo jeszcze nie wrócił do domu; Mark powinien go odebrać wieczorem i mieliśmy wtedy przeczytać mu bajkę na dobranoc.

Natychmiast zasnęłam. Być może już dawno został przekroczony punkt, w którym zrezygnowałam z kontroli, odwróciłam się od własnego życia.

Czułam oszalałą pustkę. Spałam, jakbym zapomniała o bożym świecie – przez całą szarą kwietniową niedzielę, wyjątkowo chłodną i wyjątkowo cichą.

Ze snu wyrwał mnie odgłos klucza w zamku i skrzywienie desek w przedpokoju. Chwilę potem stanął przede mną Mark, z rękami w kieszeniach, nieogolony i z przerażonym wyrazem twarzy. Nie mam pojęcia, czego się spodziewał, czy myślał, że już się wyprowadziłam albo że będę siedziała zapłakana przy stole. Z całą pewnością nie oczekiwał, że znajdzie mnie spokojnie śpiącą w naszym małżeńskim łóżku.

– Gdzie byłaś? – zapytał i utkwiał we mnie zmęczone oczy. Na pewno upił się ostatniej nocy.

– Byłam u Leni.

– Kłamiesz.

Nie wiem, dlaczego go okłamałam, z dumy, ze strachu, może kierowana resztkami instynktu samozachowawczego. A jednak byłam pewna, że nie zadzwonił do Leni.

– Nie. Nie kłamie. Po co miałabym kłamać *jeszcze teraz*?

Tak, właściwie po co? – zapytałam sama siebie.

„Nic nie zastąpi miłości, nic nie zastąpi własnego życia”, odezwało się we mnie echem.

Wstałam poszukać w szafie czystych rzeczy. Zaczęłam się ubierać.

Mark stał jeszcze przez chwilę jak wrośnięty w ziemię, przyglądając mi się w milczeniu, a potem wyszedł z pokoju. Odetchnęłam z ulgą i usiadłam na skraju łóżka, żeby się jakoś pozbierać. A więc znowu się zaczęło, zaczęły się kłamstwa, które pociągną za sobą wiele następnych, jedno za drugim, aż nikt nie będzie w stanie rozpoznać prawdy.

Jak wtedy przez dwa ostatnie lata z Ivo. Zanim zgryzota mnie pożarła, rozszarpała na strzępy.

Wzdrygnęłam się. To nie może się powtórzyć. Teraz był Theo. Nagle oładnęła mną ogromna tęsknota do niego. Poczulałam bolesne dławienie w gardle. Rzuciłam okiem na zegarek – muszę natychmiast odebrać go od dziadków, wtedy wszystko będzie dobrze: gdy tylko znajdzie się przy mnie, gdy tylko obejmę go wystarczająco mocno, będę wiedziała, gdzie jest moje miejsce. A jednocześnie było dla mnie zupełnie jasne, że to kłamstwo. Nie pozostało mi jednak nic innego, niż chwycić się go kurczowo. Nie, *nic nie zastąpi*... – pomyślałam znowu i zauważyłam, że ręce mi się trzęsą.

– Jesteś perwersyjna, wiesz? – usłyszałam nagle dobiegający z kuchni głos Marka i aż podskoczyłam. Jego głos był zimny, pełen wzdryki. Zastanowiłam się przez chwilę, czy iść do kuchni, czy poczekać, aż on do mnie przyjdzie. Kuchnia była neutralnym miejscem.

Włosy, nadal wilgotne po kąpiel, lepiły mi się do szyi. Uniosłam je i rzuciłam krótkie spojrzenie do lustra. Czy z mojej twarzy da się jeszcze odczytać ślady zeszłej nocy? Zobaczyłam jednak tylko bladą kobietę z szeroko otwartymi oczami, drżącymi powiekami i odrobinę spuchniętymi ustami.

Siedział przy barku w kuchni i pił piwo. Musiałam natychmiast zapalić. Przypomniałam sobie, że zabrałam paczkę papierosów Ivo. Przyniosłam je i zapaliłam jednego. Mark gapił się na

mnie z konsternacją: czy oczekiwał ode mnie żalu i łez, błagań o przebaczenie, padnięcia na kolana, obietnicy, że nigdy więcej nie zrobię nic tak potwornego? Ale ja nie odczuwałam żalu, jedynie nieskończoną pustkę. Nie drzemał we mnie nawet załączek wyjaśnienia czy odpowiedzi, która mogłaby wytłumaczyć mu, rozgrzeszyć ostatnią noc. I nie chciałam też od niego zrozumienia, to ja musiałam sama siebie zrozumieć, pojąć, że na nowo rozdrapałam tę winę, ten głęboki ból, to ranne miejsce we mnie – do tej pory zaszpachlowane i maźnięte z wierzchu białą farbą.

Od samego początku próbowałam uświadomić Markowi, że moje i jego życie bardzo różnią się od siebie już u samych fundamentów. Po trochu opowiadałam mu o przeszłości. Należał do tego rodzaju mężczyzn, którzy mówiąc o związku, naprawdę mają go na myśli, którzy kierują się stałym systemem wartości. A ja wiedziałam, że będę musiała być wobec niego szczerą.

I byłam zmęczona, po prostu zmęczona tymi wszystkimi kłótniami, rozmowami wyjaśniającymi, rozpaczliwymi tęsknotami i gierkami w chowanym poprzednich lat. Wpadłam na Marka i po jego zdecydowanych, jasnych oczach poznałam, że będzie mnie kochał, jeśli na to pozwolę. Liczyłam się z tym, że moja inność – jak to określał – poplątane ślady mojej rodziny nęcą go i że wiążąc się ze mną, myślał, iż wkupia się w jakąś wolność, której nigdy nie doświadczył w młodości, na którą nigdy nie pozwolił sobie także jako dorosły. Tymczasem ja byłam gotowa oddać mu tę małą porcję inności i wolności.

W pełni zdawałam sobie sprawę, że dla mnie samej oznacza to zupełny zwrot, że muszę się nauczyć żyć według Marka pojęć dobra i zła, zacząć robić wszystkie te rzeczy, których nigdy nie robiłam. Decyzję o byciu z Markiem podjęłam świadomie. Niemal tęskniłam za tą normalnością, za tą prostotą i przewidywalnością. Tęskniłam za uzdrowieniem, wiedziałam, że muszę nadać życiu jakiś zwrot, żeby nie paść całkowicie ofiarą własnej labilności.

Spotkanie Marka było spotkaniem zesłanym mi przez los, miałam na nie nadzieję w skrytości ducha; Mark był moją latarnią morską we mgle i drogowskazem do prawdziwego życia.

Mark przyjął do wiadomości wszystko, co na początku naszego związku opowiedziałam mu jako prawdę o sobie i swojej rodzinie – najpierw z wahaniem i przepuszczając fakty przez filtr, zawsze odrobinę je naprostowując. Ivo też był częścią mojej opowieści, a jakże, od czasu do czasu pozwalałam mu odegrać pewną rolę, bacząc, żeby nie mówić o nim zbyt często.

Dopiero potem zdradziłam Markowi, że dzieliłam przeszłość z mężczyzną, z którym wychowywałam się jak z własnym bratem; że w swoim związku przekraczaliśmy wszelkie możliwe granice. Powiedziałam Markowi, że chcę o tym wszystkim zapomnieć, że z wdzięcznością przyjmuję jego pomoc. Kiwnął głową i pocałował mnie w przegub dłoni. Pełen zrozumienia. Wspaniałomyślny.

Kiedy w którymś momencie zapytał mnie, dlaczego właściwie rozstałam się z Ivo, odparłam wymijająco, że okazaliśmy się niezbyt zdrową mieszanką, że nie zawsze dobrze na siebie wpływaliśmy. Powiedziałam też, że na dłuższą metę było dla mnie niemożliwe walczyć z rodziną i tymi wszystkimi ludźmi, którzy niekoniecznie pochwalali nasz związek. Wtedy też kiwnął głową. Pewnego dnia, kiedy Theo był już na świecie, w chwili słabości wypsnęło mi się, dlaczego Ivo wszedł do naszej rodziny, a oczy Marka zwilgotniały nawet, gdy w pewną wietrzną noc dowiedział się w łóżku o historii rodziców Ivo.

Tylko jeden jedyny raz zapytał mnie, czy moje uzależnienie od Ivo może mieć też związek z seksem. Spojrzałam na niego i lekko pocałowałam go w usta. Wzruszyła mnie jego próba zgłębienia otchłani między Ivo i mną. Powiedziałam, że jak najbardziej, powody są również natury fizycznej. Tak, fizycznej też, powiedziałam. Dodałam, że to nie to, co myśli.

– A co myślenie? – zapytał i spojrzał na mnie nieufnie.

– Myślenie, że ty myślisz, że on był lepszy od ciebie.

– A był?

– To nie to. Nie to miałam na myśli. Nie o to chodzi.

– No więc był lepszy?

– Nie, nie był. Po prostu z nim było inaczej. Ja też byłam inna.

– Jak inaczej?

Seks był dla Marka płaszczyzną rozmowy o Marku i o mnie, płaszczyzną dostępną dla

niego, zrozumiała, a tym samym także zmienną.

– No, po prostu inaczej.

– W jaki sposób?

Zdziwiło mnie jego zainteresowanie. Jechaliśmy samochodem na przyjęcie do jego znajomych i panowała swobodna atmosfera późnego sobotniego popołudnia.

– Był gwałtowniejszy, ponaglący, o wiele mniej romantyczny. To nie sprawiało mi przyjemności, jeśli chcesz wiedzieć. Zadawaliśmy sobie ból. Bardzo często zadawaliśmy sobie duży ból.

Potem milczał przez chwilę, wyglądał, jakby przeżuwał swoje myśli. Raptem zapytał, skupiając się na drodze przed sobą:

– A więc ja jestem rozlazły, romantyczny i moja namiętność nie jest taka nagląca?

– Ach, Mark, skończ z tymi bzdurami. Jesteś moim mężem. O ile wiem, nie mamy żadnych problemów w łóżku, prawda?

– Też mi się tak zdawało do tej pory.

– Więc to byłoby załatwione.

Nie wróciliśmy już do tamtej rozmowy, ale przypominam sobie, że tę noc u jego przyjaciół spędziliśmy w domu za miastem i że dużo piliśmy, a potem uprawialiśmy seks w mikroskopijnym pokoiku na strychu, Mark zaś ponaglił mnie do tego w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu; że było mi strasznie nieprzyjemnie, bo Mark zachowywał się niezwykle głośno, a łóżko wydawało prowokujące odgłosy. Zdawało się jednak, że on właśnie tego chce; zdawało się, że chce wszystkim, a zwłaszcza mnie udowodnić, iż jest najzupełniej zdolny do zachowania w sposób niepoahamowany, bezwzględny i naglący.

W ciągu naszych siedmiu wspólnych lat zdradziłam Marka tylko jeden jedyny raz. I powiedziałam mu o tym dwa miesiące później.

Stało się to w czasie podróży do Londynu, dokąd wybrałam się zbierać materiały do reportażu. Towarzyszący nam fotograf, wolny strzelec, okazał się mężczyzną, który przypominał mi o czymś, co mi gdzieś umknęło. Przystojny, ciemnowłosy facet w brudnych kowbojkach. Notorycznie drapał się po rękach, pachniał ostrą wodą po goleniu i nikotyną i jak ja miał poobgryzane paznokcie. Był bardzo profesjonalny i ściśle trzymał się ustaleń. Skończyliśmy pracę wcześniej, niż planowaliśmy, i wyszliśmy do miasta. W jakimś pubie przesiedzieliśmy do drugiej w nocy, opowiadając sobie o pracy, a potem o naszych związkach.

W końcu wróciliśmy spacerem do hotelu przez zasypany śniegiem Londyn. W holu zapytał mnie, czy może pójść do mnie na drinka.

Przez kilka następnych dni nie mogłam prawie uwierzyć, że spałam z tym facetem, ale on nie dał nic po sobie poznać, i kiedy znowu wylądowaliśmy w Hamburgu, objęliśmy się tylko przelotnie na pożegnanie. Dopiero wtedy stało się dla mnie jasne, że zdradziłam męża, zdradziłam go w jego rozumieniu dobra i zła, i że muszę mu o tym powiedzieć. Mark nawrzeszczał na mnie, kiedy mu to wyznałam, biegał wściekły po pokoju w tę i w tę. To był dla niego szok, nigdy by się po mnie nie spodziewał czegoś takiego.

Przesiedział tydzień u przyjaciół. Najpierw w ogóle nie chciał ze mną rozmawiać i na wszystkie możliwe sposoby wypominał mi, jak bardzo jestem winna, karał mnie. Jeszcze całe miesiące później przypominał mi stale o tym występku i swojej wyższości nade mną – wyższości przebaczącego. Tygodniami musiałam ustępować, kiedy on wybierał restaurację, do której mieliśmy pójść; tygodniami to on decydował, jaki film będziemy oglądać, tygodniami nie miałam najmniejszego prawa do sprzeciwu. Dostosowywałam się, wiedząc, że wypadając z jego systemu, sama dałam mu prawo do karania mnie. Bo to był system – tak to sobie wtedy wyobrażałam – który miał mnie uwolnić od moich błędów, od mojej humorzastości, od poszukiwań, zmierzających w tak bardzo niewłaściwym kierunku.

Ale teraz było inaczej i widziałam w jego spojrzeniu, że on też to rozumie. Palłam, co go prowokowało, ponieważ był wojującym wrogiem palenia i uważał je za słabość typową dla ludzi pozbawionych silnej woli.

– Co to ma znaczyć, Stello? – syknął i położył dłonie płasko na barku.

– Mam ochotę sobie zapalić.

– Aha. Kolejna nowina. A co ci tam jeszcze zostało na składzie? No, dalej, mów, słucham. Poświęcę ten dzień tylko tobie, mojej żonie, która nie wraca na noc do domu i bzyka się za moimi plecami. W dodatku z mężczyzną, który jest jej bratem. To chyba przecież jasne, że dla czegoś takiego warto wziąć wolny dzień. Theo zostanie dziś u moich rodziców. Nie mogę narażać go na chlejącego ojca i palącą matkę.

Sarkazm w jego głosie był aż nadto wyraźny. Mark wpadał w ton swojego ojca zawsze, kiedy miał wszystkiego dosyć, kiedy nie miał już siły i nie panował nad nerwami. Zdawało się, że w ułamku sekundy wszystkie jego pojednawcze gesty i wyrozumiałe spojrzenia zamieniły się w pogardliwe, obsceniczne uwagi. Kręcił się nerwowo na stołku barowym i patrzył na mnie, jakbym napawała go wstrętem.

– Nie potrafię ci tego wytłumaczyć, Mark. I nie mogę ani nie chcę zachowywać się tak, jak może teraz tego ode mnie oczekujesz. Wiem, jaka jest stawka, może nie jestem jeszcze tego w pełni świadoma, ale umiem to sobie wyobrazić, i wierz mi, że straszliwie się boję. Musimy znaleźć jakieś rozwiązanie.

Wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami. Szykował się na solidną awanturę, na to, że będziemy na siebie krzyczeć, że będziemy ranić się nawzajem słowami, może potem oboje płakać. Ale oczekiwał, że się przyznam, przyznam, że źle postąpiłam. Nie zachował w pamięci nic z tego, o czym mówiłam mu ostatniej nocy, liczył się tylko mój potworny błąd.

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, co ty w ogóle wyprawiasz? Kompletnie oszalałaś? O czym ty, do cholery, mówisz? – ryknął i podniósł się. Ruszył w moją stronę, a kiedy spróbowałam się odwrócić, przytrzymał mnie mocno za łokieć i przyciągnął do siebie gwałtownie. Mierzylismy się wzrokiem i znowu zwątpiłam w swoją siłę, wolę, w to, że potrafię znieść wszystko, co jeszcze nadejdzie. Ale coś we mnie miotało się, krzyczało, wirowało. Coś we mnie krzyczało, domagając się życia. Coś we mnie tęskniło za chaosem, za uczuciem spadania, za jasnością, która nastąpi, kiedy już przeżyję tę burzę. Strach szarpał mnie, dziobał mi skórę i pozbawiał tchu. Byłam blisko, jeszcze chwila, a padłabym Markowi w ramiona i błagała o przebaczenie.

Może nawet bym to zrobiła, gdyby w tym momencie nie zamachnął się dłonią i nie wymierzył mi policzka. Nigdy wcześniej mnie nie uderzył. Stało się to tak niespodziewanie, że zatoczyłam się do tyłu, straciłam równowagę i rąbnęłam w kant stołu. Kant wciął mi się w plecy, a ja nie poczułam najmniejszego bólu.

Przerażony swoim postępowaniem zrobił kilka kroków do tyłu i ukrył twarz w dłoniach. Odwróciłam się, oparłam o stół, palił mnie lewy policzek, ale poza tym nic nie czułam.

Mój wzrok padł na paterę z owocami i marchewkę, którą przyniósł Theo, wyschniętą, lekko zbrązowiałą i pokrzywioną. Leżała na świeżych owocach, które Mark zawsze kupował u Turka za rogiem. Kompletnie nie na miejscu, tkwiła tak wśród tych wszystkich wspaniałych, pięknych okazów i samą swoją obecnością zdawała się pozbawiać je kolorów, smaku, blasku.

Coś w tym widoku zafascynowało mnie: dlaczego Theo zachował tę marchewkę i dlaczego tak długo już tu leży? Jakże ma znaczenie?

– Czemu nie wyrzuciliśmy tej marchewki? – zapytałam Marka, spojrzawszy na niego. Stał przede mną blady i zawstydzony. Nie rozumiał, co powiedziałam.

– Przepraszam – wyszeptał, zamiast odpowiedzieć na moje pytanie.

– Nie musisz przepraszać. Nie jestem na ciebie zła. – Nalałam sobie szklankę wody i chciwie wypiałam. Palenie policzka nieco ustąpiło.

Jak żyje się bez zadrapań? Jak się żyje, nie kalecząc się notorycznie o siebie samego, o swoje pragnienia i swoje własne kanty?

Zastanawiam się, czy w ogóle możliwe jest kiedykolwiek spotkanie z sobą samym – szczerym, stanowiącym jedność, kompletnym? Spojrzeć na siebie jak na odbicie w lustrze i nie mieć już żadnych pytań, które pozostają bez odpowiedzi. Tak jak zawsze patrzyłam na twoją twarz i myślałam, że odnajdę w niej siebie. Ale się myliłam.

Być częścią ciebie nie znaczy być tobą. Od bycia częścią mnie jeszcze bardzo ci daleko do

bycia mną.

Zastanawiam się, czy mogłam temu wszystkiemu zapobiec, i wyjmuję twoje zdjęcie z torebki. Twoje zdjęcie z czasów, kiedy jeszcze ty byłeś tobą, a ja mną. Kiedy jeszcze chodziłeś ze mną popływać i walczyłeś z tęsknotą do mnie.

Zawsze to rozumiałam. Zawsze rozumiałam, dlaczego tak długo nie mogłeś pozwolić na to, by widzieć we mnie część siebie.

Zawsze z tym walczyłeś, a ja wciąż na nowo ci się narzucałam, tak długo, że w końcu nie miałeś wyboru, musiałeś zacząć nosić w sobie mnie całą, niepodzieloną, nierozbitą na okruchy.

Zostało wiele pytań, na które nie znam odpowiedzi, ale wiem, że mogę ich sobie udzielić tylko sama. I w jakiś sposób teraz jest łatwiej, bo nie muszę gonić za tobą po całym świecie w nadziei, że tylko ty potrafisz mi wszystko wytłumaczyć. Tak, to mnie wyzwala w jakiś nienaturalny, przerażający sposób.

– Co chcesz teraz zrobić, Stello?

To było pierwsze konstruktywne zdanie, jakie Mark skierował do mnie tego dnia. Znowu siedział na stołku barowym, opierając twarz na dłoniach. On też gapił się na marchewkę.

– Nie wiem. Będę musiała się tego dowiedzieć. Wszystko wydaje się takie puste.

– Co z Theo? Co się z nami stanie, do cholery? Czy nie widzisz, do czego to wszystko prowadzi?

Słyszałam rozpacz w jego głosie i najchętniej bym go wzięła w objęcia i obiecała, że wszystko będzie dobrze, że musi tylko dać mi trochę czasu. Lecz znowu byłoby to kłamstwo, obietnica, której nie mogłabym dotrzymać. Usiadłam na stołku obok niego.

– Jak mam kochać, jak mam być dla ciebie żoną, matką dla Theo, kiedy nie wiem, kim jestem, Mark?

– A więc wystarczy, że on pojawia się znów po siedmiu latach, żebyś rzuciła wszystko w diabły? Po prostu wszystko, Stello! Pieprzysz się z nim i opowiesz mi coś o poszukiwaniu samej siebie?

– Nie chodzi o seks.

– W takim razie dlaczego z nim spałaś?

– Bo może miałam nadzieję, że w ten sposób będę mogła coś sobie przypomnieć.

– To wszystko brzmi chorobliwie. Wiesz o tym?

Mimowolnie zaczęłam się zastanawiać, czy Mark kiedykolwiek mnie zdradził.

– Nie oczekuję od ciebie zrozumienia, Mark. Najzupełniej zdaję sobie sprawę, że niczego już nie mogę cofnąć.

– Co on z tobą zrobił? To przecież chory facet. Nawet twoja rodzina go wyrzuciła, taki jest chory. Później po prostu sobie znika, a ty masz cholernie dobre życie, naprawdę dobre życie! I nagle stajesz przede mną i oznajmiasz z absolutną powagą, że się z nim bzykasz po to, żeby sobie przypomnieć. O czym chcesz sobie przypomnieć, do jasnej cholery?

– Posłuchaj! To, dlaczego tak się działo z Ivo, dlaczego jest, jaki jest, dlaczego poszedł drogą, którą poszedł, to wszystko moja wina. Właśnie z mojego powodu podejmował takie, a nie inne decyzje. Jest bardzo nieszczęśliwym człowiekiem.

– Nieszczęśliwym? Stello, naprawdę się staram, ale to przekracza wszelkie wyobrażalne granice! Nieszczęśliwy! A co się stanie z naszym synem? Będzie szczęśliwy, jak zaczniesz się pieprzyć z tamtym?

– Mówiłam ci, że nie o to chodzi! – wrzasnęłam, a mój głos wprawił w drzenie przestrzeń wokół nas. Mark otworzył lekko usta, jakby chciał coś odpowiedzieć, ale w końcu tylko pokręcił głową. – Nie w tym rzecz. Ale jak mam ci to wytłumaczyć? Mark, proszę. Wiem, że to strasznie brzmi, ale ja czuję się winna. Nie chcę Ivo udzielać żadnej pomocy humanitarnej. Nie chodzi też o karę. Przez bardzo długi czas wypierałam się całego mnóstwa rzeczy, a w zaprzeczeniu coraz bardziej się zapomina. Chodzi o mnie, tylko o mnie, proszę, zrozum to. Ivo jest człowiekiem, który mnie zna, wie o mnie prawie wszystko, nawet rzeczy, o których zapomniałam. I dokładnie tak samo ja o nim. Nie sądzę, żebyśmy byli zdolni się kochać, nie chcę tego. Chodzi tylko o to, że się nawzajem potrzebujemy. Próbowaliśmy...

Przy słowie „kochać” Mark wstał, znowu pokręcił głową i zniknął w sypialni.

Poszłam za nim i dalej mu wszystko tłumaczyłam – to była moja ostatnia szansa na wyjaśnienia. Zaczął zbierać swoje rzeczy i pakować je do sportowej torby.

Nadal robił to bez słowa, zupełnie mnie ignorując. Kiedy do niego podeszłam, odtrącił mnie łokciem, a gdy stanęłam między nim a szafą, odepchnął mnie. Dopiero w przedpokoju stanął przede mną i spojrzał mi surowo w oczy.

– Nie mam ochoty słuchać tego chorego bełkotu. Daję ci kilka dni, Stello. Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. Przemyśl sobie to wszystko. Nie dostaniesz drugiej ani trzeciej szansy. Zostawię Theo u moich rodziców, a ty mi obiecasz, że się tam nie zjawisz. Powiem mu, że jesteś chora i musisz trochę pobyć sama. Jasne, Stello? Słyszałaś, co powiedziałem? Zadzwoń do mnie, proszę, dopiero kiedy się zdecydujesz. A jeśli nie potrafisz poradzić sobie z całym tym paszтетem, nie będziesz mogła sobie tak po prostu zatrzymać Theo. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Chciałam coś odpowiedzieć, ale on już otworzył drzwi i zniknął na klatce schodowej. Dochodziło do mnie tylko echo jego kroków. Stojąc w otwartych drzwiach, usłyszałam odgłos uruchamianego silnika i odjeżdżającego samochodu.

Leo wrzeszczał na mnie przez telefon. Pytał, co też mi przyszło do głowy, żeby kazać praktykantce pisać mój artykuł, to brak szacunku wobec niego i naszych sponsorów. A kiedy tak sztorcował mnie na całe gardło, pomyślałam, że krzyk stał się w ostatnich dniach stałym elementem mojej komunikacji z ludźmi i pozostanie nim też pewnie w bliżej nieokreślonej przyszłości.

– Leo, naprawdę bardzo mi przykro, jeśli masz mieć przeze mnie nieprzyjemności.

Próbowałam go udobruchać.

– Nieprzyjemności? O czym ty mówisz, Stello? Oczekuję cię w środę punktualnie o dziesiątej w moim biurze! – szczechnął do telefonu i rozłączył się.

Znowu się zaczęło: trzaskano drzwiami, odpychano mnie, rzucono słuchawkami, zanim rozmowa się skończyła. „Trędowatość ekstremum”, powiedział kiedyś Ivo. Musiałam uśmiechnąć się mimo woli.

Całe przedpołudnie spędziłam w łóżku i płakałam. Był poniedziałek. Dziadkowie zawieźli Theo do szkoły; Mark na pewno siedział w studiu. Miałam czarne cienie pod oczami i lało mi się z nosa.

Na podłodze stała do połowy opróżniona butelka ginu, a obok mnie leżały papierosy. Zadzwoiła komórka. Gapiłam się w sufit. W salonie sprzęt grał *La Traviatę*, płytę starą jak świat, którą dostałam w prezencie od Tulji. Nie miałam pojęcia o operach, ale zdawało się, że moje cierpienie potrzebuje akurat takiej właśnie pompatyczności. Komórka dzwoniła nieubłaganie. Nie znałam tego numeru.

– Stella?

Przyłożyłam srebrny, zimny telefon do ucha i milczałam. Dzwonił Frank.

– Co się dzieje?

– Nic.

– Daj spokój. Chciałbym się z tobą zobaczyć. Jestem w pobliżu, będziesz jeszcze chwilę w domu?

– Nie.

– Daj spokój. Poczekaj na mnie. Okay? Będę za dziesięć minut.

Usiadłam gwałtownie. Dlaczego nie zostawią mnie w spokoju?

Zdażyłam umyć sobie twarz i wsmarować w nią odrobinę kremu, kiedy zadzwonił dzwonek. Ukryłam butelkę z ginem, zaczerpnęłam głęboko powietrza i nacisnęłam przycisk domofonu.

Brama na dole otworzyła się i po chwili usłyszałam ciężkie kroki ojca i jego równie ciężki oddech.

Poszłam do kuchni i nastawiłam kawę. Frank wszedł do środka, rzucił płaszcz przeciwdeszczowy na podłogę i usiadł na kanapie – jedynym miejscu, gdzie jeszcze mógł się zmieścić.

– Gdzie Theo?

– W szkole.

– Mark odszedł?

– Tato, co ma znaczyć to pytanie? Jest w studiu.

– Wyprowadził się?

– Co? Skąd ten pomysł?

– Nie widziałem jego adidasów w przedpokoju.

Wieczorami Mark prawie codziennie chodził pobiegać.

– Czemu tu jesteś?

– Widziałem się wczoraj z Ivo.

– I dlatego przyszedłeś?

– Stello, jestem twoim ojcem. Chcę być przy tobie bez względu na to, przez co akurat

przechodzisz, ale musisz wiedzieć, co robisz. Napiłbym się espresso. Znów zaczęłaś palić?

Odkrył do połowy zapełnioną popielniczkę na zlewie.

Uciekłam w krzątaninę i postawiłam dwa talerzyki na stole kuchennym. Marchewka nadal leżała na swoim miejscu, nie miałam odwagi jej wyrzucić. Wyjęłam ją z patery i teraz tkwiła na stole, wyglądając jeszcze żałośniej. Ojciec nie spuszczał ze mnie swoich głęboko osadzonych oczu, wprawiając mnie tym w zakłopotanie.

Podalam mu małą filiżankę i położyłam na talerzyku kawałek sernika – ciasta, które Mark przyniósł dla Theo, dla swojego syna, który zasłużył na coś słodkiego po treningu. Ja nigdy nie myślałam o takich rzeczach.

Każdy przedmiot w tym mieszkaniu zdawał się przypominać mi o sprawach, o których zapomniałam: świeże owoce, świeże warzywa. Wszystko wydawało się takie spokojne, takie niepokojąco doskonałe. Wypolerowane kafelki na podłodze, gazety obok kanapy porządnie poukładane w stosy, wyprasowane koszule na stołku, pozmywane filiżanki. A w samym środku ja, która wszystko psułam i zdawałam się chcieć to wszystko rzucić w ką, nie dostrzegając całego wysiłku tkwiącego w tych wszystkich szczegółach; ja, wyrodna matka, żona, która po rozmowie z mężem jedzie pijana do innego mężczyzny do taniej nory i śpi z nim; dziennikarka, która nie wykonuje swojej pracy; mówiąca o rzeczach, których nikt nie rozumie i które nikogo nie obchodzą.

Jakże łatwo było mnie osądzać.

Frank dmuchał w gorącą, ciemną ciecz w swojej filiżance. Siedział tak, stary basza, mężczyzna, który przez te wszystkie lata nie zająknął się nawet jednym słówkiem na temat tamtego popołudnia; który odkupił winę, oczyścił sumienie przez to, że wziął do siebie chłopca, żeby potem przekazać go swojej ciotce. Który utopił winę w whisky i szukał zapomnienia na kobiecych łonach. Ten mężczyzna ukradł nam dzieciństwo.

Gołąb przysiadł na balkonie i zagruchał. Świat na zewnątrz żył i wystawiał się ku słońcu, podczas gdy ja chowałam się przed nim.

– Tato?

Spojrzałam na niego i na chwilę zawiesiłam głos. Zastanawiałam się, czy powinnam powiedzieć to, co chcę. W końcu podjęłam:

– Czy ty w ogóle rozumiesz, co się dzieje? Co się działo przez cały czas? Co się działo z Ivo i ze mną? Co ty myślisz? Chciałabym wiedzieć, co myślałeś przez cały ten czas?

– A więc o to chodzi? Chodzi o mnie?

– O ciebie? O ciebie? Nie, chodzi o nas wszystkich, czy tego chcemy, czy nie, jesteśmy ze sobą powiązani jak cholerne psy pociągowe.

– Stello, chodź, usiądź przy mnie. Nie wyglądasz dobrze, o nie. I to bardzo źle, że teraz znów zaczynasz z tym wszystkim. Jasne, to wszystko musiało zacząć się od początku po jego powrocie. Ivo inaczej nie potrafi. Mogę go nawet zrozumieć. On to przetrwa, tak czy inaczej. Ale ty nie jesteś taka, ty tego nie wytrzymasz, na końcu obudzisz się, rozejrzysz i stwierdzisz, że siedzisz na ruinach. Tak jak wtedy. Tyle że wtedy przyszedł Mark i wyprowadził cię na prostą, a tym razem już nie przyjdzie.

Spojrzałam na niego dotknięta tymi słowami, zastanawiając się, jak on może tak sobie spokojnie siedzieć i gadać, jakby nie miał z tym wszystkim zupełnie nic wspólnego. Niecierpliwie klepał wnętrzem dłoni w kanapę, oczekiwał, że usiądę obok. Myśl o tym wydawała mi się nieznośna. Usiadłam naprzeciwko niego na stołku.

– Stello, jesteś żoną, masz rodzinę, jesteś matką, więc weźże się w garść!

Podniósł głos, a ja nie mogłam nic na to poradzić, że jego głos, taki donośny i lodowaty, nadal budził we mnie strach.

– Nie wolno ci powtarzać błędów matki!

Usłyszawszy to zdanie, skoczyłam na równe nogi i zbliżyłam się do niego. Stałam przed nim i spojrzałam na niego z góry. Strach nagle zupełnie się ulotnił.

– Matki? Błędy matki? A kto, proszę, wszystko jej odebrał? Dlaczego nie porozmawiamy raz o tym dla odmiany? Odważyła się ponownie zjawić w Niemczech dopiero po śmierci swoich rodziców, taka była wykończona! A ty mówisz o jej błędach?

Głos mi drżał, ale walczyłam, żeby jakoś się opanować, nie chciałam przy nim płakać, nie teraz. Miałam sucho w ustach i drapało mnie w krtani. Potrafiłam gorącą kawę i poczułam dławienie w gardle.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytał prawie szeptem.

– Proszę cię! Jakbyś o tym nie wiedział. – Zwróciłam wzrok na ojca i wytrzymałam jego spojrzenie. Miał szarozielone oczy i ciężkie powieki żółtawia, mądre i zmęczone życiem oczy, które już wszystko widziały i nie spodziewały się niczego więcej. Ogarnęło mnie współczucie, ale stłumiłam ten odruch; teraz nie mogłam sobie na to pozwolić.

– Potrzebowałam Ivo, potrzebowałam go ze względu na siebie, a chcesz wiedzieć dlaczego? Żeby w ogóle wiedzieć, kim jestem. Po tym, co było, po tym, co zrobiliśmy. Potrzebowałam go, bo wyglądało na to, że on całe to bagno zostawił za sobą. Przynajmniej wtedy tak mi się zdawało.

– Ale tak nie jest, Stello, próbowałam ci to wytłumaczyć przez te wszystkie lata. To jednocześnie jego samoobrona i pięta Achillesa. Dlaczego tego nie widzisz?

– Widzę. Teraz widzę. Mimo wszystko potrafiłam z nim być szczęśliwa. Tak czy inaczej.

– Te wszystkie historie z narkotykami, te wszystkie przepychanki, ataki agresji, dwoje zagubionych, głęboko nieszczęśliwych ludzi... co w tym wszystkim cię uszczęśliwiało?

– Uczucie, jakie mi dawał.

– A co takiego ci dawał? Co, na litość boską, było tyle warte, że niszczysz wszystko, po prostu wszystko wokół siebie?

– Nie mogę tak dalej.

Odwrociłam się na pięcie i wyszłam na balkon, żeby nie wybuchnąć płaczem. Przez chwilę siedział jeszcze na kanapie, potem dołączył do mnie. Gołąb już odfrunął, a wiosenne słońce ogrzewało mi twarz i ramiona. W słońcu zobaczyłam, jaką mam bladą skórę. Gdzieś daleko rozległo się bicie dzwonów, w porcie zawyły syreny statku. Ojciec stanął koło mnie, oparł się o barierkę i dotknął łokciem mojego łokcia.

Poczułam bolesną tęsknotę do Theo, do jego miękkiego ciała, spoconego po treningu; do jego lepkich paluszków, wilgotnych ust, gęstych kręconych włosów, przez które można było tak łatwo przejechać palcami.

– Ivo wkrótce wyjedzie. Zbiera materiały do jakiegoś dużego reportażu. Musi jechać na Wschód.

Wzdrygnęłam się. W całym tym zamieszaniu zapomniałam o prostych faktach: Ivo ma swoje życie, musi załatwiać sprawy, nadal funkcjonuje we własnym świecie.

To ja przestałam mieć normalne życie. On został w swoim uniwersum i zaprosił mnie tam – nie miał najmniejszego zamiaru z niego zrezygnować. Owo nagle odkrycie rozwścieczyło mnie. Ivo nie zbaczał ani na krok z drogi, tylko na chwilę robił mały wypad: do mnie, do miasta, do rodziny. Wkrótce znów opuści mnie, nas, miasto.

To *ja* będę musiała zrezygnować. To ja będę musiała zostawić za sobą wszystko, po prostu wszystko, i odejść. Naprawdę odejść. Myśli staną się rzeczywistością, a słowa będą tworzyć nowe miejsca.

Ivo zawsze żył życiem nomadów, współpracował jako wolny strzelec z dużą gazetą i stacją telewizyjną, robiąc reportaże z najważniejszych miejsc na całym świecie. Ich nazwy miały magiczne brzmienie, ale wymykały się mojej wyobraźni.

Teraz poczułam dziwną lekkość, ulgę: znowu zobaczę Theo, wkrótce zapomnę o tym wszystkim i wrócę do dawnego życia, wszystko inne było nie do pomyślenia; mogłam przegadywać z Ivo całe noce, mogłam z nim spać. Ale odejść byłam zdolna tylko w myślach, w rzeczywistości nie potrafiłabym opuścić Hamburga, syna, męża.

Bardzo prędko zresztą postarałam się o odpowiednie argumenty: skąd miałabym wziąć pieniądze? Wprawdzie całkiem niezłe zarabiałam na współpracy z gazetą, ale to by nigdy nie wystarczyło na życie, nie mówiąc już o utrzymaniu poziomu, do jakiego byłam przyzwyczajona. Wielkie luksusy miałam dzięki Markowi. Gdybym wyjechała z Hamburga nie wiadomo na jak długo, musiałabym zrezygnować z pracy. Musiałabym skazać się na podwójną zależność od Ivo, a myśl o tym sprawiła, że moja nagła tęsknota przeszła jak ręką odjął.

– Jakie materiały? – zwróciłam się z pytaniem do ojca i niemal wybuchnęłam śmiechem: wyglądało na to, że wszystko się wyjaśnia, żadne z pytań nie wołało już o odpowiedź. Patrząc na sprawę logicznie i racjonalnie, wiedziałam, że wszelkie szanse, by jechać za Ivo, zostały zduszone w zarodku. Poczułam impuls, żeby rzucić się ojcu na szyję z podziękowaniem – za to, że uratował mnie przed moim własnym szaleństwem.

– Na Kaukazie. Robi reportaż o jakimś muzyku, uchodźcy politycznym. Jest bardzo zapalony do tej sprawy, podobno wpadł na trop czegoś wielkiego.

– I co jeszcze opowiadał?

– Och, różne rzeczy. O Ameryce. O Gesi.

– Co powiedział?

– Sama go spytaj. Na pewno częściej go widzisz.

– O co ci chodzi?

– Nie mam pojęcia. Spójrz na siebie. Kompletnie ci odbiło. Myślisz, że po prostu możesz wszystko rzucić i wrócić do tej starej historii. I nie widzisz przy tym, jak kolosalny błąd popełniasz.

Mówił głosem spokojnym i pewnym siebie. Zupełnie tak samo jak tamtego dnia, kiedy zsiadł z roweru i zapewnił mnie, że zawsze będzie nas kochać i nigdy nie odejdzie. Po to, bym nadal dla niego kłamała, żeby wszystko było dobrze. Żeby nic nie wymknęło się spod kontroli. Milczałam, wsłuchana w bicie kościelnych dzwonów, które niósł wiatr, jakby chciał zatrzymać echo.

Ojciec już nic więcej nie powiedział. Zapaliwszy papierosa, zapatrzył się w dal. Staliśmy tak zatopieni w myślach i milczący. Milczenie zdawało się zawsze skuteczną ochroną przed kantami, wrzynającymi się nam w kręgosłup.

– Kochałeś ją? – zapytałam, kładąc dłoń na przegubie jego ręki.

– Kogo?

– Gesi.

– Co za pytanie? Jest waszą matką!

– Ale czy ją kochałeś? I od kiedy już jej nie kochałeś? Pytanie nie ma przecież związku z tym, czy jest naszą matką, czy nie.

– Oczywiście, że ją kochałem, z jakiego innego powodu chciałbym mieć z jakąś kobietą dzieci?

– Ale ją opuściłeś. Odszedłeś od niej. Chodzi mi o to, że opuściłeś ją na długo przedtem, zanim to wszystko się stało.

– Oboje się zmieniliśmy. Nie mieliśmy ze sobą już nic wspólnego.

– A Emma miała z tobą wiele wspólnego?

To imię, jak mi się zdawało, było zapomniane już od wieków. Nigdy go nie wymawiano, jak w pogańskich plemionach nie wymawia się imienia boga wojny. Natychmiast zobaczyłam przed oczami niską, chudą kobietę w nylonowych pończochach i z kokardami we włosach.

– Nie – powiedział ojciec ostrzejszym tonem.

– To dlaczego byłeś z nią tak długo?

– Co mają znaczyć te pytania, Stello? Zachowujesz się dziecinnie! Chodzi o to, że to ty robisz rzeczy, których nie powinnaś robić. Moja przeszłość nie ma w tej chwili znaczenia.

– To także moja przeszłość, do cholery!

Pokręcił głową, a słońce na chwilę go oślepiło. Nie mogłam oderwać wzroku od ojca. Zazwyczaj pił pierwszą whisky albo wino około południa. Teraz było krótko po dwunastej. Wytrzymał. Dla mnie. Dla mojej przyszłości, która powinna – z łaski swojej – przebiegać normalnie i rozsądnie. Rozsądnie. Jak gdyby życie któregokolwiek z Tissmarów w ogóle mogło być rozsądne.

– A więc dlaczego? – naciskałam, wiedząc, że on może się odwrócić na pięcie i wymaszerować z mieszkania, jak zrobił to Mark. Ale jednak to wytrzymał. Wprawdzie nie patrzył na mnie, ale czułam, że jest tu całkowicie, wraz ze swoimi myślami i popędami.

– Była cudowną kobietą – szepnął, a jego ton złagodniał, zniknął żal w głosie.

– Co ci dawała?

– Co mi dawała? Uczucie, że jestem niezastąpiony?

– A mama nie potrafiła ci go dać?

– Ach, Stello. Te pytania. To nie takie proste. Próbowaliśmy. Oboje próbowaliśmy. Spędziliśmy ze sobą wiele lat, ale w którymś momencie już się po prostu nie dało.

– A Emma? Jaka była?

– Przecież ją pamiętasz.

– Tak. Pamiętam, jak wyglądała, jakim głosem mówiła i jakie nosiła ubrania. Ale jej nie znałam. Zawsze była taka nieobecna, jakby nie martwiła się o nic na świecie.

– Tak ją odbierałaś?

– Mniej więcej.

– Była bardzo namiętna, jeśli można tak powiedzieć, chociaż nie dawała tego po sobie poznać. Trzeba było dać jej czas, wpatrzeć się głęboko w jej wnętrze. Z trudem potrafiłem ją rozgryźć. Nie mówiła wiele. Ale kiedy coś powiedziała, najczęściej było to bardzo przemyślane. Na swój sposób była niezwykle mądra.

– Mówiłeś wtedy, że między nami, tobą i mamą, i mną, i Leni nic się nigdy nie zmieni. Pamiętasz ten wieczór, kiedy zatrzymaliśmy się w drodze od Emmy do domu i ja cię zapytałam, czy sobie pójdziesz, a ty powiedziałeś, że nigdy nie zostawiłbyś mamy i nigdy byś nie odszedł?

– Skończmy z tym. Przyszedłem tu, żeby ci powiedzieć, że zrobisz błąd, jeśli znów zaufasz Ivo.

– Zrozumiałam to! Ty naprawdę nie musisz mi tego mówić! Ty doprowadziłeś do tego, że ją zastrzelono.

Posunęłam się za daleko, jego dolna warga drżała, gdy na mnie spojrział. Minął mnie, idąc z powrotem do kuchni, wziął płaszcz. Poszłam za nim.

– Przepraszam.

Dogoniłam ojca i oplotłam jego plecy ramionami, żeby go zatrzymać. Zamknęłam oczy i ukryłam twarz między jego szerokimi barkami. Sprawiał wrażenie takiego silnego, miał na plecach tyle miejsc, w których mogłam się schować – bezpiecznych, ciepłych, przytulnych. Jak wtedy, kiedy przypinał mnie do roweru i ruszał pędem – szybko, znając drogę, tak pewny swego.

Wtedy nie było żadnych wątpliwości.

– Nie miałam tego na myśli – wyszeptalam. Odwrócił się i przytulił mnie do siebie. Uwielbiałam, jak brał mnie w objęcia; wydawało się wtedy, że wszystko inne znika. Spojrział na mnie z góry i pogłaskał miękkimi palcami rosnący mi na czole.

Kochał mnie. Zawsze mnie kochał, a jednak miłość nie wystarczyła. Zdawało się, że nigdy nie ma jej w sam raz. Zawsze było jej albo za dużo, albo za mało.

– Jesteś dla mnie ważna. Może najważniejsza na świecie... i teraz naprawdę boję się o ciebie. Kiedy byłaś mała, zupełnie mała, zawsze byliśmy partnerami. Ty i ja, zespół. Byłem z tego dumny. Gesi czuła się odrobinę zazdrosna, a Leni też do dzisiaj mi wyrzuca, że wolałam ciebie. Ale to nie tak. Nie chodziło o to, kogo wolę. Chodziło o to, że byłaś taka zdecydowana żyć. Że tak dużo chciałaś. Uwielbiałem to w tobie. Ale czasem takie pragnienia są też niedobre. Ivo jest inny. A ja mam to już za sobą. Resztę swoich dni chcę spędzić w spokoju. Wszystko inne jest stratą czasu.

Ojciec poklepał mnie po plecach i pocałował w skroń. Potem uwolnił się z mojego uścisku i wyszedł. Zostałam jak wrośnięta w ziemię, a moje myśli coraz bardziej zamieniały się w papkę.

Jeszcze długo po wyznaniu miłosnym na plaży Ivo mnie ignorował. Skończył szkołę i pojechał do Stanów, do Gesi, kiedy ja nadal pracowałam w wypożyczalni Tulji. Leni wyprowadziła się już trzy lata wcześniej, żeby zacząć studia w Berlinie. Ivo nie odzywał się, nie pisał, nie dzwonił. Gesi mówiła, że zaczął praktyki w jakiejś niewielkiej gazecie.

Poddałam się rozpacz i z przekory postanowiłam nie lecieć w wakacje do Newark. Lato było upalne i nużące. Owady bzycały w ogrodzie, czułam się zmęczona i rozleniwiona, niemrawo jak mucha w smole pomagałam Tulji podlewać kwiaty, robić zakupy, pracować w wypożyczalni łódek. Siedziałam na bosaka na pomoście i patrzyłam daleko w morze. W swoim romantycznym rozplomienieniu miałam nadzieję, że z odległości tych tysięcy kilometrów Ivo poczuje, jaki sprawia mi ból, i zrobi mu się żal. Tak naprawdę była to jednak nadzieja, że wróci i poprosi o przebaczenie,

wyzna mi miłość i będzie o mnie zabiegał.

Żując gumę, z solą we włosach, leżałam godzinami w zatoce i przypatrywałam się statkom w oddali albo czytałam dołujące książki. Tulja wyczuła moją chorobę i wysłała mnie do ojca, do Hamburga. Wtedy mieszkał jeszcze sam w naszym starym domu. Siadywaliśmy razem w ogrodzie i milczeliśmy. Zrobiłam się gburowata, prawie nie odpowiadałam, kiedy mnie o coś pytał, i tylko wzruszałam ramionami. Ojciec kupił mi skuter i jedyną rozrywkę tamtego lata znalazłam w maksymalnej prędkości i łamaniu wszelkich możliwych przepisów drogowych. Aż w końcu staranowałam jakiś drogi samochód na naszej ulicy i wysłali mnie do Berlina, do Leni. Ona właśnie wprowadziła się do pokoju w akademiku i nadrabiała spóźniony okres dojrzewania. Kiedy Gesi zadzwoniła z prośbą, żebym przyleciała do Newark, wymuskiło mi się, że nie mam ochoty widzieć Ivo. Wtedy uderzyli na alarm. Powstała gorąca linia telefoniczna – rodzina odbywała potajemne konferencje. Wypytywali Ivo, wypytawali mnie, ale nie mogli się w tym wszystkim połączyć.

Co się z nami dzieje, czy się pokłóciliśmy, że się tak dziwnie zachowuję? Pytaniom nie było końca. Przypisywali moje zachowanie dziecinnej zazdrości. Znali łańcuchy, które wiązały mnie i Ivo. I pogodzili się z ich istnieniem.

Wrócił pod koniec września. Wyrośnięty dryblas, opalony, w kowbojkach. Nosił czarny plecak i wydawał się taki wolny, taki zadowolony, tak pozazdrosczenia godny, podczas gdy ja wyglądałam jak siedem nieszczęść: w starej bluzie Leni i gumiakach Tulji, z włosami obciętymi na pazia jak dziecko. Czułam się strasznie i zaszyłam się w szopie, jakbym miała tam coś do roboty.

Tego wieczoru ojciec został na kolacji i wszyscy siedzieliśmy na tarasie. Frank pił i opowiadał anegdoty, a potem nagle zaproponowali kieliszek wina także Ivo. Ten przyjął go, jakby to było najzupełniej oczywiste. Po posiłku przeprosiłam i wykrałam się z domu. Słyszałam jeszcze, jak ojciec odjeżdża swoim starym samochodem, a Tulja wyrzeka, że nie powinien prowadzić w takim stanie. Słyszałam wrzaski kotów gdzieś w oddali i muzykę, która zaczęła dochodzić z pokoju Ivo. Obca muzyka, niedostępna dla mnie – przywiózł te nagrania z Ameryki. Pobiełam w stronę pomostu. Pędziłam jak szalona, rzuciłam się na zimny piach i wybuchnęłam spazmatycznym szlochem. Krzyczałam i miotałam się, i oskarżałam świat, który pokazał mi tak okrutne oblicze.

Potem leżałam, paląc papierosa zwędzonego ojcu. Zaczęłam palić z nudów. Wiedziałam, że Tulja nie przyjdzie mnie tu szukać. I tak zostałam tam, trwałam, znosiłam nocny chłód i marzyłam o zapaleniu płuc, żeby ukarać Ivo.

– Więc to tu jesteś.

Stał za mną. Nie słyszałam, jak nadchodzi. Przysiadł się do mnie, a ja się odsunęłam; szczęśliwa, że przyszedł, lecz zarazem niepewna.

– Czego chcesz? – fuknęłam i demonstracyjnie wypuściłam mu dym prosto w twarz.

– Niczego. Przyszedłem do ciebie.

– Po co?

– Bo chciałem cię zobaczyć. Nie widzieliśmy się od tak dawna.

– Aha.

– Nie wierzysz mi?

– Nie.

– Twój pech.

– Pewnie było fajnie u mamy.

– Też mogłaś przyjechać, w końcu to *twoja* matka. Nie chciałem ci zepsuć lata.

– Dlaczego zepsuć, co ty opowiadasz? Cały czas pytają mnie, co się dzieje.

– Nic. Co ma się dziać?

– Zostaw mnie w spokoju.

– Dlaczego taka dla mnie jesteś, Stello?

– Nie jestem *taka*.

– Jesteś.

Milczeliśmy przez chwilę i znowu wszystko wydawało się takie jak dawniej, kiedy spędzaliśmy wieczory nad morzem i znajdowaliśmy nieskończenie wiele przestrzeni na marzenia.

– Stello – zaczął i po raz pierwszy od przyjazdu naprawdę spojrzał mi w oczy. – To, co było, było złe. Chcę, żebyś przestała traktować mnie z taką rezerwą i żebyśmy znowu zostali przyjaciółmi.

Chciałam powrotu do niepewności tego lata, jego ciszy; wszystko zdawało się lepsze niż to, co mi powiedział.

– Nie jestem twoją przyjaciółką... i twoją siostrą też nie jestem.

– Jak chcesz.

Podniósł się urażony.

– Ivo.

Skoczyłam na równe nogi i zebrałam całą swoją odwagę. Stałam przed nim, przewyższałam go o głowę. Czułam się mała i żalosna.

– Nie odchodź więcej.

Przygryzałam kciuk i patrzyłam na niego błagalnie. Jego spojrzenie nic mi nie zdradzało.

Wziął mnie w ramiona i pocałował w skroń, a ten pocałunek zdawał się taki zimny, taki poniżający, że cofnęłam się o krok i zdjęłam rękę z jego talii.

W ciemności rozległ się krzyk mewy.

W kolejnym roku schodziliśmy sobie z drogi. Tulja przyzwyczała się do oschłości, z jaką się traktowaliśmy, i przestała zadawać pytania. Przypisywała to wszystko okresowi dorastania, mojemu uporowi i dumie Ivo.

Ivo coraz częściej zostawał na noc poza domem. Wracał o świcie, a ja nie pamiętam ani jednego ranka, żebym nie leżała przytomna, czekając na niego. Czekałam, że przyprowadzi ze sobą dziewczynę, ale nic takiego się nie stało. Pił, słuchał muzyki i od czasu do czasu palił trawkę z kumplami, którzy wszyscy, co do jednego, byli chamscy i zaniedbani, kompletnie pozbawieni kultury. W każdym razie w porównaniu z Ivo i jego wrodzonym czarem.

Podupadałam. Opuściłam się w szkole i prawie przestałam jeść. Tulja coraz częściej wysyłała mnie do ojca do Hamburga albo on spędzał weekendy w wiosce. Na swój liberalny sposób oboje próbowali na mnie wpłynąć i prawili o dobrych stopniach i szansach zawodowych.

Krzętałam się w szopie, a wieczory spędzałam sama na plaży.

Nawet Leni wtrącała swoje trzy grosze, opowiadając o wspaniałym Berlinie i fantastycznych studiach, żebym tylko znowu zaczęła się więcej uczyć.

Kiedy on skończył szkołę, nikt nie maglował go pytaniami, jak właściwie wyobraża sobie przyszłość. Był pewny swego, rodzina zostawiła go w spokoju. Jak gdyby on nigdy nie mógł popełnić błędu, ponieść porażki.

Jemu pozwalano na wszystko, bo był „inny”.

Pojechał do Kilonii, gdzie w jakimś szpitalu odbywał zastępczą służbę wojskową i mieszkał w brudnej norze z notorycznie palącym trawkę typem o imieniu Alex. Prawie nie mogłam znieść pustki, jaką zionęło z jego pokoju, do którego wchodziłam ciągle potajemnie, jak do świątyni, rozglądając się po nim, szukając śladów Ivo, motoru jego działań. Byłam zazdrosna o każde jego zdjęcie bez mnie, o każde miejsce, na które patrzył bez mnie, o każdego człowieka, któremu poświęcał uwagę.

Od czasu do czasu dzwonił do Tulji, widywaliśmy się na rodzinnych przyjęciach czy w Boże Narodzenie. Zdawał się wtedy coraz przystojniejszy, wyższy, dojrzały, a ja coraz bardziej zwiędnięta i smutna, coraz chudsza i smętniejsza.

Miałam włosy do pasa, a moje paznokcie nie były już poobgryzane do krwi. Skóra nie zdawała się już taka blada, a piersi takie obce mojemu ciału. Jednak to wszystko też nie zmieniało faktu, że nieważne, co robiłam ani za jaką starałam się uchodzić – on sprawiał wrażenie lepszego, ładniejszego, bardziej światowego.

Wszyscy go lubili, jego dowcip, jego pozorną swobodę, buńczuczny sposób bycia i pogodę ducha, gdy tymczasem ja coraz bardziej wyrastałam na problem rodziny, zostawiając za sobą pełno skorup, które jej członkowie musieli po mnie zbierać. Z największym trudem i z ogromnym wysiłkiem zdałam maturę. Wysłali mnie do Newark, do Gesi. Miałam się na nowo odnaleźć, ale matka – zaalarmowana i przerażona – popełniała jeden błąd za drugim, wygłaszając mi codziennie

kazania i przez to oddalając mnie od siebie coraz bardziej.

Snułam się, załatwiałam sobie marihuanę, wiązałam wąskie warkoczyki, którymi oplatałam głowę, i malowałam sobie paznokcie na czarno.

Poznawałam wszystkich możliwych Davidów, Paulów i Josephów, bo codziennie byłam posyłana na jakieś kursy na kampusie. Matka bowiem wbiła sobie do głowy, że musi załatwić mi w New Jersey miejsce na studiach. Nudziłam się, chodziłam z chłopakami na idiotyczne imprezy i wracałam do domu dopiero o świcie. Od czasu do czasu zostawałam na noc u Davida, Paula albo Josepha. Odkryłam, że na jakiś czas można uśmierzyć rozpacz seksem. Ale potem te noce zostawiały po sobie jeszcze większą pustkę i w takie dni obrażona na cały świat nie odzywałam się do nikogo, patrzyłam w jego rybie oczy i czułam jedynie pogardę.

Gesi, James i ja na Florydzie. To też pamiętam. Korzystanie na siłę z rozrywek, które matka dla mnie zorganizowała. Było sucho, ospale i nijako, brakowało życia we wszystkich tych miesiącach.

W końcu wróciłam do Europy i zaszłam się w starych pokojach domu Tulji. Parzyła mi herbatki ziołowe i kładła wilgotne ręczniki na czole, jakby chciała wypędzić z mojego ciała wszystkie demony i wlać we mnie nowe, wspaniałe, silne życie. Żeby krew znowu zaczęła mi krążyć w żyłach, żeby policzki znów nabrały koloru.

Tęskniłam do Ivo i nienawidziłam go za to. Za to, kim się nie stałam, dlatego że on ze mną nie został.

Tamtej jesieni spotkałam Abiego. Abi pochodził z Persji, ale wychowywał się w Hamburgu. Poznaliśmy się w jakiejś kawiarni w St. Pauli, gdzie obrażona na świat siedziałam z nosem w książce. Najpierw działał mi na nerwy, ale potem zaimponował swoją wytrwałością, a jego egzotyczny wygląd działał na mnie pociągająco. Dałam za wygraną i dalej ruszyliśmy razem, pijąc, rozmawiając i śmiejąc się.

Abi studiował języki starożytne i był zapamiętałym fotografem. Zrobił mi mnóstwo zdjęć: w sypialni, w różnych kawiarniach, na jakichś absurdalnych imprezach, na które razem chodziliśmy. Te fotografie uwieczniły najpiękniejsze, najbardziej beztroskie chwile mojej młodości.

Zakochał się we mnie, a ja rozkoszowałam się tym uczuciem. Poczucie, że jestem potrzebna, dało mi znowu tchnienie życia. Wspierana przez swoją zatroskaną rodzinę, wmaszerowałam w życie Abiego.

Miał ciemną skórę, która lśniła jak kocia sierść w świetle księżyca. Był mężczyzną pełnym czułości i niezwykłych, wymyślnych słów.

Wylądowaliśmy w jego małym mieszkanku w dzielnicy Karoviertel, która wtedy właśnie zrobiła się modna wśród artystów i gdzie wszystko krzyczało wyjątkowością.

To był dla mnie nowy świat i pozwoliłam się do niego wprowadzić – sama siebie badając łagodnie, głaszcząc, pieszcząc. Była to jesień pełna obietnic, jesień otwierających się na nowo powiek.

Abi kupował mi świeże croissanty i karmił mnie małymi marynowanymi karczochami. Cytował dla mnie *Pieśń nad pieśniami* i opowiadał, że moje piersi wyglądają jak dwa ciężarne pstrągi, a szyja pachnie cyprysami, ręce są piękne jak ręce egipskich metres, a kolana niewinne. A ja śmiałam się i śmiałam. U każdego innego człowieka takie wypowiedzi byłyby nie do pomyślenia, ale sposób, w jaki on je mówił, wzruszał mnie.

Przez Abiego poznałam mnóstwo ludzi: studentów, wiecznych studentów, artystów i wariatów. Imprezowaliśmy do białego rana, a od czasu do czasu jeździliśmy do Tulji i zostawaliśmy tam na weekend. Tulja natychmiast go zaakceptowała, nie z tak wymuszoną uprzejmością jak ojciec ani tak sceptycznie jak Leni. Kiedy było wystarczająco ciepło, chodziliśmy się kąpać i spaliśmy razem w moim małym łóżku, które skrzypiało i jęczało, narzekając na nasze igraszki miłosne.

Myślę, że w tamtym okresie znalazłam spokój; Abi sprawił, że odzyskałam trochę pewności siebie. Zaczęłam zastanawiać się nad przyszłością i zapisałam się na uniwersytet na anglistykę, literaturoznawstwo porównawcze i historię sztuki. Odkryłam radość. Życia. Po prostu. Z dała od wszystkich wspomnień.

Włosy upinałam w staromodny wysoki kok i malowałam oczy na czarno. Kupowałam sobie berety baskijskie w różnych kolorach. Spodnie zamieniłam na wąskie spódniczki do kolan, które znajdowałam na pchlich targach, i zaczęłam nosić perły Tulji. Czytałam wszystko, co mi wpadło w ręce: Baudelaire'a, Kafkę czy Sylvię Plath.

Abi miał grubego kocura o imieniu Xerxes, brałam go ze sobą na starą kanapę, zawijałam się w gruby koc, kiedy po raz kolejny psuło się ogrzewanie, i znikałam, celebrując czytanie, palenie lucky strike'ów i moją młodość. Kochałam te godziny. Były tak pełne nadziei i obietnic na przyszłość, która wtedy jeszcze smakowała watą cukrową, pieczonymi jabłkami i karuzelą.

Mam jedno takie zdjęcie zrobione przez Abiego: siedzę na kanapie, palę, czytam książkę, a Xerxes wtula mi głowę w kolana. Jestem daleko stąd, a jednocześnie tutaj. Lubię tę fotografię. Wszystko wydaje się na niej nadal otwarte. Jakby były tysiące i miliony wariantów mojego życia, mojego ja, i jakby wystarczyło tylko, że wyciągnę rękę, a zaraz stanę się kimś.

W tamtym okresie odwiedzałam ojca, który coraz częściej zaczął przyprawiać do domu coraz młodsze kobiety. Wtedy pracował jeszcze na pół etatu jako redaktor w pewnym specjalistycznym wydawnictwie, a ja poprosiłam go, żeby załatwił mi tam pracę. Przedstawił mnie szefowi i wkrótce potem przez trzy dni w tygodniu siedziałam w redakcji i porządkowałam książki, robiłam korekty i pisałam recenzje.

Krótko potem sama zaczęłam pisać. Abi miał przyjaciela, Michela, który był politycznie zaangażowanym autorem gazetki studenckiej. Lubiłam go i często się z nim spotykaliśmy, żeby podyskutować o polityce i kulturze.

Pisałam eseje i krótkie notatki. Na początku bez jakichkolwiek ambicji. Potem pokazałam je Michelowi. Zdawało się, że wywarły na nim wrażenie; kilka tygodni później wydrukował jeden mój tekst w swojej gazecie.

Ojciec wspierał mnie w pragnieniu tworzenia. Zawsze chciał pisać książki i zawsze to odsuwał, aż któregoś pięknego dnia owo pragnienie zgasło zupełnie i przez całe życie pisał już tylko recenzje, krytykował i chwalił innych. Przede wszystkim zaś robił korekty, redagował, proponował poprawki. Zawsze przy tym był zdania, że się marnuje, i zawsze wyzierała z tego jakaś tęsknota. Robiło na nim wrażenie, że oto Ivo i ja mieliśmy teraz pójść w jego ślady, a wkrótce potem na swój sposób także i Leni. Pragnął bowiem widzieć w tym swój wpływ, a może wręcz go sobie wmawiał. Niewykluczone nawet, że miał rację, nie wiem.

Ivo wyjechał na rok do Londynu i podjął pracę w „Daily Telegraph”. Wszyscy u nas w domu byli nim zachwyceni. Tulja bezustannie wychwalała jego odwagę wobec rzeczy ekstremalnych. Nie rozumiałam, co takiego ekstremalnego miało być w Londynie, i byłam wściekła, że sukcesy Ivo kompletnie stawały w cieniu Leni i mnie.

To był rok, w którym próbowałam wydrapać go ze swojego życia, jak zdrapuje się starą tapetę ze ściany.

– Już wyzdrowiałaś?

Theo siedział w zabrudzonej koszulce na ławce obok boiska i przyglądał mi się nieufnie. Głowa pracowała mi na najwyższych obrotach: próbowałam odgadnąć ze spojrzeń i gestów Theo, co mu powiedzieli i jak bardzo jest przestraszony czy wściekły.

Jego twarz nic mi nie zdradzała. Twarz Theo przypominała twarz jego ojca. Oczy przywoływały mi na myśl jego dziadka, który gotował hinduskie jedzenie, jeździł audi TT i wciąż jeszcze opowiadał, jak aresztowano go na demonstracji przeciwko wojnie w Wietnamie.

Na próżno szukałam siebie w twarzy syna.

Na próżno szukałam siebie w twarzy ojca.

Na próżno szukałam siebie w twarzy męża.

– Czuję się lepiej. Brakuje mi ciebie. Jak ci jest u babci i dziadka?

Nie wytrzymałam, poszłam na trening Theo. Od rana lało jak z cebra, a ja po raz pierwszy zauważyłam, że zrobiła się wiosna: gładko przeszliśmy z deszczowej zimy w deszczową wiosnę.

– Dobrze. Może dostanę psa na urodziny.

Po tym zdaniu wiedziałam, że już przegrywam zero do jednego w rozgrywce z Markiem, z jego rodzicami. I że ta rozgrywka już się zaczęła. Nagle zdałam sobie sprawę, że za dwa tygodnie Theo skończy siedem lat. I znów zrobiło mi się niedobrze ze strachu. I po raz kolejny musiałam głęboko odetchnąć. Spojrzałam w górę na szare niebo i zadałam sobie pytanie, dlaczego to dziecko doprowadza mnie do takiego szaleństwa swoją przemądrzałą rezerwą i przesadną grzecnością, a jednocześnie wzbudza we mnie taką tęsknotę – do małego człowieczka w nim i ciepła, które roztacza.

– Przecież umawialiśmy się, że na psa jest jeszcze za wcześnie, kochanie – odpowiedziałam. I w tej samej chwili pomyślałam: tak, dlaczego nie? Kiedy matka odchodzi, zostawia rodzinę, wtedy na pociechę dziecku sprawia się psa. Może to dlatego nalegałam, żeby zachować swoje nazwisko: nie chciałam należeć do tej „rodziny fafarafa”, jak Tulja zawsze nazywała Simonsów. Ale może też był to nienaprawialny błąd, może nie powinnam była od samego początku podkreślać swojej inności. W jakiś sposób bowiem tą decyzją dałam Markowi do zrozumienia, że nigdy nie będę częścią jego ani jego rodziny. – Wiesz przecież, Theo, pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tym, że w tej chwili tak naprawdę nie możemy mieć psa, przez pracę mamy i pracę taty, i twoją szkołę. Rozmawialiśmy o tym. Powiedzieliśmy sobie, że z psem jest bardzo dużo roboty i że będziesz mógł dostać zwierzę dopiero wtedy, kiedy sam dorośniesz do takiej odpowiedzialności.

– Ale dziadek powiedział, że pies będzie mieszkał u nich i że będę musiał się nim zajmować tylko w weekendy. Tacie też się ten pomysł podoba – dodał.

Spojrzałam na Theo i zaczęłam wycierać ręcznikiem jego spoconą głowę.

– Nie życzę sobie tego, Theo – odparłam i od razu wiedziałam, jakie to dla niego niewiarygodne rozczarowanie. Czuję, że zaczniesz protestować, wyrwie głowę z moich objęć. Ale on tylko spuścił wzrok.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał i nie dodał „mamo”.

– Jestem w tej chwili odrobinę przemęczona, Theo. Wkrótce znowu dobrze się pocuję. Muszę tylko przemyśleć kilka rzeczy i trochę pobyć sama. I dużo spać.

Uśmiechnęłam się do niego z otuchą, czując, że tym razem wierzy mi jeszcze mniej niż poprzednio. Zaczęło mnie dławić w gardle. Miałam wrażenie, że nie mogę mówić dalej, że nie powiem już ani jednego słowa więcej.

Znów gwałtownie się rozpadło. Inne dzieci popędziły przez trawnik w stronę przebieralni; matki z miniaturowymi torbami sportowymi nerwowo podążały za nimi. Do niedawna ja też należałam do tych profesjonalistek, teraz wkradałam się na boisko jak złodziejka, żeby z daleka popatrzeć na syna.

– Dlaczego nie możemy pójść do domu? – zapytał, a tym razem jego głos był mniej opanowany i dało się w nim usłyszeć strach: strach przed tym, że zostanie ograbiony ze swojej normalności, przyszłości, domu.

Czy stałam się dla niego zagrożeniem? Czy mnie za to znienawidzi? Czy zacznę postępować jak moja własna matka, kiedy na krótko przed rozwodem pojechała na kongres do Nowego Jorku i po raz pierwszy zostawiła nas same na cztery tygodnie?

Po powrocie poszła z nami do kawiarni, zamówiła nam lodowe spaghetti i zaczęła płakać. Potem powiedziała, że ona i ojciec nie mogą dłużej być razem.

Aż tak bardzo Gesi nie straciła równowagi nawet na pogrzebie matki Ivo. Nie zdarzyło jej się to ani razu podczas katastrofalnych tygodni po śmiertelnych strzałach do Emmy, podczas naprawdę nieznośnych przesłuchań przez policję i inne urzędy. Siedziała tak przed nami niczym swój własny cień: słaba, żalonna, samotna, przepełniona głęboką wewnętrzną wściekłością, której nie miała odwagi zwrócić przeciwko mężowi będącemu sprawcą całego tego cierpienia.

Miałam siedem lat, kiedy moja matka – czy też raczej to, co z niej zostało – siedziała z nami w kawiarni, patrząc na nas niepewnie.

Za dwa tygodnie Theo też skończy siedem lat.

– Teraz uważnie mnie posłuchajcie, spójrzcie na mnie, Leni, Stello, proszę. Przestańcie dłużyć w pucharkach, posłuchajcie mnie. Stello! Dostałam propozycję pracy. Jadę do Ameryki. Chce mnie zatrudnić duża firma farmaceutyczna. Dostanę większą pensję i gwarantują mi wiele bonusów. Ale to jest w Ameryce. To znaczy, że musimy się wyprowadzić, stąd, z domu, że przez jakiś czas nie będziemy tu przyjeżdżać. A to oznacza, że zamieszkamy tam bez taty – powiedziała. Z perspektywy czasu podziwiam ją za konsekwencję, z jaką nadal nazywała swojego męża „tata”.

– Oczywiście, że możemy teraz pójść do domu, kochanie. Oczywiście. Ale tata uważa, że będzie lepiej, jeśli pojedziesz do dziadków. Rozumiesz, żebym mogła do końca wyzdrowieć. To pomysł taty.

Widziałam, że moja odpowiedź odrobinę go pocieszyła; jeśli ojciec też brał w tym wszystkim udział, to nie mogło być aż tak źle. Theo znów się uśmiechnął, twarz mu się rozjaśniła.

– Popatrz tutaj, mam ogromniastego guza na łokciu! – Z dumą pokazał mi spuchnięte miejsce.

Przycisnęłam go mocno do siebie i zmierzwiłam mu czuprynę. Był spocony i pachniał dzieckiem. Pachniał niezliczonymi słodkimi obietnicami.

Zobaczyłam, że zbliża się do nas Mark – zdawał się nieprzyjemnie zaskoczony moim widokiem, a jednak wiedziałam, że się opanuje i nie powie nic niewłaściwego w obecności Theo. Objął mnie nawet, co mnie zdziwiło, aż zdałam sobie sprawę, dlaczego to zrobił: zobaczyłam, jak Theo nas obserwuje, jak się nam przygląda. Mark odgrywał rolę doskonale.

Theo coś tam paplał, a Mark i ja staliśmy obok przebieralni i patrzyliśmy na siebie. Mark potrząsnął głową i przyłożył sobie do ust palec wskazujący. Skinęłam, że rozumiem.

– Muszę z tobą porozmawiać – szepnęłam i nachyliłam się do Marka. Odetchnęłam jego wodą po goleniu i w tym momencie poczułam się dziwnie bliska mężowi; byliśmy jak dwoje sprzymierzeńców w walce o siebie samych.

– Nie teraz – powiedział.

– Musimy!

– Wpadnę do ciebie dziś wieczorem, wtedy będziemy mogli porozmawiać.

Kiwnęłam głową i musiałam się opanować, żeby nie parsknąć śmiechem: zmutowaliśmy się w parę złodziei, którzy wkradają się do własnego życia. Jak on to powiedział? „Wpadnę do ciebie”, jak gdyby to nie był jego dom, jakby to nie było nasze życie.

Wtedy matka nam powiedziała, że zaczniemy wszystko od nowa. Wszystko będzie nowe. Nowy świat. Najtrudniej przyszło jej opowiedzieć o pewnym mężczyźnie, którego poznała na wspomnianym kongresie. Miał na imię James i w nim właśnie upatrywała największej szansy na to nowe rozdanie. Ale w końcu to z siebie wykrztusiła. Wtedy Leni wydeła dolną wargę, zerwała się z miejsca i pobiegła do toalety. Ja nadal siedziałam naprzeciwko Gesi, która przełknęła ostatnią łzę i spojrzała na mnie z uśmiechem. Wśród wszystkich tych gruzów nagle pojawił się uśmiech.

– Przykro mi, Stello – szepnęła. Jak gdyby czekała, że jej starsza córka odejdzie od stołu, by poinformować młodszą, że ze wszystkiego zdawała sobie sprawę i za długo, o wiele za długo zwlekała. – Nie powinnam była pozwalać, żeby on cię *tam* ze sobą zabierał.

Tam. Po raz pierwszy wspomniała *to miejsce*; po raz pierwszy to miejsce nabrało kształtów wraz z ludźmi. Stali się realni. Gapiłam się na swój pusty pucharek i grzebałam w nim widelcem.

– Powinnam była temu zapobiec.

– To nie twoja wina – powiedziałam i odłożyłam widelec. – To nie jest też wina taty. To moja wina.

Matka wzdrygnęła się, a potem zbity z tropu położyła swoją chłodną dłoń na mojej – cofnęłam rękę. Szukała moich oczu, ale odwróciłam wzrok.

– Ależ nie, skarbie, oczywiście, że nie twoja. Nigdy nie wolno ci myśleć nic podobnego, słyszysz? Bo to nieprawda, absolutna nieprawda!

To jest *moja* wina.

To jest *moja* wina.

– Nienawidzę cię! – krzyknęła moja siostra do matki. I myślę, że wtedy Leni powiedziała „nie” z przekory, z czystej, bezsilnej wściekłości powiedziała „nie” nowemu życiu, chociaż stare legło w gruzach. A może teraz ja z przekory mówiłam „nie” swojej terażniejszości?

– Którejś nocy pod koniec ciąży śniło mi się, że Theo wpada do dziury i że go stracę, że nie będę już mogła go urodzić. Obudziłam się zrana potem. Leżałam obok mnie spokojnie i mocno spałam. Przytuliłam się do ciebie i słuchałam bicia swojego serca. Od zawsze miałam uczucie, że jest we mnie dziura. Jak gdyby wszystko, co odczuwam, zawsze w końcu wpadało do tej dziury, jak gdybym niczego nie potrafiła zatrzymać na dobre. Zawsze miałam nadzieję, że z biegiem lat znajdę sposób, by zamknąć tę dziurę, zapchać ją życiem albo czymkolwiek, ale nie udawało mi się. W każdym razie nie na długo. Miałam nadzieję, że wy jesteście na to receptą: ty, Theo, moja rodzina, praca. Ale...

Powiedziałam to do Marka, siedząc w naszym salonie, a on patrzył na mnie, nieogolony, z głębokimi cieniami pod oczami. Ja zaś paliłam i piłam gin z tonikiem, co najwyraźniej napawało go wstrętem i jeszcze bardziej ujmowało mi wiarygodności w jego oczach. Tak jak zapowiedział, przyjechał jeszcze tego wieczoru po naszym spotkaniu na boisku. Rzekomo po kilka ubrań.

– Jak możesz tak mówić? Przecież w tej chwili jesteś przede wszystkim matką. To za to jesteś teraz odpowiedzialna. Nie rozumiem cię, Stello. To wszystko zaczyna przybierać jakąś zupełnie szaloną formę. Nie potrafię się już w tym połapać. Jak możesz mówić, że w twoim życiu nie ma niczego, co byłoby dla ciebie ważne?

– Nic takiego nie powiedziałam, Mark. Mówiłam tylko, że czuję w sobie pustkę.

– Spójrz na siebie, Stello, tylko spójrz. Zdradziłaś mnie, narażasz nasz związek. Obudź się. Nie wiem, jak długo jeszcze będę umiał ci wybaczać. Nie wiem.

Przepaść między nami robiła się coraz większa. Ale może jeszcze w ostatniej sekundzie nauczę się latać.

– Najpóźniej w sobotę muszę lecieć na Cypr. Zdjęcia już się zaczęły. Muszę tam być, kiedy będą kręcić. Byłoby dobrze, gdybyś do tego czasu znów mogła zająć się Theo.

Jego fałszywa wspaniałomyślność napawała mnie wstrętem, jego wymuszone zrozumienie odrzucało. Otarłam sobie łzy z twarzy i wydmuchałam nos.

– Zawsze mogę się zajmować Theo. Wiesz o tym.

– Nie możesz. Nie w takim stanie, Stello – powiedział i podniósł się.

– Zaczekaj.

Nie wiem, dlaczego zwróciłam się ku niemu i próbowałam go zatrzymać. Spojrzył na mnie ze zdumieniem. Nie wiedział, co powiedzieć. Podeszłam do niego.

– Przykro mi, chciałabym...

Nie pozwolił mi dokończyć, przyłożył sobie palec wskazujący do ust. Uciekał przed moim spojrzeniem, jakby mogło go czymś zarazić.

– Proszę, zostaw mnie – powiedział tylko i minął mnie. Pospieszyłam za nim. Ogarnęło mnie silne pragnienie, żeby wszystko mu wytłumaczyć, czułam, że muszę mu wszystko wyjaśnić,

choć wiedziałam, że to niemożliwe. Złapałam go za rękaw. Staliśmy w korytarzu, było ciemno, nie zapaliłam światła.

Wczepiłam się w niego, próbując go objąć. Próbowałam pocałować Marka, starając się uchronić ten ostatni strzępek złudzenia bliskości, zrozumienia i domu.

– Co ty wyprawiasz? – z jego gardła wydobył się stłumiony krzyk, a ja wiedziałam, że on to za bardzo *on*, by dopuścić do *adekwatnego* krzyku.

– Posłuchaj mnie!

– To wszystko jest nieważne, zupełnie nieważne. Liczy się tylko to, co zrobisz – szepnął i oparł się w ciemności o chłodną ścianę.

– Pomóż mi, Mark – powiedziałam, próbując wziąć go za rękę. Nie pozwolił mi na to.

– Pomóc? W czym? W odejściu ode mnie? Na to musisz się już zdobyć sama. Przyjadę w piątek i przywiozę Theo – rzucił i wyszedł. Wiedziałam, że chce mnie szantażować, że teraz on posługiwał się dzieckiem, tak jak jego rodzice psem, by przywrócić mnie do opamiętania.

Iwo i ja schodziliśmy sobie z drogi przez półtora roku. Z Londynu wrócił do Niendorfu jako owiany sukcesem, hucznie witany syn rodziny. Iwo wytrzymał tam tylko chwilę, a potem przeprowadził się do Hamburga, do ojca, który nie chciał dać po sobie poznać, jaka to dla niego ulga, że kariera zawodowa Iwo rozwija się i jest na najlepszej drodze. Leni napisała mi, że Iwo zjawił się też u niej w Berlinie, że całe noce spędzają na wólczędze po mieście i jest bardzo miły, okazuje jej tyle zainteresowania – w ogóle jak to się zmienił na lepsze. Nie mogła powstrzymać się od uwagi, że nie wspomniał o mnie. Ojciec opowiadał mi, że Iwo za swoje wspaniałe osiągnięcia dostał stypendium na uniwersytecie w Monachium na wydziale publicystyki.

W tym okresie widziałam go tylko jeden jedyny raz.

Tamtego dnia chciałam odwiedzić ojca i skręcałam rowerem w ulicę, przy której mieszkał, kiedy jeszcze była tu moja matka i kiedy jeszcze żyła matka Iwo. Usłyszałam klakson, a odwróciwszy się, zobaczyłam Iwo na starym skuterze, w białym podkoszulku i okularach słonecznych. Niczym dandys szczerzył się do mnie w uśmiechu, jakbyśmy ostatnio widzieli się kilka dni wcześniej.

Zahamowałam, zjechałam z ulicy i poczekałam, aż zsiądzie ze skutera. Wyglądał jak ktoś bardzo pewny siebie, kto idzie swoją drogą. Z całą pewnością ja nie byłam na tej samej.

Spojrzał na mnie, zdjął okulary i rozpostarł ręce. Pozwoliłam, żeby tak stał, ignorując jego otwarte ramiona. Nawet się do niego nie uśmiechnęłam.

– Wygląda na to, że dobrze się miewasz – powiedziałam.

– Nie dasz mi całusa, Stello?

– Lepiej nie.

– Twój chłopak na pewno byłby zazdrosny.

Jego ton zrobił się ostry, cyniczny, uśmiezek w kącikach ust był czystą prowokacją.

– Nie, nie byłby. Nie musisz się o to martwić.

– A więc nie tęskniłaś za mną? – spytał, zapalając papierosa.

– O co ci chodzi, Iwo? Jedziesz do ojca?

– To zależy od tego, dokąd ty jedziesz.

– Co to ma znaczyć? Znowu bawimy się w jakieś gierki?

– Jeszcze nie wiem. Sam od dawna zadaję sobie to pytanie.

– Ach, przestań, nie jesteśmy już dziećmi, dajmy sobie spokój. Przecież wszystko jest w najlepszym porządku, prawda?

– Czyżby?

I znowu jego ton zabrzmiał ostrzej, a on sam zrobił się poważny i spokojny, niemal groźny.

– Mam nadzieję.

Milczeliśmy przez chwilę.

– Chodźmy lepiej na drinka, co ty na to? Skoro już przypadek rzucił nas znowu w to samo miejsce.

– Dlaczego mielibyśmy to zrobić?

– Dlaczego nie? Przecież mamy sobie całe mnóstwo do opowiedzenia.

Robił sobie ze mnie żarty. Odwróciłam się wściekła i chciałam znów wsiąść na rower; wtedy złapał mnie za ramię, przyciągnął do siebie i popatrzył mi w oczy. Po raz pierwszy od naszego spotkania na plaży naprawdę popatrzył mi w oczy. A ja pomyślałam w tym momencie, że bardzo chętnie zacisnęłabym mu powieki. Mocno. Mocniej.

– Chodź ze mną, proszę.

Wahałam się przez chwilę. Uśmiech Ivo złagodniał; jeszcze kilka razy powtórzył to „proszę”, wyraz jego twarzy zmienił się, nagle zaczął sprawiać wrażenie bardziej otwartego, nie tak prowokacyjnie lubieżnego. I dałam się namówić.

Zabezpieczyłam rower i wsiadłam na skuter. Odjechaliśmy pędem. Przestałam zadawać pytania, byłam oszołomiona zapachem Ivo, dotykiem jego pleców i radością z tego „proszę”. Było mi wszystko jedno, dawna zażyłość nagle pojawiła się z powrotem.

W końcu wylądowaliśmy w barze, którego jeszcze nie znałam. Gdzieś między portem a St. Pauli. Zamówił piwo, ja zaś w ciemności tego pomieszczenia – z dala od słońca, ludzi, mojego życia – pozwoliłam sobie spadać. Nagle wydawało się, że topór wojenny został zakopany, nagle rozmowa z Ivo stała się prosta, czułam taką bliskość, cierpliwie słuchał opowieści o moim życiu i mówił o swoim. Unikaliśmy przy tym wszystkiego, co mogłoby doprowadzić do kolejnego konfliktu między nami.

Był szarmancki, swobodny w sposób zupełnie niewymuszony, z wirtuozerią tancerza dobierał słowa i pojęcia, i dopiero kiedy poszedł do toalety, znalazłam czas, żeby zadać sobie pytanie, jak mogłam tak długo bez niego żyć, jakim cudem zniosłam cały ten czas bez niego i dlaczego po prostu do niego nie poszłam. Dlaczego nie wkroczyłam w jego życie.

Zamierzał przenieść się do Monachium – jest przecież przyzwyczajony do podróży i przeprowadzek i ostatecznie wszystko mu jedno, w jakim mieście mieszka; w jakimś sensie wszystkie miasta są takie same. Ma ochotę zajmować się dziennikarstwem, wie, że to by mu odpowiadało. Spytał o moje plany.

Zrobiło się ciemno; przed nami na stole nazbierało się sporo pustych butelek po piwie. Zataczając się, wyszliśmy z knajpy, a on zapytał mnie, czy mam ochotę wpaść jeszcze do niego – na tych kilka dni zatrzymał się w mieszkaniu przyjaciela – spytał, czy pójdziemy tam jeszcze na papierosa.

Była to rudera w pobliżu baru z widokiem na ciemne podwórze. Śmierdziało stęchlizną i chomikami. Dlaczego akurat chomikami? Nie widziałam ani jednego.

Wypaliliśmy jointa. Wszystko zaczęło toczyć się w zwolnionym tempie. Z radia starego jak świat dochodziła muzyka i wszystko zdawało się piękne i nastrojowe. Wszystko poszło w niepamięć – umówione spotkanie z ojcem, książki, które czekały na mnie w domu, łóżko dzielone z Abim, Xerxes ze swoją miękką sierścią. Tańczyłam, powoli, bezwładnie poruszałam się po ciasnej kuchni cudzego mieszkania. Ivo patrzył na mnie i śmiał się. Potem stanął nagle prosto przede mną i spojrzał mi w oczy. Jego wzrok drażnił mnie, ale wytrzymałam to spojrzenie.

– To niedobrze, że jesteśmy tak daleko od siebie – szepnęła i odgarnął mi kosmyk włosów ze spoconej twarzy. Było lato, upał dnia kleił nam się jeszcze do skóry. Byłam gotowa. Gotowa na życie, które mogło się zmienić jak karta w grze, musiałabym tylko podejść do niego krok bliżej.

Miałam wtedy dwadzieścia dwa lata.

I wspięłam się na czubki palców, odrobinę zatoczyłam, zdołałam jednak zachować równowagę potrzebną do pocałowania go. Oczekiwałam, że będzie się bronił, opierał, że krzyknie, ale nie spodziewałam się wzajemności. I kiedy oddał mi pocałunek, zatoczyłam się do tyłu i zacisnęłam wargi. Obrzucił mnie spojrzeniem: właśnie tak, jak pragnęłam, żeby na mnie patrzył, kiedy tamtego dnia na plaży rozebrałam się w swojej nieumiejętności mówienia o uczuciach. To było milion lat temu. Jednak te lata były ulepione z wosku, który się palił, kapał, zastygał, tworzył nowe *teraz*.

Odwróciliśmy się, przycisnął mnie do zlewu, a tam po raz pierwszy poczułam, jak ostry kant wpija mi się w kręgosłup. Prześladuje mnie to od tamtej pory. Wtedy po raz pierwszy spałam z Ivo.

Nie mogliśmy się od siebie oderwać, nie przestawaliśmy. Nie przestawaliśmy, aż zrobiło się

jasno – przyciśnięci do ściany w korytarzu, gdzie brakowało listew na ścianach, a w końcu w pustym pokoju na starym materacu.

Kiedy zaczęło świtać, raptownie wstał, zostawił mnie leżącą nago i poszedł wziąć prysznic. Słyszałam, jak odkręca kran. W którymś momencie poszłam do łazienki i dołączyłam do niego.

– Nie jesteś zmęczony, nie prześpimy się? – spytałam, a on się roześmiał. Śmiał się głośno i radośnie. Potem odwrócił mnie i przytrzymał mi ręce na plecach. Przycisnął się do mnie, pochylając mój tułów do przodu. Krzyknęłam, próbując odwrócić się z powrotem. Nie udało mi się, poślizgnęłam się i huknęłam głową o szybę kabiny. Ivo nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, dalej robił swoje, jakby zdziczał.

Opadłam na podłogę, woda lała się na mnie strumieniami, a ja zaczęłam płakać.

– Czemu płaczesz?

– Sprawiliś mi ból.

– Zawsze próbowałam ci właśnie to powiedzieć...

– Co? Co, do cholery? Wiesz przecież doskonale, że...

– Nie wiem nic, zupełnie nic, Stello! Więc przestań. Chciałaś tego, a teraz płaczesz.

Próbowałam ci powiedzieć, że to nie będzie możliwe bez bólu.

Mył się dalej spokojnie, jak gdyby nigdy nic, kiedy ja mocno trzymałam się za głowę, a ból wypełzał spod guza i rozprzestrzeniał się na całe ciało. A jednak widziałam, że jest piękny. Jego kostki, jego łydki były piękne – owłosione i odrobinę kościste. Pośladki też miał piękne, odrobinę za małe; a ręce opalone aż do miejsca, gdzie zaczynały się rękawki podkoszulka.

– Nie będę tego żałować. Nawet jeśli będziesz sprawiać mi ból, Ivo.

Podał mi rękę, wstałam, a on wtarł mi szampon w głowę, ostrożnie przesuwając dłońmi po włosach, tak jak robiła to matka, kiedy byłam mała i bałam się, że szampon pozbawi mnie wzroku, i bardzo mocno, bardzo, bardzo mocno zaciskałam powieki.

Leo dał mi zlecenie. Miałam napisać artykuł o pewnym architekcie, którego nie znałam, który mnie nie interesował, który nie miał ze mną nic wspólnego; pokłóciliśmy się. Dzień był wyczerpujący. Czułam się jak somnambulik. Wywali mnie, jeśli dalej będę się tak zachowywać. Ja nie przestawałam, dając dowód dziecinnego uporu, obróciłam przeciwko sobie bezsensowną ambicję kobiety, która odeszła z własnego życia i zaczęła wszystko obdarzać uśmiechem z boku.

Już prawie nie sypiałam.

Zadzwoił do mnie Theo, który ciągle jeszcze był u dziadków. Chciał wiedzieć, gdzie i jak wyprawimy jego przyjęcie urodzinowe; oczywiście dziadkowie zaoferowali swój dom – był większy i jaśniejszy, i o wiele bardziej obiecujący niż nasze mieszkanie. Nie wdawałam się w dyskusję z Theo, słuchałam tylko. Czułam, jak rośnie we mnie wściekłość, czułam przemożną ochotę, żeby porwać go teraz, zaraz, wyrwać z tej dyktatury harmonii babci i dziadka, w której był uwięziony, którą wpajano mu od kołyski. Nic nie powiedziałam.

Ivo się nie odzywał.

Tulja zaprosiła mnie do siebie; od tak dawna nie byłam u niej na obiedzie, jak stwierdziła. Wyłączyłam telefon komórkowy. W domu gapiłam się przez okno, paląc papierosy. Dym uspokajał mnie, obezwładniał, sprawiał, że robiłam się zmęczona, posłuszna. Ojciec zadzwonił, chciał poznać po moim głosie, czy życie jego córki da się jeszcze naprostować – by wróciło na swoje miejsce.

Następnego wieczoru wstałam jak lunatyczka i pomaszerowałam do Pacificu. Minęłam recepcję, kierując się prosto do windy.

Zatrzymałam się przed pokojem Ivo i tym razem nie myślałam o konsekwencjach. Już nimi żyłam. Zapukałam. Drzwi natychmiast otworzyły się gwałtownie. Stał przede mną – prosto spod prysznic, z ręcznikiem na biodrach.

– Jakbym wiedział, że przyjdiesz – odezwał się, a ja zauważyłam, że pił. W pokoju panował chaos: papierzyska, książki i gazety walały się wszędzie, łóżko też było zmierzwiłone; natychmiast zauważyłam ślady po dwóch ciałach, dwie zapadnięte poduszki. Coś się we mnie skurczyło.

– Ktoś tu był? – zapytałam. Myśl o tym wydawała się nie do zniesienia, bardziej nie do zniesienia niż pustka mojego ślimaczego domku.

– Nie, dlaczego?

Spojrzałam na łóżko. Uśmiechnął się i zamknął za mną drzwi, popychając mnie ręką do środka.

– Nie mów, że jesteś zazdrosna. Ostatecznie *ja* nie jestem w związku małżeńskim!

– Ty głupi dupku! – wrzasnęłam i opadłam na brzeg łóżka.

– Już dobrze. Hej, chyba nie będę musiał się usprawiedliwiać?

– Po prostu wszystko psujesz.

– Tylko troszeczkę zatrzęsłem twoim domkiem z kart. Tak to się zwykle dzieje z domkami z kart!

Skoczyłam na równe nogi i podeszłam do niego, uderzyłam go w twarz; pierwsze uderzenie wytrzymał, kiedy zamachnęłam się po raz drugi, złapał mnie za nadgarstek i rzucił na łóżko.

Dolatywał od niego zapach alkoholu.

W sztucznym świetle lampki nocnej dostrzegłam, że na jego uchu pobłyskiwało kilka włosów.

– Posłuchaj mnie, Stello. Posłuchaj mnie, proszę. Muszę wyjechać. Za trzy, cztery dni.

Zostawiam ci kilka papierów, żebyś mogła się zorientować, o co chodzi. Lecę do Tbilisi, do Gruzji. To ważne. Błagam cię, dołącz do mnie. Nie poproszę cię już nigdy o nic więcej.

– Jesteś pijany, zostaw mnie.

– Nie, do diabła, spójrz na mnie!

Ujął moją twarz w dłonie i przycisnął ją do swojej tak blisko, że oboje chcąc nie chcąc zaczęliśmy zezować, żeby w ogóle móc się rozpoznać.

– Proszę, po prostu przeczytaj te teksty. Przysięgam, że potem przestanę. Musisz tylko pobyc przy mnie przez kilka tygodni. Kilka tygodni, potem to wszystko się skończy, obiecuję ci. Potem odejdę, jeśli tak zechcesz. Wtedy będziesz mogła wrócić tam, gdzie będziesz chciała. Mówię poważnie. Przeczytaj, co jest w tej teczce, obiecaj mi to. Może to najważniejszy reportaż, jaki w życiu zrobiłem, ale to jeszcze coś więcej. Więcej niż tylko reportaż.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– Bo to dotyczy ciebie. Nas.

– Robisz reportaż na mój temat?

Nic nie odpowiedział; rozluźnił uścisk dłoni, odwrócił się, a ja mogłam znów usiąść. Gapiłam się na jego plecy. Usiadłam obok Ivo i milczeliśmy przez chwilę. Sięgnął po butelkę wódki stojącą koło łóżka i napił się z niej, jakby to była woda.

– Ivo, boję się.

– To nie kara, Stello. Jeśli to masz na myśli.

Zastanawiałam się, jakim cudem udaje mu się zachować jasność umysłu po takiej ilości alkoholu.

– Już nic nie mam na myśli.

– Ależ owszem, masz. Nareszcie znowu myślisz.

– Zrobiłabym to, gdyby nie Theo...

– Matka, której przez chwilę nie ma, jest lepsza niż taka, której nigdy nie ma naprawdę, która jest dziecku obca. Nie uważasz?

Wstał gwałtownie.

– Ta Gruzja to jakieś szaleństwo. Mój Boże. O czym ty w ogóle mówisz?

– Obiecaj mi.

– Niczego ci nie mogę obiecać.

– Po prostu popatrz na mnie. Tylko ten jeden jedyny raz, potem zrobię wszystko, co zechcesz. Przysięgam ci to. Przysięgam ci to na dni, które spędziliśmy razem na słońcu, w zatoce. Przysięgam ci to na wszystko, co dla mnie święte. Na popołudnia w szopie. Przysięgam ci to na zabawy w piratów w ogrodzie.

Podszedł do drzwi balkonu, odsunął żółtawą zasłonę i wyjrzał na zewnątrz, skąd wdzierały się odgłosy: to ludzie, w poszukiwaniu rozkoszy i przyjemności, płynęli ulicami.

– Czasem myślę, że jestem jak mały kleszcz, że byłam nim od zawsze. Taki, który się przyczaił. Który jest wytrwały i czeka. Czeka na krew, bo to dla niego jedyna szansa na przeżycie. Bo nic nie ma, przecież jest kleszczem. Czeka wciśnięty w gałąź, potem ty przechodzisz, a on czuje krew, zdrową, udaną, bardzo obiecującą krew i spada na ciebie, zagnieżdża się między twoimi żebrami i zaczyna cię wysysać. Jak długo się da. Dopóki masz krew i możesz go zaspokoić. Ale to dla ciebie za dużo. Robisz się chory i usuwasz go, wykręcasz pęsetką i rzucasz na ziemię. A kleszcz myśli najpierw, że nie może iść, syty i szczęśliwy, i przeżarty: nie może się poruszać, i po prostu tak leży, i czeka na śmierć, a w końcu jakoś mu się udaje wpełznąć na drzewo.

Mówiłam coraz prędeziej i prędeziej.

Ivo odwrócił się w moją stronę i zobaczyłam na jego twarzy przerażenie, czyste przerażenie. Zachował dystans i nie ruszył się spod drzwi balkonu. Jedną z dłoni zacisnął w pięść, dziwnie wyglądając w tej nienaturalnej pozycji.

– Nie jesteś żadnym kleszczem. To, co mówisz, jest straszne i obrzydliwe.

– Straszne? To nie jest straszne. Tak się czuję. Jakby mnie nie było.

– Nie jesteś kleszczem. A jeśli, to wysysaliśmy się nawzajem.

– O nie. Ty wyjechałeś. Ty żyłeś. Ty. Sam. Kto tu był? – spytałam go po chwili prawie szeptem i położyłam się na łóżku. Pachniało nim, papierosami i dziwnymi, niemal gryzącymi damskimi perfumami.

– Po prostu tylko bzyk.

– Potrzebowałeś tego?

- Ludzie czasem tego potrzebują.
- Dlaczego nie zadzwoniłeś do mnie?

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, pokręcił głową i zaczął szukać po omacku prawie już pustej butelki z wódką, którą odstawił gdzieś koło łóżka.

- Może ja też tego potrzebowałam.
- Ty nie jesteś dla mnie bzykiem.
- Czasem bym chciała. Nie być niczym więcej. Może tak byłoby prościej.
- Nie. Jeśli o mnie chodzi, możesz tym być dla innych.

Znalazł butelkę, wypił ostatnie krople i położył się przy mnie.

I tak leżeliśmy, ja w ubraniu, on w ręczniku. W białym łóżku hotelowym, on po swojej stronie, a ja na cieniu innej kobiety, bez imienia, która zostawiła po sobie tylko gryzący zapach perfum.

Przejechałam mu ręką po twarzy i wciągnęłam jego zapach. Nie poruszył się. Kiedyś często tak robił – po prostu tylko na mnie patrzył. We wszystkich tych łóżkach, które ze sobą dzieliliśmy. Pozwoliłam jego dłoni wędrować po moim ciele – wydawało mi się cudem, że mogę go dotykać. Moja ręka wędrowała dalej – wewnątrz dłoni, chłodne i wilgotne – w poszukiwaniu jego duszy trzymanej w żelaznym uścisku przez ciało. Jedna ręka przestała mi w pewnej chwili wystarczać, więc dotykałam Ivo dwiema w poszukiwaniu jego istoty. I podczas tej wędrówki ręce stały się oczami, zastąpiły mi wszystkie zmysły.

- *To* jest wstrętne, uważam *to* za obrzydliwe, uważam, że to ohydne: dla bzyku jesteś gotowy zniknąć, zapaść się pod ziemię. Co ty właściwie chcesz udowodnić? – spytałam go.
 - Nie jestem twoim mężem – odezwał się, wiedząc, że tym stwierdzeniem zwali mnie z nóg. Podniosłam się, wygładziłam ubranie i poszłam sobie.
 - A więc zostawię ci to, czego potrzebujesz do podjęcia decyzji! – krzyknął za mną.
- Pokręciłam głową i nie czekając na windę, zbiegłam po schodach.

Była trzecia nad ranem, usiadłam na łóżku i otuliłam się kołdrą. Trzęsałam się z zimna. Byłam chora, miałam gorączkę. Śniło mi się, że jestem zamknięta w psiarni. Obcy ludzie mijali klatkę, przypatrując mi się i pokazując sobie palcami. Chciałam krzyknąć, coś powiedzieć, wyjaśnić, że to jakieś nieporozumienie, ale z moich ust nie dobywał się ani jeden dźwięk.

Wzięłam aspirynę i naciągnęłam na nogi wełniane skarpety. Potem znowu spojrzałam na zegarek na komodzie. Patrzyłam na świecące wskazówki i pomyślałam o Theo, o jego spokojnym śnie, o jego ciężkich powiekach rankami, o jego zapachu, o tym, jak w nocy przychodzi do nas do łóżka – niedobudzony, dezorientowany, odrobinę przestraszony złym snem albo stęskniony za nami.

Noc przeciskała się koło mnie z wysiłkiem.

Wzięłam telefon do ręki i gapiłam się w małe klawisze, które nieruchome i nieme po prostu istniały, by spełniać swoją funkcję, by szybko zyskać na znaczeniu, gdy tylko wybierze się ten czy inny numer, kiedy tylko człowiek stanie się skazany na tę kombinację cyfr, dzięki której dojdzie do połączenia z drugim człowiekiem.

Przymknęłam oczy i wybrałam długą kombinację klawiszy. Telefon zadzwonił. Która tam mogła być godzina? Było jasno, ciemno? Deszczowo, sucho? Co mogła teraz robić? O czym marzyła, jeśli marzyła?

– *Hellooo? Jiniie, is that ya?* – powiedziała z silnym akcentem Wschodniego Wybrzeża.

– Mama?

Przerwa. Długa przerwa. Nikt nie miał urodzin, nikt nie organizował rodzinnego spotkania, nikt nie obchodził jubileuszu. To był telefon innego rodzaju, wiedziałyśmy o tym obie, zanim jeszcze powiedziałam choćby jedno zdanie. Gesi westchnęła, a potem usłyszałam niemal błagalne:

– Stella?

W przeciwieństwie do niemieckiego Ivo jej niemiecki był czysty i na swój sposób ponadczasowy. Literacki. Słowa matki zawsze miały w sobie coś z modlitwy, kiedy zaczynała mówić w języku ojczystym – języku swojej przeszłości, języku, w którym była inna. Pamięć o tej innej kobiecie nie mijała z czasem.

– Stello, czy wszystko w porządku? U was jest przecież środek nocy...

– Tak, nie. Po prostu... Jestem trochę zaziębiona, nie mogę spać i chcę z tobą porozmawiać.

– Oczywiście. Poczekaj, tylko usiądę. No, już jestem.

Nie widziałam Gesi prawie od trzech lat. Mark, Theo i ja odwiedziliśmy ją wtedy, a ona kupiła wnukowi gigantyczną plastikową koparkę na mały silniczek. Rozorał nią cały ogród.

Widziałam, jak siedzi naprzeciwko mnie w salonie. Na ścianach wiszą nasze niezliczone zdjęcia z dzieciństwa. Zdjęcia dwóch małych dziewczynek, które miały dobre życie, dobre dzieciństwo. Kiedy jeszcze Leni chodziła na balet, a ja obcinałam włosy na krótko. A potem na ścianie pojawiła się luka. Galeria ciągnęła się dalej, dołączył wyrosnięty dryblas ze spiczastą brodą i zamglonymi oczami. Potem były jeszcze dwa zdjęcia Leni i mnie. Oba zrobione na podwórzu Tulji; Leni przed szopą z łopatą w dłoni, a ojciec z ręką uniesioną w obronnym geście. I ja na jednym z niendorfskich koni. Małe piersi rysują się pod obcisłą koszulką, włosy wyglądają na łamliwe, a twarz jest poważna i nieufna, nieodpowiednia do wieku. Tylko koń był szczęśliwy na tym zdjęciu.

– Czy naprawdę zrezygnował z mieszkania w Greenwich? Powiedział, jakie ma plany?

– Trochę urlopu, a potem praca. Co się dzieje, Stello?

– Tęsknię za tobą.

Przerwa. Przerwa, która nie miała żadnego smaku.

– Ja też za tobą tęsknię. I to jeszcze jak ja za wami tęsknię.

– No to przyjedź wreszcie. Przyjedź.

Po przeprowadzce do USA tylko trzy razy była w Hamburgu. Raz, kiedy umarła jej matka, potem, kiedy zmarł jej ojciec, a ostatnim razem po mojej próbie samobójczej. Za pierwszym i drugim razem została tylko tak długo, jak było to absolutnie konieczne; wyjechała natychmiast po pogrzebie. W czasie ostatniego pobytu posiedziała tu dłużej, żeby urządzić razem ze mną moje małe mieszkanie i przez trzy tygodnie gotować dla mnie zdrowe jedzenie.

– Co się stało?

– Nic. Poza tym, że on tu wparował i w ciągu sekundy doprowadził mnie do tego, że nienawidzę życia, że wszystko, dosłownie wszystko wydaje się puste.

– On nie może nic na to poradzić, Stello. To nie jego wina.

– A czy to moja wina? Czy tak, mamó?

– Nie, na miłość boską, to nie jest twoja wina. Nikt tak przecież nie twierdzi.

– Ależ owszem! Ja tak twierdzę. Dlaczego nikt nie chce mi uwierzyć? Dlaczego nikt nie chce tego słuchać?

– Stello, posłuchaj, posłuchaj mnie. Przecież nie o to chodzi! Pamiętasz tamto lato, kiedy Ivo do nas przyszedł? Gdy Tulja zaproponowała, żebyście się do niej przeprowadzili? Rok, kiedy Leni była taka strasznie chora i...

– Tak.

– Wtedy, w sierpniu, przyjechaliście do nas we trójkę do Newark. Wtedy byliście u mnie po raz pierwszy. Wy dwie i Ivo, który nie mówił. A ty biegłaś w tę i we w tę i tłumaczyłaś dla niego, mówiłaś za niego. Tylko z tobą potrafił się porozumieć. Pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam.

– I zdawało się, że tobie w ogóle nie przeszkadza, że on nic nie mówi. Jakbyś i tak go słyszała i rozumiała. I kiedyś raz padało. Bawiliście się wtedy na dworze. Ty i Ivo. On się przewrócił i porządnie zranił się w kolano. Przypominasz to sobie? A potem ja wyszłam z domu, a ty siedziałaś na schodkach i płakałaś. Ivo był już w domu i ja spytałam cię, czemu płaczesz i siedzisz sama. Wiesz, co mi wtedy odpowiedziałaś?

– Nie.

– Spojrzałaś na mnie ze zdziwieniem, jakby to pytanie było zupełnie zbyteczne, ponieważ przyczyna twoich łez jest taka oczywista. I powiedziałaś, że Ivo skaleczył sobie kolano, a przecież nie może się poskarżyć, bo nie ma głosu, i ty robisz to za niego, żeby rana szybciej się zagoiła. Nigdy nie zapomnę tej odpowiedzi.

Zapomniałam o zdartym kolanie Ivo, ale w miarę jak Gesi opowiadała teraz tę historię, zaczęłam czuć odległy, tępy ból. Przymknęłam oczy. Noc nie była już taka głośna ani też taka cicha.

– Ta odpowiedź wiele mi uświadomiła. Lubiłam Ivo, ale napawał mnie lękiem, bo przypominał mi o... A ty powiedziałaś, co powiedziałaś, i pomyślałam, że jeszcze istnieje coś tak pięknego... takie uczucie w całym tym bólu wokół nas.

Głos zaczął jej się łamać, ale wiedziałam, że się nie rozpłacze.

– Wtedy pomyślałam, że może wcale nie musi być tak źle, że to minie. Skoro ty, skoro przynajmniej jedno z nas było zdolne do takich uczuć.

Nie w pełni rozumiałam, co ma na myśli, ale podobało mi się to. Poddałam się jej łagodnemu głosowi, a w którymś momencie udało jej się ukołysać mnie do gorączkowego snu.

Theo był w złym humorze, rozmarudzony. Mark przywiózł go samochodem do domu i odstawił pod drzwi, nie wszedł razem z nim na górę. Kazał Theo przekazać mi, że nie wróci do Niemiec przed środą, ale w razie potrzeby będzie pod telefonem. Wzięłam syna w ramiona i chwile się z nim przekomarzałam. On jednak odpychał mnie i zdawał się zły na mnie. Najwidoczniej odmowa w sprawie psa doprowadziła do jakiejś konfrontacji u Simonsów. Tak czy inaczej, był dla mnie pewną pociechą, dając mi poczucie, że tu jest moje miejsce.

Wieczorem znów wzięłam aspirynę, poukładałam z Theo puzzle z rycerzami, a potem posłuchałam z nim książki z płyty. O nic nie pytał i ta mała iluzja normalności, która wróciła – bycie sam na sam z synem i spokój – dobrze mi zrobiła.

Następnego dnia poszłam do redakcji i przeprosiłam; obiecałam, że oddam artykuł do

wtorku, i wzięłam namiary na architekta. Potem zadzwoniłam nawet do mojej przyjaciółki Liny, pracującej w gazecie sportowej jako jedyna kobieta. Ostatnio o wiele za rzadko ją widywałam. Poszliśmy do kina, a jej córka i Theo zostali z mężem Liny. Po filmie wpadliśmy na lampkę wina do Włocha w śródmieściu.

Słuchałam jej i piłam drogie wino. Wydawało się, że wszystko jest jak dawniej.

Po powrocie do domu położyłam Theo spać. Czekałam, aż zaśnie, całując jego ręce, takie miękkie i aksamitne jak pierwsze brzoskwinie. Potem poszłam cichutko do gabinetu i zaczęłam bez entuzjazmu wystukiwać swój artykuł. Postanowiłam sobie, że kiedy Mark wróci, ugotuję mu coś dobrego. Około pierwszej w nocy rozległo się pukanie do drzwi. Nie dzwonek, ale pukanie – i w pierwszej chwili pomyślałam, że może tylko mi się zdawało. Podeszłam ostrożnie do drzwi, ciągle jeszcze nie ufając zmysłom, i wyteżyłam słuch. Wtedy pukanie znów się rozległo i już wiedziałam, że to Ivo.

Otworzyłam gwałtownie. Padało i Ivo stał przede mną z ociekającymi włosami.

– Zwariowałaś? Co ty tu robisz? Theo mógłby się obudzić.

– Właśnie dlatego zapukałem.

– Ale gdyby Mark...

– Daj spokój. Wiem, że go nie ma.

– Nie możesz tak po prostu sobie tu wpaść, kiedy akurat ci przyjdzie ochota!

– Masz. Zrobiłem dla ciebie kopie. Chciałem mieć pewność, że je dostaniesz.

Wcisnął mi w rękę papierową kopertę z czymś twardym w środku.

– Dokąd się wybierasz?! – krzyknęłam za nim z rozpaczą, dawno już zrezygnowawszy z szeptu. Wtedy odwrócił się i zawołał do mnie z ciemnego korytarza:

– Jutro mam samolot.

– Samolot?

– Będę na ciebie czekał. W tej kopercie wszystko znajdziesz. Zadzwoń do mnie, przyjadę po ciebie. Zarezerwuję ci bilet.

Słyszałam, jak schodzi ze schodów – echo jego kroków. Jak skamieniała stałam w drzwiach i nasłuchiwałam dźwięku odjeżdżającego samochodu, ale nic takiego nie usłyszałam. Jak długo stał na zewnątrz i obserwował okna, wiedząc, że jestem sama? Myśl o tym przyprawiała mnie o drżenie. Zamknęłam drzwi, a potem jeszcze dwa razy przekręciłam klucz w zamku.

Znalazłam w kuchni butelkę czerwonego wina, wyjęłam korek, nalałam sobie kieliszek i opadłam na sofę. I nagle stało się dla mnie jasne, że on mówił poważnie, że jutro rzeczywiście już go tu nie będzie, zniknie z mojego życia. Na myśl o tym poczułam guł w gardle. Wybiegłam na balkon i spojrzałam w dół. Panowały ciemności i mżyło. Chciałam krzyknąć jego imię, a jednocześnie zdałam sobie sprawę, jak bardzo to nie ma sensu, więc weszłam z powrotem do środka. Miałam uczucie, że moje ciało jest jakąś pozbawioną funkcji masą. Siedziałam i wsłuchiwałam się w swój oddech, jakby to było jedyne zadanie, jakie mi jeszcze pozostało.

Potem zauważyłam leżącą obok przemoczoną torbę. Położyłam ją sobie na kolanach i przyłgnęłam do niej. Wyczuwałam intensywny zapach Ivo, wzmocniony deszczem, aż zaczęło mi się kręcić w głowie. Sięgnęłam do środka i wyjęłam grubą, spiętą gumką teczkę w oliwkowym kolorze z napisem „Lado”. Wypadło z niej zdjęcie starszego mężczyzny, który sprawiał wrażenie dosyć zamkniętego w sobie. Dopiliśmy wino i zwalczyłam impuls, żeby wybiec na ulicę i szukać Ivo; wyjaśnić mu, że nie powinien jechać, że nie wolno mu tak po prostu zniknąć. Że nie może przychodzić i odchodzić, kiedy mu się podoba, a mnie zostawiać do życia tylko maleńką przestrzeń między tymi dwoma biegunami, między tymi momentami.

Wślizgnęłam się do pokoju Theo i położyłam przy nim. Spał spokojnie, jak gdyby jeszcze nigdy nie drasnęło go żadne zmartwienie. Oplotłam go ramionami, podciągnęłam nogi do góry i robiłam się malutka, dopasowałam się do jego ciała. Próbowałam nie płakać, próbowałam nie żegnać się z nim.

Przez tych kilka dni do powrotu Marka byłam spokojna i odprężona. Pisałam artykuł, robiłam zakupy, odwoziłam Theo do szkoły, na treningi, na kinderbal, na który najpierw w ogóle nie chciał iść, a w końcu – po długich namowach, w białej koszulce i z biletem do parku zwierząt w

prezencie – jednak poszedł. W pewne popołudnie wybrałam się nawet z siostrą na obiad. Opowiadała o swoich dzieciach i znów o dzieciach, udzielała mi rad na temat mojego dziecka i klęła na ojca i Hannę, którą z jakichś powodów całkowicie odrzucała, jak właściwie wszystkie kobiety u jego boku, nigdy bowiem nie uważała ich za godne Franka, sztywno popijała espresso i popatrywała przy tym krytycznie na paznokcie, które były krótkie i czyste. Jej głos ginął gdzieś w zakamarkach Café Paris, a słowa rozplýwały się jak substancje chemiczne w próbówce.

– Stello?

Dotknęłam nadgarstka Leni i przypomniałam sobie, jaka była – kiedyś, dawno temu. Z jakiegoś dziwnego powodu wprowiło mnie to w sentymentalny nastrój, poczułam się stara, a przyszłość wydała mi się martwa, daremna i okrutnie przewidywalna.

– Co ty wyprawiasz, Stello?

Gwałtownie cofnęła swoją chłodną dłoń.

– Wspominałam.

– Co wspominałaś?

– Ciebie, kiedy ty to jeszcze byłaś ty.

– Jak mam to rozumieć, proszę?

– U Tulji, nad morzem. Byłaś piękna. I nie taka surowa. Byłaś po prostu wściekłą dziewczynką, która czekała, żeby życie wreszcie się zaczęło. Miałaś śliczne sukienki i potrafiłaś dobrze argumentować, i zawsze byłaś trochę smutna. Przez pewien czas obsesyjnie słuchałaś Bacha. Z twojego pokoju zawsze dobiegała ta ciężka muzyka, a ja podśluchiwałam czasem u ciebie pod drzwiami. I umiałaś pływać lepiej ode mnie. A wcześniej, dużo wcześniej, byłaś małą rozkapryszoną księżniczką i działałaś mi na nerwy, ale mimo wszystko byłaś sobą, Leni. Nie dzisiejszą Leni.

Patrzyła na mnie, jakbym mówiła do niej w obcym języku. Jej twarz spochmurniała, a wargi zacisnęły się w wąską kreskę.

– Co ma znaczyć ten atak? Zamówmy lepiej ciasto, mają tu wyśmienitą szarlotkę. – I skinęła na kelnerkę.

Ale ja już wyruszyłam na bitwę, nie chciałam uników.

– Stałaś mi się obca. I ja tobie też. I może obie jesteśmy obce samym sobie.

– Nie filozofuj!

– Nie filozofuję, to fakt!

– Bzdury. A ja nie chcę teraz o tych bzdurach dyskutować! Pogódź się lepiej z tym, że wyjechał. I naucz się zamykać pewne rozdziały. Inaczej skończysz jak matka.

– Matka coś *zakończyła*. Nie jest *skończona*. Zrobiła tylko to, czego żądasz ode mnie: zamknęła pewien rozdział. I co jej to dało?

– Spójrz na siebie, wtedy zobaczysz, do czego on doprowadził! Od razu mówiłam, powiedziałam to Tulji, powiedziałam ojcu: wystarczy, że Ivo tylko się zjawi, a Stella znów przepadnie. Stara historia. Jesteś taka labilna w tej sprawie. Chcę powiedzieć, że rozumiem to, najzupełniej to rozumiem. Ciasto jest wyśmienite, nie masz ochoty spróbować? A może rabarbarowe...

– Nie jestem labilna. Nie jestem labilna i przestań mnie traktować, jakbym była osobą wymagającą specjalnej troski.

– Po tym wszystkim, co było! Naprawdę, Stello. Proszę cię. To już się powoli robi przykre. I co się stanie, co osiągniesz, jeśli będziesz tak w kółko o tym gadała? O tym, co było kiedyś i jacy my byliśmy kiedyś, wszyscy, ach, jakże pogodni i wolni, i co? I o naszym dzieciństwie? To dzieciństwo w ogóle nim nie było, zrozum to, proszę! Odlóż je ad acta albo idź na terapię. Tak na marginesie, znam bardzo dobrego terapeutę w śródmieściu i mogłabym...

– Mam gdzieś twojego terapeutę!

Leni wlepiła we mnie oczy z nieskrywanym współczuciem.

– Okay, co jest? Co się stało? Czego on od ciebie chce?

– Nie potrzebuję twojego współczucia, Leni. Nie chcę, żebyś się nade mną pochylała, jakbym leżała gdzieś na dnie, i robiła mi łaskę, że możesz mnie wysłuchać.

– Mój Boże, a ty jesteś naprawdę niewdzięczna, wiesz?

– Pojdę już. Możesz za mnie zapłacić.

Wstałam od stolika i nie dałam jej czasu na protesty.

Minęło kilka miesięcy od tamtej nocy z Ivo, której ślady wściekle próbowałam wyrzucić z pamięci: nie chodziło o wyrzuty sumienia. Czulałam się, jakby ta noc była czymś nieuniknionym, jakby była już z góry zaplanowana i jakbym nigdy nie miała innego wyboru, niż poddać się własnemu losowi.

Dopiero potem stopniowo przychodziły wątpliwości. Nie oczekiwałam od Ivo wiele, tylko odrobinę więcej współnictwa, małego potwierdzenia naszej tajemnicy. Ale on znowu, jak we wcześniejszych latach, zniknął, by pójść w szeroki świat, który tylko czekał, że Ivo go podbije. Może było tak już w tamtym momencie, kiedy znowu zaczął mówić i odebrał mi poczucie, że jestem niezbędna, gdy moja mowa przestała już mu być potrzebna do przeżycia.

Znikanie Ivo było bezwzględne, nie poświęcał ani sekundy, żeby o mnie pomyśleć. Znikanie Ivo było okrutne i całkowite.

Dziwnym trafem, choć byłam półprzytomna, stało się dla mnie jasne jak słońce, że pod żadnym pozorem nie wolno mi popaść znowu w taką apatię jak wtedy, po jego ostatnim wielkim zniknięciu. Wówczas tęsknota za nim przeobraziła się w rozdrażnienie i napędzała mnie, wzbraniając mi wszelkich myśli o zawarciu pokoju. Mój żal nabrał wściekłego posmaku i rzuciłam się w wir studiów, wyjeżdżałam z Abim w podróże po miastach europejskich, dużo czytałam, uczyłam się i używałam życia, jak tylko się dało. Pamiętam, że w tamtym okresie niewiele sypiałam, bo nawet sen wydawał mi się stratą czasu. Nagle zauważyłam, że inni przywiązują wagę do mojego zdania i biegałam dumna jak rewolucjonistka w berecie baskijskim i wąskiej spódnicy.

A przede wszystkim zaczęłam dużo pisać. Pisałam eseje, notowałam wszystkie strzępki myśli, by po kilku dniach nadać im kształt artykułu, tworzyłam gazetkę studencką, którą zreorganizowałam. Zdawało się, że Abi nie potrafi mi już dotrzymać kroku: stawał się coraz smutniejszy, markotniejszy, nijaki w moich oczach.

Tamtego ranka stałam przed lustrem i ubierałam się. Szykowałam się do wyjścia na uniwersytet, na zebranie redakcji gazetki, którą zaczęłam kierować, gdy Ivo wyprowadził się do Monachium. Abi stanął za mną i dotknął mojej lewej piersi. Xerxes leżał na parapecie i przeciągał się w porannym słońcu. Spojrzałam na Abiego w lustrze, zobaczyłam jego dłoń na mojej lewej piersi. Wyobraziłam sobie przez chwilę, że skóra mi zniknęła i jego ręka zanurza się w krwawym wnętrzu ciała, dotykając serca.

Rano po tamtej nocy Ivo najspokojniej w świecie odwiózł mnie w miejsce, gdzie zostawiłam rower, jakby jej nigdy nie było, a ja znalazłam się dokładnie tam, gdzie spotkaliśmy się poprzedniego dnia. Pożegnał się ze mną delikatnym pocałunkiem w policzek i więcej się nie odezwał.

Abi ścisnął moją pierś coraz mocniej i mocniej. Krzyknęłam, uwalniając się z jego uścisku.

– To bolało, Abi.

– Chciałem ci chociaż mniej więcej pokazać, jak to jest.

– Jak *co* jest?

Dopiero teraz zauważyłam, że w jego twarzy było coś ponurego, mówił zduszonym głosem. Usiadł na brzegu łóżka i podał mi zmięty kawałek papieru. Zupełnie nic nie rozumiałam. Między nami nie było już wprawdzie dawnej bliskości, ale nie kłóciliśmy się i Abi nigdy nie zachował się wobec mnie agresywnie. Wolał milczeć, niż powiedzieć coś otwarcie. Dlatego nie mogłam pojąć, co mi czyta:

Myślę o Twoim ciele i nienawidzę Cię za to, że należy do Ciebie. Mówisz, że jestem dla Ciebie okrutny. Może to prawda. Może nie chcę kolejnego ogniwa, bo już dość ogniów nas łączy. Może masz rację i nie powinno się chcieć być kimś innym. Nie ma odpowiedzi, ale Ty ich ode mnie oczekujesz, a to doprowadza mnie do szału. Jesteś wygodnica, bo się boisz. A ja oczekuję od Ciebie więcej przez pamięć tamtego dnia, kiedy Ty stałaś się Tobą, a ja mną. Nie mogę znieść Twojej bierności. Ale przede wszystkim chciałem Ci powiedzieć, że jesteś przepiękna. I robię się słaby przez to, że muszę o tym myśleć. Nie mogę sobie pozwolić na słabość.

Przyjedź mnie odwiedzić albo nie przyjeżdżaj. Mówiąc wprost: przyjedź i śpij ze mną. Ivo.

Ani razu nie spróbowałam przerwać Abiemu. Słuchałam, wsłuchiwałam się w każde słowo, zapomniawszy, że to Abi mi czyta. Zapomniałam, że te słowa nie należą do niego.

– Skąd masz ten list?

– Tylko to cię interesuje?

– Skąd go wzięłaś?

– Czy zdajesz sobie sprawę, co jest w nim napisane, czy wszystko ci jedno? Nieważne, z kiedy jest ten list, nieważne, że go mam, ważne, że twój brat pisze do ciebie coś takiego!

– Przestań, Abi.

Abi miał łzy w oczach i patrzył na mnie bez zrozumienia, przerażony, pogardliwy. Wiedziałam, że niemożliwe będzie cokolwiek mu wyjaśnić. Wyszedł, trzaskając drzwiami. Wzięłam naddartą kartkę do ręki i wciąż na nowo odczytywałam słowa napisane drobnym, ostrym pismem Ivo. Brakowało koperty i chociaż wywróciłam całe mieszkanie do góry nogami, nie mogłam jej znaleźć. Nie wiedziałam więc, kiedy ani skąd wysłał ten list. Zadzwoiłam do Tulji, a ona natychmiast zdradziła mi jego adres w nadziei, że Ivo i ja wreszcie zakopimy topór wojenny.

Abi oczekiwał, że się wyprowadzę. Coraz bardziej narastał we mnie lęk przed stratą: jego przyjaźni, bliskości, zrozumienia, spokoju. Abi chciał wyjaśnień, przeprosin. Nie wiem, czy w końcu by mi wybaczył, gdybym złożyła mu wszystkie ofiary, których ode mnie żądał. Jego pogarda narastała tym bardziej, że nie spróbowałam nawet spełnić tego życzenia. Wiedziałam, że wszystko, co mogłabym powiedzieć, tylko jeszcze oddaliłoby mnie od niego. Każde kolejne słowo kazałoby mu mnie nienawidzić. A ja nie mogłam znieść myśli, że on mnie znienawidzi.

Jeszcze miałam przy sobie Xerxesa i jeszcze oznaki opuszczenia nie były dla mnie w pełni oczywiste, jeszcze nie były widoczne w całej swojej ostrości.

Wyrzałam na ulicę, na której roiło się od szczęśliwych ludzi. Ich szczęście budziło we mnie odrazę i z jakiegoś powodu naplułam z okna na dwóch przechodniów, po czym schowałam się jak zawstydzona, ale triumfujące dziecko.

Poszłam do sypialni, spakowałam pospiesznie małą sportową torbę, wsadziłam Xerxesa do jego niewielkiego koszyka i pojechałam autobusem na dworzec. Po nieskończonej jeździe z kotem, który zachowywał się jak dziki, dotarłam do Monachium. Było wietrznie i wszędzie unosił się kurz. Nie znałam tego miasta i czułam się żałośnie. Z materiałem dowodowym – listem w dłoni – i adresem od Tulji pojechałam taksówką do mieszkania Ivo. Tulja podała mi nazwisko, pod które trzeba zadzwonić domofonem. Może to komuna mieszkaniowa, pomyślałam. To był nudny budynek z lat pięćdziesiątych. Szary i zwyczajny. Nic nie przypominało Ivo.

Zadzwoiłam. Od razu odezwał się kobiecy głos.

– Tak, słucham?

– Jestem Stella. Szukam Ivo.

– Kto?

– Stella.

– Och, nie ma go, ale wejdź na górę.

Mimo impulsu, żeby uciekać, powlokłam się na górę jak zbity pies, przyciskając do siebie ciężki kosz z Xerxesem.

Drzwi otworzyła wysoka, ciemnowłosa dziewczyna. Uśmiechnęła się do mnie uprzejmie i zaprosiła do środka; przedstawiła mi się jako Lily. Raczej zwyczajne mieszkanie, urządzone skromnie, bez jakiegokolwiek staranności, bez ani jednego śladu życia. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że Ivo tu mieszka, bo on przecież wszędzie zostawia ślady – widoczne, znaczące. Usiadłyśmy w kuchni i uciekłyśmy w rozmowę o Xerxesie, który wreszcie mógł wyjść z koszyka i coś przekąsić.

– Jesteś koleżanką z Hamburga?

– Jestem jego siostrą.

Niczego nie nienawidziłam bardziej niż tego określenia, i jakby to miało odrobinę złagodzić tę kategorię, trochę mnie od niej uwolnić, dodałam:

– Przybraną siostrą.

– Dlaczego nie mówiłaś tak od razu? Już myślałam, że muszę być zazdrosna! – wykrzyknęła Lily z widoczną ulgą. – Zaraz wróci do domu, możesz tu na niego poczekać.

Miała wąskie policzki i pełne usta. Objęła mnie. Mnie, siostrę swojego chłopaka. Zaczerwieniłam się i spuściłam głowę. Przez dwie godziny musiałam wysłuchiwać zachwyty Lily nad Ivo. Jak bardzo się cieszy, że przyszłam, bo on tak niewiele mówi o sobie i swojej rodzinie. Że to jest właściwie jej mieszkanie i że przecież Ivo nigdzie nie potrafi zagrzać miejsca na dłużej, i że teraz mieszka u niej, no bo kilka miesięcy temu wyleciał przecież z akademika, a własny kąt jest w Monachium bardzo drogi; ale że bardzo dobrze sobie radzi i że pisze fantastyczne rzeczy, i że przepowiadają mu wielką karierę dziennikarską, bo jest taki odważny i radykalny. Czułam, jak od tych peanów robi mi się coraz bardziej niedobrze, i od czasu do czasu musiałam zniknąć w łazience, żeby potrzywać głowę pod zimną wodą.

Dopiero krótko przed północą brama na dole została otwarta kluczem i usłyszałam dudnienie kroków w korytarzu. Jeszcze zanim urocza Lily zdołała przekazać Ivo dobrą nowinę o moim przyjeździe, on już stał w kuchni i patrzył zdziwiony na mnie i Xerxesa, który strachliwie przycupnął u mnie na kolanach. Ivo zrobił krok do tyłu, potem uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem, a następnie roześmiał się na całe gardło. Przytył odrobinę, sprawiał wrażenie zdrowego i swobodnego, jakby nie szedł przez życie, ale tańczył na wąskiej jedwabnej linii niczym mistrz akrobacji. Z wirtuozerią, pełen wdzięku. I znowu poczułam się pozbawiona prawa do istnienia, znowu byłam niepozorna, nieważna; i w tej samej chwili ogarnęła mnie złość, że tu przyjechałam – już go za to znienawidziłam. Moja nowo zdobyta i wywalczona pewność siebie zniknęła w ciągu sekundy.

Zapadła krępująca cisza, którą musiała zauważyć nawet Lily, bo natychmiast zaczęła paplać jakieś banały i co chwila zapewniać Ivo, jak bardzo jej miło, że ma okazję poznać jego siostrę.

Po kolejnej godzinie męczarni Ivo zdołał w końcu przekonać dziewczynę, że byłoby lepiej umieścić mnie u kolegi, bo tam jest więcej miejsca, i że chciałby spędzić ze mną dzień sam na sam z perspektywą, że w najbliższych dniach zrobimy coś wszyscy razem. Lily zdawała się rozczarowana, ale w końcu pozwoliła nam wyjść.

Na ulicy, w mroku jesiennej nocy, oparłam się o chłodną ścianę domu, obejmując koszyk z Xerxesem, i głęboko odetchnęłam. Miałam uczucie, że za chwilę się przewrócę.

– Skąd się tu wzięłaś? Skąd masz ten adres? – zapytał szorstko.

Nie miałam siły mówić. Wyjęłam list i podsunęłam mu go pod nos.

– Ależ ja go wysłałem bardzo dawno temu i na kopercie był inny adres.

– Abi go otworzył.

Nic nie odpowiedział, zbliżył się do mnie i spojrzał mi w oczy. Patrzył długo, nie mrugając powiekami, nieruchomo i bez wyrazu.

– Okay. Chodź, znikajmy stąd.

Wszedł do budki telefonicznej, porozmawiał z kimś, a potem wsiedliśmy na jego skuter – ja z Xerxesem na kolanach, trzymając się jedną ręką pleców Ivo. I odjechaliśmy.

W małym pokoiku mieszkania w starej kamienicy gdzieś za miastem odkrywałam ślady Ivo: niezliczone książki, zeszyty z notatkami, walające się wszędzie ciuchy, brudne kubki po kawie, kasety i zdjęcie Tulji jako młodej kobiety, które widziałam po raz pierwszy.

– Mieszka tu jeden z moich przyjaciół, wynajmuję od niego pokój. Ale to daleko i czasami w nocy ciężko mi dojechać... – powiedział przeprasząco i były to pierwsze miłe słowa, z jakimi tego dnia zwrócił się do mnie. Xerxes natychmiast zasnął w kącie wykończony podnieceniem i strachem.

Ivo zrobił mi kanapkę z serem i przyniósł piwo z kuchni. Wypiłam łyk, a alkohol uderzył mi do głowy. Padłam do tyłu na materac i przejechałam ręką po zimnej ścianie. On usiadł obok, nie spuszczać ze mnie wzroku. Widziałam jeszcze wahanie w jego spojrzeniu, niezdecydowanie między żądzą a strachem, który u niego tak bardzo przypominał pogardę. Potem położył się przy mnie i wziął mnie w objęcia. Przez krótki czas po prostu leżałam – nieruchomo, zmartwiała z napięcia, mdłości i pożądania. Potem przyłgnęłam do niego mocno i przycisnęłam usta do jego ust.

– Myślisz, że jestem wygodnicka i bierna. Myślisz, że chcę od ciebie odpowiedzi –

szeptnęłam i rozebrałam go. Całował mnie, a ja ciągle jeszcze nie mogłam uwierzyć, że jego ciało nie wymyka się mojemu. Położył mi dłoń na ustach i ugryzł mnie w szyję. To bolało, ale ból był podniecający. Wślizgnęłam się pod Ivo, przywarłam do niego, zmieniłam się w drut, który może się dowolnie wyginać.

W ciemności widziałam wpatrzone we mnie oczy Xerxesa. Zadrzałam – przez chwilę miałam wrażenie, że to Abi mi się przygląda. Usiadłam i zaczęłam patrzeć na złane potem ciało Ivo.

– To twoja przyjaciółka? – spytałam go. Miał zamknięte oczy.

– Nie, to tylko przyjaciółka.

– Z którą sypiasz?

– Tak, czasami.

– Kochasz ją?

– Stroisz sobie ze mnie żarty?

– Dlaczego? Czy tobie nie wolno kochać?

– Z pewnością mi wolno, ale tego nie robię.

– Nikogo nie kochasz?

– Nie pytaj mnie o takie głupie rzeczy.

– Chcę do ciebie.

– To niemożliwe, wiesz o tym.

– Dlaczego się tak boisz? Boisz się Franka, Tulji?

– Nie boję się, a jeśli już, to tylko siebie.

– Czemu siebie?

Usiadł raptownie. Prześcieradłem stał sobie z czoła kropelki potu i przytulił się do mnie.

Potem objął mnie i ukrywszy twarz w mojej szyi, szepnął:

– Stello, posłuchaj mnie. Spróbuję ci wszystko wyjaśnić, dobrze? A ty musisz zrozumieć, bo ty to ty i musisz. Nie masz innego wyboru, musisz tylko chcieć.

Przemawiał do mnie, jakbym była dzieckiem i jakby przezwyciężał zniecierpliwienie, jakby wytłumaczenie mi tego cierpliwie i jak najprościej kosztowało go wiele wysiłku.

– Stało się, co się stało. I przypadkiem oboje byliśmy tam, w tym miejscu, w tym czasie. Ty tam byłaś. I w jednej chwili staliśmy się dorośli. To znaczy, że tamtego dnia, w ciągu tych kilku minut, musieliśmy się zdecydować. Oczywiście wtedy o tym nie wiedzieliśmy. Musieliśmy się zdecydować, żeby przeżyć. Jak moneta, która może upaść tylko na jedną stronę. To znaczy, oczywiście obie strony tworzą monetę, ale mimo wszystko nigdy nie mogą być po tej samej stronie jednocześnie. I coś podobnego stało się też z nami: ty poszłaś w prawo, ja w lewo... albo odwrotnie, to bez znaczenia. Te drogi prowadzą w końcu do tego samego punktu, a jednak nie mogą biec równolegle, muszą obrać różne kierunki, żeby powstał ten punkt, punkt końcowy, rozumiesz? To się wtedy stało. Dokładnie to. I było dobre. Nie rozumiem, jak możesz myśleć, że w jakikolwiek sposób jesteś mi obojętna. *Ty tamtego dnia uratowałaś mi życie, a jednocześnie je zniszczyłaś.* To jest to, Stello. To się stało. Bez ciebie nie zostałbym zmuszony, żeby się zdecydować, bez ciebie pozostałbym niemy. Ale bez ciebie może bym też nie... To jest tak, jakbyśmy się ze sobą przemieszczała. Jakby było gwałtowne uderzenie. Jakby nasze przyszłe szanse, wszystkie nasze możliwości, ewentualności, zejścia z drogi, cała przyszłość pofrunęły we wszystkie strony, a potem z brzękiem opadły w dół. No i teraz zajmujemy się tym, żeby odkryć, które z tych cech, możliwości, projektów na przyszłość należą do ciebie, a które do mnie. Ciiiiii, nie przerywaj mi, jeszcze nic nie mów, muszę dokończyć myśl, muszę wypowiedzieć ją do końca, bo nie wiem, czy kiedykolwiek będę mógł to wszystko powtórzyć. Tak właśnie jest, Stello, czy chcesz to przyjąć do wiadomości, czy nie. Nie chcę żyć życiem, które nie jest moje. To dla mnie niezmiernie ważne wiedzieć, że życie, którym żyję, należy do mnie, tylko do mnie. Bo dostrzegam w nim wiele rzeczy, które sprawiają wrażenie pożyczonych. To dla mnie ważne wiedzieć, że istnieją poza tamtym popołudniem, że nie każda moja komórka jest nim naznaczona. Kiedy mam cię przy sobie, nie potrafię tego odróżnić. Wtedy wszystko znów zaczyna się mieszać. Ten zamęt wymieszał też nasze wnętrza. Tak ja to odbieram. Zawsze widzę przed sobą to uderzenie, kiedy jesteś przy mnie,

czasami wyraźnie go potrzebuję, żeby wiedzieć i pamiętać, kim jestem. Ale nie mogę już tego znieść. Już nie mogę, Stello.

Nic nie mówiłam, milczałam w czasie długiego monologu Ivo. Potem wyzwoliłam się z jego objęć. Nie sprzeciwił się. Nie chciałam tego słuchać.

– I co zrobimy z tym wszystkim, co się w nas pomieszało? Z naszymi wnętrzami? – spytałam zimno.

– Nie wiem. Możemy je znów wyjąć i nawzajem sobie zaimplantować. Taki rodzaj wzajemnej operacji.

– Nie chcę. To by było potworne.

– Nie sądzę, żebyśmy przeżyli taką operację.

– No więc?

– No więc będzie bolało. Nadal.

I położył mi rękę na brzuchu, przesunął wnętrzem dłoni po mojej talii, żebrach, dotknął piersi, wcisnął mi opuszki palców w uda, w łędźwie.

– Bo moja wątroba jest dla ciebie za duża, a twoja śledziona dla mnie za mała, bo twoje mięśnie są dla mnie zbyt wiotkie, a moje dla ciebie zbyt twarde, bo moja krew za szybko płynie w tobie, a twoja we mnie za wolno, bo płatki twoich uszu są dla mnie zbyt piękne.

Musiałam się roześmiać. Serce mnie bolało. Fizycznie bolało. Wiedziałam, że ma rację. Ale ta wiedza nic nie zmieniała w tym, że niczego bardziej nie pragnęłam, niż żeby on był inny. Żeby nasza przyszłość była wolna i otwarta i żebyśmy mogli się spotkać jak dwoje obcych ludzi.

Poprowadziłam dłoń Ivo po swoim brzuchu, do szyi, i przyłożyłam jego palec wskazujący do miejsca, gdzie bił puls.

– A co, jeśli nam dwojgu zawsze była pisana wspólna przyszłość i to uderzenie zdarzyło się tylko po to, żebyśmy to zauważyli?

– To uderzenie kosztowało moją matkę życie, ojca w pewien sposób też, a mnie dało obcą rodzinę, której właściwie powinienem być nienawidzić. Jak myślisz, czy warto dążyć do takiej przyszłości? Nie chcę tego, Stello. Dlatego pozwól, że spróbujemy tylko czasami zaspokoić tę cholerną tęsknotę. Odbyć ten mały rytuał, którego potrzebujemy, sekretny rytuał naszego dotyku. Ale potem daj nam po cichu wrócić do swojego życia. Aż kolejny raz, potajemnie i w ciszy, gdzieś się spotkamy, żeby się dotykać.

Mark wrócił. Nie rozmawialiśmy. Po jego przyjeździe przynajmniej siedziałam w domu, spełniałam obowiązki, nie skarżyłam się, dalej byłam matką Theo, jego zhańbioną matką.

Obchodziliśmy siódme urodziny Theo. Urządziliśmy kinderbal u dziadków w Blankenese, gdzie dzieci mogły słuchać do woli głośnej muzyki i szaleć. Jadły ciasto, wymachiwały pistoletami na wodę i zalewały nią cały ogród.

Siedziałam w tyle ogrodu przy długim stole zastawionym słodkimi napojami i ciastem. Mark rozmawiał z innymi ojcami i zajmował się grillem. Nie zdobyłam się na wysiłek, żeby zabawić gości. Świeciło słońce. Zrobiło się ciepło i pozwalałam, żeby pojedyncze promienie słońca spacerowały po moich ramionach jak zongler. Patrzyłam na swoje paznokcie, które zdawały się takie blade, kościste, nagie i nieprzydatne. Spojrzałam na obrączkę i zaczęłam ją obracać na palcu, zsunęłam nieco, spróbowałam zdjąć, a potem znów ją założyłam. Z pierścieniem czy bez – nie stanęłam na wysokości zadania.

Abi spoliczkował mnie, a potem zaczął głośno szlochać, kiedy się pakowałam. Przerażony Xerxes schował się w jakimś kąciku i przyglądał się zdumionymi oczami światu, swojemu światu, który został podzielony na dwie części. Nie znalazłam innego mieszkania, było gorące lato i właśnie zaczęły się wakacje. Postanowiłam więc, że spędzę najbliższe tygodnie u Tulji, aż będę miała coś na oku.

W Niendorfie spędzałam czas na hamaku, który powiesiliśmy razem z Tulją, i gapiłam się w niebo. Wiezorami chodziłam na plażę albo pisałam do gazetki studenckiej. Paliłam papierosy i słuchałam w piwnicy starych płyt analogowych. Czasem pomagałam Tulji w wypożyczalni; w milczeniu, nie zadając pytań, spędzałyśmy dni jedna przy drugiej, a ona od czasu do czasu robiła swoją słynną szarlotkę i zapraszała starsze gdaczące panie, które pozwalała mi raczyć winiakiem, a wieczorami podwoziła do domu. Nikomu nie powiedziałam o moim nowym miejscu pobytu i prawie nie wychodziłam z domu albo z ogrodu.

Mój żal nie był przemożny, nie był krwawy. Przetaczał się łagodnie, niemal cierpliwie, wręcz pokornie. I wspaniale dawał się koić likierami Tulji.

Pewnego niedzielnego wieczoru po powrocie z plaży, gdzie spędzałam czas na czytaniu i robieniu notatek, zauważyłam, że jeszcze ktoś się pojawił. Najpierw pomyślałam, że to ojciec przyszedł z wizytą, ale nie było jego samochodu. Brama była otwarta na oścież, a stara huśtawka dla dzieci pod domkiem na drzewie huśtała się w tę i w tę, jakby ktoś przywrócił ją do życia.

Przystanęłam i zaczęłam nasłuchiwać. Tulja paplała z przejęciem, w jej głosie pobrzmiwał szczęśliwy ton. I wtedy zrozumiałam, że to on przyjechał.

Wbiegłam do środka i zobaczyłam Ivo z zaróżowionymi policzkami. Siedział przy stole i mieszał łyżką w zupie Tulji. W przedpokoju stał jego wielki plecak i buty.

Nie byłam przygotowana na wizytę Ivo i nie było mi też specjalnie przyjemnie, bo przecież nie miałam pojęcia, co mu naopowiadała Tulja. Nie wiedziałam, czy słyszał o mojej ucieczce z Hamburga. Mimo wszystko zapomniałam o irytacji i rzuciłam mu się na szyję. W tym domu to się wydawało takie proste: siedzieć obok niego, bez napięć, bez zadawania sobie bólu, jaki niosły ze sobą spotkania w ostatnich latach.

Powiedział, że wraca z podróży i chciałby na jakiś tydzień zaszyć się u Tulji. Musiałam się roześmiać. Czy zawsze tak będzie? Czy zawsze będziemy uciekać do przeszłości i do miejsc, które były jej częścią, po to, żeby pamiętać?

– Znakomity plan. Tylko jedz, tylko jedz, ta mała też chowa się u mnie przed światem, który sprawia jej kłopoty – powiedziała Tulja i objęła mnie, jakby chciała się upewnić, że jeszcze tu jestem. – Usiądź, Stello, też coś zjedz. Cały dzień nad wodą i nie jadłaś nic porządnego, to się musi źle skończyć!

I podgrzała mi zupę.

Nocą usiedliśmy na huśtawce, która skrzypiała i pojękiwała, i nuciliśmy sobie piosenki. Próbowałam nie zadawać pytań; przecież on nie zna odpowiedzi, jak napisał mi w swoim liście.

To były piękne dni. Pamiętam tamten tydzień bardzo dokładnie. Miałam uczucie, że w ciągu tego krótkiego czasu z Ivo udaje mi się nadrobić straconą młodość: wypływaliśmy łódką, chociaż morze było niespokojne i Tulja nam zabraniała; leżeliśmy na plaży, graliśmy na akordeonie na cztery ręce, jedliśmy gulasz i siedzieliśmy wieczorami na tarasie, słuchając odgłosów nocy. Ivo o nic nie pytał, ja nic nie mówiłam. Spokój i bliskość były możliwe tylko dlatego, że przez ten czas znowu byliśmy rodzeństwem, rodzeństwem, które się nawzajem wybrało.

Pomagaliśmy Tulji w ogrodzie; gwałtowna nadmorska ulewa zniszczyła klomby z kwiatami. Miałam na nogach stare kalosze, a Ivo zdjął koszulkę. Pomagałam przekopywać ziemię i prostować rośliny, które były jeszcze do uratowania. Przypadkiem dotknęłam łokciem jego pleców; Ivo był swobodny, schylił się właśnie, a ręce miał ubrudzone wilgotną ziemią. Ogarnęła mnie wściekła żądza i poczułam pragnienie, żeby krzyczeć. Wrzasnęłam. Ivo odwrócił się i stracił równowagę, wylądował w ziemi. Klęknęłam przy nim i pocałowałam go. Odepchnął mnie i coś wymamrotał. Rozejrzał się – rozglądał się za Tulją.

Poczułam się, jakbym miała zasznurowane gardło, skoczyłam na równe nogi i wybiegłam z ogrodu tak prędko, jak tylko mogłam. Tym razem nie popędziłam na plażę, ale do domu, pod ciepły prysznic. Miałam nadzieję, że gorąca woda zmyje ze mnie tę ponowną klęskę. Przyłgnęłam do kabiny.

Pociągnął za klamkę i wszedł do łazienki. Otworzyłam kabinę prysznicową.

– Idź stąd! – wrzasnęłam i zasłoniłam ciało rękami. Nie chciałam, żeby widział mnie naga.

Stał tak bez ruchu, tylko jego nozdrza trochę drżały. Wyraźnie się bał, a przez to moja klęska była jeszcze bardziej wstrząsająca. Odwróciłam się do niego plecami, namydliłam się mydłem różanym Tulji i ukryłam twarz pod mokrymi włosami. W którymś momencie poczułam jego dłoń na pośladku. Zrobił krok w moją stronę i zaczął się rozbierać. Wszedł do kabiny, którą wypełniał zapach ziemi, i zasłonił mi usta dłonią.

Kochaliśmy się w ukryciu, bo nie chciał, żeby ta miłość zostawiła po sobie jakiekolwiek ślady. Wziął mnie tamtego popołudnia, wziął mnie sobie jak jakieś brzemie, wziął mnie jak nałogowiec; oddał się swojemu pożądaniu, ale nie oddał się mojemu.

Widziałam to w jego oczach, które uciekały przed moim spojrzeniem. Widziałam to w jego rękach, które traktowały moje ciało jak przeszkodę. I powinnam była krzyczeć, uwolnić się, ale zamiast tego się przeciągałam, dopasowywałam, stwarzałam mu lepsze możliwości, by nadużywał mojego ciała i upokarzał mnie.

Ivo się wycierał, podczas gdy ja zostałam pod prysznicem i pozwoliłam wodzie spływać po ciele, które mnie bolało i paliło. Patrzył na siebie w lustrze i wydawało się, że znów jest spokojniejszy, opanowany, znów jest panem sytuacji. Kucnęłam, przyciągając mocno nogi do siebie w nadziei, że ból ustanie, jeśli będę po prostu udawać, że go nie ma.

– Nie byłoby dobrze, gdyby Tulja i inni... – szepnął nagle i zaczął się ubierać w pośpiechu.

– Wyjdę i znów zajmę się ogrodem. Ty odczekaj jeszcze chwilę.

Powiedział to zupełnie spokojnie, z namysłem, patrząc przy tym na swoją twarz w lustrze. Potem przejechał dłonią po policzkach, by się upewnić, że ślady namiętności już zniknęły. Myślę, że to ten spokój, ta pewność siebie w jego głosie doprowadziły mnie do wybuchu, dały mi siłę, chociaż w milczeniu siedziałam w kucki pod prysznicem. Nie potrafię sobie wyobrazić innej przyczyny mojej reakcji. Dlaczego nagle poczułam w sobie tyle siły, żeby wyskoczyć z kabiny jednym susem.

Stałam przed nim mokra i naga i patrzyłam mu prosto w oczy. Coś w moim wyrazie twarzy kazało mu cofnąć się o krok, potem stanął jak wryty.

– Nie zaczekam ani sekundy i mam w dupie, czy to będzie źle, czy gorzej, czy najgorzej dla innych. Jestem u kresu sił, więc co mnie obchodzą inni? Wystarczająco długo martwiłam się o innych. Słyszysz? Słyszysz, Ivo? Właśnie odszedł ode mnie mężczyzna, który mnie kochał i którego ja kochałam, i z którym mogłam być szczęśliwa. A wiesz dlaczego? No, może chcesz zgadnąć? Chcesz? Myślę, że znasz powód, tak sądzę, chociaż ty zawsze udajesz! Jakbyś wiecznie

był zaskoczony. Ten cholerny powód! Nie poczekam ani sekundy, a ty nie możesz zawsze zamykać mi ust. Przez całe lata od tamtego zasnętego dnia na plaży próbowałam robić wszystko tak, żeby było dobrze, jak ty myślisz, że będzie dobrze. I nagle stwierdzam, że to *dobrze* jest dobre tylko dla ciebie, a dla mnie to kompletne, absolutne *źle*. I dlatego nie będę siedzieć cicho. Jeśli i tak ma boleć, niech cały ból przyjdzie za jednym zamachem. Wtedy będę mogła sobie poradzić, ale tak jak teraz – nie.

Przez cały czas patrzyłam mu w oczy. Źrenice mu się rozszerzyły i po raz pierwszy poczułam się taka, jaka chciałam być, jaka bym była, gdyby on nie unicestwiał jednym słowem, jednym mrugnięciem oka mojej pewności siebie, moich planów. Dzień w dzień, rok w rok. I mimo oplakanej sytuacji czułam siłę, żeby wytrzymać.

– Pragnę cię, Ivo. Chcę cię mieć przy sobie. Tak, posłuchaj tego. Spójrz na mnie – ciągnęłam.

– Proszę, przestań...

– Nie, nie zatkasz mi ust, nie! – Tym razem krzyknęłam, a on instynktownie przyłożył sobie palec do warg. Jego strach w tej łazience, w tej ciasnocie, przyniósł mi wreszcie wyzwolenie. – Nie, nie zrobisz tego! Przestań mi wreszcie przerywać! Nie byliśmy tacy, nasz związek nie był taki, zawsze polegał na wzajemności, aż ty zacząłeś się wstydzić tego, co ja czuję, tego, co ty ewentualnie mógłbyś czuć, gdybyś... Nie chcę już tego, Ivo. Nie rozumiesz mnie? Czy tak trudno jest to zrozumieć?

– Jak ty to sobie wyobrażasz? Mielibyśmy może się pobrać i wydać na świat słodkie maleństwa, a potem dać im na chrzcie imię po Leni albo Franku?

– Nie, nie zranisz mnie, już głębiej się nie da. Mój Boże, Ivo. Czy tylko o to chodzi? Położyłam dłoń między nogami.

– Czy o to chodzi? To niemożliwe, to przecież niemożliwe. Przecież dla czegoś takiego nie opłacałyby się te wszystkie wysiłki. Kocham cię, Ivo.

Spuścił wzrok i wpatrywał się w swoje nagie stopy. Musiałam się uśmiechnąć; w tej właśnie chwili, w której wydawało się, że wszystko się wali, pojawiło się światelko w tunelu. Uśmiechnęłam się, uśmiechnęłam się do niego.

– Kocham cię, tego Ivo z przeszłości, Ivo z teraźniejszości i z przyszłości. Kocham cię. Może dlatego, że byliśmy tacy samotni, mali i słabi, a mimo wszystko przetrwaliśmy, bo ty potrzebowałeś mojego języka, bo mimo wszystko to mnie właśnie wyznaczyłeś do mówienia za ciebie, kiedy milczałeś; do patrzenia za ciebie na świat moimi oczami. Oczekiwałeś tego ode mnie i tym samym dałeś mi zadanie, sens. Potrzebuję go od ciebie. Kocham twoje małe znamię na prawym udzie, kocham sposób, w jaki palisz, kocham twój lęk przed moim ciałem, kocham twoją wściekłość na świat za to, że pokazuje ci tak szalone oblicze, kocham twoje pocałunki i rozmowy z tobą o polityce, kocham twoje pisanie; kocham to, jak obierasz ogórka, a potem wgryzasz się w niego z rozkoszą, i kocham wszystkie twoje usiłowania, by ochronić naszą rodzinę przed całym światem, żeby za wszelką cenę jej bronić; i chcę, żebyś usłyszał, że potrafię cię poprosić o wybaczenie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Nikt nie zakręcił kranu i puszczone luzem prysznic zalewał całą podłogę.

– Czy wy dwoje tam jesteście? – spytała Tulja, a ja usłyszałam, jak w jej głosie pobrzmiwa troska, niepewność, którą zawsze potrafiła ukryć tak dobrze, jakby była najbardziej nieustraszonym człowiekiem na świecie, jakby strach stanowił jeden z grzechów śmiertelnych.

A Ivo, patrząc na mnie niepewnie, odkrzyknął:

– Wszystko w porządku, Tuljo! Stella rozciąła sobie palec w ogrodzie i właśnie opatrywaliśmy jej dłoń. – Jego głos brzmiał tak wesoło, tak lekko; i znowu zrobiłam coś, czego może bym nie zrobiła, gdyby był odrobinę uczciwszy, gdyby nie był taki triumfujący.

Zanim zdołał złapać mnie za rękę i zatrzymać, podbiegłam do drzwi, otworzyłam je i przedelfilowałam nago obok Tulji, zostawiając za sobą otwarty widok na pole bitwy. Nie pamiętam już, co przy tym czułam. Wiem tylko, że Tulja z przerażeniem zrobiła krok w tył, że Ivo coś krzyczał, a potem zapadła cisza. Szłam przez korytarz, zostawiając mokre ślady, i szłam dumna. Z

każdym krokiem odzyskiwałam godność, którą mi odebrał, kiedy mnie kochał, zasłaniając mi przy tym usta i oczy.

W samochodzie słuchaliśmy historii Benjamin Blümchena, kasety, którą Theo znalazł już na pamięć. Chciał jej słuchać w kółko, a Mark uważał, że to wspaniale, bo jego syn nie powinien świrować na punkcie gier komputerowych, tylko być zupełnie normalnym dzieckiem, które prosi, żeby mu czytać bajki, i uwielbia gwiazdy futbolu. Jego syn nie zostanie pedałem, na pewno nie będzie agresywny, na pewno nie będzie eksperymentował z narkotykami i na pewno nie rozczaruje rodziców.

Theo, po urodzinach obżarty słodyczami i obładowany prezentami, drzemał sobie na tylnym siedzeniu, w zgodzie z samym sobą i ze światem. My milczeliśmy, gapiąc się na ulicę. Wypiłam wcześniej kilka kieliszków martini i czułam się bezwładna i ociężała.

Mark wniósł śpiącego Theo na górę. Położył go, rozebrał, otulił kołdrą, pocałował, zasłonił zasłony z Wojowniczymi Żółtymi Ninjiami i przyszedł do salonu, gdzie ja siedziałam już, przeglądając gazety, które Mark zabrał z samolotu. Otworzył butelkę wina i usiadł przy mnie. Przez chwilę też kartkował jakiś magazyn i w milczeniu popijał wino. Musiałam nalać sobie sama – nawet nie przyniósł mi kieliszka, jak to zawsze robił.

– Nie sądzisz, że już dosyć wypiałas? Nawet moja matka to zauważyła.

– Nie obchodzi mnie, co zauważa twoja rodzina, Mark. Boli mnie głowa i nie mam ochoty na kłótnię.

– Wcale się nie kłóczę. Chciałem ci tylko powiedzieć, że moim zdaniem to w porządku, jeśli Theo dostanie psa, a moi rodzice będą się nim zajmować. Nie mają nic przeciwko i chętnie to zrobią.

– Nie!

– Theo bardzo chce mieć zwierzę, a skoro moi rodzice...

– Mam gdzieś, czego chcą twoi rodzice. Powiedziałam: nie. I nie zmienię zdania.

Poinformowałam już o tym Theo jasno i wyraźnie. Kiedy będzie dość duży, może mieć zwierzę i się nim zajmować. Ale nie teraz. Pies nie jest zabawką, to nieodpowiedzialne z twojej strony.

– Nieodpowiedzialne z mojej strony? Z mojej? Zaniedbujesz go, od tygodni jesteś nieobecna, nie odzywasz się słowem przez całe urodziny, nie mówisz nawet „dzień dobry”.

– Powiedziałam ci, że nie chcę się kłócić.

– Ale wygląda na to, że zdecydowałaś się zostać, a z tego, co mi powiedziała twoja siostra, rozumiem, że on wyjechał. No więc musimy się zastanowić, od czego zaczniemy. Chodzi mi o to, od czego zaczniemy sprzątać ten cały bałagan, chociaż nie mam nawet pewności, czy to potrafię, czy w ogóle tego chcę. Czy wytrzymam.

– Rozmawiasz o mnie z moją siostrą?

– Nie muszę nawet zaczynać takich rozmów. W końcu wszyscy widzą, co się tu dzieje.

Wczoraj zadzwonił do mnie twój ojciec i zapytał, czy teraz znów wszystko jest okay, skoro on wyjechał. No i spójrz na siebie!

– Nie mogę ci powiedzieć nic, co by cię uspokoiło. Więc nie będę się bronić ani usprawiedliwiać.

– Przestań pić, do ciężkiej cholery. Przynajmniej od tego mogłabyś zacząć.

– To nie ma nic do rzeczy. Zawsze piliśmy razem wino i nigdy ci to specjalnie nie przeszkadzało.

– To było kiedyś! Poza tym wcześniej nie piłaś po to, żeby się totalnie ubzdryngolić!

Wstałam, wzięłam kieliszek, wylałam wino do zlewu i poszłam do sypialni. Myślałam, że głowa mi pęknie. Rzuciłam się na łóżko i przyciągnęłam nogi do ciała, wszystko mnie bolało, ból rozsadał mi skronie. Ukryłam twarz w poduszce i miałam już wybuchnąć szlochem, kiedy Mark złapał mnie za ramiona, przyciągnął do siebie i rzucił się na mnie. Próbowалаm go powstrzymać, uspokoić, mówiąc do niego, przepraszając, ale nie słuchał. Wiedziałałam, że opór jeszcze bardziej

pobudzi jego chęć zadania mi bólu, dochodzenia swoich oficjalnych mężowskich praw, wiedziałam, że może tylko wszystko jeszcze pogorszyć. Dlatego chciałam go spokojnie, łagodnie przywołać do opamiętania, wspomniałam nawet imię Theo, zwróciłam mu uwagę, że drzwi nie są do końca zamknięte, że Theo mógłby nas usłyszeć, ale i to nie odniosło skutku.

Rozebrał się, rozpiął rozporek, w jego oczach lśniły łzy. Co chwila powtarzał, że należę do niego, że jestem matką jego syna i że nie mam prawa robić tego, co zrobiłam. Próbował mnie przy tym rozebrać, ale powstrzymała go od tego wściekłość, a może strach przed tym, co mógłby zaraz zrobić. Może było to też moje spojrzenie, które pozostało puste – nie wyrażało zupełnie nic.

Od błagań i próśb przeszedł do wyzwisk. Nazwał mnie dziwką i beznadziejną matką, kłamczuchą, kobietą niegodną. Potem objął mnie i zaczął całować po twarzy, wtulił głowę w moją szyję i zaczął szlochać, by chwilę później zerwać się na równe nogi, zabrać swoją kołdrę i pobiec do gabinetu, gdzie spędził noc. Włókł za sobą tę kołdrę jak król, który po abdykacji ciągnie za sobą tren.

Tulja siedziała w kuchni i w zamyśleniu wyglądała przez okno. Ivo nigdzie nie było widać. Weszłam do kuchni po szklankę wody. Myślałam, że Tulja już dawno śpi. Zwróciła na mnie wzrok i powiedziała, żebym przy niej usiadła. Potem postawiła przede mną wiśniówkę.

– Jak długo to trwa? – zapytała, a w jej głosie usłyszałam coś metalicznego.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Odpowiedz uprzejmie na moje pytanie!

Wychyliła swój kieliszek jednym haustem i postawiła go z hukiem na stole. Przez cały czas nie spuszczała ze mnie ponurego wzroku.

– Jeśli kogokolwiek chcesz za to winić, to mnie. To ja jestem winna. To ja go do tego skłoniłam.

– Nie waż się mnie okłamywać. On nie potrzebuje twoich usprawiedliwień. Znam go wystarczająco dobrze.

– Ale to prawda! Dlaczego nikt nie chce tego słuchać?

– A więc sypiacie ze sobą.

– Od czasu do czasu. Tak.

Nagle zaczęła płakać. Tylko dwa razy widziałam, jak Tulja płacze. Po raz pierwszy, kiedy zabierała Leni, mnie i Ivo z Hamburga, a ojciec leżał pijany na kanapie i z cierpiętniczą miną gapił się w sufit. Krótco po wyprowadzce matki do New Jersey. Krótco po tym, jak Ivo został członkiem rodziny Tissmarów, po pogrzebie Emmy. Gdy już pakowaliśmy swoje rzeczy, a Ivo siedział w milczeniu na brzegu mojego łóżka i od czasu do czasu wydawał z siebie niezrozumiałe dźwięki albo próbował gryźć ludzi, którzy chcieli go dotknąć. Wtedy zamknęła się w toalecie i płakała. Głośno i niepohamowanie. Teraz znów widziałam ją płaczącą, kilka godzin po tym, jak przedefilowałam obok niej nago. Płakała prawie bezgłośnie, nie próbowała ukrywać łez, nie zakrywała twarzy dłońmi, patrzyła na mnie i płakała. A ja siedziałam, nic nie mówiąc, piłam nieznośnie słodki likier i nie wiedziałam, co mam zrobić albo powiedzieć.

Zastanawiałam się, dlaczego płacze, dlaczego zawsze tak zażarcie walczyła o miłość, uwagę Ivo, dlaczego zawsze musiała go chronić, co właściwie kazało jej się tak bardzo o niego troszczyć. O czym wiedziała? Jak dalece moja rodzina potrafiła wymazać z pamięci tamto popołudnie? Patrząc na jej zaczerwienioną twarz, zastanawiałam się, czy Tulja miała poczucie winy.

– Twój ojciec... to mu złamie serce.

– Nic mnie to nie obchodzi. To wszystko nic mnie nie obchodzi.

– Boję się.

– Boisz?

– Tak, o niego.

– Dlaczego się o niego boisz?

– On nie jest tak silny, za jakiego chciałby uchodzić.

Oczywiście, że miała poczucie winy! To poczucie zdawało się jedyną stałą w naszej rodzinie, przy czym wszyscy podejmowali wszelkie starania, by właśnie tego poczucia się pozbyć.

– Ale ty jesteś przecież moją małą dziewczynką, jesteś przecież... Jak mogłam tego nie

zauważyć? Jak to się stało?

- Nie chodzi o ciebie, Tuljo.
- Tak, ale może mogłam coś zrobić, zapobiec temu?
- Co? Czemu chciałybyś zapobiec?
- Że będziecie się ranić.
- Dlaczego tak myślisz?

Nic nie odpowiedziała. Spojrzałam na nią, pokręciłam głową i poszłam z powrotem na górę, do łóżka. Nie mogłam zasnąć. Wiedziałam, że on pojechał gdzieś samochodem Tulji. Próbowałam zająć myśli czymś innym i czytać. Nie udało mi się; po kilku bezsennych godzinach przykryłam sobie głowę poduszką.

W porannej szarówce nagle ktoś zdarł ze mnie kołdrę i zanim zdołałam oprzytomnieć, szarpnął mną do góry. To ręka Ivo złapała mnie za nadgarstek i wyrzuciła z łóżka. Był pijany albo wziął jakiś narkotyk, albo jedno i drugie. Miał rozszerzone źrenice, a we włosach liść, jakby gdzieś się przewrócił. Byłam jeszcze w półśnie i nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Postawił mnie przed sobą i złapał za brodę, tak że musiałam na niego spojrzeć. Mierzył mnie wzrokiem pełnym nienawiści.

– Wszystko zepsułaś! Zepsułaś wszystko, po prostu wszystko! – I zaczął mną potrząsać: chwycił mnie za ramiona i trząśł w tę i w tę. Rozpłakałam się, kiedy rzucił mnie na łóżko i uderzyłam łokciem o jego brzeg. Zostawił mnie tak i wypadł z pokoju.

– Przepraszam.

Mark siedział na brzegu łóżka. Na niebie szarzało. Nic nie powiedziałam.

– Nigdy nie powinniśmy byli dopuścić, żeby sprawy między nami zaszły tak daleko.

Chciałbym wiedzieć jedną rzecz, Stello, a potem dam ci dalej spać. Czy ty jeszcze mnie kochasz?

Milczałam.

– Stello?

– Nie wiem. Już nie wiem.

– Nie wiesz?

– Tak, już nie wiem. Proszę, odejdz. Jestem straszliwie zmęczona.

Mark wstał i poszedł sobie. Wsadziłam głowę pod poduszkę i zakryłam ją rękami, jakby to mogło utrzymać świat wokół z dala ode mnie.

Theo położył mi rękę na oczach i pocałował mnie w czoło.

– Muszę jechać na trening. Tata już wyjechał. Obudź się!

– Och, mistrzu. Która jest godzina?

– Osiem i jeszcze dwadzieścia.

– Okay. Zasnęłam.

– Nie, mamy czas, aż wskazówka będzie pokazywać trochę przed dziewiątką.

– Tak, zgadza się. Chodź, zjemy coś pysznego na śniadanie. Na co masz ochotę?

– Na marchewkę.

– Co?

– Chciałbym marchewkę.

– Ależ, Theo, marchewek nie jada się na śniadanie, marchewkę możemy zjeść później.

– Ale ja chcę marchewkę.

– Okay, okay, już dobrze. Czy mogę cię o coś zapytać, kochanie? – Wstałam i poszłam do łazienki, a Theo szedł za mną w swojej piżamce z Kubusiem Puchatkiem i przypatrywał się, jak odkręcam kran i zaczynam myć zęby.

– Tak, możesz.

– O co chodzi z tymi marchewkami?

– Co to znaczy: o co chodzi?

– No, co one dla ciebie znaczą, dlaczego to robisz?

– Dlaczego robię co?

– No, od pewnego czasu przechowujesz marchewki i nie chcesz, żebyśmy je wyrzucali, nawet kiedy już się zepsują, ale też ich nie zjadasz.

– To nieprawda. Jem dużo marchewek.
– Nie o to pytałam.
– Masz pastę na wardze.
– Tak, zaraz ją zetrę. Jak mi odpowiesz, to może potem pójdziemy na lody albo na plac zabaw.

– Ja nie wiem.

Nagle Theo zaczął płakać. Wzięłam go w ramiona i próbowałam pocieszyć, ale on nie przestawał, szlochał tylko jeszcze głośniej i głośniej i wczepiał się w moją szyję. Zniosłam go do salonu i usiadłam z nim na kanapie. Całowałam jego twarz i malutkie rączki, które zacisnął w pięści, odgarniałam mu włosy z czoła. Jak w ogóle kiedykolwiek mogłam myśleć, że zdołam bez niego wytrzymać, bez jego miłości, bez poczucia, że jestem mu niezbędna, że potrzebuje moich rąk, warg, ramion po to, by się mocno trzymać, wspinać, całować, wypłakiwać. Przyciskałam go do siebie coraz mocniej, aż w końcu spojrzał na mnie, marszcząc brwi.

– Już nie lubisz taty, tak? – powiedział i raczej było to stwierdzenie niż pytanie.

– Skąd ten pomysł, kochanie? Co ty mówisz, Theo? – oburzyłam się, a jednocześnie najchętniej bym zwymiotowała na to fałszywe oburzenie.

– Przecież tak jest.

– Ależ to nieprawda. Po prostu w tej chwili trudno jest... my jesteśmy... No cóż, jak by to powiedzieć. To się zdarza, między wszystkimi ludźmi są czasem takie chwile, kiedy lubią się bardziej albo mniej.

– To mnie też czasem lubisz bardziej, a czasem mniej?

– Nie, z dziećmi i ich rodzicami tak nie jest. Oni lubią się zawsze.

– Zawsze-zawsze?

– Tak, a nawet coraz bardziej. Jak ja ciebie. Z każdym dniem lubię cię coraz bardziej i bardziej, a pewnego pięknego dnia moje serce zrobi się taaaaakie wielkie z miłości do ciebie.

Połąskotałam go, żeby przepędzić ciemne chmury z jego twarzy. Roześmiał się i fiknął koziołką na kanapie. Potem wstaliśmy, a ja przygotowałam obfite śniadanie. Wydawało się, że zapomniał o apetycie na marchewkę, a jednak zbrązowiałe warzywo na paterze pozostawiło we mnie niemiłe uczucie.

Zawiozłam go na trening. Był słoneczny sobotni poranek, a ja siedziałam na wilgotnej ławce wraz z innymi matkami i ojcami, którzy kibicowali swoim dzieciom. Patrzyłam na Theo, znowu byłam mamą biorącą udział w jego życiu. Od czasu do czasu rzucał spojrzenie na ławkę, na mnie, żeby się upewnić, czy nigdzie sobie nie poszłam. Po treningu pomogłam mu rozebrać się z przeпоconych rzeczy i posadziłam go w samochodzie. Miałam ochotę pojechać z nim nad wodę – było ciepło i chciałam, żebyśmy poszli na lody, chciałam być normalną mamą, która robi coś przyjemnego z synem.

Pojechaliśmy nad Łabę, kupiłam po drodze pojemniczki lodów z masą kolorowych kulek. I chociaż plaża była jeszcze o wiele za zimna, a słońce nie dość mocne, usiedliśmy na piasku i patrzyliśmy na wodę, kontenerowce i statki. Ludzie biegali truchtem obok nas, całowali się, spacerowali z psami. A my byliśmy wśród nich.

Theo od razu znalazł kilkoro rówieśników i zaczął grzebać z nimi w piasku. Zapaliłam sobie papierosa i zauważyłam, że mam na ramieniu siniaka – pamiątkę z ostatniej nocy, pamiątkę od mojego własnego męża, którego oszukałam i zdradziłam. Którego okłamałam i któremu powiedziałam, że już nie wiem, czy jeszcze go Kocham. Przymknęłam oczy, a zapach wody przywiódł mi na myśl Tulję, dzieciństwo, a przede wszystkim domek w pobliżu portu. Dom Emmy i Ivo. Z małym ogródkiem, z wąskim korytarzem, na którego końcu znajdowała się sypialnia – tajemnicze miejsce, gdzie nasi rodzice grali ze sobą w swoją niebezpieczną grę. Małą zacienioną kuchnię, w której Ivo i ja szykowaliśmy sobie coś do jedzenia, kiedy dopadał nas głód. Ivo potrafił smażyć wyśmienite omlety, a ja robiłam kanapki, smarując je na ogół zbyt grubo masłem, ale w tej kuchni wszystko zawsze nam smakowało. A wielki czarny pies łąsił nam się do nóg, dostając od nas resztki, których nie daliśmy rady zjeść.

Nie lubiłam psów. Nigdy nie powiedziałam o tym Markowi. Jedyny pies, do którego czułam

sympatię, nie żył – poniósł śmierć razem ze swoją panią. Śmierć przez zastrzelenie ze strzelby myśliwskiej. Leżał u stóp martwej pani. Nikt nie zwrócił uwagi na martwego psa, bo przecież była też martwa kobieta.

Pomyślałam o pewnym popołudniu, kiedy bawiliśmy się z Ivo w chowanego i akurat przyszła moja kolej kryć. Zazwyczaj znajdowałam go bardzo szybko, bo dom nie był specjalnie duży, a ja naprawdę dobrze się w nim orientowałam, ale tego dnia nigdzie nie mogłam znaleźć Ivo. Aż wreszcie zauważyłam go w ogrodzie na drzewie, bardzo wysoko, z lornetką w ręku. Gałąź, na której przycupnął, sięgała aż do sypialni jego rodziców. Okno było zamknięte, a zasłony zaciągnięte jak zwykle, kiedy w środku byli Frank i Emma. Tym razem jednak została wąska szparka. I w nią właśnie wpatrywał się Ivo przez swoją lornetkę. Wiedziałam, że robi coś niewłaściwego, i poprosiłam go, żeby zszedł na dół, ale on mnie zignorował, kompletnie pochłonięty tym zajęciem. Wspięłam się po drzewie i przysiadłam obok, przewyciężając lęk wysokości i wyrzuty sumienia, że jestem świadkiem czegoś zakazanego. Ale twarz Ivo była tak bardzo napięta, tak skupiona, obca i zimna, że nie mogłam dłużej znieść tego ignorowania mnie. Wyrwałam mu lornetkę, trzymając się drugą ręką gałęzi, i spojrzałam.

Zobaczyłam dwa cienie, dwa kształty wczepione w siebie. Mój ojciec siedział na łóżku tyłem do okna, a nogi Emmy oplatały go w pasie. Jej twarzy nie było widać, ponieważ opadała lekko do tyłu, ale można było zauważyć paznokcie wpijające się w jego plecy. Ojciec odchyłał się coraz dalej do tyłu, chwilami szybciej, chwilami wolniej, a cały ten obraz wywoływał wrażenie wielkiego bólu.

Ivo zabrał mi lornetkę i zaczął złazić z drzewa – prędko i zwinnie. Poszłam w jego ślady. Wstrząśnięta, przestraszona i zdenerwowana. Znacznie bardziej chłodem i obcością Ivo niż tym, co zobaczyłam przez lornetkę. Od tamtego popołudnia Ivo dostawał napadów szału zawsze, kiedy mój ojciec zbliżał się do niego. Zaczął czepiać się matki, bez przerwy jęczał, twierdził, że go boli brzuch, że skaleczył się w kolano, opowiadał, że się przewrócił, nie chciał jedzenia, które przyrządziła dla niego Emma, nie chciał odrabiać lekcji, nie chciał więcej się ze mną bawić, nie chciał, nie chciał, nie chciał. A ja płakałam, skrycie, jawnie, głośno, cicho, wściekle, żałośnie, łykając łzy, nie nad swoim ojcem ani nad matką, która coraz częściej spała u Leni, ani nie nad Leni, która coraz częściej dostawała wysypki i coraz rzadziej miała ochotę iść na konie, jakby chciała ukarać kucyka za zachowanie rodziców, ani nie nad Emmą, która coraz częściej siadywała przy stole w kuchni i gapiała się przed siebie, jakby tam, na zewnątrz, w ogrodzie, w oddali, znajdowało się rozwiązanie wszystkich jej problemów. Opłakiwałam wyłącznie Ivo i jego oddalenie, jego drażliwość i to, że stracił ochotę na nasze przygody, zabawy, na bycie ze mną.

Po fazie płaczu przyszedł w końcu czas, kiedy objęłam Ivo, pocałowałam, wzięłam go za rękę – zrobiłam to całkiem odruchowo – próbując w ten sposób odegnać niebezpieczeństwo, które przepełniało mnie strachem, przegnać ponury nastrój z domku w pobliżu portu. A Ivo ustąpił, wybaczył mojemu ojcu to, co robił z jego matką – pogłaskał mnie po policzkach i zaplótł mi włosy w warkocz.

– Mamo, popatrz, mewa!

Theo podbiegł do mnie pędem, wzbijając wokół siebie wilgotny piach. Przed nami spacerowym krokiem szedł biały, dumny ptak, uprzejmie kiwając głową przy każdym kroku. Obserwowaliśmy go przez chwilę, a Theo rozdziawił usta z zachwytem.

– Bo marchewki odpowiadają za sprawy domowe. – Theo nie spojrzał na mnie, kiedy to mówił.

– Słucham?

Byłam myślami zupełnie gdzie indziej – przy mewie, która właśnie zbierała się do odlotu.

– No bo tak. Tak jest napisane w kalendarzu.

– W jakim kalendarzu?

– W kalendarzu, który wisi u babci i dziadka. W kalendarzu kuchennym. Bo tam są rady, jak upiększyć dom.

– Marchewki odpowiadają za sprawy domowe?

– Tak, marchewki dbają o przytulną atmosferę w kuchni. Marchewki i pomarańcze. Ale

pomarańczy nie lubię.

– Aha. A dlaczego uważasz, że naszej kuchni potrzeba więcej przytulnej atmosfery?

– No, nie kuchni – powiedział i odbiegł do rudowłosego chłopca, który robił babki z piasku.

Mark nagrał mi na sekretarce tekst o mnóstwie roboty. Dodał też coś w stylu: *Dziś lepiej prześpię się u Alexa – i – czy możesz zawieźć jutro Theo do moich rodziców? Zabiorą go na wycieczkę nad Morze Północne.*

Kiedy co najmniej po raz pięćdziesiąty obejrzelismy *Króla Lwa*, Theo poszedł spać. Simba walczył o swoje miejsce w dżungli, a ja nie mogłam przestać myśleć o przeklętych marchewkach w naszej kuchni. Poszłam do sypialni i usiadłam przy laptopie, cały czas z nadpsutą marchewką przed oczami.

W skrzynce odbiorczej aż roilo się od e-maili, a ja wprawnym spojrzeniem prześledziłam tematy.

Leo: *Ważne! Więć mnie przeczytaj!*

Przejechałam wzrokiem po wiadomości. Leo krytykował mnie, pieklił się na mój brak odpowiedzialności. Prawił o bezgranicznym zaufaniu i rozczarowaniu, znowu dawał do zrozumienia, że wiązał ze mną wielkie nadzieje i zamierzał przekazać mi cały dział kulturalny; ale tak dłużej być nie może: jeśli dalej będę postępować w ten sposób, to on za nic nie ręczy. Właśnie teraz oczekuje ode mnie lojalności, oczekuje profesjonalizmu... Nie doczytałam do końca. Zamiast tego napisałam krótko:

Drogi Leo, dziękuję za Twoje wysiłki, zrozumienie i cierpliwość, jednak nie wydaje mi się w mojej obecnej kondycji, bym mogła sprostać Twoim wymaganiom i spełnić Twoje oczekiwania. Muszę być szczerą i poinformować Cię, że moim zdaniem w obecnej chwili najlepiej będzie, jeśli zrobię sobie przerwę. Gdyby to nie wchodziło w grę, musiałabym złożyć wypowiedzenie, jakkolwiek mi z tego powodu przykro. Myślę, że w tym momencie takie wyjście jest najlepsze dla nas obojga. Jestem pewna, że znajdzie się jakieś dobre zastępstwo na moje miejsce. Tak więc w najbliższych dniach opuszczę biuro, a Nadia z pewnością zrobi z niego dobry użytek. Zjrzyj do Ciebie jeszcze, żebyśmy mogli omówić co dalej. Do zobaczenia, Stella.

Nie wiedziałam, dlaczego to robię, ale coś we mnie sprzeciwiało się, wzbraniało przed robieniem nadal rzeczy, których nie chciałam robić.

Kolejny e-mail był od Ivo, w ogóle bez żadnego tematu.

Wylądowałam. Jest ciepło, mam dobry humor, czuję się bajecznie, jak zawsze, kiedy tu jestem. I czekam. W załączniku znajdziesz bilet na lot w następną środę i wszystkie inne informacje, jakich Ci potrzeba. Czekam na Ciebie. I.

Zamknęłam laptopa i odetchnęłam głęboko. Udawałam, że nie czytałam tego e-maila.

Włączyłam telewizor, przełączałam z kanału na kanał, zagłębiając się w kosmosie ogłupienia i niepamięci. Ale nie potrafiłam niczego zapomnieć. Widziałam Theo, który w kalendarzu dziadków znalazł receptę na szczęście domu i rodziny, widziałam Ivo, który jako mały chłopiec zaplatał mi włosy albo upinał je w kok, widziałam ojca, który owinął wokół siebie filigranową, delikatną kobietę, jakby przywiązał ją łańcuchem, jakby ją do siebie przyspawał. Widziałam wstrząśnięty wyraz twarzy Tulji, kiedy ją poinformowałam, że potrzebuję Ivo, widziałam swoją siostrę razem z jej trzema synami, samcami alfa, i żelem nawilżającym w przeraźliwie kolorowym opakowaniu z plastiku. Widziałam siebie idącą do pracy i twarz Leo, kiedy spoglądał na jakiś młody, jędrny tyłek. Widziałam swojego męża, który chciał ze mną spać, a zamiast tego płakał, i widziałam matkę, jak usiadła wtedy na moim łóżku i trzymała mnie za rękę, bo zrozumiała, że się jej wymykam. Widziałam siebie w podłym pokoju hotelowym – obok nagiego ciała Ivo, który właśnie wyszedł spod prysznica – leżącą na śladach po innej kobiecie, o której on nie chciał pamiętać.

I zaczęłam krzyczeć.

Krzyczałam, kiedy w telewizji leciał jakiś talk-show, sprawiając, że ja i świat wokół mnie wydawaliśmy się jeszcze bardziej beznadziejni. To, o czym myślałam, czego pragnęłam, było absurdem tak samo jak fakt, że ludzie gromadzili się przed kamerą, by pitrasić, a inni ludzie zasiadali przed telewizorami i gapili się na dania, których nigdy nie ugotują, nie przyrządzą, nie posmakują.

Otworzyłam drzwi na balkon i wyszłam. Widziałam, jak odchodził ulicą zalaną deszczem – zniknął jak zawsze, jak wtedy, jak za każdym razem, gdy raczył się ku mnie pochylić i podarować mi swoją cenną bliskość. Zawsze potem przychodził czas kary, kiedy pozbawiał mnie siebie, zniknął, całkowicie wykreślał, wymazywał ze swojego życia. Zamalowywał mnie w swojej głowie białym markerem. Wszystkie te mosty, które za sobą palił, i wszystkie te drzwi, które zatrząskkiwał mi przed nosem, i wszystkie ślady, które za sobą zacierał, żeby tylko nie przyszło mi do głowy iść za nim. I zawsze zostawiał mnie samą z myślami, które we mnie zasiał. O których już nigdy potem nie dało się zapomnieć.

Otworzyłam teczkę, którą mi zostawił – poplamioną i grubą, wypchaną, pełną. Wyłączyłam telewizor i rozłożyłam przed sobą na podłodze kartki, zdjęcia, notatki. Siedziałam w samym środku tej sterty papierów i szukałam śladów. Jakichkolwiek śladów, które odwiodłyby mnie od tego, co zamierzałam. A im bardziej odsuwałam od siebie tę myśl, tym większe stawało się pragnienie, żeby to zrobić. Jakby moje myśli były w stanie wojny z pragnieniami i uczuciami, jakby prowadziły z nimi nieubłaganą bitwę.

Wiele razy pojawiało się zdjęcie mężczyzny z brodą. Drobnym, trudnym do odczytania pismem Ivo zanotował na fotografiach daty i miejsca, które nic mi nie mówiły.

„Lado Kancheli. Urodził się w 1963 roku w Suchumi, Gruzja. Muzyk i założyciel gruzińskiego podziemia. Działacz polityczny. Klasyczne wykształcenie kompozytora ze specjalizacją gry na gitarze w konserwatorium w Tbilisi, Gruzja oraz w konserwatorium w Moskwie, ZSRR. Dwie kary więzienia, w 1979 i w 1984 roku, za podburzanie do buntu przeciwko reżimowi. Na początku lat dziewięćdziesiątych był współzałożycielem partii Okrągły Stół – Wolna Gruzja, kierowanej przez Zwiada Gamsachurdię, z której oficjalnie wystąpił w 1992 roku. W tym samym roku w czasie wojny domowej dowodził gruzińskim batalionem bojowym w Gali, Abchazja. Kancheli stracił na wojnie część rodziny. Przez jakiś czas przebywał jako uchodźca polityczny w Niemczech, a następnie w USA. W 2001 roku wrócił do Gruzji i od tej pory tam mieszka. Komponuje i gra”.

Jeszcze raz przejrzałam wszystkie notatki. Przed dwoma laty BBC zleciło Ivo zrobienie reportażu o Kaukazie. Tematem miała być historia najnowsza regionu, a przede wszystkim stosunki trzech największych krajów kaukaskich z Rosją. Chodziło o Gruzję, Armenię i Azerbejdżan, poza tym nieco czasu antenowego dostała też Czeczenia.

Ivo twierdził zawsze, że telewizja to nie jego medium, ale wiedziałam od Gesi, że w ostatnich latach robił reportaże dla BBC i CNN i że odbywał długie podróże, w czasie których zbierał materiały.

Wyglądało na to, że reportaż jest gotowy, ale nigdy go nie wyemitowano. Mogłam sobie wyobrazić powody. W programie, którego głównym tematem nie miała być wojna, takie zdjęcia i materiały były nie na miejscu. Przypuszczałam, że Ivo po prostu posunął się za daleko. Jak zwykle.

Nie odkryłam natomiast, dlaczego wrócił do tego tematu po dwóch latach, teraz skupiając się tylko na jednym kraju – Gruzji. A przede wszystkim na jednym człowieku. Ludzie, poszczególne postaci raczej mało go interesowały, o ile nie byli to dyktatorzy lub osobowości zmieniające świat. Jego ciekawiły masy i konflikty społeczne, nigdy nie widział rzeczy w oderwaniu, lecz zawsze w pewnym kontekście historycznym, zawsze w ramach czasowych, zawsze w odniesieniu do wydarzeń na świecie. Dlatego dziwiła mnie jego idée fixe na punkcie brodacza, który, jak się zdawało, nie był ani prawdziwym politykiem, ani prawdziwym artystą. Nie można by go chyba uznać ani za sprawcę, ani za ofiarę. Ivo kochał radykalizm, radykalne sfery, radykalne postawy, opinie. A sądząc po notatkach i wpisach, w wypadku tego mężczyzny istniały tylko pytania, nie było widać jednoznacznej postawy, którą mógłby reprezentować.

Wywiady, jakie Ivo przeprowadził z brodaczem przed dwoma laty, także nie świadczyły o radykalizmie. Miały charakter opisowy, informacyjny i nie opowiadały się po żadnej ze stron. Zawierały krytykę reżimu, ale nie konfrontowały się głębiej z socjalistyczną przeszłością. Nie było w tym wszystkim nic nowego, nic, co mogłoby pociągać albo zaskakiwać Ivo.

Zrobiłam sobie espresso i dalej grzebałam w papierach. Zdjęcia wojenne. Brutalne, ale już spowszedniałe obrazy rannych, zabitych, uchodźców, dzieci, które z przestraczem i niepokojem

spoglądają w kamerę. Co interesowało go w tym mężczyźnie i dlaczego chciał, żebym tam pojechała?

Głowa mi pękała, a jednak nie mogłam przestać. Gdzieś po drugiej stronie mojej chorobliwej manii o imieniu Ivo coś się we mnie obudziło. Sądziłam, że dawno o tym zapomniałam; coś kiedyś pchało mnie do tego, by godzinami stukać w klawiaturę, godzinami ścigać kogoś telefonicznie, godzinami siedzieć w bibliotece. Może był to jakiś prapopęd, który odziedziczyłam po ojcu, przekazany przez niego Leni, mnie i Ivo. Skłonność, która mogła brać się z pragnienia, żeby coś zrozumieć tam, gdzie nie było nic do zrozumienia, gdzie ludzki rozum odmawiał posłuszeństwa.

Dawno już nie czułam tego napędu. Od czasu, kiedy zadowoliliłam się pisaniem dla przeciętnych ludzi przeciętnych rzeczy, które nikogo nie zdenerwują ani szczególnie nie zasmucają, ani nie wprawiają w szczególnie radosny nastrój. Grzecznie zachowując neutralność.

O świcie zasnęłam na kanapie. Przykryta papierową spuścizną po Ivo.

Tamtego lata znalazłam sobie pokój w komunie mieszkaniowej razem z mężczyzną, który całkowicie oddał się nicnierobieniu, i kobietą, która hodowała kaktusy, uprawiała haszysz i koniecznie chciała jeszcze studiować geologię, chociaż miała już trzydzieści siedem lat.

Ja też studiowałam i większość czasu spędzałam w bibliotekach albo w zaimprovizowanej redakcji naszego pisma. Od czasu do czasu chodziłam do Abiego i opiekowałam się Xerxesem, jednak tylko wtedy, gdy Abiego nie było w domu, żeby przypadkiem się na niego nie natknąć; zawsze zabierałam klucz spod wycieraczki i tam też go potem zostawiałam.

Poznałam kilka kobiet, z którymi mogłam się spotkać, pójść potańczyć albo pogadać o mężczyznach, ale nic nie było dla mnie większą odskocznią niż książki i praca. Pisałam i godzinami rozmawiałam z ojcem. W każdy weekend chodziliśmy razem do restauracji.

Od dnia, kiedy przedelfowałam obok niej nago, Tulja nigdy więcej ani słowem nie wspomniała o tamtym wydarzeniu ani o naszej rozmowie. Najzupełniej mi to odpowiadało.

Ivo zaś przerwał studia i przeprowadził się do Berlina. Dowiedziałam się o tym od Leni. W tamtym okresie przechodziła fazę ezoteryczną i w lecie pojechała do Indii na kurs medytacji. On z kolei w tym samym roku odbył praktykę w Nowym Jorku w jakiejś bardzo ważnej gazecie, a Gesi słała z Ameryki listy pełne zachwyty, wychwalając go pod niebiosa.

Czasami zadawałam sobie pytanie, czy te peany na jego cześć, do których niektórzy w naszej rodzinie tak często czuli się zobowiązani, miały coś wspólnego z ich obawą, że pewnego pięknego dnia Ivo mógłby się poczuć niedoceniany, nie dość mocno kochany i zacząć wokół siebie rozdawać razy, a to doprowadziłoby do rozpadu naszego domku z kart.

Minęło pół roku, zanim znowu go zobaczyłam. Było Boże Narodzenie i Tulja nalegała, żebyśmy wszyscy do niej przyjechali. W przeciwnym razie, groziła, pozbawi nas praw członka rodziny. Ivo przyjechał, Leni przyjechała, a ja wybrałam się do Tulji z ojcem i jego nową wówczas flamą, aktorką niecieszącą się szczególnym powodzeniem.

Ivo przywiózł ze sobą dziewczynę, Angielkę, tak chłodną i pełną rezerwy, jakby była samą *The Queen*. Wszyscy uznali, że to niesamowite i emocjonujące zobaczyć u boku Ivo kobietę, a tym samym dowiedzieć się więcej o jego smaku i gustach. Była inteligentna, szalenie sarkastyczna i miała nieskończenie długie nogi. Dziennikarka pisząca o sztuce, sześć lat starsza od Ivo.

Nienawidziłam jej od pierwszego wejrzenia. Bo nie była jakąś tam Lily z Monachium, która całymi dniami i tygodniami będzie czekać na fiuta Ivo, na małe porcyjki szczęścia, które Ivo mógł jej nocą zaserwować w łóżku, by w dzień znów zniknąć z jej życia. Ta kobieta dorównywała mu we wszystkim, była stanowcza, bystra, mądra. I prowadziła z nim gierki. Notorycznie stawiała przed nim wyzwania, a więc robiła to, co doprowadzało go do największego szaleństwa.

Leni też zjawiała się z przyjacielem, małomównym facetem od jogi, grającym na jakimś instrumencie. Jediną osobą, która przyjechała sama, byłam ja i musiało śmierdzieć ode mnie samotnością na kilometr.

Angielka o imieniu Bea przywiozła ciekawe prezenty i bezustannie opowiadała wzięte z życia swojego i Ivo – poznali się w Nowym Jorku – zabawne historyjki z pointą. Bożonarodzeniową przemowę zakończyła komunikatem, że uczy się niemieckiego i wprowadza do Ivo, do Berlina.

Ivo nie patrzył na mnie. To znaczy, patrzył na mnie w taki sam sposób, jak na wszystkich innych. Nie chodziło mu o mnie. Badawcze spojrzenia Tulji nie umknęły mojej uwagi. Leni promieniała na całego, Frank pił i obłapiał swoje nowe trofeum. A ja siedziałam w samym środku i zbierałam skorupy swojej rozbitej przyszłości, która – jak czułam – posypała się na mnie; przeszłości, która nie zdawała się warta życia. I tęskniłam za Abim, za jego ciepłą miłością, troskliwością, oparciem, i w duszy przeklinałam Ivo.

Rozpakowaliśmy prezenty, a potem, jak zwykle, zaczęła się orgia popijania likierów i

nalewek Tulji. Wyglądało na to, że w tym także Bea jest mistrzynią. W ramach ukoronowania wieczoru marna aktorka wpadła na pomysł, żebyśmy zatańczyli. Włączyła płytę Anity Baker i wezwała wszystkie obecne pary do pójścia w jej ślady. Ojciec zatańczył ze mną z litości, a potem rodzina tak nalegała, że musiałam zaprezentować z Leni nasz pradawny taniec, którego nauczyłyśmy się wiele lat temu w szkole. Teraz wyglądał równie głupio i żałośnie jak wtedy. Myślałam, że zapadnę się pod ziemię ze wstydu.

Upiłam się, wsadziłam sobie na głowę czapkę zrobioną na drutach przez Tulję – mój prezent gwiazdkowy – i wyszłam do ogrodu na papierosa. Siedziałam na huśtawce i słyszałam głośne śmiechy dobiegające z domu.

Huśtałam się, popijając grzane wino i paląc papierosa za papierosem. Nikt ani nic nie mogło mnie zmusić, bym wróciła do tego piekła.

A potem on znalazł się obok i poprosił o papierosa. Bez słowa podałam mu do połowy wypaloną paczkę. Usiadł koło mnie bez pytania. Automatycznie się przesunęłam.

– Dobrze wyglądasz.

Jego ton był wesoły, niemal prowokacyjny. Patrzył przed siebie i grzebał czubkami butów w ziemi. W głębi domu cukierkowy głos Anity opiewał miłość i szczęście ludzkie. I wykluczał wszystkich, którzy akurat siedzieli w zimnie na huśtawce.

– Nie potrzebuję twoich banałów.

– Jak się miewasz?

– Miewam się wspaniale.

– Ciągle jeszcze jesteś wściekła?

– Wściekła? Nazywasz to wściekłością?

– Tulja zachowała wszystko dla siebie.

– Ach. Wracaj już, proszę, do środka. To ohydne.

– Ohydne? A co znowu zrobiłem nie tak?

– Myślisz, że się boję, bo Tulja mogła komuś powiedzieć o przyłapaniu mnie z tobą nago pod prysznicem? Naprawdę wydaje ci się, że to jest moje największe zmartwienie, tak?

– Nic mi się nie wydaje. Zapytałem cię tylko, jak się miewasz.

– Wspaniale. Powiedziałaś przecież.

– Musisz zostawić to za sobą, Stello. To przecież do niczego nie prowadzi.

– Ach tak. Zostawić to za sobą. Tak, jasne. Też pojedę do Nowego Jorku i złowię tam sobie jakiegoś gościa, a on pomoże mi zostawić to za sobą. A także wszystkie moje zmartwienia, problemy wszystkich ludzi, którzy traktowali mnie w gówniany sposób.

– Nie bądź taka zgryźliwa. Przecież to proste.

– Nic nie jest proste, Ivo. I byłabym ci niewypowiedzianie wdzięczna, gdybyś przestał się wreszcie zachowywać jak ktoś, kto jeszcze nigdy nie słyszał słowa „problemy”.

– U mnie wszystko w porządku, humor mi dopisuje, po co miałbym coś udawać?

Po raz pierwszy tego wieczoru spojrzałam mu prosto w oczy i w tym momencie go nienawidziłam. Wstałam i uciekłam; perspektywa spędzenia z nim nocy pod jednym dachem wydawała się nie do zniesienia.

Chodziłam od jednej okolicznej knajpy do drugiej w nadziei, że to mnie trochę rozerwie. Znalazłam tylko jedną, która nie była zamknięta – mały bar w jakimś pensjonacie. Przesiedziałam w nim aż do świtu, znieczulając się wódką. Na wpół martwa pojechałam taksówką do domu.

Kolejne miesiące spędziłam w stanie otępienia. Studiowałam i nudziłam się, nienawidziłam życia, komuny mieszkaniowej, ludzi, nienawidziłam ulic, miasta, rodziny i słowa „szczęście”, które uważałam za iluzję.

Z polecenia ojca udało mi się zacząć pisać do kilku lewicowych gazet krótkie teksty, choć oczywiście nie tak radykalne, nie tak wymowne, zgryźliwe i trafne jak teksty Ivo, które Tulja – w przeciwieństwie do moich – przechowywała co do jednego w białym pudełku.

Wiosną pojechałam na wymianę semestralną na New Jersey City University i mieszkałam u matki. Pozwalałam jej dla siebie gotować i zdrowo się chować. Był to okres, w którym po raz pierwszy od wielu miesięcy zdarzało się, że nie musiałam codziennie myśleć o Ivo ani mierzyć się z

nim.

Krótko przed powrotem do Niemiec – matka robiła wszystko, by mnie przekonać do pozostania w Ameryce – poznałam Kaspra. Był niesamowicie mądry, kochał Jamesa Joyce’a i pochodził z Bremy. Udało mu się wciągnąć mnie w rozmowę na dłużej niż kwadrans i zabrać na koncert jakiegoś zespołu rockowego, którego nikt nie znał. On go natomiast ubóstwiał. Udało mu się pójść ze mną coś zjeść, czytać mi książki, pokazać mi najlepsze knajpy i napisać dla mnie piosenkę, która brzmiała, jakby zupełnie nie umiał śpiewać, ale była nadzwyczaj wzruszająca. A potem poszłam z nim do łóżka. I zostałam w New Jersey dłużej, niż planowałam, dając tym matce nadzieję, że może jednak uda się jej mnie przekonać. Kasper studiował na uniwersytecie estetykę i architekturę starożytnego Rzymu. O żadnym z tych kierunków jeszcze nigdy nic nie słyszałam, ale on mnie bawił.

Jesienią wróciłam z Kasprem do Niemiec i zaczęłam krążyć niczym wahadło między nocami w Bremie i dniami w Hamburgu.

Był łagodny, mądry i swobodny i znał rzeczy, o jakich nie miałam pojęcia, a których bez niego nigdy bym nie poznała. Wiedział na przykład, że w czasie pełni można wpaść w duchową i cielesną ekstazę, jeśli tylko uprawia się seks we właściwych pozycjach. Znał się też na rzymskich pomnikach architektury, które już nie istnieją. Kasper był dla mnie najpiękniejszą odskocznią, jaką miałam od dawna.

I tak trzymaliśmy się siebie nawzajem, wiedząc, że to nie miłość, jakiej byśmy pragnęli. Mieliśmy jednak w sobie wolę, żeby z tego zrobić miłość.

Pewnego październikowego poranka odpinając właśnie rower, by pojechać na seminarium, na które już i tak byłam spóźniona, zobaczyłam, że stoi przede mną. Ivo. W starej skórzanej kurtce i z potarganymi włosami. Palił papierosa bez filtra i przygryzał kciuk. Stał tak, jakby czekał, aż pojawi się w drzwiach. Przestraszyłam się i cofnęłam. Miał zaczerwienione oczy i z trudem zachowywał równowagę. Odstawiłam rower i podeszłam do niego.

– Wszystko okay? – To było pierwsze, co przyszło mi do głowy.

– Nie czuję się zbyt dobrze. Możemy wejść do Ciebie?

– Skąd wiesz, gdzie mieszkam?

– Jesteś moją siostrą, Stello.

– A to od kiedy?

– Nie czuję się zbyt dobrze.

Wtedy zauważyłam, że jego twarz jest zupełnie pozbawiona kolorów. Zachwiał się nie na żarty, jakby zaraz miał się przewrócić. Stanęłam przy nim, przerzuciłam sobie jego ramię przez plecy, zawlokłam go do siebie na trzecie piętro i położyłam na łóżku. Moich współlokatorów nie było i cały dom tonął w znajomej porannej ciszy. Słabe promienie jesiennego słońca wpadały przez okna, wywołując nastrój pełen podniosłego spokoju.

Ivo natychmiast zasnął. Rozpuściłam dla niego w kuchni aspirynę, ale kiedy wróciłam do pokoju ze szklanką wody, zobaczyłam, że leży pogrążony w głębokim, błogim śnie. Usiadłam na krześle i spojrzałam na niego. Patrzyłam na niego długo, a ten widok budził we mnie smutek. Nie wiem dlaczego, ale Ivo wydał mi się nadzwyczaj podatny na zranienie, bardzo samotny i niezwykle młody. Jakby we śnie stał się tamtym małym Ivo, tym z odstającymi uszami i z czarnym psem u boku. Ivo, który bawił się ze mną w chowanego i przykładał sobie do policzków moje rozpalone dłonie.

Obudził się siedem godzin później. Siedziałam we wspólnym pokoju gościnnym i próbowałam czytać, co dwadzieścia minut podkradając się do niego, żeby sprawdzić, czy śpi.

Stał przede mną zarumieniony, uśmiechając się z zadowoleniem, i powiedział:

– Jestem głodny jak wilk. Pójdziemy coś zjeść?

Patrzyłam na niego zbita z tropu.

– Mogę zrobić makaron.

– Och, tak. Świetny pomysł. Szybko się ugotuje?

– Zrobię, co w mojej mocy.

Kiedy ja stałam przy kuchence, on siedział w kuchni, palił, dopijał nerwowo resztki wina

mojego współlokatora i obserwował mnie.

– Co się z tobą dzieje? – zapytałam.

– Odrobinę za dużo wypilem ostatniej nocy.

– Wypileś? Jesteś pewien, że to było *picie*, nic innego?

– Nie twoja sprawa.

– Omal nie zemdlałeś! A poza tym, co ty tu w ogóle robisz?

– Odwiedzam rodzinę: Tulję, Franka.

– A na koniec mnie, żebyś mógł sobie zadowolony wrócić do domu, co? Bo przecież ze wszystkimi się zobaczyłeś.

– Nie bądź taka. Naprawdę nie mam nastroju na taką zgryźliwość z twojej strony...

– Nie jestem zgryźliwa. To po prostu tylko troszeczkę dziwne, że nagle stajesz przed moimi drzwiami i twierdzisz, że przyjechałeś z wizytą.

– Mam sobie iść? Żaden problem.

Przez krótką chwilę myślałam, jakie to by było wspaniałe, gdybym zebrała teraz w sobie całą siłę, żeby odpowiedzieć twierdząco na jego pytanie – i żeby raz wreszcie umiała mu powiedzieć, że tak, ma sobie iść i nigdy więcej nie wracać. Wiedziałam jednak, że wpadnę wtedy w dziurę bez dna i będę spadać i spadać przez wszystkie najbliższe tygodnie i miesiące mojego życia.

– Nie. Możesz zostać. – Postawiłam przed nim na stole talerz pełen spaghetti.

Kiedy wyszłam z łazienki, leżał wyciągnięty na moim łóżku i płakał. Stałam jak wryta, nie wierząc własnym oczom – w czasie naszej pogawędki na temat prasy i Berlina był taki pewny siebie i zadowolony. Stałam w miejscu, chcąc dać mu czas, żeby się uspokoił i odzyskał panowanie nad sobą. Ale Ivo się nie uspokajał ani nie odzyskiwał panowania nad sobą. Podeszłam do niego wolnym krokiem i przysiadłam ostrożnie na skraju łóżka, nie miałam odwagi go dotknąć. Wyciągnęłam tylko rękę, jakby ona odruchowo tego chciała i nie dostała na to pozwolenia od mojego mózgu.

– Co się dzieje, Ivo? – szepnęłam, wygładzając prześcieradło.

– Tak bardzo mi cię brakuje – szlochał jak małe dziecko, odwracając się do mnie plecami.

– Brakuje ci mnie? I dlatego płaczesz?

– To wszystko jest po prostu tak strasznie do dupy. Do dupy i nie fair. Brakuje mi ciebie.

– Ivo, co ty opowiadasz? Już zupełnie nic nie rozumiem.

Wziął mnie za rękę i zaczął mi całować opuszki palców, przygryzając je delikatnie.

– Pamiętasz jeszcze, co ci wtedy mówiłem? W Monachium? Że czasem musimy się dotknąć, prawda? Że muszę cię w sobie poczuć. Ten moment przyszedł już dawno.

Zerwałam się. Wszystko się we mnie trzęsło. Jego głos był znowu opanowany, znowu potrafił o mnie mówić jak o przedmiocie, który od czasu do czasu można odstawić w kąt, a potem znów po niego sięgnąć, jakby się chciało sprawdzić, czy jeszcze tam jest.

Podniósł się i podszedł do mnie. Cofałam się, aż stanęłam w drzwiach. Złapał mnie za nadgarstek i przyciągnął do siebie, potem uniósł mi brodę i popatrzył w oczy. A ja zamiast wymierzyć mu zasłużony policzek, pocałowałam go.

Nie wiem, ile czasu upłynęło, kiedy moja współlokatorka zapukała do drzwi i swoim zwykłym aroganckim tonem poinformowała nas, że mam gościa. Spaliśmy. Zanim jeszcze zdołałam choćby unieść głowę z piersi Ivo, na środku pokoju stał już Kasper z butelką wina w ręku.

– Pomyślałem sobie... – zaczął, ale zrozumiał, co się dzieje, i natychmiast zamilkł.

Zakryłam twarz dłońmi, jakby to mogło sprawić, że ja albo on staniemy się niewidzialni, on, Kasper, ja.

Do tej pory pamiętam dokładnie, że Kasper bardzo ostrożnie odstawił butelkę i przejechał dłonią po etykiecie. Ciągle jeszcze nie podniosłam na niego wzroku. Potem odwrócił się bez słowa i wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Theo machał mi na pożegnanie, kiedy zostawiałam go u dziadków. Ku mojemu zaskoczeniu ciągle jeszcze trzymali fason wobec mojej osoby, popatrując jednak na mnie nieufnie – wprawiałam bowiem w zły nastrój ich syna bez skazy, i to już od wielu tygodni.

Wsiadłam do samochodu i zaczęłam myśleć, co zrobić z resztą dnia. Skoro nie miałam już

pracy, skoro nie musiałam zajmować się Theo, i nie było Ivo, a wszyscy przyjaciele, którzy przychodzili mi do głowy, zapewne poradziliby mi, że w moim stanie powinnam udać się do terapeuty. A to było ostatnie, na co miałam ochotę.

Jechałam przez miasto. Bez celu. Zabijając czas, autem, które dostałam w prezencie od męża. Zatrzymałam się. Oparłam głowę o kierownicę. Samochody mijaly mnie, trąbiąc klaksonami. Włączyłam światła awaryjne. W radiu leciała *Long Road* Neila Younga. A niebo groziło wściekłą ulewą.

Ivo mieszkał z Beą w Berlinie i pisał do ważniejszych magazynów w kraju. Ivo zarabiał pieniądze i brał narkotyki. Ivo znikał co i raz, a jego przyjaciółka nadal mówiąca tylko po angielsku zaczynała go wtedy szukać, obdzwaniając wszystkich jego krewnych – ze mną włącznie. Bea wychudła, jej nogi nie zdawały się już takie długie, włosy straciły połysk, miała zaniedbane paznokcie. Pisała krótkie teksty do angielskich bulwarówek i marzyła o dziecku, którym mogłaby przywiązać do siebie Ivo, coraz silniej dryfującego z prądem. Kiedy zobaczyłam ją znowu na urodzinach Franka, wzbudziła we mnie wręcz współczucie i gardziłam Ivo za to, że najwidoczniej poza moim życiem potrafił bez wysiłku i żalu niszczyć także inne.

Za to jego artykuły robiły się coraz lepsze. Ivo miał pieniądze, kupił Tulji jeepa. Ivo wysyłał Frankowi pierwsze wydania książek, które Frank chciał mieć. Ivo pamiętał o każdym urodzinach, organizował wyjścia do restauracji i – jakby to było zrozumiałe samo przez się – pokrywał rachunek. Ivo dał w prezencie Leni i mnie bilety lotnicze do Newark na sześćdziesiąte urodziny mamy.

Po zrobieniu dyplomu wynajęłam sobie własne dwupokojowe mieszkanie w St. Pauli i znalazłam pracę jako redaktor w oficynie wydającej beletrystykę. Od czasu do czasu pisywałam do hamburskich gazet. Zaprzyjaźniłam się z koleżanką z pracy, która nazywała się Sarah i miała przepiękne zielone, kocie oczy, lubiła żeglarstwo i doprowadzała mnie do śmiechu.

Bea zostawiła Ivo, a rodzina pogrążyła się w żalu.

Na zaręczyny Leni z jej wydawcą książek dla dzieci Ivo przyciągnął ze sobą dziesięcioletnią blondynę, która miała tak olbrzymie piersi, że nikt z nas nie był potem w stanie przypomnieć sobie jej twarzy, nie mówiąc już o imieniu. Ivo zjawił się na urodzinach Tulji na haju, co nie uszło jej uwagi. Tulja i on kłócili się na werandzie, kiedy ja tańczyłam w rytm Anity Baker.

Specjalnie przywiozłam ze sobą tę płytę oraz przystojnego artystę, którego poznałam na jakimś wernisażu, bo miałam pisać o nim artykuł. Malował, ale nie odnosił większych sukcesów. Był za to niewiarygodnie przystojny. Miałam wrażenie, że wszystkie kobiety na wystawie bardziej wlepiały oczy w jego tyłek niż w obrazy.

I tak przy wszystkich tańczyłam tamtego wieczoru, prowokująco i wulgarnie, z moim bosko przystojnym, nowym kochankiem. To, że się kłócili, kiedy ja skubałam zębami płatek jego ucha, zwiększało tylko moją satysfakcję. Leni kręciła głową i pochrząkiwała. Posłałam jej krzywy uśmiešek i pokazałam język.

Nikt nie pamiętał Anity Baker ani szczęśliwej Gwiazdki, tylko ja.

Dostałam zlecenie na zebranie w Berlinie materiałów do reportażu. Pojechałam tam pociągiem i wynajęłam sobie pokój w staromodnym pensjonacie. Cieszyłam się, że oglądam nowe twarze i mam odskocznię od codzienności. Czwartego dnia wpadłam na mieście na Ivo. W nowo otwartym barze, do którego zaciągnął mnie któryś z kolegów z pracy i który był podobno niezwykle *hip* i *cool*.

Ktoś postukał mnie palcami po plecach i zobaczyłam Ivo patrzącego na mnie rozpromienionym wzrokiem. Pocałował mnie w czoło.

– Co ty tu robisz? – wyrwało mi się.

– Chyba raczej ja powinienem zapytać o to ciebie.

– Jestem w podróży służbowej. I chciałabym też, żeby na tym stanęło.

– Och, jeszcze ciągle jesteś na mnie wściekła. Chodź, postawię ci drinka.

– Niezła propozycja, Ivo.

– Hej, Stello. Muszę z tobą porozmawiać. Mówię poważnie.

I znowu jego mimika uległa zmianie w ciągu sekundy. Chwycił mnie za rękę. Wyrwałam

mu ją i odwróciłam się.

Rozmawiałam z kolegą i jego przyjaciółmi, a Ivo gapił się w moją stronę i posyłał mi uśmiech za każdym razem, kiedy nasze spojrzenia się spotkały. Był z kilkoma dziwnymi typami. Absolutnie nie chciałam poznać żadnego z nich. Unikałam go na tyle, na ile jest to możliwe na powierzchni siedemdziesięciu metrów kwadratowych. Gdy poszłam do toalety, pośpieszył za mną i stanął tuż obok.

– Dlaczego za mną łazisz? Nie mamy o czym rozmawiać.

– Już mnie nie chcesz?

– Co to ma znaczyć?

Nienawidziłam sposobu, w jaki potrafił na mnie patrzeć. Kąciki ust opadły mu nieco, a oczy były błyszczące i jasne, ręce lekko zwrócone w moją stronę.

– Zamieszkajmy razem. Przyjadę do Hamburga. Mam już dosyć tego gównianego miasta i cygańskiego życia. Spróbujmy.

– Brałeś narkotyki?

– Nie, wyjątkowo nie. Mam dobry humor, kiedy cię widzę.

– Ivo, to nie jest śmieszne.

– Mówię poważnie. Dużo się nad tym zastanawiałem od urodzin Tulji i myślę sobie, co, do cholery! W przyszłym miesiącu przeprowadzam się do Hamburga i jeśli jesteś chociaż odrobinę gotowa mnie lubić, to...

Odwróciłam się i zniknęłam w damskiej toalecie.

Miesiąc później Ivo rzeczywiście przeprowadził się do Hamburga. Zamieszkał niedaleko miejsca, gdzie po raz pierwszy z nim spałam. I bombardował mnie telefonami. Nie próbował się ze mną zobaczyć, zawsze tylko dzwonił albo pisał listy i małe karteczki, które wsuwał przez szparę pod drzwiami. Potem zaczął przysyłać mi kwiaty. Najczęściej orchideę albo trzy czerwone róże, dlaczego zawsze trzy – nigdy nie udało mi się tego dowiedzieć.

Któregoś razu telefon zadzwonił o drugiej w nocy, a ja wiedziałam, że to Ivo, i powiedziałam mu, żeby przyszedł. Nie powiedziałam „cześć”, nie zwróciłam się też do niego po imieniu. Powiedziałam po prostu: „przyjdź”.

Kwadrans później był u mnie.

W ciągu tygodnia spakowałam się i wprowadziłam do niego. Nie ufałam jego przemianie, tej radykalnej decyzji, żeby być ze mną, przy mnie. Ale byłam taka szczęśliwa, że nigdy nie naraziłabym tego szczęścia na niebezpieczeństwo jakimikolwiek pytaniami.

Kochaliśmy się rano, wieczorem, w nocy. Po prysznicu, przed prysznicem, w kuchni, w pokoju, w przedpokoju, czasem nawet zanim jeszcze dotarliśmy do domu, na klatce schodowej. Prawie ze sobą nie rozmawialiśmy, mało jedliśmy, nie szło nam w pracy. Niewiele pracowaliśmy, a kiedy szłam do wydawnictwa albo on musiał wyjechać w sprawie jakiegoś artykułu, dzwonił do siebie i zastanawialiśmy się, kiedy znów będziemy mogli się kochać.

Leni pierwsza zaczęła snuć domysły. Przyszła któregoś dnia rano bez uprzedzenia i zasypała mnie niezliczoną ilością pytań o Ivo. Robiłam, co tylko mogłam, by uchylać się od odpowiedzi.

Również Frank zaczął nam składać wizyty i kiedy ni stąd, ni zowąd zaprosił do siebie na rodzinny posiłek Ivo i mnie, a także Tulję, która faktycznie przyszła, stało się jasne, co nas czeka.

Nie pamiętam już dokładnie, czy to Leni zrobiła jakąś głupią uwagę, czy Frank. Kiedy wyobrażałam sobie taką sytuację, co często mi się zdarzało w minionych latach, wtedy to zawsze ja zaczynałam walczyć z całym światem, dla Ivo, dla siebie. To ja zaczynałam mówić za niego, jak kiedyś. Ale tym razem to Ivo wstał – sporo już wypił – i powiedział z absolutnym spokojem:

– Jesteśmy razem. Mieszkamy ze sobą. Jeszcze jakieś pytania?

Zapadła nieskończenie długa cisza, tylko Tulja co chwila chrząkała i pomrukiwała. Leni zaczęła się śmiać – histerycznie, jakby nie mogło jej się pomieścić w głowie to, co usłyszała, i chciała się przed tym ochronić śmiechem. Ivo po prostu wstał od stołu. Wyszedł z pokoju, zostawiając mnie z uczuciem, że rozpadnę się na tysiąc małych kawałków.

Ivo wyszedł z domu, musiałam sama dawać odpór spojrzeniom i niewypowiedzianym wyrzutom rodziny. Kiedy chciałam iść, roztrzęsiona siostra dopadła mnie w przedpokoju i złapała

za łokieć.

– Zabijesz go. Zabijesz tatę. Jak ty możesz robić coś takiego?

– Nie muszę się przed tobą tłumaczyć. Kocham Ivo.

– Ty go kochasz? Po tym, przez co musieliśmy przechodzić, po tym wszystkim, co się stało, mówisz, że go kochasz, i chcesz, żeby to wszystko wróciło?

– Chcę już iść. Proszę, Leni, puść mnie.

– Zniszczysz naszą rodzinę.

– Tak po prostu jest. I wierz mi, gdybym mogła, wybrałabym sobie inne życie.

Pojechałam do domu taksówką i zanim przekręciłam klucz w zamku, wiedziałam, że coś nieodwołalnie przepadło. Nie byłam jeszcze tylko pewna co. Ivo leżał wyciągnięty na łóżku i miał zamknięte oczy. Na stoliku nocnym wałała się mała torebeczka z białym proszkiem.

W czasie tego półtora roku, wtedy z Ivo, odkryłam, że nie znosił musli z owocami, że gruszki najchętniej jadał w nocy w łóżku po seksie i że nadal uwielbiał zaplatać mi włosy w warkocz. Że w czasie pisania na komputerze potrzebował absolutnej ciszy i dlatego wyjmował z kontaktu wtyczkę lodówki, bo podobno nie mógł znieść nawet jej mrużenia. Odkryłam, że rano przyglądał mi się, gdy spałam, że potrafił niesamowicie, cudownie całować, tak jakby kolejny raz ofiarowywał mi nowy początek; że był dziecinny i humorzasty i że kiepsko sobie radził w kuchni, a przy tym zawsze się upierał, by gotować. Odkryłam, że w magiczny sposób potrafił przyciągać inne kobiety i dokładnie tak samo je odpychać, bo umiał być niewiarygodnie okrutny i robić z nich idiotki. Że pił, bardzo dużo pił, bezustannie przed czymś uciekał: przed samym sobą, przed rzeczami, których nie potrafiłam pojąć, rozpoznać, nazwać. Że bał się pajaków i czasem, rzadko, siadał sam na parapecie, wpatrując się w niebo, i oczy mu wtedy wilgotniały.

Odkryłam, że miał dziwnych przyjaciół i że znikał, nic nie mówiąc, tak po prostu – szedł dokądś i bywało, że wracał dopiero po kilku dniach ze swoim zwykłym uśmiechem na ustach, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie tak sobie znikać.

Odkryłam, że miał trzy różne szczoteczki do zębów. Że zostawiał mnie na lodzie i czasami nie mógł znieść, kiedy przypominałam mu jego samego. Że w napadzie agresji rzucał rzeczami o ścianę. Że był porywczy i potrafił krzyczeć tak głośno, że uszy pękały. Że czasami się go bałam; że przynosił ze sobą narkotyki i przyprowadzał jakichś ludzi, których nigdy wcześniej nie widziałam, twierdząc, że to starzy przyjaciele, którzy zostaną u nas tylko na kilka dni. Odkryłam, że dawał mi tak nadzwyczajną bliskość, zamykał się ze mną w domu na całe dni, odsuwał wszystkie zlecenia, zamawiał jedzenie z dostawą, pił ze mną wino, wyłączał telefon, słuchał mnie nieskończenie długo i opowiadał mi nieskończenie dużo. I tym bardziej nienawidziłam go za to, że potem mi tę bliskość odbierał, znikając na kilka dni, nie zostawiając mi wiadomości.

Działo się tak miesiącami. I miesiącami Frank krzyczał, Leni wywieriała presję, a Tulja nic nie mówiła.

Stałam się cieniem samej siebie. Istotą *spomiędzy* – spomiędzy miłości Ivo i jego pogardy.

Którejś nocy poszłam za nim, gdy kolejny raz nagle wyszedł z domu, nie mówiąc, dokąd idzie ani kiedy wróci. Poszłam za nim do klubu – w piwnicy na jakimś podwórzu – gdzie narkotyki sprzedawano z niemal taką samą oczywistością co alkohol. Grał tam jakiś zespół rockowy i panowała taka ciasnota, że zaczęło mi brakować powietrza. Obserwowałam go, jak wciąga przez nos jedną kreskę za drugą, pije wódkę za wódką, rozmawia z jakimiś typami i obdarza kobietę z ogoloną głową niekończącym się pocałunkiem z języczkiem. Dałam się komuś namówić na prochy. Łyknęłam jeden i popiłam alkoholem. Pozwoliłam, żeby ktoś inny przycisnął mnie do zimnej ściany i obmacywał.

W pewnej chwili znalazłam się w samym środku bijatyki. Ktoś leżał na ziemi i jęcząc, krwawił z ust. Ivo chwycił mnie za rękę i wciągnął na górę po schodach.

Kręciło mi się w głowie. Roześmiałam się. Ivo trzymał mnie mocno i potrząsał mną co chwila. Zrobiło mi się niedobrze.

Następnego dnia rano, kiedy otworzyłam oczy, spojrzał na mnie z góry.

– Jeśli jeszcze raz to zrobisz, nigdy więcej mnie nie zobaczysz – powiedział i wyszedł.

Następnym razem widziałam go trzy dni później. Trzy dni, które przesiedziałam sama w

domu, rycząc i wcierając sobie w dziąsła resztki kokainy znalezione na szafce w łazience i na umywalce. Przyszedł do domu i wziął mnie w ramiona. I wtedy zrozumiałam, że nigdy nie będzie inaczej, jeśli zostanę w chorym kosmosie tego mieszkania odciętego od świata.

Nie, sprawy naprawdę nie powinny były zejść tak daleko. Może moglibyśmy wyjść razem dziś wieczorem, skoro Theo nocuje u moich rodziców? Jan robi przyjęcie. Jeśli się zgadzasz, daj mi znać, to przyjadę po ciebie około ósmej. Zaczniemy wszystko od początku. Twój mąż.

Zawsze tak właśnie podpisywał listy do mnie. *Twój mąż*. Jakby te słowa go definiowały. Nie praca, nie rola ojca. Karteczka wisiała na lodówce, przyczepiona magnesem dinozaurem Theo. Niemal krzyczała o przebaczenie, o nowy początek, o wieczór pojednania, który wszystko naprawi i da mi drugą szansę.

Ale przypominała też o bilecie na samolot, który czekał na mnie w laptopie i który mogłam tak łatwo, tak szybko wydrukować. Karteczka przypominała o tym, że całe to życie jest kłamstwem, że nigdy nie powinnam była wydawać na świat dziecka z mężczyzną, który zawsze wszystko robi dobrze.

Karteczka przypominała o tym, że jestem nieskończenie samotna.

Napuściłam wody do wanny i wzięłam kąpiel. Woda była taka gorąca, że aż parzyła, więc moja skóra nabrała czerwonego koloru. Patrzyłam w dół na ciało, na ręce, nogi, na brzuch, w którym kiedyś rósł embrion, a na którym ciągle jeszcze widać było kilka rozstępów po ciąży. Spojrzałam na piersi, ciężko opadające do wody. Na stopy tak bardzo przypominające stopy mojego ojca, które w dzieciństwie zawsze wydawały mi się okropne, obsceniczne. Przez nie nigdy nie chciałam nosić sandałów. Patrzyłam na swoje kolana, czerwone i pomarszczone.

Nie wiedziałam już, co mam począć z tym ciałem. Do kogo należy. W którą stronę wyciągnąć ręce, dokąd pójść na tych nogach. Cała zniknęłam pod wodą.

– To twoja lewa kostka. Mały palec u nogi jest mój. I spójrz, prawy sutek po prostu krzyczy, żebym go adoptował. A włosy, tak, te ciemne włosy, też należą do mnie.

Chichotałam, gdy on dotykał mojego ciała, siedząc na brzegu wanny i patrząc na mnie z góry, posypywał solą do kąpieli, jakbym była starannie przyrządzonym posiłkiem, który zaraz zostanie mu zaserwowany.

– No i cóż, ten łokieć muszę ci zostawić, potrzebujesz go sama, więc jestem zmuszony z niego zrezygnować. Ale za to czubek nosa zdecydowanie będzie mój. Nikt inny nie może go dotykać, nawet ty, słyszysz? Jak będziesz miała katar albo jak będzie swędzieć, albo jak zrobi ci się zimno, wtedy musisz mnie zawołać, a moja dłoń będzie na twoje usługi.

Ześlizgnął się do mnie do wanny, która była za ciasna dla nas obojga.

– A co zrobię ze swoją pupą? Musi być bardzo smutna, że jej nie chcesz. – Zachichotałam i zaciągnęłam się skrętem, którego zapalił lewą ręką, prawą wcierając mi szampon we włosy.

– Zwariowałaś? To, że ona należy do mnie, rozumie się samo przez się, prawda? Nie ma tu o czym dyskutować.

A ja znowu zachichotałam i cała zniknęłam pod wodą.

Potem zaczął zabierać mnie ze sobą. Do swoich barów i piwnic. Do swoich dziwnych przyjaciół. On brał kwas, ja też brałam. Ivo nadal pisał, wyjeżdżał służbowo, podczas gdy ja radziłam sobie z coraz mniejszą ilością spraw. W przeciwieństwie do mnie udawało mu się wyraźnie oddzielać eskapady narkotykowe od pracy. Jeśli następnego dnia miał zamiar zbierać materiały, jeśli musiał jechać do Berlina, zrobić wywiad z jakimiś ludźmi albo wziąć udział w zdjęciach, wtedy rano zjawiał się punktualnie i wyglądał ołsniewająco, jakby przez całą noc nie pił, nie brał koksu i jakby nie było tak, że ani na chwilę nie zmrużył oka.

Ktoregoś rana odwiedziła mnie Tulja. Weszła bez słowa i usiadła przy stole w kuchni. Zaczęła rozpakowywać torbę. Owoce i warzywa, i dzemy jej roboty, ryby z ulubionego sklepu w Niendorfie, ser i mleko z gospodarstwa najlepszej przyjaciółki Tulji, i oczywiście jej śliwkówka. Nic nie mówiła, przygotowywała jedzenie. Wpatrywałam się w nią, próbując odgadnąć, czemu przyszła, a potem dałam sobie spokój, bo aż za dobrze znam jej upór.

- Wy dwoje bardzo mnie martwicie.
- Ivo był u ciebie? Skarżył się?
- Nie. Wcale nie. Nie był u mnie.
- Czego ode mnie chcesz, Tuljo? Nie potrzebuję pomocy. Dobrze się czuję.
- Dobrze? Akurat.

Rzuciłam się na jedzenie. Na rybę w śmietanie i kawałeczki sera, które tak akuratnie pokroiła razem z pomidorami. Dopiero teraz dotarło do mnie, że musiałam być wygłodzona, że już od dawna nie jadłam nic porządnego.

Tulja przyglądała mi się z zadowoleniem, a ja spuściłam wzrok na rybę, jakby z tamtej strony miał nadejść ratunek.

Objęła mnie ramieniem, a ja dalej pochłaniałam rybę ze śmietaną. Byłam cicho i cicho z talerza spoglądała na mnie ryba, i stało się jasne, że jestem w pożałowania godnej sytuacji.

Tulja siedziała na kanapie i obserwowała, jak wcinam jej przysmaki.

- Tuljo, dlaczego nigdy nie miałaś dzieci? – spytałam.
 - Mam przecież was. Wierz mi, jest z wami dosyć zmartwień.
 - Ale zanim myśmy się pojawili...
 - Miałam mnóstwo dzieci, które musiałam w swoim życiu adoptować: siostrę, mężów, przyjaciół. Nawet matkę, kiedy zachorowała.
 - Ale dzieci dają też przecież radość.
 - Mam wystarczająco dużo radości, wierz mi, moje dziecko. Musicie skończyć z tym bagnem, Stello. To już niedługo przestanie się układać. Zachowujecie się naiwnie, wierząc, że możecie zawinąć do spokojnej przystani, naprawić coś, czego nie możecie naprawić. Wmawiacie sobie, że to miłość, żeby koniecznie znaleźć szczęśliwe zakończenie wydarzeń z przeszłości. To iluzja, musicie wrócić do terażniejszości, to wieczne patrzeć wstecz nic nie da. Zostawcie to. Okradacie się nawzajem z możliwości i szans na własne szczęście. Każde z was musi pójść w swoją stronę, to nie jest miłość, to dziwna kara, którą na siebie nałożyliście. Nie bądźz dziecinna, Stello!
- Ivo przyszedł do domu. Trzymał w ręku małą skórzaną torbę. Stał jak wryty, kiedy nas zobaczył.

– Tulja. Powinienem był się domyślić, nos mi powiedział, jak się sprawy mają. Umieram z głodu.

Zaczął uważnie lustrować zawartość lodówki i garnków. Niedługo potem podgrzał sobie posiłek i położył wszystko na talerzu. Usiadł i zaczął jeść, nic nie mówiąc, popatrywał tylko na nas z ciekawością.

Pytanie, którego przez wszystkie te lata nie miałam odwagi sobie postawić – nagle zjawilo się z całą gwałtownością, wypełniło cały pokój, wzięło nas w posiadanie i zatrzęsło naszym światem. Ponieważ my dwoje znaleźliśmy już odpowiedź i nienawidziliśmy jej.

Ponieważ nie udało się przekonać Ivo, że Tulja wcale nie na moją prośbę prawila mu kazania, przestał ze mną rozmawiać. Znowu zniknął na kilka dni, a ja znalazłam w jego rzeczach liścik. Rozpoznałam pismo mojej przyjaciółki Sarah, której nie widziałam już od miesiąca.

Wczoraj było cudownie... Chętnie powtórzyłabym tę noc. Wpadnę w środek do Bombayu. Mam nadzieję, że będziesz. Sarah.

Wiedziałam, że mnie zdradza. Wiedziałam, że nigdy nie da mi tego, czego bym od niego pragnęła, a to nie dlatego, że nie mógł mi tego dać, ale dlatego, że nie pozwalał sobie na to, by chociaż przez jeden jedyny dzień swojego życia być szczęśliwym.

Ubrałam się, umalowałam – po raz pierwszy od dawna – i poszłam do klubu, o którym pisała Sarah. Jeszcze nigdy o nim nie słyszałam.

Spotkałam kumpla Ivo i poprosiłam go o trochę koksu. Wciągnęłam przez nos trzy kreski i poszłam na parkiet. Tam wpadłam na Michiego, perkusistę, dwudziestosześcioletniego alkoholika. Znałam go z nocnych eskapad z Ivo. Uwiesiłam mu się na ręce i zaczęłam z nim tańczyć. Śmiałam się bez przerwy, sama nie wiedząc z czego. Michi, zbity z tropu tymi aż nazbyt wyraźnymi awansami, nie miał zamiaru z miejsca mnie przelecieć; objął mnie po koleżeńsku i pogłaskał po policzkach. W którymś momencie wypiliśmy już dość, żeby zebrać się na odwagę, i zaciągnęłam go

do męskiej toalety, gdzie usiadłam na sedesie, podniosłam lewą nogę i zdjęłam majtki. A potrzebowałam do tego trzech wódek i trzech piw. Michi zdecydowanie mniej.

Wytoczyłam się na zewnątrz. Usiadłam na chodniku i zwymiotowałam. Siedziałam tam nadal. Wszystko wirowało, a moje członki zdawały się pozbawione czucia. Miałam kompletnie suche usta i mętne spojrzenie. Było mi strasznie zimno. Nie wiem, jak długo tak siedziałam, zanim przyszedł. Był w środku, w klubie. Musiałam go nie zauważyć albo zjawił się, kiedy Michi i ja byliśmy w kiblu. Usiadł koło mnie, palił i gapił się przed siebie. Nagle wstał, wziął mnie za rękę i zaciągnął na motor. Objął się w pasie moimi rękami i włączył silnik. Ruszyliśmy, jechaliśmy coraz szybciej. Zaczęło mi się kręcić w głowie, światła zmieniały się jak w kalejdoskopie. Krzyknął coś, ale był taki pęd powietrza, że nie zrozumiałam.

Na zakręcie prowadzącym na Hauptstraße, którą mieliśmy dojechać do domu, wywróciliśmy się. Na poboczu rosły jakieś krzaki, w których wylądowaliśmy, co koniec końców uratowało mi życie. Ivo miał zmiążdżone nerki i skomplikowane złamania, ciężki wstrząs mózgu i krwotok wewnętrzny. Ja odniosłam tylko lekkie rany cięte i złamałam rękę.

Powiedziałam Markowi przez telefon, że z nim pójdę, i odłożyłam słuchawkę. Wiedziałam, że to moja ostatnia szansa. Odstawiłam się, umalowałam, włączyłam płytę Marvin'a Gaye'a i tańczyłam w jej rytm, wywaliwszy pół zawartości szafy na łóżko.

Mark przyjechał po mnie punktualnie. Wyglądał bardzo swobodnie i dobrze w czarnej marynarce i ze świeżo obciętymi włosami. Wsiadając, lekko dotknęłam jego nadgarstka. Skinął głową i uśmiechnął się. Naprawdę się cieszyłam, że go widzę i że wraz z nim znowu nastanie porządek w naszym świecie. Zabrał mnie do jakiegoś klubu w porcie. Roilo się tam od moderatorów telewizyjnych, dziennikarzy, producentów, reżyserów i aktorów. Znałam tylko kilku, ale wszyscy zdawali się znać Marka, a Mark ich. Serwowano sushi, drogie przekąski i odjazdowe drinki. Jan, przyjaciel i wieloletni współpracownik Marka, był autorem politycznego – a przede wszystkim poprawnego politycznie – programu telewizyjnego, który cieszył się niesłychanym powodzeniem.

Piłam koktajl i słuchałam zespołu swingowego, przygrywającego na małej scenie. Wygłaszano mowy naszpikowane wymuszonymi dowcipami i pointami, rozdawano jakieś idiotyczne prezenty.

Tańczyłam z Markiem i szeptałam mu do ucha, jak bardzo żałuję. Że wszystko mu wytłumaczę.

Późnym wieczorem wyszłam na taras i spojrzałam w dół w stronę portu. Było pięknie, kojąco. Widok wody zawsze daje mi pewne poczucie bezpieczeństwa. Dwie obce kobiety osaczyły mnie i wciągnęły w niepotrzebną rozmowę. Ale to także postanowiłam dzielnie wytrzymać, być uprzejma, robić wrażenie miłej, zainteresowanej – dla nas: dla Marka i dla mnie. Dla naszej wspólnej przyszłości.

Kiedy wróciłam ze szpitala do domu, zaczęłam od wywalenia reszty narkotyków, jakie tam jeszcze znalazłam. Wyrzuciłam wszystko, co było stare. Wyrzuciłam stare ubrania. Wyrzuciłam stare książki. Wyrzuciłam swoje stare notatniki. Załatwiłam sobie nowy numer telefonu, żeby nikt ze starych przyjaciół nie mógł do mnie zadzwonić. Próbowałam wyrzucić starą część samej siebie.

Zmusiłam się, żeby znów pisać. Umawiałam się z ludźmi. Co weekend odwiedzałam Leni i bawiłam się z jej dziećmi. Znowu chodziłam z ojcem do włoskich restauracji, które tak kochał.

Po wyjściu ze szpitala Ivo zamieszkał w Niendorfie u Tulji. Nie dzwonił.

Dni, kiedy pisałam i zaczęłam z powodzeniem drukować pierwsze artykuły w gazetach, i dni, kiedy leżałam tylko jak sparaliżowana w łóżku i gapiłam się w sufit, zmieniały się jak w kalejdoskopie.

Dostałam od niego pocztówkę: *Muszę wyjechać na jakiś czas. Inaczej się zatracę. Boję się. Potrzebuję Cię tak strasznie, że aż mnie to boli. Nie chcę Cię unieszczęśliwić. Nie bądź na mnie zła.*

Ale ja byłam zła. Byłam taka zła, że dwa dni później odwiedziłam Franka i wzięłam cały zapas proszków nasennych, jaki zgromadził w szafce w łazience. Byłam taka zła, że się rozebrałam, położyłam na łóżku po stronie ojca, zaciągnęłam zasłony i rozpuściłam w wodzie garść tabletek.

Frank musiał w którymś momencie wyważyć drzwi i wezwać karetkę. Zrobili mi płukanie żołądka. W szpitalu byłam pod kontrolą. Potem musiałam podpisać, że poddam się terapii, na którą rzeczywiście przez rok chodziłam. Nic na niej nie powiedziałam, bo nie chciałam powiedzieć, kłamałam zwyczajnie i wzruszająco.

Frank zadzwonił do mamy. Wtedy rozmawiał z nią po raz pierwszy po tych wszystkich latach. Gesi przyjechała do Hamburga.

Jeździłam z matką na plażę, wyjeżdżałyśmy z miasta, siedziałyśmy na piasku. Lato bez Newark, lato bez Jamesa, lato bez drogich prezentów i fałszywej troski. Chodziłyśmy do sklepów, kina, teatru. Kupowałam sobie książki i znów zaczęłam czytać, jak szalona rzucałam się na każdą książkę, nieważne, czy była dobra, czy zła, czytałam ją jednym tchem.

Dopiero po kilku tygodniach udało mi się wreszcie skłonić Gesi, by znowu przyznała mi prawo do samodzielności, i odwiozłam ją na lotnisko. Potem zadzwoniłam do Tulji i zmusiłam ją, by mi powiedziała, gdzie on jest. Tulja nie chciała tego zrobić. Ale coś w moim głosie musiało ją do tego skłonić i w końcu podała mi berliński adres Ivo.

Wsiadłam w pierwszy pociąg i pojechałam. Usiadłam na przepięknym starym podwórzu, gdzie mieszkał, na schodach, uzbrojona w kawę i papierosy, i czekałam na jego przyjście. Czekałam pięć godzin.

Już zapadał zmrok i Ivo mnie nie zauważył, minął mnie. Zawołałam go po imieniu, a on odwrócił się w moją stronę. Jego twarz zdawała się postarzała, smutna, jakby zapadnięta w sobie. Nic nie powiedział, wskazał mi tylko ruchem ręki, żebym poszła za nim. Weszliśmy na czwarte piętro, do jego mieszkania, które było prawie zupełnie puste i pachniało lawendą.

Usiadłam w kuchni, w której stał mały stolik i lodówka, i spojrzałam na niego.

– Nie chcę cię więcej widzieć – powiedziałam.

– W takim razie czemu tu przysłaś?

– Nigdy więcej, słyszysz? Nie waż się jeszcze kiedykolwiek do mnie zbliżyć.

– Tak.

– Nienawidzę cię.

– Okay.

– To nie jest okay. Nienawidzę cię.

– Tak.

– Unikaj mnie. Omijaj szerokim łukiem. Jeśli jednak zdarzy się, że nasze drogi się przetną na jakimś pieprzonym spotkaniu rodzinnym, zachowuj się tak, jakbym była daleką krewną, i nie zwracaj się do mnie, nawet nie pytaj, co u mnie słychać. Nie wychodź za mną na werandę ani nie siadaj koło mnie przy stole. Jeśli zobaczysz mnie na ulicy, to...

– Okay. Okay.

– I przede wszystkim nigdy więcej mnie nie dotykaj. Nigdy więcej!

– Naprawdę jesteś tego pewna?

Podszedł do mnie. Zerwałam się i zrobiłam krok do tyłu.

– Tak, naprawdę jestem tego pewna. Jeszcze nigdy niczego nie byłam taka pewna.

– Dobrze więc...

Cofnął się i oparł o ścianę.

– Nie jestem twoją zabawką. Nigdy nie byłam. Zabieram sobie z powrotem swoje życie. Nie masz już z nim nic wspólnego.

Wstałam, wzięłam torbę i przeszłam koło niego, tak że nasze ramiona lekko się musnęły. On nadal stał w miejscu. Kiedy już otworzyłam drzwi i wyszłam na klatkę schodową, powiedział głucho:

– Kocham cię.

Zbiegłam po schodach.

Wtedy widziałam Ivo po raz ostatni – aż do tego rana, kiedy obudził mnie telefon Tulji.

Mark łaskotał mnie i całowaliśmy się w taksówce jak para nastolatków. Śmiał się, jakby tych ostatnich tygodni w ogóle nie było.

Kiedy dotarliśmy do domu, otworzył butelkę wina i piliśmy, i tańczyliśmy dalej; przyklejeni

do siebie zaklinaliśmy swoją radość. Tak, tańczyliśmy rytualny taniec dla naszego szczęścia.

O świcie, kiedy Mark zasnął z ręką wokół mojej talii, usiadłam raptownie i krzyknęłam:

– Ja muszę!

Mark obudził się i spojrzał na mnie otumaniony snem.

– Muszę jechać.

– O czym ty mówisz, Stello?

– Po prostu muszę, Mark. Nie mogę inaczej. Jeśli nie pojedę, zniszczę wszystko, również to, co jest dobre. Nie na długo. Ale muszę.

– Śpisz ze mną, a potem mi mówisz, że jednak do niego jedziesz?

– Próbowałam.

– To wspaniale. To już naprawdę ukoronowanie wszystkiego! Przeszłaś samą siebie. Spałaś ze mną i teraz mnie zostawiasz?

– Muszę.

Powtarzałam to słowo, gapiąc się w świt, ale Mark już zniknął z pokoju. A ja myślałam o swoim synu, który gromadził marchewki i zaklinał Boga, żeby jego matka stała się taka, jakiej by chciał.

CZEŚĆ DRUGA
TU

Skóra mnie paliła, a oczy łzawiły, usta popękały i nawet mikroskopijne punkciki pod paznokciami zdawały się boleć, kiedy samolot siadał do lądowania. A potem stanęłam na ziemi, o której nic nie wiedziałam poza tym, że jest daleka i surowa. Najbardziej wysuniętym na wschód miejscem w moim dotychczasowym życiu była Sofia w Bułgarii, dokąd pojechałam z ojcem dla towarzystwa na weekendową wycieczkę. Od tamtego czasu minęło już ponad dziesięć lat.

W czasie ostatnich godzin zabroniłam sobie myśleć. Napisałam długi list i zawarłam w nim wszystkie refleksje, które byłam w stanie sformułować: dawne, teraźniejsze i tak, może nawet te przyszłe, jakbym je wszystkie przeczuwała.

Było bardzo wcześnie, szłam z tłumem ludzi, którzy popychali mnie do przodu, mówiąc głośno i szaleńczo gestykułując. Pokazałam paszport, kiwnęłam głową, pokręciłam głową, robiłam po prostu to, co inni. Wpadłam w sidła niezliczonych rzesz taksówkarzy i bagażowych, którzy osaczyli mnie przy wyjściu. A potem ręka Ivo wyciągnęła mnie stamtąd. Było gorąco, sucho i musiałam zdjąć kurtkę, idąc za nim. Wsiadliśmy do zachłapanego błotem land rovera, nie zamieniwszy ze sobą ani słowa. Zaproponował mi papierosa. Wzięłam. Przycisnęłam wysuszoną twarz do szyby.

– Dziękuję – powiedział. Spojrzałam na niego, wiedziałam, że nie mogę dopuścić do siebie żadnych wątpliwości, ale już teraz wątpiłam w całe to przedsięwzięcie. – Dziękuję, że przyjechałaś.

– Nie będę mogła zostać na długo. Muszę wracać, zanim on wniesie o rozwód.

– Nie wniesie o rozwód. Zatrzyma cię.

– Daj spokój, jestem zmęczona. Nie mogę teraz rozmawiać o Marku. Ty go w ogóle nie znasz.

– Znam ciebie.

Nacisnął na pedał gazu i odkręcił szybę. Robiło się coraz jaśniej, niebo nabrało fioletowej barwy. Najchętniej sama spuściłabym sobie lanie, gdybym miała na to dość siły.

– I co teraz zrobimy? – zapytałam zamiast tego.

– Mamy tu robotę.

Autostrada ciągnęła się daleko przed nami. Przymknęłam oczy, myśląc o Theo, któremu powiedziałam, że wkrótce przyjadę z powrotem. Miałam nadzieję, że go nie okłamałam.

– Czy wiedziałaś, że odziedziczyłem majątek?

– Co?

– No tak, mój ojciec najwidoczniej miał pieniądze. No wiesz, zanim... Dostałem je, kiedy osiągnąłem pełnoletność. Od jakiegoś adwokata ze Szwajcarii. I nigdy nie ruszyłem ani grosza. Czulem po prostu, że nie wolno mi tego zrobić, bo nie chciałem mieć z tym nic wspólnego. Czulem, że to by mi nie posłużyło. I nagle, kiedy wróciłem do Hamburga, wiedziałem: teraz, teraz przyszedł czas. Właśnie zamierzam je wydać, i to z tobą. Tak będzie przynajmniej *konsekwentnie*, nie uważasz?

Spojrzałam na niego ze zdumieniem i przygryzłam dolną wargę.

Przez otwarte okno dolatywał zapach akacji i kurzu, a niebo robiło się coraz bardziej posępne. Wzdłuż pobocza ciągnęły się cyprysy. Miasto było stare i położone na wzgórzach, a między tymi wszystkimi wiekowymi budowlami królowały socjalistyczne, betonowe budynki, przez co całość sprawiała irytujące wrażenie.

Choć dopiero świtało, nie było zupełnie cicho. Nie panowała tu sterylna cisza, którą znałam z hamburskich poranków, kiedy budziłam się przed Theo, żeby zrobić mu śniadanie i wyprawić go do szkoły.

Milczeliśmy.

Na którymś ze wzgórz wjechał na stare podwórze, gdzie parkowały luksusowe samochody. Z tyłu powiewało pranie rozwieszzone między dwiema jabłoniąmi, na środku stało kamienne

źródółko, do którego podłączony był wąż spryskujący wodą rozwinięty dywan. Najwidoczniej ktoś go prał. Co za marnotrawstwo, pomyślałam.

Wspięliśmy się po wąskich, kręconych schodkach, niektóre z drewnianych stopni były zmurszałe i nadłamane, tak że musiałam uważać, by noga mi w nich nie uwięzła. Dotarłszy na górę, przeszliśmy długim korytarzem. Podłogę pokrywały stare deski. W końcu wylądowaliśmy w zapuszczonej kamienicy z wysokimi sufitami i niepolakierowanym parkietem. Mieszkanie miało szerokie okna i mały taras, z którego roztaczała się w dole panorama miasta budzącego się ze snu. Ten widok wywołał we mnie uczucie dziwnego niepokoju – niezliczone wieże kościołów, ciasno przylegające do siebie drewniane budynki z kolorowymi, ozdobnie powyginanymi balkonami i gąszczem winorośli, wijących się wokół nich. Chciałam o coś zapytać, ale głos odmówił mi posłuszeństwa, byłam zbyt zmęczona, zbyt skonana.

Ivo wprowadził mnie do przestronnego, ale skąpo umeblowanego pokoju; pośrodku, niczym tron, stało stare jak świat łóżko, które pewnie ważyło ze sto kilo. Wyciągnęłam się na nim i natychmiast zasnęłam. Ivo zostawił mnie samą. Nie przykrył mnie.

Serce biło mi mocno, kiedy następnego dnia rano szłam do łazienki wyłożonej obdrapanymi pomarańczowymi kafelkami, z połączanym lustrem opartym zwyczajnie o ścianę. Wszystko w tym miejscu wydawało się takie niepraktyczne, takie zmarnotrawione: począwszy od sprzętów, po ciekące krany i spłuczki sedesowe.

Ivo naszykował mi ręcznik i szczoteczkę do zębów. Na ścianie wisiał stary bojler i musiałam najpierw kwadrans poczekać, aż woda zrobi się jako tako ciepła. Potem stanęłam w poźółklej wannie. Zdawało mi się, że jakby za sprawą czarów woda nagle pozbawiła mnie całej siły ciężenia.

W brązowym imbryku na kuchence gazowej Ivo zaparzył kawę, a potem podzielił ręką na kawałki miękkiego, słonego chleba. Przyniósł słoik miodu i wyjął z zalewy duży kawałek sera.

– Śniadanie à la Géorgie – powiedział uroczyście i roześmiał się. Usiedliśmy przy okrągłym stole, a ja rzuciłam się na chleb. Był jeszcze ciepły. – Ten chleb piecze się w glinianych piecach. Wyglądają jak dziury w ziemi. Ogień rozgrzewa glinę, a wtedy ciasto przylepia się do gorących ścian. Robią to tutaj tylko mężczyźni, dosłownie prawie że wchodzi do tego ognia piekielnego. W każdym razie człowiek myśli sobie: żeby tylko któryś nie wpadł do środka. A po kilku minutach chleb jest już gotowy. Moim zdaniem smakuje fantastycznie.

– Tak, pycha.

– To niesamowite z tym chlebem, co? Tak, tutaj wiele rzeczy jest niesamowitych. No dobrze, wypij kawę. Poopowiadam ci trochę. Wiem, że tego ode mnie oczekujesz.

– Racja. A więc?

– Blisko pięć lat temu poznałem w Nowym Jorku Lado. Był emigrantem i mieszkał tam przez pewien czas. Spotkałem go na jakiejś kompletnie absurdalnej imprezie poświęconej kwestii azylu politycznego. Wygłaszał odczyt. Z czasem zaprzyjaźniłem się z nim. Potem wyjechał do Berlina, prowadził kilka seminariów na uniwersytecie. Jako politolog, chociaż jest muzykiem. Lado miał, a właściwie ma syna, teraz już czternastoletniego. Z nim też się żyłem. Chłopiec urodził się w czasie tutejszej wojny domowej na krótko przed śmiercią swojej matki i siostry. Świetny chłopak z tego małego.

– Co to ma wspólnego z tobą albo ze mną, Ivo?

– No cóż, nie potrafię tego streścić w dwóch zdaniach, Stello. To trudne sprawy.

– Oszczędź mi tych banałów. Przyjechałam tu nie dlatego, że chcę sobie zrobić urlop albo zajmować się cudzymi mężami czy synami, właśnie tracę swojego własnego męża i syna.

– Nie chcę ci mówić, co trzeba zrobić. Jestem z tobą szczery, Stello. Wszystko to ma coś wspólnego z nami, nie potrafię wyjaśnić ci tego samymi słowami, musisz tego doświadczyć. Musisz poznać Lado i musisz mi pomóc skończyć ten reportaż. To nie jest płatna praca, robię to na własny rachunek.

– Ale co to wszystko ma wspólnego z nami? Nic, zupełnie nic.

– To nieprawda, wierz mi. Chcę jednak, żebyś sama odkryła, co łączy tę sprawę z nami, z tobą.

Zerwałam się na równe nogi i pobiegłam do sypialni, położyłam się na łóżku i ukryłam twarz w poduszce. Popełniłam błąd, przyjeżdżając tu. Powinnam była to wiedzieć. Gadanie Ivo wzbudziło we mnie agresję, nie miało sensu. Gdzie w tej całej historii było moje miejsce, moja rola? Wybrałam na komórce numer Marka. Nie odebrał. Napisałam mu SMS-a:

Proszę, powiedz Theo, że go kocham i że niedługo wrócę. Nie musisz mi wybaczyć. Już w ogóle nic nie musisz. Sama zresztą nie potrafię sobie wybaczyć. Ale, proszę, nie doprowadzaj do tego, żeby Theo mnie znenawidził. Powiedz mu, że wyjechałam służbowo. Proszę.

Ivo wszedł do sypialni i usiadł na brzegu łóżka. Odsunęłam się. Wyobrazenie, że mógłby mnie dotknąć, wprawiło mnie w niepewność, ale nie mogłam sobie na to pozwolić, nie mogłam sobie pozwolić na to, by choć na kilka minut zapomnieć o swojej wściekłości i winie. Obydwa te uczucia zdawały się ostatnią rzeczą, której mogłam się uchwycić, ostatnim moim oparciem.

– Muszę sobie przypomnieć. Za wszelką cenę. A ty jesteś osobą, która może wypełnić luki w pamięci. Może to nieodpowiedzialne z mojej strony, że cię tak wyrwałem z Hamburga, ale uwierz, chodzi mi także o twoje dobro. Jeszcze tego nie rozumiesz, ale jestem pewien, że jeśli dasz mi szansę, to wszystko stanie się jasne.

Spojrzałam na niego i skinęłam głową. Nieważne, jak bardzo mnie ranił, zostanę. Usłyszałam w jego głosie ten rzadki ton: bezbronny, należący nie do silnego Ivo – ulubieńca bogów, którego odgrywał przez prawie całe swoje życie.

Gdybym tylko wtedy bardziej wsłuchała się w jego słowa i spróbowała je rozszyfrować. Ale czepiałam się kurczowo swojego bólu, który pozbawiał mnie możliwości widzenia, a jednocześnie ochraniał.

Jechaliśmy samochodem przez miasto: to miejsce było jakby zagubione między czymś, co minęło, a czymś, co jeszcze nadejdzie, co jeszcze nie nastąpiło. Ludzie mówili dziwnie archaicznie brzmiącym językiem i dziko gestykulowali. Samochody jeździły jak szalone po wąskich uliczkach, jakby były na torze wyścigowym. Patrzyłam na dzieci – wszystkie grały w piłkę i przyczepiały dziurawe krzesła na ścianach domów, by udawały kosze do koszykówki. Przyglądałam się kotom i pałętającym się sfrom psów, roślinom, które wszystko porastały, i owocom rosnącym na każdym drzewie pomiędzy rozwieszoną bielizną.

Ivo włączył radio, a ja zaczęłam przysłuchiwać się dziwnemu, twardemu językowi. Rozbawił mnie – jakby przeniósł nagle w inne czasy. Stopniowo rozdrażnienie znikало; poczułam coś jakby ulgę, młodzieńczą euforię.

Zatrzymaliśmy się w południowej części Starego Miasta i dalej poszliśmy piechotą. Zielonkawa, szeroka rzeka rozciągała się między stromymi, ostrymi skałami, na których stały domy i hotele. Z małych kafejek i knajpek przy brukowanych uliczkach dochodziła głośna muzyka i brzęk sztućców.

Weszliśmy do lokalu, w którym stały maleńkie stoliki. Gdy Ivo zamawiał jakieś potrawy – najzupełniej mi nieznane – złapałam karafkę z winem, którą od razu nam podano. Po chwili rzuciłam się wygłodniała na to nieznane jedzenie – wszystko miało wspaniały smak, a to zdecydowanie poprawiło mi nastrój. Ivo opowiadał o tym kraju, o swoim pierwszym pobycie tutaj. W jego głosie brzmiało podniecenie. Słuchałam go i sama sobie wydawałam się dzieckiem, które jak zaczarowane chłonie opowiadaną bajkę.

Wczesnym wieczorem znów wsiedliśmy do samochodu i skierowaliśmy się na północ. O nic więcej go nie pytałam, wyglądałam tylko przez okno. Migwały światła, a w rzece odbijały się przejeżdżające auta. Tak chętnie zatraciłam się w światłach, w zielonkawej wodzie, w obcych odgłosach, w Ivo.

– Wiesz... – zaczęłam i zapaliłam sobie jednego z jego lucky strike'ów.

– Uhm? – spytał zatopiony w myślach i skręcił w lewo, na co kierowca za nami głośno zatrąbił.

– Właśnie sobie wyobraziłam, co by było, gdybyśmy wtedy zostali razem, ty i ja. I gdybym miała Theo z tobą.

Jego twarz pozostała skupiona, jakby nie słyszał, co powiedziałam. Nadal mocno trzymał kierownicę. Pożałowałam tego zdania.

Nigdy nie mówiliśmy z Ivo o dzieciach. Kiedy próbowaliśmy iść tą samą drogą, dzieci były ostatnim tematem, na jaki mogliśmy rozmawiać. Z góry założyłam, że Ivo nie chce ich mieć.

– Czemu ci to teraz przyszło do głowy? – odezwał się w końcu, nie patrząc na mnie.

– Nie mam pojęcia. Nie musimy o tym mówić.

– Cóż, zadałaś mi pytanie, zakładam więc, że chcesz też usłyszeć odpowiedź.

– To było stwierdzenie, przypuszczenie raczej, czy ja wiem, nie pytanie.

– Co do mnie, to nie spotkałem do tego właściwej kobiety. Jeśli chcesz wiedzieć, a z tobą...

– Tak, ze mną by się nie udało. Wiem.

– Nie to chciałem powiedzieć. Musisz zebrać się na odwagę, żeby usłyszeć szczerą odpowiedź.

– Powiedziałam przecież, że to nie było pytanie...

– Oczywiście, że chcesz odpowiedzi! Do cholery ciężkiej, Stello! Myślisz, że jeszcze nigdy sam o tym nie myślałem? Naprawdę sądzisz, że jestem maszyną, która ma wszystko gdzieś?

– Zapomnij o tym i zacznij patrzeć na ulicę!

– Myślę, że bym na to poszedł, choćby z samego wzruszenia, z samego żalu, gdybyś ty... – powiedział nagle, a mnie przeszedł gwałtowny skurcz. Odwróciłam się od niego i ukryłam twarz w ciemnościach. – Wtedy nienawidziłem cię za to, że zrobiłaś sobie dziecko z jakimś gościem tylko dlatego, że dał ci gówniane poczucie bezpieczeństwa.

Zamilkł raptownie i zaparkował samochód na poboczu. Miał rację: nie wytrzymałam jego odpowiedzi.

Byliśmy w dzielnicy domków jednorodzinnych. Ivo zadzwonił do metalowej bramy. Nie zapytałam go, dokąd jedziemy. Ktoś otworzył. Szczupły, wysoki chłopiec. Miał gęste czarne włosy i delikatne rysy twarzy. Był ubrany w koszulkę z flagą Wielkiej Brytanii i czarne dżinsy. Rzucił się Ivo na szyję i powitał go niemal idealnym niemieckim, co na chwilę zupełnie zbiło mnie z tropu.

– To jest Stella. A to Buba, syn Lado, o którym ci opowiadałem – odezwał się Ivo, a ja podałam chłopcu dłoń. Stella, powiedział. Nie: Stella, moja siostra, nie: Stella, moja przybrana siostra, nie: Stella, moja przyjaciółka, nie: Stella, moja kochanka, nie: Stella, moja... Chłopiec onieśmielony uściśnął mi dłoń, a potem poszliśmy za nim przez niewielki ogródek. Pośrodku królował drewniany pień, używany chyba do gry w karty. Nad otwartymi drzwiami paliło się światło, weszliśmy do małego korytarzyka, a potem do dużego pokoju, który był jednocześnie kuchnią. Podobała mi się surowość tego pomieszczenia, kamienna podłoga i niepomalowany sufit. Przy kuchence stał brodaty mężczyzna i coś gotował, był chudy i o wiele wyższy niż na zdjęciu w teczce Ivo. Roześmiał się głośno, od razu wziął mnie w ramiona i przywitał twardym, ale poprawnym niemieckim.

Niedługo potem nakryto do stołu i nalano nam wina.

Chłopiec był nadzwyczaj piękny, stwierdziłam. Uwięziony jeszcze w swojej młodości, niezgrabnej postawie ciała, rzadkim zarostcie, nieśmiałości, niekontrolowanych ruchach i w nadal dziecięcym głosie, który nie pasował do reszty jego ciała. A jednak to wszystko składało się na obietnicę, że będzie pięknym młodym mężczyzną. W pewien sposób przypominał mi młodego Ivo. Tylko oczy Buby były zupełnie inne: takie ciemne, że źrenice stawały się niewidoczne, a krzaczaste brwi sprawiały, że jego spojrzenie było dumne, proste. O ile oczy Ivo zawsze były zatopione w czymś, czego nikt nie mógł zobaczyć ani rozpoznać, oczy tego chłopca już zaczęły patrzeć światu dumnie i wyzywająco prosto w twarz.

Usiedliśmy przy stole i chociaż właściwie nie byłam głodna, jadłam, bo brodac bezustannie mnie do tego nakłaniał.

– Tak dużo o tobie słyszałem, Stello, no i nareszcie mogę cię poznać – powiedział Lado i uniósł kieliszek. Ivo poszedł w jego ślady, a ja, nieco poruszona tym powitaniem, też sięgnęłam po swój. Wznieśliśmy toast i wychyliliśmy kieliszki.

Pograżyliśmy się w rozmowie. Lado przez cztery lata mieszkał w Berlinie. Rozmawialiśmy o różnicach kulturowych, opowiadał o swoim kraju, o sytuacji politycznej. Potem Buba przyniósł gitarę i ojciec z synem zaintonowali piosenkę, co sprawiło, że znowu poczułam się trochę niepewnie. Zaciekawilo mnie, czy mieszkają tu sami, i doszłam do wniosku, że najwidoczniej tak

musi być. I znowu zadałam sobie pytanie, czego ja tu właściwie szukam, po co Ivo mnie tu sprowadził.

Później w nocy leżałam sama w olbrzymim łóżku i gapiłam się w sufit. Okno było otwarte, wpadała przez nie lekka, ale odświeżająca bryza. Biała zasłona powiewała na wietrze. Z oddali dobiegały mnie dźwięki włączonego telewizora, z łazienki dochodził odgłos kroków Ivo. Słyszałam warkot samochodów; wino wyostrzyło mi zmysły, czułam się wolna. Szukałam w sobie granicy między przeszłością a przyszłością. Szukałam punktów stycznych. Szukałam siebie albo brakującej części siebie. Szukałam swoich słów w jego słowach. Szukałam swojej twarzy w jego twarzy.

Podreptał na bosaka przez korytarz w stronę małego pokoju na poddaszu, gdzie pracował i chciał też nocować w czasie mojego pobytu. Roztaczał się stamtąd wspaniały widok na Tbilisi. Na zagubione miasto, którego istnienie zauważyła się dopiero, kiedy się do niego zbliża, bo na mapie świata wydaje się zapomniane. Jednak gdy się tu przyjedzie, okazuje się niezastąpione, ponieważ trzyma, wiąże ze sobą różne światy – połączyło bowiem Zachód i Wschód i nie zadławiło się przy tym. Dostarczało ropy innym i pozwalało tak po prostu spływać strumieniami własnej wodzie – po wszystkich dywanach i wszystkich roślinach, i po całym tym brudzie, jaki się tu zbierał.

Zawołałam Ivo do siebie. Przyszedł i usiadł na brzegu łóżka.

– Obiecujesz, że mnie nie dotkniesz?

– Obiecuję.

– Chcę, żeby nam się udało.

– Tak.

– Nie zasłużyłam na to, żebyś mnie tak bardzo karał. Zrobiłam coś strasznego, wtedy, ale...

– Ciii.

– Nie, tak jest. Zrobiłam coś strasznego i ani ty, ani ja nigdy nie zostawiliśmy tego za sobą.

Oboje zrobiliśmy wtedy coś strasznego. Ale byliśmy dziećmi, Ivo. Byliśmy przecież tylko dziećmi! Jak mieliśmy postąpić? Jeśli mi pomożesz, ja też ci pomogę, nieważne w czym, jak. Jestem tu.

Po co najmniej dziesiątej próbie mogłam porozmawiać z Theo. Wyglądało na to, że jest na mnie wściekły i rozdrażniony. Traktował mnie bardzo oschle, pozostając przy tym uprzejmym – szkoła jego ojca. Przysięgłam mojemu synowi, że niedługo wrócę. Powiedziałam mu, jak bardzo go kocham, że znaczy dla mnie więcej niż wszystko inne na świecie. On mi oznajmił, że teraz dostanie od dziadków psa – jest już zamówiony, musi się jeszcze tylko urodzić.

– Theo – spytałam go na koniec. – Mogę cię o coś prosić?

– Co takiego? – zadał pytanie w stylu Marka: nie powiedział od razu „tak” albo „nie”, zawsze ostrożnie ważył słowa. Nie robił tego świadomie, to było dla mnie jasne, ale nie potrafiłam nic poradzić, że słyszę w nim ojca i jego ton.

– Zajmiesz się znowu marchewkami?

– Jakimi marchewkami?

– No wiesz, tymi marchewkami z kalendarza babci.

– Okay.

– Sprawilibyś mi wielką przyjemność, gdybyś zachował kilka do mojego powrotu.

– Okay.

– Kocham cię, mistrzu.

– Ja ciebie też. Wracaj prędko. Cześć.

Potem bezgraniczna pustka. Cisza w telefonie, przez którą „cześć” Theo robiło się jeszcze dłuższe i bardziej nieskończone. Mimo wszystko dalej się w nią wsłuchiwałam, mimo wszystko wytrzymałam.

Dni były pełne znoju, szczęścia, emocji, radości życia i melancholii. Cały ten kraj wydawał się jednym wielkim marnotrawstwem – miłości, pieniędzy, których nie było, ciepła, wszystkiego, czego brakowało. Kiedy tylko cokolwiek się pojawiało, było oddawane, ofiarowywane, eksploatowane. Zdawało się, że tego miejsca nic się nie trzyma.

Poznawałam ulice, brałam samochód zawsze w strachu, że spowoduję wypadek, bo nikt tu nie przestrzegał żadnych pisanych ani niepisanych zasad ruchu drogowego. Spotykałam się z Lado, kiedy Ivo grzebał się w jego notatkach i nagraniach, pisał i zbierał materiały. Nie wiedziałam, czego szuka. Zaprzyjaźniłam się z Bubą. Czasem dotykał moich włosów albo wciągał ich zapach, a potem ze wstydem odwracał wzrok. Pochłaniał niewiarygodne ilości jedzenia i sporo zajmował się muzyką, był uparty i zręczny, kiedy czegoś chciał. Chodziłam z nim na spacer i kupowałam mu lody. On pokazywał mi tajemnicze, ukochane przez siebie zakątki miasta: miasto ukryte za miastem.

Poszliśmy na cmentarz wysoko nad Tbilisi, cmentarz należący do bohaterów i wielkich ludzi narodu, wznoszący się obok kościoła. Rozpościerał się z niego widok na całą metropolię. Było tu spokojnie, tak spokojnie jak nigdzie indziej. Usiedliśmy w cieniu jakiegoś krzaka i piliśmy colę. Buba chciał zaciągnąć się moim papierosem, a ja mu pozwoliłam. Był dla mnie tłumaczem i przewodnikiem.

Przyszedł na świat w 1993 roku. W mieście nad morzem, w Abchazji, na wybrzeżu Morza Czarnego. Jego matka, której już nie pamiętał, była gruzińską aktorką w tamtejszym teatrze. Lado właśnie tam ją poznał, kiedy pisał muzykę do jakiejś sztuki.

– Spojrzeli na siebie, od razu się w sobie zakochali, a po trzech miesiącach wzięli ślub. I potem urodziła się moja siostra. Mama była wspaniała. Mam w domu nagranie wideo ze sztuki, w której grała główną rolę, nie mogłabyś się powstrzymać od płaczu, przysięgam. Grała kobietę, która się dowiaduje, że jej mąż ma dziewczynę, musisz to obejrzeć i zobaczyć, co wtedy robi. Lepiej nie będę ci mówił. No tak, a potem wszystko stało się takie ekstremalne. Chaos. Lado już wcześniej aktywnie działał, no wiesz, był za wolnością i takie rzeczy... Ciągle potajemnie organizowali demonstracje i drukowali ulotki w piwnicy. Poszedł do więzienia. Mnie wtedy jeszcze nie było na

świecie. A potem mój ojciec był jednym z założycieli tej gównianej partii. Dziś mówi, że to było gównno, że było złe i tak dalej. Tym ludziom nie chodziło o kraj, chcieli pieniędzy i władzy. W każdym razie wszystko skończyło się totalną klapą. Skłócili się kompletnie wewnątrz partii. Na początku niby wszyscy chcieli tego samego, ale, no wiesz, już tak jest, każdy chce przeforsować swoje, no wiesz, znamy to bardzo dobrze. A potem wojna. Rosjanie i Abchazowie, i Gruzini, wszyscy przeciwko wszystkim. Wtedy się urodziłem. Lado mówi, że wojna jest sposobem na przetrwanie, co kilka lat ludzie tego potrzebują i tak dalej. Tak mówi. Też bym wtedy walczył, gdybym miał tyle lat co teraz. Jasne, że bym do nich dołączył i powystrzelał wszystkich tych dupków. Przecież wygnali wszystkich Gruzinów. Ale Lado mówi, że Gruzini nie mieli żadnego planu, po prostu tam poszli i nikt nie miał pojęcia, co robić.

Buba zamilkł na chwilę, spojrział w zamyśleniu na miasto leżące w dole, pokryte gorącą chmurą kurzu. Ptaki ćwierkały, a ja opadłam plecami na trawę. Swoim opowiadaniem przypomniał mi o czymś, co mi gdzieś umknęło, i miałam uczucie, że Buba chce mi wyjaśnić więcej niż jego ojciec albo Ivo. Wzięłam go pod rękę i zachowywałam się tak, jakby to on był starszy – rozkoszowałam się jego opiekuńczością. Lubił czuć się dorosły. Uśmiechnął się do mnie i poprosił o papierosa.

– Umowa jest taka, że się nie zaciągasz. Okay?

– Daj spokój. Opowiadam ci o wojnie i nie mogę sobie zapalić? Nic mi nie będzie.

– Co ma wspólnego wojna z paleniem?

– To chyba jasne!

Położył się koło mnie i opowiadał dowcipy. Nie pamiętam już, czemu to zrobił i o co chodziło. Były dosadne i wulgarne, Buba uważał, że są bardzo zabawne, a ja śmiałam się razem z nim. Głośno i bez oporów. Kiedy się śmiał, widać było wyraźnie jego duże, białe zęby nadające jasnego połysku ciemnej twarzy. Dotknęłam głowy chłopca i pogłaskałam ją, a on zareagował nerwowym grymasem twarzy i znów się roześmiał.

– Znalazłam w Fundacji Kultury kobietę, która obiecała mnie wpuścić do archiwum narodowego. Mają tam raporty wojenne i całą prasę, jakiej potrzebuję. Powiedziała, że przy odrobinie szczęścia może uda mi się nawet dostać do materiałów wideo. Moja legitymacja prasowa robi tu większe wrażenie niż w Niemczech.

– Ale ja mam już przecież dość materiału. Czego jeszcze chcesz szukać? – Ivo spojrział na mnie ze zdziwieniem i odłożył długopis na bok.

– Też muszę coś zrobić. Myślałam, że mam tu coś odkrywać. Skoro nie chcesz mi nic zdradzić.

– Co dokładnie chciałabyś wiedzieć?

– Za twoim reportażem kryje się coś więcej, prawda? A ponieważ nie chcecie mi powiedzieć, o co naprawdę chodzi, będę chyba musiała zdać się na swoją kobiecą intuicję.

Wstał, bo chciał uniknąć mojego spojrzenia, i poszedł do kuchni zrobić kawę. Poszłam za nim.

– A więc jaka jest moja rola w tej historii?

– Przede wszystkim to dla mnie ważne, że tu jesteś.

Byłam przemęczona popołudniowym upałem i z nudów pomalowałam sobie paznokcie na czerwono. Ujął mój palec wskazujący i wsadził go sobie do ust – wilgotny, pachnący chemią palec. Cofnęłam go, lakier jeszcze nie wyschł.

Zamieniłam swoje życie na Ivo, ustawiłam go na pozycji, z której mógł ze mną robić, na co mu przyszła ochota. Przez te wszystkie lata nie chciałam się do tego przyznać, ale tam, wtedy, w tym dalekim kraju, wśród tych historii, których nie potrafiłam rozwikłać, miałam zrozumieć to z bolesną jasnością.

Brunetka zachowująca się z pewną rezerwą odprowadziła mnie do stołu. W ponurym gmachu archiwum narodowego było tak niesamowicie zimno, że szczękałam zębami mimo czerwcowego upału na zewnątrz. Przydzielono mi niepozorną, bardzo zamkniętą w sobie studentkę germanistyki. Na stole leżały trzy wypchane teczki z aktami i pięć kaset wideo.

Kiedy siedem godzin później wychodziłam z monstualnego, socjalistycznego gmaszyska,

wiedziałam, że żona Lado zginęła w Suchumi podczas okupacji, w trakcie nalotów bombowych. Wiedziałam, że zginęła tam też córka Lado, ale nie udało mi się ustalić, czy była ofiarą egzekucji, czy nalotów, czy też poniosła śmierć w jakichś innych okolicznościach.

Wiedziałam, że w 1992 roku w Abchazji handlowano olbrzymimi ilościami heroiny i że sprzedaż broni separatystom przyniosła zysk prawie dziesiętnastu milionów dolarów. Wiedziałam, że Abchazowie i Gruzini nawzajem zrzucali na siebie bomby pochodzące z Rosji. Wiedziałam, że ONZ zajął się konfliktem dopiero pod koniec wojny i że media kompletnie tę wojnę przemilczały. Wiedziałam, że ówczesny gruziński prezydent został oskarżony przez stronę rosyjską o podżeganie przeciwko mniejszościom w kraju, a tym samym o ludobójstwo. Że wojska gruzińskie w większości składały się z cywilów, których skłaniano do walki pieniędzmi, bronią albo narkotykami, albo po prostu tylko wizją sławy i godności. Wiedziałam, że poza rosyjską milicją także bojownicy ceczeńscy pod przywództwem niejakiego Basajewa brali udział w masakrze w Gruzji w 1993 roku; zginęło wówczas wiele tysięcy ludzi, a ćwierć miliona musiało opuścić kraj. Brak koordynacji wojsk gruzińskich wymieniano jako jedną z przyczyn, dla których dopiero w 1994 roku – po trzech przymiarkach – doszło do zawieszenia broni, które można było uznać za jako tako zgodne z wytycznymi ONZ. Wiedziałam, że pięćdziesiąt tysięcy uchodźców, którzy potem wrócili do ojczyzny, wygnano z niej znowu w 1998 roku. W końcu jednak po tych ośmiu godzinach nie wiedziałam też zupełnie nic. Lepiej bym zrobiła, gdybym nie oglądała filmów wideo, i teraz już rozumiałam, dlaczego studentka uprzejmie przeprosiła i wyszła z sali, kiedy włączałam magnetowid. Wiedziała, co zobaczę na tych taśmach.

Wędrowałam ulicami, zatrzymałam taksówkę. Nie powiedziałam, dokąd chcę jechać, chciałam przez chwilę pojeździć po mieście nocą. W końcu poprosiłam kierowcę, żeby wypuścił mnie na Starym Mieście, nad brzegiem rzeki. Poszłam do lokalu, w którym Ivo i ja prawie codziennie jedliśmy obiad.

Ale co to było? Co kiedyś przeżył Lado, gdy był dowódcą brygady i stacjonował w Suchumi? Dlaczego nie mógł umieścić żony i córki w bezpiecznym miejscu i jak to się mogło stać, że Buba nadal żył? Buba, który miał wtedy dopiero kilka miesięcy. Dlaczego żył on i dlaczego żył jego ojciec, podczas gdy jego matka i siostra zginęły? Położyłam głowę na stole, potem wybrałam numer Lado na komórce. Poprosiłam go, żeby przyszedł. Wydawał się zirytowany, w końcu jednak się zgodził.

Pół godziny później siedział naprzeciwko mnie przy stole, przyglądając mi się niepewnie.

– Wszystko w porządku? – spytał mnie swoim ciężkim niemieckim.

– Tak i nie. Byłam dzisiaj w archiwum i zajmowałam się Abchazją. Proszę, powiedz mi, o co chodzi. Muszę to wiedzieć. Czego wy chcecie? Co zamierzacie? Co ty zamierzasz?

– W lipcu jadę z Ivo do Abchazji. Dzięki jego legitymacji dostanę przepustkę. Muszę się tam z kimś spotkać. Z kimś, kto w tamtych ostatnich dniach był przy masakrze.

– Jak to się stało, że twoja żona...

– Obiecała mi, że wyjedzie z miasta. Posłałem po nich samochód z dwoma moimi ludźmi. Ale jej już nie było. Po prostu zniknęła.

– A Buba?

– Buba był tamtej nocy u swojej babki. Jest z pochodzenia Abchazką. Moja żona miała abchaską matkę i gruzińskiego ojca. Ale była moją żoną. Wszyscy o tym wiedzieli. Inaczej miałyby szansę. Wcześniej wzbraniała się przed wyjazdem z miasta, bo mieszkali tam jej przyjaciele, koledzy z pracy, matka, i nikt nie spodziewał się, że do tego dojdzie. Do tej rzezi, do tej niesłychanej rzezi ludzi.

Chciałam zapytać o córkę, ale nie odważyłam się, zamiast tego zadałam inne pytanie:

– Dlaczego zaangażowałaś się w politykę?

– To był ten czas. Coś musiało się stać. Naciski Rosji robiły się coraz silniejsze. W 1989 roku było wiadomo, że Gruzja zażąda wystąpienia ze Związku Radzieckiego. Kraje bałtyckie i Gruzja były wtedy ogniskami zapalnymi, krajów bałtyckich nie dało się zatrzymać, po prostu są za blisko Europy, podczas gdy my tutaj, w Gruzji, byliśmy od wszystkiego odcięci. Nie spodziewaliśmy się, że Rosjanie zaczną wtedy wywierać presję na mniejszości. Kiedy w 1989 roku

wychodziliśmy na ulicę, nikt nie myślał, że może dojść do wojny domowej. A jednak rozpadu nie dało się powstrzymać. Wtedy zebrano się kilka mądrych głów, swego rodzaju inteligencja, która chciała uzyskać wolność bez przelewu krwi; ja się do nich przyłączyłem. Było wśród nich wielu artystów. Wielu z doskonałym wykształceniem. Tych, którzy mieli prawdziwe znaczenie, zaraz potem sprzątnięto z drogi, a ci, którzy zostali, bardzo prędko przestali mieć jakąkolwiek kontrolę nad tym, co robili. Ja sam po prostu o wiele za długo ludziem się nadziejając, to był mój problem. Długo myślałem, aż w końcu znalazłem się w samym środku wojny. Wiedziałem, że będą umierać dzieci, dzieci w tym samym wieku co Buba, i nie mogłem zostać w domu. Na to było już za późno. Hej, studiowałem w Rosji, ale nigdy bym się nie spodziewał, że KGB może mieć większe znaczenie niż Czajkowski. Takie było jednak moje pokolenie. Trochę lewicowe, o ile pozwalały na to okoliczności, i trochę buntownicze, lecz tylko odrobinę. Nosić levisy, słuchać Beatlesów. Tak wyglądała nasza rewolta. Było wtedy wokół mnie wielu porządnych ludzi. Ale nadzieja, nadzieja mnie oślepiła i... – Urwał i spojrzał na mnie. Potem położył swoją owłosioną dłoń na mojej i powiedział prawie niedosłyszalnie, właściwie szepnął: – Czasami to tak, jakby człowiek spojrzał w lustro, a lustro jest stłuczone. Iwo to dla mnie błogosławieństwo. Oddał mi wiele z tego, co uważałem już za stracone.

Popatrzyłam na niego, czując przyływ współczucia. Ciekawiło mnie, dlaczego Iwo wybrał sobie akurat jego historię, żeby wysnuć jakieś paralele do siebie. Co te wszystkie wojenne sprawy miały z nim wspólnego? I czy nie jest nadużyciem, brakiem profesjonalizmu i najwyższym egoizmem wykorzystywać cudze losy do własnych celów?

– Po co chcecie jechać do Abchazji? Przecież chyba nadal jest tam niebezpiecznie dla Gruzinów? – zapytałam w którymś momencie, kiedy powoli zbieraliśmy się do wyjścia.

– Iwo nie jest Gruzinem.

– Ale ty niespecjalnie wyglądasz na Europejczyka.

– Tak, ale ja będę z Iwo.

– Z kim chcesz się tam spotkać?

– Z kimś, kto wie, dlaczego moja żona nie wsiadła wtedy do samochodu.

Kiedy obudziłam się następnego dnia rano, Iwo już wyszedł. Zostawił mi liścik, że chce jechać na zdjęcia z Lado i w tym celu wybiera się do jakiegoś miejscowego studia. Napisał, żebym zjawiała się wieczorem u Lado, miała być kolacja dla kilkorga przyjaciół. Zrobiłam sobie kawy w osmalonym imbryku i wślizgnęłam się do pokoju Iwo. Na stole rozłożone były teczki i fotografie, niezliczone wycinki z gazet z lat dziewięćdziesiątych, zdjęcia Abchazji i spalonego Tbilisi krótko po demonstracjach niepodległościowych z 1989 roku. Czytałam artykuły polityczne z niemieckiej i amerykańskiej prasy, których kopie Iwo miał porządnie poukładane w segregatorze. Przejrzałam jakąś angielską książkę o historii Gruzji od antyku do współczesności. Nic, co mogłoby odsłonić mi historię ukrytą za historią.

Palłam papierosy i dalej grzebałam w papierach. Wiatr nawiewający kurz wpadał przez otwarte okno i wzbijał popiół w popielnicze. Włączyłam posklejany taśmą magnetofon, w środku była kasetka: Anita Baker. Zdumiałam się. Nastawiłam muzykę głośniej. Iwo nigdy w życiu nie słuchałby Anity Baker. Znałam jego płyty, jego gust muzyczny, jego starannie dobierane kasety z dawniejszych czasów. Pilnował ich i o nie dbał. Muzykę taką jak ta odrzuciłby jako sentymentalny kicz. Przewinęłam do przodu. Było to kompletne THE BEST OF. Nie wierzyłam własnym uszom.

Chwilę później włączyłam laptopa Iwo. Nigdy dotąd mnie nie interesował – był narzędziem pracy, niczym więcej.

Hasło; zastanowiłam się i zaczęłam wstukiwać wszystkie słowa, jakie przychodziły mi do głowy – nazwiska, miejsca, w których Iwo mieszkał. Nic. Walnęłam pięścią w stół.

A potem, gdy wpisałam coś intuicyjnie, bezwiednie i bezmyślnie, nagle rozległ się cichy dźwięk i miałam dostęp do komputera. Wyprostowałam się i zaczęłam zastanawiać, co takiego wpisałam. Było tam „M” i było... Wpisałam EMMA. Emma. Wzdrygnęłam się i zauważyłam, że pocę się z przejęcia.

W folderze „Tbilisi” znalazłam banalne informacje na temat miasta, kraju; Lado, Lado i jeszcze raz Lado, ale tylko już znane mi strony, artykuły, nic nowego.

W którymś momencie odkryłam folder oznaczony literą „S” i kliknęłam.

Zdjęcia – całe mnóstwo zdjęć z naszego dzieciństwa. Wszystkie porządnie zeskanowane i wgrane. Wszystkie starannie ponumerowane. Opatrzone datą i nazwą miejsca. Zdjęcia z Niendorfu: Leni i ja w ogródku na drzewie. Ojciec ze mną w kuchni nad talerzem gulaszu. Wielkanoc 1987 roku, w ogrodzie, z upieczoną przez Tulję babką z rodzynkami na ogrodowym stole. Newark, 1982 rok: Leni, ja i Ivo na kolanach Jamesa. Na drugim planie Gesi pakująca rzeczy na piknik. 1983 rok: Ivo i ja na plaży, Ivo w krótkich czerwonych kąpielówkach, a ja w białym bawełnianym podkoszulku, z piaskiem we włosach. Ze złością patrzę do kamery. Leni i ja budujące domek dla lalek w szopie, 1981 rok. Rok 1984: Ivo i ja na zjeżdźalni na krytym basenie w Niendorfie. Tak dobrze pamiętam tamten dzień: uderzyłam się w stopę, bo jakieś dziecko zjechało prosto na mnie, i Ivo pocieszał mnie przez cały wieczór. Urodziny ojca, 1987 rok, u niego w Hamburgu: ojciec, a u jego boku jakaś dama, którą pamiętałam jak przez mgłę. A potem zdjęcie nieopisane, bez daty ani miejsca, czarno-białe. Zdjęcie, którego nie znałam. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Choć sama byłam na tej fotografii. Nie pamiętałam tamtego dnia. Gapiłam się w ekran.

Ogródek zielny koło domku w pobliżu portu. Na drugim planie widać czarnego psa. Ziemia pokryta liśćmi. W środku stoję ja z włosami obciętymi na pazia, w czerwonym szaliku, który mama zrobiła mi na drutach, i w dżinsowych ogrodniczkach. Jestem ubrana w sztormiak i trzymam palec w ustach. Zaraz za mną, profilem, stoi Ivo, nie patrzy w kamerę, ale na mnie. Ma na nogach kalosze, które jeszcze bardzo dobrze pamiętam, a na głowie bejsbolówkę, przywiezioną mu przez ojca ze Szwajcarii. Pstryk, odgłos aparatu musiał nas zaskoczyć. Ja niepewnie gapię się w obiektyw, a Ivo wpatruje się we mnie, jakby chciał mnie ostrzec, jakby chciał ochronić mnie przed tym pstrykiem. Ma wzburzone, zatroskane spojrzenie. Spojrzenie, na jakie nie pozwalał sobie przez te wszystkie lata, spojrzenie pełne strachu, a jednak ten strach skrywające, zamiast mówić o nim światu. Przymknęłam oczy.

Kto zrobił to zdjęcie? Frank, Emma? Jak to się stało, że widziałam je teraz po raz pierwszy? Czy w ogóle zdawałam sobie sprawę, że nas sfotografowano? Skoro Ivo miał na sobie bejsbolówkę, a ja sztormiak, musiało być już niedługo do końca; skoro staliśmy tak blisko siebie w ogrodzie, to znaczy, że wtedy Ivo i ja byliśmy już nierozłączni; skoro już nadeszła jesień, to... to Emma wkrótce umrze. Wydrukowałam zdjęcie na kartce formatu A4 i schowawszy je do notatnika, wsadziłam do torebki.

Dlaczego archiwizował nas, dlaczego archiwizował mnie?

Ivo miał pamięć jak słoń i nic jej nigdy nie umykało, żaden niuans, żaden szczegół. Zachowywał w niej także nastrój danej chwili. Dlaczego tak skrupulatnie przechowywał tu swoje życie? Było też kilka artykułów, o których już dawno zapomniałam. Nawet zdjęcie ślubne Marka i moje przy wejściu do ratusza: ja w wąskiej białej sukience koktajlowej, a Mark w czarnym smokingu. Musiał dostać tę fotografię od Franka albo od Tulji.

Siedziałam półprzutomna przed laptopem. Przeszłam się po pokoju tam i z powrotem, usiadłam, wciąż na nowo przeglądałam zdjęcia, zamknęłam laptopa, znowu go otworzyłam. Chodziło o nas. Chodziło o nas.

Jeśli wierzyć Tulji, świat nie jest niczym innym, jak tylko tkanką powstałą z historii, z poszczególnych historii ludzi, krajów, cywilizacji i bogów, których języka jeszcze nie potrafimy rozszyfrować. Dla dziecka to fascynujące wyobrażenie: świat jako kolorowy kłębek wełny z płataniną różnych niteczek.

Siedząc tak przed folderem oznaczonym literą „S”, po raz pierwszy pomyślałam znowu o wizji tego, co trzyma świat. Pomyślałam, jak widzę tu, w tym pliku, swoje życie: zarchiwizowane i zachowane w zdjęciach, w datach i miejscach, w ludziach, którzy stali na fotografiach obok mnie, za mną lub przede mną. Spotkałam na nich coś obcego: jakbym odkryła dodatkowy pokój w domu, w którym mieszkałam już od lat.

W końcu wyłączyłam laptopa i usiadłam na malusieńkim tarasie. Na podwórzu bawiły się dzieci, na drugim piętrze grała muzyka – jakiś szlagier z lat osiemdziesiątych. Ktoś wysiadł z samochodu terenowego i krzyknął jakieś dziwnie brzmiące imię. W którymś z sąsiednich mieszkań ktoś gotował rosół – ten tak typowy zapach z mojego dzieciństwa przywołał mi uśmiech na usta.

Stałam pod prysznicem w nadziei, że woda trochę mnie ochłodzi, a potem godzinami włóczyłam się bez celu po ulicach, nadal rozmyślając nad zdjęciem tkwiącym w mojej torebce. Kiedy się zmęczyłam, zatrzymałam taksówkę i pojechałam do domu Lado. Hałasy dochodziły aż na ulicę. Dzwoniłam wielokrotnie, aż w końcu Buba zamaszycie otworzył drzwi. Rzucił mi się na szyję, podrygując biodrami.

– Impreza! – wrzasnął mi do ucha, przekrzykując głośną muzykę i patrząc na mnie rozpromieniony.

– A co świętujemy? – odkrzyknęłam, kiedy weszliśmy do domu.

– Wszystko. Nie mam pojęcia. Może początek lata?

Salon był pełen ludzi. Ktoś grał na gitarze. Wino stało w wysokich karafkach na niskim stoliku. Ludzie siedzieli na podłodze, stali w kątach. Młody mężczyzna w koszulce z Che Guevarą opowiadał z przejęciem jakąś historię, której nie rozumiałam. Wysoka kobieta stała przy kuchence, przygotowując coś do jedzenia. Nigdzie nie mogłam znaleźć Ivo ani Lado. Buba wziął mnie za rękę i przedstawiał każdemu z osobna. Większość ludzi to byli artyści, koledzy Lado, ale zaproszono też sąsiadów i znajomych. Zdawało się, że łączy ich z rodziną Lado serdeczna zażyłość, ale wyraźnie przyszli też dla czystej radości świętowania. Buba szeptał mi w biegu do ucha najpotrzebniejsze informacje:

– Facet z końskimi zębami to przyjaciel Lado od lat. Ma małe studio, wielu muzyków tam chodzi. Ta kobieta z dużymi piersiami jest dziewczyną tego tam, a on zajmuje się rzeźbiarstwem, to nasz sąsiad, rozwiódł się i ma pięcioro dzieci. A tamta kobieta przy kuchence to Salome, też zna niemiecki – powiedział i poprowadził mnie do niej. Wysoka kobieta odwróciła się i uśmiechnęła do mnie przepraszająco, miała ręce całe utyłane mąką.

– Miło w końcu cię poznać – rzekła i wytarłszy sobie ściereczką prawą dłoń, wyciągnęła ją do mnie. – Już tyle o tobie słyszałam. Ivo znamy przecież wszyscy. A na ciebie czekaliśmy.

Byłam już wielokrotnie w tym domu, ale nigdy jej nie spotkałam ani nie wiedziałam, że Lado ma przyjaciółkę. Bo zdecydowanie była kimś więcej niż koleżanką. Słysząc to było z tonu Buby. Powiedziała, że jedzenie zaraz będzie gotowe, więc będzie mogła się mną zająć, a Buba pociągnął mnie dalej. Wyszliśmy przed dom na papierosa.

– Czy to przyjaciółka Lado? – zapytałam, kiedy on brał ode mnie macha.

– Jest jego kochanką – powiedział z pewnym rozdrażnieniem.

– Nie lubisz jej?

– Ujdzie w tłoku.

– Wydaje się miła.

– Jest niezła. Wszyscy tak mówią.

– Niezła?

– No... wiesz, o co chodzi.

– Czy ona od dawna...?

– Od bardzo dawna. Była z nami w Berlinie, a kiedy ojciec i ja wracaliśmy, pojechała z nami. Ale Salome przyjaźniła się jeszcze z mamą. Chcę powiedzieć, że przez to mój ojciec zna ją naprawdę od wielu lat.

– Rozumiem. W takim razie musi was bardzo kochać, ciebie i twojego ojca.

– Nie mam pojęcia, nie interesuje mnie to. Niech raczej zajmie się swoim własnym dzieckiem.

– Ma dziecko?

– Tak, syna. Starszego ode mnie. Ale on mieszka ze swoim ojcem!

Nie mogłam powstrzymać się od myśli, że ktoś, kto zapytałby mojego syna o jego matkę, usłyszałby chyba podobną odpowiedź. Poczułam, jak narasta we mnie strach, i w panice zapaliłam jeszcze jednego papierosa.

– Wszystko z tobą w porządku?

– Pomyślałam o swoim synu. Jest w Niemczech.

– Masz jego zdjęcie?

Pogrzebałam chwilę w portfelu i wyciągnęłam małe zdjęcie z automatu, które zawsze

nosiłam przy sobie: Theo i ja w czterech egzemplarzach.

– Tęsknisz do niego?

– Tak. Wiesz, nie powinieneś oceniać dziewczyny ojca. Czasami sprawy są skomplikowane i nie można być tam, gdzie by się chciało. Na pewno kocha swoje dziecko tak samo jak ja Theo, a Lado ciebie.

– Skąd wiesz, że ona tak samo je kocha? Przecież tego nigdy nie wiadomo – powiedział z niewiarygodną surowością i zaczął grzebać w ziemi czubkiem adidasa.

W tej samej chwili wysoka kobieta podeszła do nas. Miała delikatne ręce i przepiękne, długie nogi, co podkreślała zwykła wąska spódnica. Ciemne włosy nosiła obcięte na pazia, a twarzy prawie nie malowała, jedynie rzęsy przyczerśniła odrobiną tuszu. Nie należała może do klasycznych piękności, arystokratyczny nos był za długi, a oczy osadzone trochę za daleko od siebie, ale emanowała czymś bardzo pociągającym, czymś wyraźnie fizycznym, niemal wyzywającym, tak że nagle przyszło mi na myśl słowo „niezła”, którym Buba ją określił.

– A, to tu jesteście! – zawołała i dołączyła do nas. Wtedy znowu rozległ się dzwonek przy furtce i Buba pobiegł otworzyć. – Dajesz mi papierosy? – spytała, a ja uśmiechnęłam się z zakłopotaniem. – No cóż, taki wiek. Muszą popróbować każdego świństwa – dodała pojednawczo. – On cię lubi. Zazwyczaj z większym dystansem podchodzi do obcych. Jeśli można to tak nazwać. Czy ja też mogę cię prosić o papierosa?

Nie władała niemieckim zbyt biegle, szukała słów, a jednak jej głęboki głos sprawiał, że słuchałam jak urzeczona, nieważne, co mówiła.

– Jasne. Tutaj. Proszę.

– Dobrze się tu czujesz?

– Wiele rzeczy mnie fascynuje, ale na razie jestem tu za krótko, żeby naprawdę móc wszystko ocenić.

– Byłam kiedyś w Hamburgu. Dla mnie tam jest za zimno.

Uśmiechnęłam się do niej i przez chwilę milczałyśmy, nasłuchując, kto właśnie wszedł przez furtkę. To nie był Ivo.

W milczeniu dopaliłyśmy papierosy. Zastanawiałam się, co ta kobieta robi w życiu poza tym, że jest taka tajemnicza i niezła. I myślałam, jak to jest być kochanką mężczyzny, którego żonę znaleziono martwą we własnym spalonym domu. Byłam ciekawa i wciąż mając w pamięci zdjęcie z folderu oznaczonego literą „S”, Anitę Baker i zjawy w swojej głowie, zwróciłam się do niej:

– Chciałabym cię o coś zapytać.

– Tak? – wyszła mi naprzeciw.

– Zastanawiam się, czy wiesz, co oni zamierzają. Chodzi mi o te wszystkie tajemnice z reportażem i w ogóle.

– Też nie wiem nic konkretnego. Przestałam wtrącać się do życia Lado.

Głos kobiety zrobił się cichszy, a z jej dumnej postawy wyzierał smutek. Chętnie bym ją pogłaskała, ale odwróciłam wzrok i nic więcej nie powiedziałam.

Około północy zjawili się Lado i Ivo, obaj podpici. Wpadli na podwórze, hałasując ponad miarę, zaczęli witać się z ludźmi siedzącymi wokół ogniska, rzucać im się na szyję albo mocno obejmować. Ta przesadna wesołość Ivo działała mi na nerwy.

Rozległ się śpiew. Śpiewał głęboki, gardłowy głos kobiecy. Była to smutna melodia, która przypomniała mi portugalskie fado, a głos kobiety był najpiękniejszym dźwiękiem, jaki od dawna słyszałam. Nawet z daleka poznałam, że to Salome, która przygrywała sobie do piosenki na gitarze.

Chciałam myśleć o Theo, ale myślałam o Ivo. Chciałam zastanowić się nad swoim życiem, a jednak myślałam o jego życiu. I jeszcze o tym, czy kiedykolwiek uda mi się wydostać z tego piekła, zacząć biec naprzeciw własnemu życiu, obok którego się prześlizgiwałam, doznając kolejnych rys, kalecząc się. Naprzeciw życiu, którego nigdy nie przyjąłam. Czy kiedykolwiek będę wolna od tego mężczyzny, którego w tej chwili – jak mi się zdawało – nienawidziłam za ów przymus, żeby do niego pobiec i zażądać odpowiedzi na wszystkie pytania?

Wkrótce znalazł mnie Buba. Usiadł tuż obok. Miał przy sobie talerz z szaszłykami i pachniał alkoholem, a jego policzki płonęły czerwienią.

– Co ty tu robisz? Jesteś smutna z powodu syna? – zapytał i mimo ciała, które tak dążyło ku dojrzałości i wyraźnego pragnienia, by sprawiać wrażenie dorosłego, wydawał się w tej chwili taki młody, taki dziecinny, taki podatny na zranienie. A ja zazdrościłam mu jego młodości, niewiedzy, wolności i tego, że jeszcze wszystko, po prostu wszystko na świecie stało przed nim otworem. Zaczął karmić mnie małymi kawałkami mięsa i najwidoczniej tak go to bawiło, że nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Jadłam i jadłam, tylko po to, żeby mógł się śmiać.

Salome śpiewała, a Lado akompaniował jej na gitarze. Robił to z taką wirtuozerią, że oddałam się muzyce i zapomniałam o wszystkim innym. Tak chętnie spadałam; tamtej nocy i podczas tylu innych nocy, które spędziłam w tym domu.

Ostatni goście siedzieli wokół dogasającego ogniska i rozmawiali w języku, który niemal doprowadzał mnie do furii – tak bardzo chciałam go rozumieć. Buba zasnął w salonie na kanapie. Spojrzałam na niego, jak leży z rozchylonymi ustami, i przykryłam go. Spał błogo, szczęśliwie, taki dziecinny w swoich snach. A ja byłam obok, obserwowałam go i myślałam o Theo. I czułam coś w rodzaju spokoju.

Poszłam do łazienki. Musiałam potrzymać twarz pod zimną wodą – zmartwiałam ze zmęczenia, przytłoczona takim ciężarem, jakby ktoś nalał mi ołowiu do ciała.

W przejściu, obok uchylonych drzwi do sypialni Lado, usłyszałam dziwny hałas i przystanąłam. Musiałam tamtędy przejść, żeby dostać się do łazienki, więc wsunąwszy głowę przez szparę, zajrzałam do środka. Rozpoznałam dwa cienie splecione ze sobą na wąskim, metalowym łóżku. Salome, która trzymała się włosów Lado, i Lado, który obejmował ją w talii. Kochali się, a ta miłość nie przynosiła im najmniejszej ulgi, byli samotni w swoim byciu razem, szukając zapomnienia we wzajemnym uścisku, zrozwyczajeniu. Salome jęczała, ale to nie namiętność była przyczyną, a tylko głuchy, brutalny, samotny ból, Lado zaś ukrywał twarz w jej szyi, jakby to miało powstrzymać go od wrzeszczenia na świat.

Pomyślałam o tym, jak po raz pierwszy uznałam za miłość ciała splecione ze sobą. Ciała, które rozpaczliwie się szukały, a jednak były osobne, rozdzielone, dalekie od siebie, nie wnikały w siebie nawzajem. Przypominałam sobie, jak to się stało, że sylwetki widziane przez szparę w zasłonie określiłam mianem miłosnej pary, i jak od tamtej pory utożsamiałam ból w kręgosłupie z miłością. Pomyślałam o tym, jak po raz pierwszy spałam z Ivo, a niemożność tego, by go osiąść, nazywałam miłością. Myślałam o swojej miłości do Ivo, która bolała i paliła, która wpadała w rozpacz, pędziła, broczyła potem i krwią w pogoni za bliskością, i w której coraz bardziej narastał ból. A ból był prastanem tej miłości. Niemożność bliskości odkryłam jako dziecko na gałęzi drzewa i zachowałam jako taką w pamięci. Ivo też tak zrobił. To na zawsze związało nas ze sobą, podobnie jak owo wyobrażenie miłości, niebędącej przecież niczym innym niż poczuciem winy, zdradą, bólem i samotnością, którą dzielili ze sobą mój ojciec i jego matka. A my ją zaakceptowaliśmy, przyjęliśmy jako miłość, przyswoiliśmy ją sobie. Byliśmy mali, nie mogliśmy wiedzieć, że to uczucie, tak boleśnie rozdzielające, tak chore i poranione w walce o bliskość, nie mogło być miłością. Mieliśmy obraz, no i zgubiliśmy się w nim.

Pomyślałam o bólu w plecach – bólu, do którego tęskniłam, kiedy spałam z innymi mężczyznami. Ból oznaczał dla mnie bliskość, to, co nieuniknione, niekontrolowane, wybuchowe, a potrafił dać mi to uczucie tylko Ivo, nikt inny, nawet ojciec mojego syna tego nie potrafił.

Jak mój ojciec mógł dalej żyć – po wszystkim, co się stało? Jak mógł jeszcze kiedykolwiek później dotknąć kobiety – po tym, jak jego uzależnienie od miłości i niestrudzona walka z własną pustką kosztowały życie człowieka? Jak coś takiego mogło się nazywać miłością?

Nadal obserwując przez szparę ciemne ciała, które się smakowały i wdychały, przyciągały i odpychały, które się potrzebowały, by się przewyciężyć, myślałam o tym, że moja miłość do Ivo nie była niczym innym niż taką pogonią za przewyciężeniem samej siebie. Że powinnam zadać sobie dokładnie to samo pytanie: jak mogłam ją nazywać miłością, skoro raniła innych, wykluczała, kazała o nich zapominać, zamiast pamiętać? Jak mogła się nazywać miłością, skoro moim plecami potrzebna było bliźni, by wiedziały, że są kochane? Jak mogłam nazywać to, co odczuwałam, miłością, skoro wykorzystywałam innych ludzi, żeby zapomnieć, skoro byłam gotowa odebrać istotcie, której dałam życie, to, co dla niej niezbędne – siebie?

Stałam tak i wstydziałam się, niezdolna odejść, sparaliżowana oglądanym obrazem, urzeczona, zafascynowana, jakbym znowu miała sześć lat, jakby Ivo, trzymając się gałęzi, robił mi miejsce, żebym też mogła popatrzeć. Widziałam, jak Lado ją całuje i nie o nią mu chodzi, nie dostrzega jej, potrzebuje tylko jej ust do pocałunku, tylko do pocałunku. Wstrzymałam oddech i zacisnęłam dłonie w pięści.

Jak mogłam nazywać miłością to, co sprawiało, że byłam samotna, bezbronna, niepewna, egoistyczna, co odbierało mi moje *ja*? Jak mogłam stać tak i przypatrywać się obcym ludziom w czasie gry miłosnej? Jak mogłam wybaczyć ojcu i jak Ivo mógł wybaczyć mnie?

Jak mógł mi wybaczyć mój syn? Wina zdawała się wszechobecna. Wina, nawet jeśli nie było się jej świadomym.

Kolorowe nitki świata.

Historie splecione w jedną całość, którą nazywamy bólem. Moim wzorcem było tylko powielanie wzorca mojego ojca, a wzorcem Ivo powielanie wzorca matki. A ja przekażę dalej Theo tę moją nić przewodnią. Nie wolno mi. Myśl o tym przestraszyła mnie i musiałam położyć sobie dłoń na ustach, żeby nie krzyknąć.

I nagle zrozumiałam z całą jasnością, że Ivo szuka tu swojej własnej historii, tej, którą chce napisać na nowo...

Jechaliśmy zakurzoną szosą. Buba co chwila wyciągał z ust gumę do żucia w malinowym kolorze i owijał ją wokół palca. Lado prowadził, Ivo siedział obok i puszczał jedną płytę za drugą. Salome siedziała z drugiej strony tylnego siedzenia i gapiała się na krajobraz. Jechaliśmy do małej wioski nad morzem, gdzie wynajęła apartament. Lado opowiadał historie ze swojego dzieciństwa – wszystkie miały coś wspólnego z morzem – a Buba zadawał coraz więcej i więcej pytań. Chciał wiedzieć wszystko o przeszłości, która została mu oszczędzona albo której nie było mu dane doświadczyć. Ivo gadał o jakiejś płycie, którą Lado chciał nagrać z muzykami gruzińskimi. Salome siedziała w milczeniu. Pstrykałam zdjęcia mijanym w pędzie, porośłym zielenią okolicom. Buba snuł plany na nasz tygodniowy pobyt, zaproponował zawody pływackie.

– Ci dwoje wychowali się nad Morzem Północnym, tam jest zimno. Sądzę, że potrafią świetnie pływać, a więc zastanów się, co to oznacza, Buba – powiedział Lado, a Ivo musiał się roześmiać.

– Wychowywaliście się razem? – spytał Buba. Odwróciłam twarz i czekałam, aż Ivo coś powie. Ale on nic nie powiedział.

– Tak. Owszem – odezwałam się w końcu, mając nadzieję, że Buba nie będzie drażnić tematu.

– Sąsiedzi?

– Nie, mieszkaliśmy w tej samej rodzinie.

– Jesteście spokrewnieni?

– Ivo jest moim przybranym bratem.

– Co to znaczy przybrany brat?

– To znaczy, że rodzice Stelli wzięli Ivo do siebie – wyjaśniła Salome. Najwidoczniej cała ta sytuacja zaczynała robić się dla niej nieprzyjemna.

– Ale wy jesteście tak jakby razem czy nie?

– Buba, zostaw ten temat – wtrącił się Lado.

– Nie, w porządku – powiedział nagle Ivo i zwrócił twarz w naszą stronę. – Owszem, masz rację. Jesteśmy tak jakby razem. Stella i ja znamy się, od kiedy byliśmy bardzo, bardzo mali. I lubiliśmy się już jako dzieci.

Za słowo „lubiliśmy” najchętniej bym go spoliczkowała.

– Nie jesteśmy *tak jakby razem*, Buba – powiedziałam, próbując ukryć niezadowolenie, i przekornie wychyliłam głowę przez okno na pędzący wiatr.

Drogi prowadzące do wiosek na północy były kiepskie i strome, a widoki niezmiernie. Nagle zrozumiałam, dlaczego ludzie w tym kraju przywiązywali tak niewielką wagę do codzienności i zatracali się we wszystkim, co obiecywało przyjemność. Po pięciu godzinach jazdy po wybojach dojechaliśmy: mały murowany domek z ogrodem i huśtawką, który przypominał mi Niendorf. Do morza było tylko kilka kroków, a za domem rozciągały się zielone, gęsto zalesione góry. Na plaży nie widzieliśmy nikogo, bo sezon jeszcze się nie zaczął, ale morze już było ciepłe i kuszące.

Ivo i ja dostaliśmy wspólny pokój z widokiem na góry, Buba mógł sobie wybrać, gdzie chce mieszkać. Po ogrodzie biegały dwa koty, które mieliśmy karmić, a Buba z niezmierną dumą wziął na siebie rolę opiekuna zwierząt. Potem wszyscy razem zbiegliśmy w dół na plażę. Pływanie z Ivo było zawsze jednym z moich ulubionych zajęć, prawie już zapomniałam, jaki dziecięcy zapał mi przy tym towarzyszył. Szybko się rozebraliśmy i wskoczyliśmy do przejrzystej wody.

– I co, Stello, popływamy jak za dawnych, dobrych czasów? – Dał mi kuksańca. Moja wściekłość na niego jeszcze nie minęła, a teraz dodała mi skrzydeł.

Lado i Buba chcieli być w jednej drużynie, a Ivo i ja mieliśmy walczyć przeciwko nim, ale ja chciałam zwyciężyć Ivo i dlatego tylko udawałam, że się zgadzam. Tak naprawdę w skrytości

ducha miałam nadzieję, że zostawię go za sobą. Policzyliśmy do trzech i zaczęliśmy płynąć. Salome została na plaży i krzyczała za nami coś po gruzińsku, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Buba wrzeszczał z radości, a ja zanurkowałam. Czułam obok siebie szybkie, prężne ruchy ramion Ivo, a ciepło słonej wody, którego brakowało nam w Niendorfie, dodało mi zwinności. Woda leczyła wszystko, zmywała wszystko, wszystko wygładzała. Pozwoliłam, by mnie obmywała, i – jak zawsze w wodzie – rozumiałam sens chrztu. Chrzciała mnie wciąż na nowo, za każdym razem przynosząc mi oczyszczenie i odnowę. Przebaczała mi. Za każdym razem.

W którymś momencie Lado dał nam znak, że Buba ma dość, i popłynęli z powrotem. Ivo i ja nie zawróciliśmy. Płynęliśmy coraz dalej. Dalej. Rozpłynęliśmy się, zapomnieliśmy o sobie i płynęliśmy jeszcze i jeszcze, jakby tam, przed nami, leżała najważniejsza ze wszystkich odpowiedzi. Czułam wolność w ciele, w skroniach, więzienie zniknęło, wyłamano kraty.

Zanurzałam się i wypływałam na powierzchnię, a słońce oślepiło mi oczy sklezione solą. Wiedziałam, że Ivo został w tyle. Wcześniej zawsze gorzej pływałam, nie mogłam nadążyć za Ivo, a teraz go wyprzedziłam. Słyszałam, jak sapie i macha nogami, ale wiedziałam, że jestem dalej, przed nim. Udało mi się. Pierwszy raz w życiu byłam szybsza. Później, kiedy leżeliśmy na plaży, czułam się, jakbym miała piętnaście lat. Czułam się dobrze.

Po zmierzchu wyszłam do ogrodu odetchnąć morską bryzą i przy płocie dostrzegłam żar z papierosa. To była Salome. Stałam przy niej bez słowa. Nie odezwała się, patrzyła w dal.

– Przejdziemy się? – zaproponowałam. Zauważyłam, że coś ją nurtuje. Skinęła głową, zrobiła krok do przodu i jak na komendę skierowałyśmy się ku plaży. Przysiadłyśmy na chłodnych kamieniach, wpatrując się w ciemne, ciche morze. Zaczęła wrzucać do wody małe kamyczki. Poszłam w jej ślady, potem obie się roześmiałyśmy.

– Ty mnie nie lubisz, prawda? – zapytała nagle, nie patrząc na mnie.

– Nieprawda. Skąd ten pomysł?

– No to dobrze. Zastanawiałam się już, co się z tobą dzieje. – Przez chwilę milczałyśmy, nie wiedząc, co powiedzieć, a potem znów się do mnie zwróciła: – Ja też mam dziecko – powiedziała i wbiła wzrok w ziemię. – Syna. Ma piętnaście lat. Mieszka ze swoim ojcem w Niemczech. Jego ojciec jest informatykiem. Długo byłam jego żoną, ale to zawsze Lado... Tyle że on ożenił się z Naną, moją najlepszą przyjaciółką. Lado i ja byliśmy sąsiadami, dorastaliśmy razem. Miałam piętnaście lat, kiedy mnie pierwszy raz pocałował. Na ulicy, w drodze na czyjeś urodziny i... myślałam, że będzie mnie kochał. Ale Nana była inna, była aktorką i pochodziła z lepszej rodziny. Miała wszystko. Lado chciał jej. Wiedziałam o tym, jeszcze zanim mi to powiedział. Mogła mieć każdego, ale to jemu powiedziała „tak”. Czasem życie jest absurdalne, prawda?

Mówiła bardziej do siebie niż do mnie.

– Nawet go dobrze nie znała. Właśnie zaczęła studia i uznano ją za wielki talent. Niczego jej nie brakowało. Co miałam robić? Chodzi mi o to, że przecież był moim przyjacielem. Zawsze znajdowałam dla niego czas, wiedziałam o nim wszystko, a Nana... ona była małą rozpieszczoną księżniczką. Jej ojciec służył w KGB, nie znała ani zmartwień, ani strachu. Ubóstwiał ją. Była jego baleriną. Tak ją nazywał.

Wiesz, co jest najgorsze? Czego nigdy nie będę umiała jej wybaczyć? Ani razu nie dała po sobie poznać, że wie, jaki sprawiła mi ból. A potem ślub, dziecko, dziewczynka. Szkoda, że nie widziałaś, jaka była śliczna. Całe miasto przystawało, kiedy szła ulicą z dzieckiem. I poprosiła mnie na matkę chrzestną. Matkę chrzestną Mai, a ja się zgodziłam. Zgodziłam się, chociaż nigdy nie powinnam była tego robić. A potem zajmowałam się dzieckiem, kiedy Nana występowała w teatrze, a on, Lado, zaczął cały ten swój kram. Ta dziewczynka była moim nienarodzonym dzieckiem, moim promykiem słońca. Często wtedy jeździli na tournée, a Maja zostawała u mnie. Maja mnie kochała. I nazywała mamą.

Zamilkła, a potem znowu wrzuciła kilka kamyczków do wody, na której tworzyły się koła i w której lśniły małe rybki. Wokół nas panowała przeraźliwa cisza.

– Też wtedy wstąpiłam do partii. Lado i ja byliśmy ulepieni z tej samej gliny. Rozumiałam, do czego on dążył, podczas gdy Nana, kobieta sukcesu, coraz bardziej oddalała się od męża. Nie pojmowała tego czasu niepokoju i przełomu. Jej ojciec stracił posadę funkcjonariusza. Nana bała

się zmian, którymi w tamtym czasie żył Lado. W końcu on poszedł do więzienia. Hańba w jej oczach.

– A potem? – odważyłam się zapytać.

– Potem? Potem zaczęła ten romans.

– Romans?

– Z rosyjskim żołnierzem. Poznała go przez swojego ojca, który wcześniej pracował w Moskwie.

– I?

– I? No tak, co tu jeszcze opowiadać? Nazywał się Aleksiej, był z Moskwy i pracował w Suchumi, w administracji. Taki młodzieńczy typ z odstającymi uszami. Zdaje mi się, że właśnie skończył dwadzieścia pięć lat. Nana miała po prostu dosyć policji przeszukującej jej dom, dość odwiedzin w więzieniu, przyjaciół z partii kocujących w ich domu. To nie jej wina, ona nie była typem Gruzinki, która o każdej porze dnia i nocy przyjmuje czterdziestu kolegów męża i serwuje im jedno danie za drugim. To nie jej wina, że zadurzyła się w tym chłopcu. Był pomocny, pochodził z dobrej rodziny, znał się na teatrze. A ona bała się o ojca, który popadł w niełaskę. Przecież nigdy nie kochała Lado naprawdę. On tylko imponował jej najbardziej ze wszystkich adoratorów, on najpiękniej ją uwielbiał.

– A ty, co ty zrobiłaś?

– Wysłałam za starego przyjaciela ze szkoły, który zabiegał o mnie całymi latami, a ja przez cały ten czas nie brałam go poważnie. Był cierpliwy i uważny, nigdy nie robił mi wyrzutów, nawet zaprzyjaźnił się z Lado. I chciał rodziny, chciał dziecka. Koniec końców zrobiłam z nim to, co Lado ze mną. No tak, mówię przecież, że życie jest absurdalne. I straciliśmy wszystko. Wojna zabrała nam pracę, domy, dobytek, nasze plany, cele, pragnienia, wszystko nagle zniknęło. Lado był w Tbilisi. Martwiłam się, wiedziałam, że kiedy odkryje romans żony, zaczną się kłopoty. Pomagałam więc Nanie, tak jak potrafiłam, ukryć ten związek, byłam jej alibi. Chciałam wtedy chronić Lado, wcale nie myślałam o dobru Nany. Nie mogłam zrozumieć jej postępowania.

Dopóki nie spadły bomby, Nana nie wierzyła, że w naszym kraju panuje wojna. Cały czas mówiła, że to tylko taka męska zabawa. Potajemnie spotkała się ze swoim Rosjaninem w hotelu, gdzie był zakwaterowany.

A potem padły strzały. I już nie ustały. Lado był w Tbilisi, mój syn i mąż pojechali wcześniej do Rosji do jego krewnych, a ja tkwiłam w Suchumi z Mają i Naną. Pierwsi uchodźcy już opuścili Abchazję. Uciekali w stronę Rosji albo Tbilisi. Ale kiedy jeszcze był czas, wtedy my nie chcieliśmy uciekać. Ja nie chciałam, bo czekałam na Lado, a ona z kolei myślała, że jej rosyjski bohater ją obroni. Podobno współpracował z separatystami i przekazywał do Moskwy ważne informacje na temat wojny. Nie wiem, czy to robił. Wiem tylko, że był zakochanym młodym chłopakiem, który wmanewrował się w coś, w czym się zagubił, nad czym stracił kontrolę. Przez prawie pół roku nie mogliśmy się stamtąd ruszyć. Z Suchumi. Wtedy była już w ciąży z Bubą. Przeprowadziłyśmy się do mojego małego mieszkania, bo dom Kanchelich był za duży, zbyt prowokujący i wszyscy wiedzieli, do kogo należał. Nagle Nana stała się wrogiem. Dla Rosjan, bo jej ojciec w końcu przeszedł na stronę gruzińską, dla Abchazów, bo jej mąż walczył po stronie Gruzinów, a dla Gruzinów, bo miała matkę Abchazkę.

Pod koniec coraz mniej się odzywała. Całymi godzinami siedziała, gapiąc się w okno, nie rozmawiała nawet z Mają. Od czasu do czasu wymykała się z domu i zniknęła na kilka godzin. I za każdym razem obawiałam się najgorszego, spodziewałam się, że może nie wrócić.

Dopiero na krótko przed zajęciem Suchumi, zanim zginęło tak wielu ludzi, Lado wrócił do domu i bezustannie błagał żonę, by wyjechała z miasta do Tbilisi, by wywiozła Maję. Ale Nana mówiła, że nie chce umierać z dala od swojej matki, swojego miasta i że sława rodziny czyni ją nietykalną, i że ochroni też Maję. Może i w 1992 roku jeszcze tak to wyglądało, ale już kilka miesięcy później wszystko było spalone, zburzone, zapomniane. Mordowanie było na porządku dziennym. Nikt się nie przejmował żadną tam sławą.

Niedługo po narodzinach Buby, zimą 1993 roku, Lado przyjechał do domu i kazał nam wyjechać. Zanim jeszcze świat wokół nas kompletnie zwariował. Lado stacjonował wtedy w Gali i

ledwo udało mu się przedostać do Suchumi. To był przerażający okres, a miało być jeszcze gorzej. Przyjechał i powiedział, że koniecznie musimy opuścić miasto pojutrze rano, bo ma być blokada. Po narodzinach Buby Nana była nie do poznania. Ubierała się w swoje najlepsze sukienki, nie chciała karmić dziecka piersią, czasem znikła na całe dnie, a potem pojawiała się znowu, podpita. Podejrzewam, że włóczyła się po jakichś rosyjskich balangach, że chodziła za Aleksiejem jak na smyczy. Lado wszystko dla nas zorganizował. Jego ludzie mieli nas zabrać o świcie i przerzucić do Batumi helikopterem, skąd mieliśmy jechać dalej do Tbilisi. Kupiłam już bilet na samolot stamtąd do mojego męża i syna. Lado kazał mi przysiąc, że jeśli to się okaże konieczne, siłą wpakuję Nanę i Maję do samochodu i zrobię wszystko, byśmy wydostały się z miasta. Pojechał z powrotem, wyjechał, musiał wracać do swoich ludzi, których miał wprowadzić do Suchumi następnej nocy. Po to, żeby strzelali, żeby podpalili gmach rządu, żeby... – Salome westchnęła. – Stałam tak z trzema torbami i patrzyłam na Nanę, która zakładała szykowną sukienkę. Nadchodziła noc przed naszym wyjazdem. Lado powiedział, że przyjadą po nas o siódmej rano. Trzymałam Bubę na ręku, a Maja płakała, może już coś czuła. Zapytałam Nanę, czemu tak się stroi. Odparła, że musi mu powiedzieć do widzenia, że musi mu wyjaśnić tak wiele rzeczy: musi mu powiedzieć, że to było złe sypiać z nim, podczas gdy jej kraj schodzi na psy, że nie może z nim zostać, kiedy jej mąż walczy przeciwko niemu, że ona nie może z nim rozmawiać o teatrze, gdy jego kraj dostarcza broń dla jej kraju. A wtedy ja powiedziałam: idź, wiem, musisz to zrobić, zajmę się obojgiem, ale proszę, bądź z powrotem o piątej rano. A ona odparła: wrócę najpóźniej za dwie godziny. Potem pocałowała mnie w rękę i zniknęła.

Nie wróciła. Zrobiła się trzecia, czwarta, piąta. Nana nie przyszła. Prawie nie mogłam oddychać ze zdenerwowania. Potem obudziłam Maję, wzięłam Bubę na ręce i wyszłam na ulicę. Matka Nany mieszkała niezbyt daleko od nas, dzwoniłam do drzwi jak na alarm, otworzyła i wzięła ode mnie Bubę. Wtedy nagle Maja zaczęła krzyczeć, wrzeszczała i piszczała, że nie chce tam zostać, że chce iść ze mną. Wpadła w zupełną histerię. Zawsze była taka posłuszna, taka grzeczna. A że nie chciałam już tracić czasu, wzięłam ją po prostu na ręce i pobiegłam.

Babka, przerażona i roztrzęsiona, chciała wiedzieć, co się dzieje. Powiedziałam, że zaraz przyjdę po Bubę. Pobiegłam z Mają na rękach. Biegłam do tego hotelu, gdzie mieszkali. Tam ich nie było. Szukałam na ulicach. Było ciemno, nie świeciła ani jedna latarnia. Biegłam promenadą wzdłuż plaży.

Wiedziałam, że Aleksiej często przebywał w bazie, w dawnym budynku teatru, który teraz służył jako gmach administracji, Nana raz o tym napomknęła. Więc pospieszyłam w tamtą stronę. Myślałam, że skoro mam przy sobie Maję, to nie może być niebezpieczne. Nie będą podejrzewać żadnego niebezpieczeństwa, nie użyją siły. Miasto spało, był taki spokojny poranek, i gdyby tu i ówdzie nie widniały w ścianach dziury po kulach, można by pomyśleć, że to zupełnie zwyczajny świt.

Przed budynkiem stał na straży młody Abchaz, zagadnęłam go po abchasku. Zapytałam o Aleksieja. Zmierzył mnie nieufnym wzrokiem, potem rozkazał zaczekać przy wejściu i wszedł do środka. Nie wiedziałam wtedy, że wszyscy stacjonujący tam żołnierze zostali wezwani do bazy, bo spodziewano się eskalacji. Wiedziano bowiem, co się stanie. Potem żołnierz wrócił i powiedział, że Aleksieja nie ma. Odjechał samochodem dwie godziny wcześniej. Zaczęłam płakać.

Chciałam wiedzieć, czy pojechał sam. Najwidoczniej żołnierzowi zrobiło się mnie żal, bo jeszcze raz poszedł do środka, by zasięgnąć języka. Kiedy wrócił, powiedział, że nie, że była z nim żona. Żona, powiedział. Jaka żona, chciałam wiedzieć. Nana, jego żona, powtórzył. Błagałam, żeby się dowiedział, dokąd pojechali. Powtarzał, że nic na ten temat nie wie, a potem pocieszał mnie, że Aleksiej ma się zjawić z powrotem o dziewiątej rano. Więc mogę wtedy przyjść.

O dziewiątej, wtedy za nic już nie udałoby nam się wydostać z miasta. Myślę, że krzyczałam, a Maja, która widząc, co się ze mną dzieje, była coraz bardziej wytrącona z równowagi, szlochała razem ze mną. Nie mogłam uwierzyć, że Nana tak po prostu wystawiła do wiatru mnie, nas, swoje dzieci. Po tym, co powiedziała o Aleksieju, o sobie! Nie mogła przecież tak zwyczajnie zapomnieć o tym wszystkim! Coś się stało. Nie wiem, do dzisiaj nie wiem.

Pobiegliśmy z powrotem, nie mogłam opuścić miasta bez Nany. Musiałam wpakować

babcię z dziećmi do samochodu i wyprawić ich w drogę, a sama zostać i znaleźć Nanę.

Kiedy już miałam skręcić na rogu, niedaleko od domu, Maja stanęła i zaczęła wrzeszczeć na całe gardło. Chciałam się dowiedzieć, co się stało, próbowałam wszelkich możliwych sposobów, by ją jakoś przekonać, uspokoić, nie mogłam jej poznać. I wtedy wyznała mi, że powiedziała o tym tacie. Powiedziała tacie, że mama ma innego przyjaciela i czasem gdzieś z nim jeździ, że on nosi mundur, ale inny niż tata, i czasem daje mamie prezenty, a mama zawsze je wtedy chowa i nie przynosi ich do domu, ale że ona – Maja – nigdy nie śpi i zawsze podpatruje, jak on odwozi mamę do domu swoim samochodem, że...

Spojrzałam na nią przerażona i zanim zdążyłam wypowiedzieć choćby słowo pociechy, wyrwała mi rękę i pobiegła ile sił w nogach w dół ulicy. Dokładnie w tym samym momencie zza zakrętu wyjechał duży wojskowy samochód z rosyjską rejestracją. Wyglądał jak auto, którym Aleksiej czasem odwoził Nanę do domu. Maja pobiegła za samochodem. Wołała mamę i biegła, i biegła. Zanim zdążyłam się odwrócić i ruszyć za nią, popędziła na skróty, przeskoczyła przez płot jakiegoś ogrodu i skoczyła tak, że znalazła się przed samochodem. Nie udało im się zahamować na czas. Usłyszałam pisk opon na asfalcie. I już nie widziałam Mai. Ktoś krzyczał, a ja się przewróciłam. To byli chłopcy z wojsk pokojowych. Zanim dotarłam na miejsce, wiedziałam, że już nie żyje. Samochód uderzył ją w skroń. Nie miałam pojęcia, że o wszystkim wiedziała...

Morze było bezkresne, a na niebie zaczynało już świtać, pierwsze promienie słońca przezierają spomiędzy chmur i zaczynały czerwień niebo na horyzoncie. Podniosłam mały zielonkawy kamyczek i zacisnęłam go w pięści. Papierosy się skończyły. Spojrzałam na nią. Nie płakała. Wpatrywała się w horyzont jak ja.

– Wsadziłam matkę Nany ze śpiącym Bubą do samochodu, a sama zostałam. Byłam przy tym, kiedy zabierali Maję do szpitala. Niemal świecił pustkami. Przyjęli ją tylko dlatego, że nie żyła. Nie wiedziałam, gdzie jest Lado ani Nana. Nie wiedziałam, gdzie sama jestem, a jednak rozumiałam, że muszę jej szukać. Ale nie znalazłam. Tego rana zaczął się atak na siedzibę rządu. Szturm, jak to później nazywano. Lado nie udało się już wjechać do miasta, bo prawie wszyscy jego chłopcy oddali życie po drodze, co z kolei uratowało jego własne. Gdyby przyjechał do Suchumi, nie przeżyłby, to pewnie.

Kolejnej nocy zabrał mnie ze sobą pewien mężczyzna. Rosjanin, którego samochód zatrzymałam tak po prostu, na ulicy. Powiedział, że jedzie do Gali. I że mam wsiadać. W czasie drogi nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Nie wiem nawet, jak wyglądał. W Gali podjechał do ostatniej gruzińskiej bazy i tam mnie zostawił. Nie powiedziałam ani dziękuję, ani do widzenia. Ruszył dalej. Trzy dni później zapakowali mnie do ciężarówki pełnej uchodźców. Nie powiedziałam ani słowa. Po prostu wzięli mnie ze sobą. Ot tak, bez pytania.

Przez te wszystkie lata nie mówiłam Lado, czego się dowiedziałam. Przez te wszystkie lata milczeliśmy. W którymś momencie wylądował w Ameryce, ja w Niemczech. Przez chwilę próbowałam trzymać się od niego z daleka. Nie dałam mu numeru telefonu, adresu. Próbowałam żyć własnym życiem, ale czym ono jest z dala od niego? Nie chodzi mi o miłość, nie chodzi o to, czym kiedyś byliśmy, ale o te dni i noce... ostatnie noce, kiedy byłam przy jego żonie i córce. Nie mogę mu ich odebrać. Rozumiesz mnie?

Położyłam dłoń na jej ręce i zacisnęłam usta.

– Jestem tym ostatnim wspomnieniem, które Lado jeszcze pozostało. W końcu on też przyjechał do Berlina. Zobaczyłam go i wiedziałam, że już nie będę mogła od niego odejść. Był taki wyniszczony, taki smutny; gotowałam dla niego, prałam jego bieliznę, głaskałam go po głowie, kiedy po raz kolejny upijał się do nieprzytomności. Dawałam mu pieniądze. Próbowałam go kochać tak, jak kiedyś, ale już nie umiałam. Czytałam w jego oczach, że on widzi we mnie tylko ostatnie miesiące życia swojej ubóstwianej żony, i byłam chora od tego. Tak chora, że zostawiłam swoją rodzinę, syna, i wróciłam z nim tutaj. Tutaj. A potem któregoś dnia już nie mogłam wytrzymać tego bycia umarłą i opowiedziałam mu o Aleksieju. Opowiedziałam mu to, co wiedział już od dawna.

– Chodź, pójdziemy do wody.

– Co?

– Chodź, pójdziemy do wody.

– Jest zimna.

– Nie, nie jest. No, rozbieraj się.

Wstałam i zaczęłam się rozbierać. Aż w końcu stanęłam naga, w oczekiwaniu, niemo ją prosząc, żeby poszła ze mną popływać. Spojrzała na mnie, patrzyła przez chwilę z irytacją, zbita z tropu, a potem poderwała się i zaczęła się rozbierać. Miała mocne ciało, które wszystko zniosło, pozostając przy życiu.

– Ty na pewno umiesz pływać. Dobrze pływać, nawet pod prąd – odezwała się Salome, jakby czytała w moich myślach, i wbiegła do wody. Poszłam za nią. Woda zachowała ciepło minionego dnia, nie oziębził jej jeszcze chłód nadchodzącego świtu. Woda przyjęła nas i miała do nas cierpliwość. Była łagodna i miłosierna, przebaczyła nam na długo, zanim same byliśmy gotowe sobie przebaczyć.

Jedliśmy ryby i piliśmy białe wino, graliśmy w siatkówkę na plaży, która najczęściej była pusta, nie licząc kilku turystów czy miejscowych dzieciaków. Ivo utrzymywał dystans, jakby tamto popołudnie w morzu sprawiło, że coś między nami przeskoczyło na inne tory, przesunęło się. Nie pytałam go o to. Potrzebowałam czasu, żeby uporządkować sobie te wszystkie historie w głowie. Byłam sama.

Rozkoszowałam się byciem samą. Czytałam książki i artykuły, które pożyczył mi Ivo – o historii najnowszej kraju. Ale zawsze szukałam w niej Lado, jego martwej, bladej, zakochanej w Szekspirze, eterycznej żony i ich pięknej córki, i gorzkiej Salome, której imię miało dla mnie smak śmietankowych lodów. Szukałam w niej Buby i Theo. Szukałam Ivo, mojego męża, męża Salome, jej syna. I czułam się tak, jakby za każdą postacią ukrywały się niezliczone rzesze innych, niczym owa chińska terakotowa armia umarłych, prostych jak świeca, stojących szereg za szeregiem.

Nocami, kiedy Buba spał, siedzieliśmy na dworze, pałac, pijąc, pociągając wspólnego jointa i patrząc w górę na gwiazdy. Wtedy najczęściej Salome śpiewała, a Lado akompaniował jej na gitarze. Wtedy ujmowałam dłoń Ivo i prowadziłam ją do swoich warg. Pozwalał na to, jednak sam nie odwzajemniał mojego ciepła. Potem kładliśmy się do swoich rozklekotanych łóżek, a ja długo leżałam, czuwając i wsłuchując się w oddech Ivo. Nie dotykał mnie, ignorował, dzielił ze mną tylko to, co najbardziej niezbędne – był daleki, z dala ode mnie, daleko od tego miejsca, zagłębiony w poszukiwaniu czegoś, czego nie mogłam rozpoznać. Wciąż na nowo wracałam myślami do tamtego zdjęcia. Zdjęcia przed domkiem w pobliżu portu.

Tylko raz wślizgnęłam się do wąskiego łóżka Ivo i przylgnęłam do niego. Było wąskie, a nie złączyliśmy naszych łóżek. Tak więc półleżałam na nim. Nie poruszył się, wiedziałam, że nie śpi. Oddychał ciężko. Zaczęłam masować mu nogi, głaskać łydki, przycisnęłam biust do jego piersi, dotknęłam jego brzucha. Nadal się nie poruszył. Jakże ja w nim tego nienawidziłam – tego chłodu, tego kontrolowanego oddalenia, uporu, który opanował z taką wirtuozerią w czasach, kiedy mi siebie odebrał.

– Jesteś na mnie zły? – szepnęłam i dotknęłam wargami czubka jego nosa, który był gorący i szorstki.

– Nie jestem na ciebie zły.

– Ale?

– Nie ufasz mi już. Grzebiesz w rzeczach, które cię w ogóle nie dotyczą.

Usiadłam i zsunęłam się z jego ciała. Jak odkrył, że przeglądałam zawartość jego komputera, że znalazłam folder oznaczony literą „S”?

– Możesz mi przynajmniej powiedzieć, dokąd prowadzi ta twoja podróż?

– Istotą prawdziwej podróży jest to, Stello, że człowiek nie wie, gdzie wyląduje. Dlatego tu jesteśmy.

– Ivo, co się z tobą dzieje?

Usiadł i spojrzał mi prosto w twarz. Światło księżycy przemieniło pokój w jaskinię górską, pełną sacrum, uroczą. Mogłam dostrzec jego oczy, zmęczone, zapadnięte, zgaszone. Dotknęłam policzka Ivo, a on ukrył twarz w mojej dłoni z nagłym oddaniem, bez sprzeciwu, przymykając oczy. Wrócił tu, trzymał mnie mocno, a ja pomyślałam, że życie składa się właśnie z takich chwil, że to one są najważniejsze, a reszta to tylko czas oczekiwania. Krótkie chwile bliskości. Zapominanie i pamiętanie: może to jedno i to samo?

– Wcześniej nie chodziło nam o wyścigi – powiedział nagle i pocałował mnie w ramię. A więc jednak to go gryzło, więc zraniłam go, płynąc na swój własny sposób? Może to było to. Kiedyś nigdy bym się nie odważyła zostawić go w tyle, może Ivo nigdy nie był silny, może był silny tylko wtedy, kiedy ja byłam słaba.

– To przecież były tylko żarty.

– Nie, nieprawda. Wiesz o tym.

Pojechaliśmy do Batumi – największego miasta portowego na wybrzeżu – i poszliśmy na tańce. Siedzieliśmy w bungalowie na plaży, sączyliśmy koktajle i bawiliśmy się, jakby ten kraj był jedną wioską pełną sąsiadów, a te pięć milionów ludzi przyjaciółmi z przedszkola czy szkoły. Jak prawie zawsze, Lado spotkał jakichś znajomych, a oni koniecznie chcieli nas zaprosić na wspólne ucztowanie, bo przecież jesteśmy przyjaciółmi. W ciągu ostatnich tygodni musiałam się przyzwyczaić do tego, że ciągle zapraszają mnie jacyś ludzie, którzy mają o wiele mniej niż ja, i przestałam się przed tym bronić. Podporządkowałam się, pozwalałam decydować o sobie. Wszystkie te hektolitry wina, setki dań i prezenty trzeba było po prostu przyjąć, nawet jeśli już nie dało się ruszać z przejedzenia. Trzeba było okazywać radość i serdeczność, co przy tej ilości darów nie zawsze było proste.

Wiedziałam, że zleceń muzycznych starczy Lado akurat na tyle, żeby utrzymać się jakoś na powierzchni, i że od czasu do czasu dostaje z zagranicy mniejszą czy większą robotę, która zapewnia mu byt przez kilka miesięcy. Wiedziałam, że Salome pracuje w firmie ubezpieczeniowej, ale całą swoją pensję dzieli się z Lado i Bubą. Wiedziałam, że ludzie muszą tu walczyć o przetrwanie, że żyją z dnia na dzień, że takie pojęcia jak planowanie czy choćby poczucie bezpieczeństwa są im obce. A jednak nigdzie nie spotkałam tylu ubogich bogaczy, co w tym kraju.

– Tulji by się tu bardzo podobało, nie sądzisz? – spytałam Ivo, kiedy po wspólnym tańcu wróciliśmy do stolika. Otarł sobie pot z czoła i zaśmiał się swobodnie i nieskrępowanie, z taką pogodą ducha, że poczułam ulgę na widok jego bez troski. Śmialiśmy się i śmialiśmy, a ja nawet nie wiedziałam z czego. Rzuciłam okiem na Salome, która opadła na leżak, i zobaczyłam, że ona też się śmieje. Widziałam taniec jej drobnych zmarszczek wokół kącików ust, jej ciemne, błyszczące oczy. Obserwowałam, jak marszczy nos i jak pogłębiają się bruzdy w jej policzkach, i było mi wesoło.

Gwiazdy połyskiwały na niebie – tysiące małych robaczków świętojańskich. Również one zdawały się chłonać radość tego wieczoru, sądząc po tym, jak lśniły nad ciemnym morzem, które rozciągało się przed nami bezkresnie – i tak na jedną krótką chwilę cały świat zanurzył się w szczęściu. Bo ja byłam szczęśliwa i czułam to każdym porą skóry. Byłam szczęśliwa tutaj, pogrążona w zapomnieniu, nie pamiętając o bożym świecie, z tymi ludźmi, którzy byli tacy obcy, a jednocześnie tacy bliscy. Zmierzwiałam gęstą czuprynę Ivo i spojrzałam na Lado, który odstawiał taniec z szablami z jakimś znajomym. Salome przyłożyła sobie dłonie do policzków płonących radością i ciepłem.

– Jak myślisz, czy ryby tam w wodzie słyszą tę muzykę? – spytałam Salome, a ona znów zachichotała, tym razem nieco powściągliwiej, ale wciąż jeszcze niczym wygłupiający się przedszkolak.

– Tylko Stella może zapytać o coś takiego – stwierdził Ivo i przyłączył się do chichotu.

– No co, w końcu właśnie zakłócamy im ciszę nocną!

– Bardzo niemieckie stwierdzenie – rzekła Salome i puściła do mnie oko.

Bungalow już zamykali, a my poszliśmy dalej. Zaczął się wschód słońca. Ivo objął mnie ramieniem i szliśmy plażą, kamienie były zimne, a ja trzymałam sandały w ręku. W oddali widać było statki, jakieś światełka pobłyskiwały samotnie w wodzie. Rozlegały się krzyki mew, a małe białe domy stojące przy plażowej promenadzie sprawiały wrażenie pogrążonych w spokojnym śnie w ten bez troski poranek.

Buba opierał mi głowę na ramieniu, kiedy w południe wyjeżdżaliśmy stromą ulicą z miasta. Jechaliśmy długim tunelem, który miał nas zaprowadzić z powrotem do wioski. Dotknęłam głowy i gęstych, czarnych włosów chłopaka, nasłuchując, jak powoli, rytmicznie oddycha. Odetchnęłam słonym zapachem jego skóry. Otarłam się skronią o jego skroń i przypomniałam sobie Theo, gdy jeszcze był niemowlęciem i brałam go do siebie do łóżka, choć Mark tego nie pochwalał.

Przypomniałam sobie, jak wtedy Theo zaczynał po mnie łaźić i śmiać się do mnie. Jak potem zasypiał przy mojej piersi i jak ja, zdumiona istnieniem tak cudownej istoty, która wydostała się z mojego wnętrza – zapowiadając się światu gwałtownym krzykiem – leżałam nieruchomo z obawy, że zakłócę jego doskonale szczęście, jeśli tylko drgnę i go obudzę. Może koniec końców to właśnie są chwile, które wiążą ze sobą wszystkie nitki, historie, które powinno się wspominać,

zamiast opowiadać o bitwach; mówić nie o tym, kto wygrał czy przegrał świat, nie o przewrotach w kulturze, nie o rewolucjach, władcach i tyranach. Nie, może powinni nam prawić w szkole, jak to było, kiedy człowiek po raz pierwszy śmiał się, krzyczał, i o tym, co się czuje w czasie pierwszego pocałunku. Może powinno się o tym rozmawiać i wspominać chwile jak ta, kiedy Buba oparł mi głowę na ramieniu, a ja czułam się szczęśliwa i bezpieczna.

Później leżałam koło Ivo, który zapadł w lekką drzemkę, i patrzyłam na niego: na twarz i ciało; próbowałam dostosować oddech do jego oddechu, wpatrywałam się w paznokcie Ivo, tak krótko obcięte, że bolało już na sam ich widok, w usta, nieogoloną brodę, płatki uszu, nos, zmarszczki na czole, pępek. I myślałam, że chcę na zawsze zachować ten widok pod powiekami, zawsze pamiętać wszystko, co sprawiło, że jest tym, kim jest. Że chciałabym mu powiedzieć, jakie to uczucie mieć jego wątrobę w swoim brzuchu, jego prawe płuco, lewą zastawkę serca, jak to jest mieć brata bliźniaka. I chciałam mu powiedzieć, że nigdy nie żałowałam, iż wszystko z nim dzielę, nawet jeśli czasami było to trudne i brakowało mi własnego powietrza, własnego bicia serca i pulsu – ale to nic nie szkodzi, to zupełnie nic nie szkodzi.

Zasnęłam i śniło mi się niemowlę, włosy Buby, Frank, który zerwał dla mnie jabłko w naszym ogrodzie, ręce Marka rozgrzewające mi stopy. Opuszki palców Ivo zmieniające się w krokodyla i jakaś kobieta, która stała sama nad morzem i recytowała wiersze, a wiatr rozwiewał jej włosy – ubrana w suknię ślubną z welonem, mokrą i poszarzałą od wody morskiej. Miała wodniste oczy i niezwykle bladą twarz, tak że widać jej było żyłki na czole. Co chwila w niezrozumiałym języku wypowiadała jakieś strofy, jakby odmawiała modlitwę. Jej kostki oplatały alg. Zdawała się na kogoś czekać, była zrozpaczona. Śniło mi się, że powoli, krok za krokiem, wciąż jeszcze recytując, idzie ku morzu ze wzrokiem utkwionym przed siebie. I widziałam, jak otchłań polyka ją coraz bardziej, aż w końcu na powierzchni powiewa już tylko welon. A kiedy zupełnie zniknęła, zobaczyłam, jak z wody wynurza się mała dziewczynka z nienaturalnie wielkimi oczami, i woła „mamo, mamo”.

– Już dobrze. Chodź, uspokój się, to był tylko sen – powiedział Ivo, kładąc mi wilgotną dłoń na czole. – Ależ jęczałaś! I jesteś złana potem. Chodź, ugotujmy coś do jedzenia. Jestem głodny jak wilk.

Po tygodniu w suchym upale ostatnich dni czerwca pojechaliśmy z powrotem do Tbilisi. Czasem jeszcze widziałam przed sobą obrazy zbombardowanego miasta. Akurat wtedy, kiedy groziło mi, że upał mnie obezwładni, uświadomiłam sobie, że mój świat jest może światem pełnym wątpliwości, ale przynajmniej nie ma w nim bomb.

Jeździliśmy z Bubą na cmentarz położony na górze nad miastem, włączyliśmy się wąskimi uliczkami Starego Miasta. Pisałam e-maile do Marka i pytałam go o Theo. Odpowiadał dwoma, trzema zdawkowymi zdaniami; zawsze mówił tylko to, co absolutnie niezbędne. Od czasu do czasu pozwalał mi porozmawiać z Theo wieczorem, choć najczęściej znajdował jakąś wymówkę, dlaczego mój syn nie może podejść do telefonu.

Ivo zniknął codziennie rano. Przepraszał, że pracuje z Lado nad wywiadem i zdjęciami. Nie zadawałam pytań, nie spytałam nawet o to, do czego jestem tu taka potrzebna. Przeciwnie, samotność w tym mieście odczuwałam jako dar.

Czytałam, leżałam w zardzewiałej wannie, poznawałam ulice z ich żebrakami, z wałęsającymi się po nich kotami i psami. Wieczorami jadaliliśmy najczęściej u Kanchelich. Salome i ja ani razu nie rozmawialiśmy o nocy na plaży. Jakby po tamtej rozmowie nie było już nic do powiedzenia, bo już nic nie mogło sięgnąć do tej historii. Jakby powiedziała dość za nas obie. Nie zadawałam pytań, nie zastanawiałam się więcej, jaki jest cel mojej podróży ani kiedy dobiegnie końca. Tylko kiedy późnym wieczorem siadałam na werandzie, żeby poczekać na Ivo, który jeszcze gdzieś się wałęsał – zawsze bacząc na to, by zatrzeć za sobą ślady – popadałam w głęboką melancholię. Nie do końca bowiem udawało mi się wyprzeć strach zakorzeniony głęboko w środku, a tęsknota za synem nie chciała ustać. To były chwile, w których myślałam też o tym, że Lado i Ivo mają w lipcu jechać do Suchumi.

Dzisiaj, patrząc wstecz na tamte ciche dni, ciągle jeszcze zadaję sobie pytanie, dlaczego nie dostrzegałam tego, co było na wyciągnięcie ręki.

Którejś bardzo gorącej środy zadzwoniła do mnie Salome z prośbą, żebym przysłała do hotelu Marriott. W barze była klimatyzacja, gdzieś w tle ktoś przygrywał na pianinie. Serwowano tu latte macchiato i szynceł po wiedeńsku. Amerykanie, Holendrzy, Francuzi, a także kilku Niemców siedziało pochyłonych nad laptopami albo czytało „Financial Timesa”. Było to miejsce, które – wycięte z życia miasta – miało przypominać wszystkie inne miejsca na świecie. Salome siedziała przy stoliku z nogą założoną na nogę, w ciemnej spódnicy i niebieskiej satynowej bluzce, popijając sok ananasowy małymi łydkami. Usta miała pociągnięte szminką, jej ciemne oczy lśniły w południowym słońcu. Sądząc z wyglądu, przysłała prosto z pracy. Jej gęste włosy okalały dokładnie głowę i przywodziły na myśl aktorkę z czasów kina niemego. Objęła mnie i zamówiła dwa kieliszki szampana.

– Co takiego świętujemy? – spytałam zaskoczona.

– Nas – odpowiedziała krótko i zapaliła jednego z pall malli, które też kazała sobie przynieść kelnerce. – Poza tym dostałam awans i teraz jestem bogata.

Roześmiała się, a jej białe zęby błyszcząły zadziwiająco białą, która jeszcze bardziej podkreślała czerń włosów.

– W każdym razie na szampana wystarczy – dodała, puszczając do mnie oko.

Znow poczułam przemożną ochotę, żeby jej dotknąć. Pogłaskać po włosach, poczuć pod palcami jej długi nos, policzki. Spuściłam wzrok, zrobiło mi się głupio, że tak się na nią gapię. Piłam zimnego szampana i przestawałam myśleć o czymkolwiek. Opowiadała o pracy i stresującym szefie, Amerykaninie, do którego należała jej firma. Pytała, co u Ivo, co u mnie, jak mi mija dzień, jaki mam nastrój. W końcu zaczęłam się zastanawiać, czy jej radość naprawdę wzięła się z tego awansu, czy może chodzi o coś innego. Pytania stały się w końcu bardziej natrętne, bardziej intymne. Próbowalam odpowiadać wymijająco.

– Co się z tobą dzieje? – wyrwało mi się w pewnym momencie tak głośno, że para Holendrów przy sąsiednim stoliku spojrzała w naszą stronę.

Mierzyła mnie badawczym spojrzeniem, jakby chciała zyskać pewność, że to wytrzymam. I nagle, zupełnie zniemacka, opadły kąciki jej ust, ukryła twarz w dłoniach i westchnęła z głęboką udręką. Przez chwilę nie byłam pewna, czy płacze. Potem spojrzała na mnie i zobaczyłam, że pogoda, uśmiech, euforia tej kobiety zniknęły bez śladu niczym starte z jej twarzy, ustępując miejsca rozpacz i przerażeniu.

– Nie mogę tak – wymamrotała. – Zawsze, kiedy tak na mnie patrzysz, muszę myśleć o tym, że... O tamtej nocy nad morzem. A dzisiaj chciałam tylko świętować, ta praca jest taka ciężka i tak naprawdę nie ma za nią żadnej nagrody. Pomyślałam sobie, że z tobą będę mogła spędzić miłą chwilę, tak bez powodu. Ale kiedy patrzysz na mnie jak teraz, dociera do mnie, że w moim przeklętym życiu nie ma zbyt wiele do świętowania, że zamiast pić szampana, powinnam się płakać przez całe to gówno.

– Ale co takiego się stało, Salome? – Pochyliłam się ku niej nad stolikiem i spojrzałam jej w oczy, które rzeczywiście zaszczyły łzami.

– To wszystko jest po prostu jednym smutnym kłamstwem. Staram się, robię, co tylko mogę, a teraz spieprzyłam sprawę.

– Powiedz mi, proszę.

– Nie wiem. To wszystko naraz. – Szukała słów, mówiła powoli, z rozważą. – Czuję się tak, jakbym już nie wiedziała nawet, jak się nazywam. Jestem taka pusta i nie wiem, co robić. Tęsknię za synem, chociaż on już ze mną nie rozmawia, jestem kiepską matką. A Buba, który powinien być moim dzieckiem, nie chce mnie, jakby pragnął mnie karać za śmierć siostry. I za matkę, i za to, że dałam sobie prawo kochać jego ojca. Co by było, gdybym wystarczająco wcześniej zniknęła z życia Kanchelich, gdybym zajęła się własnym życiem, zamiast zostać z nimi i wychowywać ich dziecko; gdybym po prostu odeszła? Może jeszcze byliby razem, może nadal byliby rodziną i Nana by żyła, Maja by żyła. Nie mogę przestać o tym myśleć. Lado zawsze będzie wspominał Nanę i potrzebował mnie, żeby utrzymać ten chorobliwy związek ze zmarłą żoną. To wszystko wyrwało mi się w Berlinie, w czasie awantury. Wszystko o Aleksieju, Nanie i tych latach w Suchumi, robiłam mu wyrzuty, a przy tym... Nie rozmawialiśmy o tym ani razu, aż... aż przyjechał Ivo.

Zapaliłam jednego z jej pall malli i utkwiałam wzrok w paznokciach, trochę dłuższych niż zwykle, mniej poobgryzanych, mniej ostrych. Wiedziałam, że nigdy nie zapomnę tego, co powie, i zbroiłam się, gapiałam się na paznokcie, jakby mogły podsunąć mi jakieś rozwiązanie.

– Urządziliśmy się tu. Lado wynajął ten domek, pracował. Chociaż przez jakiś czas zmarła żona zdawała się nie stanowić o jego życiu. Wiesz, czułam, że mnie potrzebuje, że jest nawet gotowy dać mi trochę swojej kalekiej miłości. Byłam zadowolona, nie mogłam się spodziewać nic więcej, a cierpliwości nigdy mi nie brakowało. Myślałam, że jeśli tylko wszystko pójdzie tak dalej, to któregoś dnia staniemy się rodziną, prawdziwą rodziną, taką, na jaką zasłużyłam, na jaką on zasłużył. Czy to naprawdę za wiele żądań? A potem zaczęły się telefony od Ivo. Wiedziałam, że znali się już wcześniej, Lado miał o nim bardzo dobre zdanie, przyjaźnili się. I od tamtej chwili coś zaczęło się dziać. Coś się stało z Lado, zmienił się, nie mogłam tego uchwycić, nie rozumiałam. I w końcu Ivo tu przyjechał.

– Kiedy po raz pierwszy odwiedził Lado?

– Zeszłej zimy. W lutym. Został ponad pięć tygodni. Lado zachowywał się przy nim jak mały chłopiec, a potem Ivo zaczął mnie wypytywać. Spotykał się ze mną sam na sam i zorientowałam się, że dużo wie. Dużo o nas. Wielu rzeczy Lado wcale nie mógł mu powiedzieć. Ivo często mówił o Nanie, zadawał pytania. Najpierw myślałam, że to musi mieć związek z jednym z jego reportaży, ale potem zrobiło mi się nieprzyjemnie. Nie zrozum mnie źle, lubię Ivo, wiem, ile znaczy dla Lado, ile dla niego robi. Ale dziwnie się poczułam przez to całe wypytywanie. Robił to bardzo zręcznie, nigdy nie pytał wprost, zawsze opłótkami. No i na początku opowiadałam mu wszystko tak po prostu, bez głębszego zastanowienia, ale w pewnym momencie przestałam mu ufać, rozumiałam, że o coś tu chodzi. O coś, do czego nie jestem dopuszczona.

Spojrzałam na nią, wsłuchiwałam się w każde słowo i myśląc gorączkowo, próbowałam coś uzupełnić, sformułować jakieś przypuszczenia. Ale mi się nie udawało, nie wiedziałam nic, zupełnie nic, miałam absolutną pustkę w głowie.

– Ivo węszył naokoło jak pies myśliwski, jak opętany. Godzinami prowadził rozmowy telefoniczne, wypytywał ludzi. Nie wiedziałam, jak dalece Lado zdaje sobie z tego sprawę, ale nie dopuszczał mnie do niczego. Zachowywał się tak, jakby nie było w tym nic szczególnego albo jakby to w ogóle nie była moja sprawa. W końcu zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem Ivo nie szuka tu czegoś osobistego. Nie potrafię uzasadnić tego wrażenia, ale od tamtej pory nie mogę się pozbyć podejrzeń.

– On dokładnie wie, czego tu szuka – odparłam. – Wiedział, dokąd zaprowadzi go ta podróż, zanim w ogóle się zaczęła, zanim przyjechał do Hamburga, żeby mnie ze sobą zabrać. To ma coś wspólnego z nim, ze mną. Nie w pełni rozumiem, o co chodzi. Na ogół to nie w jego stylu zawłaszczać cudze historie. Nie mam pojęcia, komu próbuje pomóc ani czy próbuje. Mam wrażenie, że jestem tuż-tuż, że jestem bardzo blisko i zaraz ogarnę całość, a potem zawsze jednak brakuje jakiegoś decydującego fragmentu. Może będę ci to mogła wkrótce wyjaśnić, mam wielką nadzieję. Ale najpierw sama muszę zrozumieć, dlaczego on koniecznie chce mnie tu mieć, co powinnam zobaczyć, odkryć.

– To przerażające, jak światy są do siebie podobne w swoich różnicach. Prawda? – powiedziała.

Byłam ciekawa, do czego zmierza. Ale mój umysł przestał już kierować się jakąkolwiek logiką. Zamówiłyśmy jeszcze po kolejce szampana.

– Sądzisz, że w tej sprawie chodzi o ciebie? On próbuje coś ci pokazać? – podjęła na nowo.

– Co mógłby chcieć mi pokazać?

Pomyślałam o zdjęciu. Salome przez chwilę wpatrywała się we mnie badawczo, po czym powiedziała zdecydowanie:

– Pomyśl, pomyśl, Stello. Czego on może szukać w naszej historii? Jakie zdarzenia mogą mu coś *przypominać*? Oni pojedą do Aleksieja. Ivo jest siłą, której Lado potrzebował, żeby go odszukać, odważyć się na ten krok. Mam wielką nadzieję, że chce znaleźć spokój, a nie na nowo pograć się we wściekłość na siebie, zmarłą żonę, na chory świat. Musimy skontaktować się z Aleksiejem. Spróbuję mu wytłumaczyć, o co chodzi. Ostrzec go. W najlepszym razie porozmawiają

i Lado będzie kiedyś w stanie z tym skończyć, w najgorszym dojdzie do burdy, a wtedy nasi panowie naprawdę zaczną mieć poważne problemy, zwłaszcza Lado ze swoją przeszłością.

Dopijałam szampana, podczas gdy na zewnątrz zapadał ciepły wieczór.

Szliśmy spacerem szeroką aleją Rustawelego. Coraz dalej, aż do mieszkania Ivo. Salome zrobiła nam coś do jedzenia. Ivo nie było w domu. Słuchałyśmy Anity Baker, jedynej kasy, jaką znalazłam.

– Jesteś wyjątkowa – powiedziałam do niej, kiedy siedziałyśmy na wąskiej werandzie, a miasto promieniało i lśniło.

Salome uśmiechnęła się do mnie i nieco przechyliła głowę. Potem tylko skinęła, jakby wiedziała wszystko, zanim to powiedziałam.

Później poprosiłam ją, żeby mi coś zaśpiewała, a ona zaczęła nucić. Jej głos rzucał na mnie czar, powtarzał mi co chwila: nieważne, jak popaprane jest życie, wszystko dobrze się skończy.

Usłyszałam szelest, Ivo się rozbierał. Byłam zasnana i nie miałam pojęcia, ani która godzina, ani kiedy zasnęłam. Zaczął rozpinać mi spodnie, bo miałam jeszcze ubranie na sobie. Pomógł mi wydostać się z lnianej bluzki, troskliwie odłożył na bok stanik. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że już zrobiło się jasno.

– Tak błogo spałaś – powiedział. Nie był trzeźwy, ale nie pił, nie pachniało od niego alkoholem. Odsunęłam się trochę w bok, a on wszedł nagi do łóżka.

– Brałeś coś? – mruknęłam.

– Odwróć się.

– Nie możemy przez całe życie uciekać – zaprotestowałam, kiedy zdjął mi majtki. Za każdym razem wprawiało mnie w zdumienie, jak bardzo się kontrolował mimo narkotyków. Jak rzadko dawał się wyprowadzić z równowagi. Jak bardzo nad sobą panował mimo zmęczenia i odurzenia.

– Nie uciekamy, przecież tu jesteśmy...

Zaczął całować moje ciało. Lekko pochylony nade mną, zsunął się w dół.

– Nie chcę tego – odparłam, kiedy rozchylił mi nogi.

– Czego?

– Tych wszystkich tajemnic, tego twojego zachowania.

W odpowiedzi położył mi głowę między nogami.

Odsunęłam się na bok, ciągle jeszcze napięta, drżąca, roztrzęsiona, zwinięta jak embrion. Wiedziałam, że zaraz muszę trafić w ten punkt. Teraz, kiedy był czuły i kruchy. Żeby go dopaść. Oddychał ciężko i głąskał mnie po włosach. Pierwsze promienie słońca przecinały niebo, dzieląc je na kawałki. Przez okno wpadało rześkie powietrze poranka. Przykryłam się białym prześcieradłem.

– Znalazłam to zdjęcie.

– Co, jakie zdjęcie? – spytał zmęczony. Leżał na plecach, nagi, zadowolony, czekając na nagrodę po swoim wysiłku.

– Zdjęcie. Ty i ja, dzień przed śmiercią twojej mamy. Ona je zrobiła. Teraz sobie przypominam.

Kiedy wypowiedziałam te słowa, wróciło do mnie wspomnienie: Emma podkrađła się do Ivo i mnie i zaskoczyła nas z aparatem. Przypomniałam sobie tamten deszczowy dzień. Przypomniałam sobie każdy szczegół, każdy kącik ogrodu, zapach, dźwięk, ponieważ wtedy po raz ostatni rozmawiałam z Ivo. Dopiero po rozprawie zobaczyłam go znowu w szpitalu, gdzie zaprowadzili mnie do niego, bo cały czas krzyczał „Stella, Stella!”.

To tego dnia ojciec Ivo wrócił do domu. Tego dnia mój ojciec pojechał na krótkie zakupy, a po jego powrocie wspólnie gotowaliśmy. Potrawkę z jarzyn i pieczone kartofle. Później Frank i Emma jak zwykle poszli na górę, do sypialni w końcu korytarza. Ivo i ja bawiliśmy się w ogrodzie z psem, który nazywał się Pidy. We wspomnieniach pozbawiłam go imienia, ale teraz nagle do mnie wróciło. Padał deszcz, ziemia zamieniła się w błoto. Biegaliśmy i chowaliśmy się, a potem tropił nas szczekający pies. Jego czarna, lśniąca, wilgotna sierść, którą głąskałam, zapach mokrego zwierzęcia – wszystko znów stanęło mi przed oczami, jakby to było wczoraj.

– Zdjęcie?

Usiadł i przyciągnął nogi do ciała.

– Gdzie? – co chwila powtarzał z niedowierzaniem. – Gdzie?

– W twoim laptopie.

– Jak dostałaś się do mojego laptopa?

– Odkryłam hasło.

– Grzebałaś mi w plikach!

Głos Ivo stał się szorstki, a on sam nagle zaczął sprawiać wrażenie kompletnie trzeźwego.

Oparłam się o chłodne wezgielnie łóżka i wsunęłam głębiej pod prześcieradło. Nagość zawsze powodowała, że łatwo mnie było zranić. Jego nagość zaś była jak pancerz. Podciągnął nogi pod brodę, żeby uzbroić się na bitwę, która teraz się zacznie. Bo miała rozpętać się bitwa. Oczy Ivo błyszczały w świetle poranka, napiął mięśnie, a ja widziałam w jego twarzy to dziwne, nadzwyczajne skupienie. Znałam je z chwil, w których był gotowy walczyć z całym światem, ślepy w swoim gniewie.

Zerwał się, sięgnął po papierosa, zapalił go gwałtownie; żar w bladym świetle sprawił, że Ivo zaczął wyglądać jeszcze bardziej obco, jeszcze agresywniej.

– Grasz w jakąś popieprzoną grę, do jasnej cholery! Bardzo dobrze wiesz, dokąd to wszystko prowadzi, igrasz ze mną. Wracasz po siedmiu latach i skłaniasz mnie do tego, żebym zostawiła, rzuciła wszystko, nawet syna, a potem wszystko przede mną ukrywasz. Co ty sobie wyobrażasz? Zrujnowałeś mi życie i... tak! Jestem ślepa i głupia, że ci uwierzyłam. Że znowu za tobą poszłam. Decydowałeś o całym moim życiu, ty dupku, zawsze wszystko ustawiałeś, jak ci odpowiadało, kierowałeś, jakbyś był Panem Bogiem. Ale nie jesteś, mówiłam ci! Nie będę więcej w tym uczestniczyć. Już nie. Teraz gra toczy się o mojego syna, a ja go kocham, tak, nawet jeśli dla ciebie „miłość” to obce słowo, kocham go i nie widzę powodu, dla którego miałabym zrezygnować ze wszystkiego, co kocham, dla kolejnych upokorzeń, dla kolejnych rozczarowań.

– Miłość, miłość, co to ma znaczyć?

– Przestań wreszcie. Ty nawet nie wiesz, jak wygląda miłość! To, co uważasz za miłość, jest egocentrycznym, chorym uzależnieniem!

Kiedy ja krzyczałam coraz głośniejsze, on robił się coraz bardziej opanowany, spokojniejszy, zamyślony. Słuchał mnie bardzo uważnie, każde słowo zachowywał w głowie, a ja nie wiedziałam, czy to cisza przed burzą, czy też poddał się, zanim jeszcze porządnie się na mnie zamierzył.

– I co za cholerne gówno chcesz tu wyjaśniać, Ivo? Powiedz mi, przecież daję ci wszystko, już nic nie mam, już nawet żyję z twoich pieniędzy, pozwalałam się utrzymywać.

– Nie poniżaj się. Nienawidzę, kiedy to robisz.

– Ach tak? A wiesz, czego ja nienawidzę, czego w tobie nienawidzę? Że jesteś taki cholernie zadowolony z siebie! Że gówno cię obchodzi, co się ze mną dzieje, jak się czuję. Co z tymi siedmioma latami? Co sobie wtedy myślałeś?

– Połknęłaś końską dawkę środków nasennych, jeśli wolno mi o tym wspomnieć. Chciałaś umrzeć, Stello, a ja nie mogę wziąć na siebie jeszcze więcej winy. Nie mogę.

– Chciałam, żebyś mnie kochał, nie chciałam umierać, naprawdę jesteś taki głupi? Winy? Winy, mój Boże! To ja jestem winna, wiesz o tym, to ja, i przez całe życie czekam, aż otwarcie powiesz, że mnie potępiasz, nawet ukarzesz, raz na zawsze, ostatecznie, żeby wreszcie to całe miotanie się skończyło!

Serce waliło mi jak szalone. Wstałam owinięta w prześcieradło i podeszłam do okna, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Miałam uczucie, że się uduszę. Zarysy pokoju, miasta, które rozpościerało się w dole, rozplynęły mi się pod powiekami i musiałam chwycić się parapetu, żeby nie upaść.

Zbliżył się do mnie, słyszałam odgłos jego bosych stóp na podłodze. Gapiłam się na zewnątrz, nie zniósłabym jego dotyku. Złapałam się drewnianego parapetu tak mocno, że przez rękę przeszedł skurcz.

– To nie była kara!

Przycisnął mi kciuk do kręgosłupa, opuszek jego palca był wilgotny i chłodny. Wzdrygnęłam się.

– Nigdy nie chciałem cię karać. Nigdy o tym nie myślałem, słyszysz? Nie wolno ci tak myśleć! Próbowałem wszystkiego, proszę, uwierz mi, Stello. Próbowałem.

Pociągnął za prześcieradło, a materiał zsunął się na ziemię. Nie podjęłam żadnej próby, by znowu się okryć. W ostrym świetle słońca bezlitośnie widać było moje białe ciało, każdy rozstęp, por, bliznę, zadrapanie. Znał to ciało, kiedy miało sześć lat, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia dwa i teraz trzydzieści sześć. Znał jego zakamarki i słabe punkty, miejsca, które doprowadzały mnie do pasji, i te, które przynosiły mi ukojenie; znał to, co moje ciało próbowało ukryć. Napawał mnie lękiem fakt, że tak stoi za mną, że na mnie patrzy, ale postanowiłam sobie, że nie przegram tej bitwy, że tym razem nie dam się udobruchać, tym razem jego dotyk nic nie zmieni.

Musnął dłonią mój obojczyk, zaczęłam drżeć.

– Moja miłość już taka jest, ja już taki jestem. Uprzedzałem cię o tym, kiedy rozebrałaś się na plaży. Przez cały ten czas chciałem nam udowodnić, że nie musimy odbywać żadnej pokuty, że nie ponosisz winy, chciałem tego dowieść tobie i sobie. Przez całe życie szukałem na to dowodów. Dlaczego nie chcesz tego dostrzec?

Polizał mi płatek ucha i odgarnął włosy przyklejone do twarzy. Objął mnie ręką w pasie, a ja spojrzałam na tę rękę i zobaczyłam chorobliwie krótkie paznokcie. Wytrzymam to, nie poddam się.

Położył mi dłoń na szyi i przycisnął.

Gdybym odwróciła się, broniła, sprawiłby mi ból. Pochylił mnie lekko do przodu i położył mi dłoń na pośladku. Zmartwiałam i wstrzymałam oddech. Poczułam coś w rodzaju mdłości, wiedziałam, że jego spokój, jego opanowane ruchy nie wróżą nic dobrego, próbowałam głęboko oddychać, ukryć przed nim strach.

– Dlaczego wróciłeś do Hamburga? Dlaczego? Wiedziałeś, co się stanie – wyszeptalam, kiedy on rozsunął mi nogi, a drugą ręką ścisnął głowę, popychając mnie coraz bardziej do przodu, tak że w końcu mój tułów wychylił się z okna. Mdłości zrobiły się jeszcze większe i bałam się, że zaraz będę musiała zwymiotować.

– Nie wróciłem do Hamburga ani nigdzie indziej, nawet tutaj nie, po prostu wróciłem do ciebie, Stello.

Przygryzłam usta, w żadnym wypadku nie chciałam krzyknąć. Świadomie zadawał mi ból i wiedział, że bronię się przed tym. Czekał, aż się poddałam, zmiękłam. Brzuch wpijał mi się w kant parapetu i czułam palący ból w żebrach.

Słońce nas oślepiało, światło było niemiłosierne, rozgrzewające. Tak bardzo nie pasowało do moich zeszywniałych pleców i palców, które zamieniły się w zmartwiałe szpony, do jego zimnych rąk i nieznośnego bólu, jaki mi sprawiał. Nie wzbraniałam się, by przyjąć tę karę jako sprawiedliwą. Chciało mi się płakać i oskarżać cholerne słońce, że z taką dumą opromienia moja klęskę, a jednak nie wydałam z siebie najcichszego dźwięku.

– Do ciebie. Bo. Ja. Cię. Kocham. Pewnie będziesz śmiała się z tego, że ci to teraz mówię. Ale może też pewnego dnia zdołam ci to wytłumaczyć. Teraz jeszcze nie mogę. Nie.

Trzymał mnie mocno za głowę i ciągnął za włosy.

– Bo... Bo ty byś tego nie zrozumiała. Tak, naprawdę, tak jest. Znalazłem tutaj coś, co może pewnego dnia będzie mogło nas uleczyć, tak, specjalnie mówię „uleczyć”, Stello. Bo to wszystko... To wszystko jest chorobą. Która nas toczyła. Od... od tamtego popołudnia. Kiedy mój ojciec wrócił.

Nie czułam śladu współczucia, kiedy to mówił i cały czas pochylał mnie przy tym do przodu w coraz szybszym tempie. W tej chwili budził we mnie jedynie pogardę.

– Wszystko ci wytłumaczę. A ty myślisz, że nie dosyć zrobiłaś. Nie wierzyłem, że tu przyjedziesz, że dasz mi jeszcze jedną szansę i...

– Przestań!

– Nie, nie możemy przestać. Doprowadzimy to do końca, okay? Uda nam się, tym razem nam się uda.

Drgnął i opadł na mnie. Klatką piersiową na moje plecy. Kucnęłam, znikając pod jego ciałem. W łazience weszłam do wanny. Puściłam zimną wodę, jej chłód sprawiał, że wzmogłam czujność i jak dzika szorowałam skórę, pozwalając wodzie zmyć wszystko: tę noc, to słońce.

Ivo przysiadł na brzegu wanny, jak to często robił, ale ja nie zwracałam na niego uwagi i dalej myślałam się zapamiętanie, jakby woda mogła wszystko naprawić.

– Wkrótce będzie po wszystkim, to już niedługo potrwa. Teraz tam pojedziemy, a jak wrócę, będzie po wszystkim. Obiecuję.

Udałam, że nie słyszę.

– Nigdy cię nie karałem, słyszysz? Stello, spójrz na mnie. Nigdy cię nie karałem. Jeśli już, to siebie.

– Nie chcę rozmawiać.

– Stello?

Położył mi dłoń na plecach, a ja przez chwilę chciałam go odepchnąć.

– Kocham cię.

– Już wiele razy mi tego dowiodłeś. Dziękuję.

– Stello.

– Ivo. Nie potrafię ci pomóc, jeśli mi nie powiesz, co się dzieje.

– Jeszcze nie mogę.

– Dlaczego?

– Bo musisz sama to dostrzec. Sama na to wpaść.

– Ale to przecież nie ma żadnego sensu.

Pochyliłam się ku niemu i wyciągnęłam do niego rękę. Siedział poruszony, bez sił, z zaczerwienionymi oczami i spękany ustami, ze swoim zimnym spojrzeniem. Złapał mnie za rękę i poprowadził ją do warg, całował ją co chwila. Przyciągnęłam go ku sobie i wszedł do wanny. Podzieliłam się z nim wodą, tym największym skarbem, jaki w tej chwili posiadałam i może kiedykolwiek będę posiadać.

– Co zamierzasz? Co ma z tego wyniknąć?

Nie odpowiedział.

– Wszystko bym dał za to, żeby...

– Zostaw to już, Ivo. Chodźmy spać, jestem taka zmęczona.

Ukrył twarz w dłoniach i zamilkł. Wyszłam z wanny i przewiązałam sobie biodra ręcznikiem. Stałam przed nim jak wrośnięta w ziemię, nie mogąc się ruszyć.

A on po prostu siedział pod strumieniem wody i chował się przed światem, jak mały chłopiec, który zasłania sobie twarz dłońmi, myśląc, że jest niewidzialny.

Gdybym mogła płakać, płakałabym dla ciebie, Ivo. Gdybym wtedy miała siłę całkowicie przyjąć cię do siebie, być tak mocna jak morze, to nie wahałabym się. Gdybym tamtego ranka mogła zobaczyć twoją twarz zakrytą dłońmi po tym, jak chciałeś zawrzeć pokój, a wyrządziłeś tylko nowe szkody, skłoniłabym cię do powiedzenia mi wszystkiego, co ci chodziło po głowie, i może, może, byłbyś tu teraz. Wiem, co chciałeś mi powiedzieć tamtego ranka, co chciało zdradzić twoje ciało, sprawiając mi ból. Wiem, co powiedziałaś, nie mówiąc tego. Teraz to wiem i mogłabym krzyczeć tak głośno, tak głośno, że świat zatrzymałby się na ułamek sekundy. Ale, tak, ale.

Szukam przecież wody w życiu. Tego, co dalekie i miękkie, i głębokie, i ciężkie, i tego, co wszystko niesie. Morza, Ivo.

Zasnęłam i śniła mi się blada kobieta, która w tych ostatnich tygodniach często nawiedzała mnie we śnie. Nad morzem, w domu Tulji, w nierozbudowanym pokoju na poddaszu. Z pięknym dzieckiem. Mój sen i ona zaprzyjaźnili się ze sobą. Czasami przypominała Gesi, czasami Emmę, czasami nikogo, a raz mnie samą. Ale zawsze miała na sobie suknię ślubną. Taką, jaką sama chętnie bym założyła, gdybym nie obawiała się przepychu. I skrycie zazdrościłam jej welonu, który zawsze był trochę mokrawy i zabrudzony.

Pojechali tam z powodu mężczyzny, który marzycielską żonę i cudowną córeczkę Lado kosztował życie. Może nic o tym nie wiedział, a może i tak. Może dzisiaj był zupełnie innym człowiekiem, a może i nie. Może w wojenne dni kochał po prostu niewłaściwą kobietę, a może i nie.

Myśl o tym przyprawiała mnie o mdłości. Przez te mdłości zaś nie miałam siły i pozwoliłam Ivo jechać. Te myśli drażniły mnie, powodowały niepokój, niepewność, strach. Czego tak się bałam? Co dokładnie niepokoiło mnie w tym wyjeździe? Abstrahując od tego, że w Abchazji oficjalnie ciągle jeszcze panowało „zawieszenie broni” z Gruzją, a wjazd tam faktycznie mógł się okazać bardzo niebezpieczny, zwłaszcza dla Lado – było coś jeszcze, co budziło we mnie większy lęk niż realne zagrożenie związane z tą podróżą.

Kręciłam się w kółko, nie posuwałam naprzód, do powstania całego obrazu nadal brakowało pojedynczych części układanki.

Te poszukiwania blokowały mnie, tak że byłam ślepa, nie widziałam tego, co było oczywiste.

Czy Ivo naprawdę myślał, że przy pomocy swojego przyjaciela będzie mógł naprawić własne błędy? Co dokładnie chciał naprawić z pomocą cudzej historii?

Bo w jednej sprawie nie miałam wątpliwości: Ivo nie szukał tych samych odpowiedzi co Lado.

Do Tbilisi wdarł się morderczo upalny lipiec. Pachniało kurzem i gorącym asfaltem. Rodzice wywozili dzieci z miasta, uciekali na wieś czy na działkę, do wynajętych apartamentów, do dziadków lub krewnych. Upał obezwładniał i paraliżował.

Rozmowy telefoniczne z Theo stawały się coraz trudniejsze przez bezlitosny ton Marka wobec mnie; nie mogłam mu nawet brać tego za złe. Musiałam niedługo wrócić, żeby przynajmniej wyjaśnić fakty i porozmawiać z nim o Theo. Musiałam walczyć o syna, a jednak czułam się bezsilna w swojej biernej roli. Wszystko zdawało mi się niemożliwe, póki nie dowiem się, co Ivo tu robi.

Postanowiłam czekać. Poczekać na ich powrót. Wszystkie prośby i próby przekonania Ivo, żeby pozwolił mi jechać ze sobą, spaliły na panewce.

Siedzieliśmy przy stole w kuchni z butelką białego wina. Ivo wziął prysznic, spakował plecak i usiadł przy mnie.

– Za trzy dni będę z powrotem. Nie musisz się martwić. Spędzimy tam tylko jeden dzień. Resztę czasu zabierze jazda, wiesz, jakie tu są drogi.

Nalałam nam obojgu schłodzonego wina. Ivo położył dłoń na mojej ręce i nie powiedzieliśmy już nic więcej. Piliśmy i milczeliśmy. Milczeliśmy i piliśmy. Było ciemno, a nocami upał robił się nieco znośniejszy. Słyszałam świerszcze i chciałam coś powiedzieć, ale głos odmówił mi posłuszeństwa. Milczałam.

Tej nocy przytulałam go mocno i całowałam. Tej nocy nie chciałam śnić o bladej kobiecie w sukni ślubnej, tej nocy nie chciałam śnić nawet o morzu. Po raz pierwszy spałam z Ivo tak, że nic się we mnie nie wrzynało, nic nie bolało, nie wyrządziłam sobie żadnej krzywdy. Kochałam go łagodnie, delikatnie, niemal jak dziecko.

Taka byłaby miłość między nami, gdyby nasze ciała potrafiły mówić już wtedy, w ogrodzie, w domku koło portu – tacy bylibyśmy jako dzieci: wtuleni w siebie, dotykający się ciekawie, badawczo, bez najmniejszej skłonności do sprawiania sobie nawzajem bólu. Taka byłaby nasza miłość w jego małym pokoju po lewej stronie korytarza, tego samego, na którego końcu nasi rodzice się rozbierali, wysysali i jak zwierzęta lizali swoje rany. Nic nie stało między nami i nawet myśl o Theo nie przeszkadzała mi tym razem, bym całkowicie była z Ivo, przytomna i czujna, jakby w tym momencie otworzyła się możliwość połączenia ich obu w moim życiu. Wierzyłam bowiem

w tę szansę, chciałam w nią wierzyć i czepiałam się jej.

W szarówce poranka słyszałam krzątanie, ale byłam zbyt zmęczona, by naprawdę się obudzić, jakby moje ciało nie chciało świadomie pogodzić się z jego wyjściem. Pochylił się nade mną, pocałował mnie czule w usta i zniknął w drzwiach.

Obudziłam się dopiero koło południa – przez ten upał byłam zlana potem – i w ciągu sekundy usiadłam na łóżku. Rozejrzałam się, wszystko zdawało się takie jak zazwyczaj, niemal już bliskie. Wstałam, wzięłam prysznic. Próbowałam myśleć o czym innym, zrobiłam sobie kawę, usmażyłam jajko sadzone, włączyłam radio, wsłuchiwałam się w obcy język i wszechobecną muzykę pop, która najwidoczniej potrafiła wdrzeć się w eter na całym świecie. Wyprałam kilka rzeczy w rękę i rozwiesiłam je na sznurku na tarasie.

Napisałam do Marka e-maila, w którym zapowiedziałam mu swój powrót. Bez skutku próbowałam złapać Tulję. Zrobiłam kilka notatek na prawie całkiem zapisanym bloku. Zaplotłam włosy w warkocz. Umalowałam się, chociaż nie miało to sensu w tym upale. W myślach napisałam list do Theo. Leżałam na poduszce Ivo i wdychałam jej zapach. Założyłam jego koszulę, którą znalazłam powieszoną na kaloryferze w jego pokoju. Tańczyłam do muzyki Anity Baker.

Zjadłam kawałek chleba z miodem. Zeszłam na dół i kupiłam paczkę lucky strike'ów. Zapaliłam. Potem zrobiło się ciemno i siedziałam na werandzie. Czekałam, aż w mieście pozapalają się światła. Patrzyłam na podwórze i głośno bawiące się dzieci, które namalowały na chodniku kredą kwadraty do gry w klasy i skakały po nich. Słuchałam piosenek w radiu – znałam je wszystkie.

Myślałam o tym, gdzie właśnie są. Ile jeszcze zajmie im jazda. Zabroniłam sobie tych pytań, znalazłam starą gumę do żucia Ivo przyklejoną do biurka, wzięłam ją i żułam, aż rozpadła mi się w ustach. Patrzyłam na swoje stopy. Gapiłam się na koszulę Ivo. Wpatrywałam się w ciemność wieczoru. A potem zerwałam się na równe nogi i pobiegłam do pokoju, szukając telefonu, wpadając przy tym na wszystko, co stało mi na drodze, i wywracając to. Zadzwoiłam do Salome. Papieros w mojej prawej dłoni drżał, bałam się, że głos za chwilę odmówi mi posłuszeństwa.

– Stello? Gdzie jesteś? Wpadnij do mnie, niepokoję się. A może to my mamy wpaść? Buba jest u kolegi. Złapałam Aleksieja. Powiedział, że Ivo skontaktował się z nim już wiele miesięcy temu i że na nich czeka. Widzisz, wszystko jest okay.

– Czy Buba...

– Stello, nie rozumiem cię, mówisz szeptem...

– Czy on nie jest jego...?

– Hej, co się stało, za chwilę zwariuję, jak nie zaczniesz normalnie mówić! Dzwonili do ciebie?

– Buba nie jest Lado... On nie jest jego synem.

– Co?

– Wie o tym?

– O czym ty mówisz?

– Czy Lado wie?

– Nie mam pojęcia. Skąd ty wiesz?

– Wiem. Chodzi o dzieci, nie o Lado. Przeoczyłam to. Chodzi o dzieci. Przez cały czas chodzi o nie. O to, że mu to powiedziała. Że Maja zdradziła swoją matkę, że umarła, ale inne dziecko przeżyło, Buba przeżył. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Dzieci, dzieci, to one były głównymi postaciami w tej historii, to o nie chodziło, nie o dorosłych.

– Stello, proszę, uspokój się. Zadzwoń do Buby, zabiorę go po drodze i przyjedziemy do ciebie.

– Nie, nie z chłopcem. Nie, nie mogę tak.

– Stello, co to ma...

– To Ivo wpadł na pomysł, żeby spotkać się z tym Rosjaninem, chce się czegoś dowiedzieć, cholera!

Odłożyłam telefon. Salome wielokrotnie oddzwaniała, ale nie odbierałam. Stałam jak wrośnięta w ziemię, nie byłam w stanie nawet zapalić światła i tylko gapiłam się w najciemniejszy

kąt pokoju. Nigdy nie chodziło o Lado. To chłopiec pokazywał mi sekretne zakątki miasta, to on leżał ze mną w pobliżu cmentarza, sącząc colę i paląc potajemnie; opowiadał o swoich zmartwieniach i radościach. To jego głaskałam po głowie, to on bawił się moimi włosami, to jego tak lubiłam, wierząc, że dzięki niemu jestem bliżej Theo.

I to dziewczynka, rysująca portrety członków rodziny – to ona padła ofiarą popełnionej przez siebie zdrady, nawet w najmniejszym stopniu nie umiejac ocenić jej rozmiarów, jedynie odgadując ją, przeczuwając. Chodziło o nią.

Chodziło o nas.

To był Ivo. To Ivo dotykał moich włosów i leżał ze mną w trawie, to on śpiewał mi piosenki i opowiadał o swoich marzeniach. To Ivo przemawiał do mnie przez dryblasowate ciało Buby i jego o wiele za gruby głos. I to ja wypowiedziałam wstrząsające słowa, które zmieniły życie nas obojga.

Zegar na ścianie tykał, przypominając mi znowu o istnieniu czasu. Przypominał mi mnie. Przypominał o tym, że Ivo wyjechał.

Znowu byłam w stanie się poruszać, więc poszłam do kuchni, włączyłam światło i pomyślałam, co mogłabym zrobić. Nie dam rady go dogonić, nawet jeśli wyjadę natychmiast. Wrzasnęłam. Krzyczałam i krzyczałam, wrzeszczałam na całe gardło, ale to nie pomogło. Usiadłam na podłodze i zaczęłam uderzać pięściami w parkiet, drapałam go paznokciami i czołgałam się w tę i w w tę. Szukałam bezpiecznego miejsca, które dałoby schronienie. Wyszłam z domu i kupiłam butelkę wódki. Ludzie w kiosku, którzy tymczasem przypięli mi łatkę tej dziwnej Niemki od tego dziwnego Niemca, gapili się na mnie. Nie pożegnałam się, popędziłam z powrotem na podwórze. Przeskakując po kilka stopni naraz, wbiegłam do domu.

Piłam i co chwila uderzałam pięścią w czoło, musiałam w końcu wymyślić, jak ściągnąć Ivo z powrotem.

Przeoczyłam najważniejszą rzecz, byłam ślepa.

Łyknęłam prosto z butelki i nastawiłam radio tak głośno, że nawet moje myśli zaczęły się trząść. Zapaliłam papierosa i usiadłam koło starej sowieckiej lodówki, niemal równie głośnej jak radio. Oparłam się dłońmi o podłogę i pochylałam się coraz niżej, napinając ciało, jak podczas modlitwy w meczecie. Chciałam wpaść na cokolwiek. Na choćby jedną jasną myśl.

Nie wiem, jak długo tak siedziałam, zanim obraz zaczął robić się kompletny. Radio zagłuszyło zegar, a poczucie czasu straciłam już dawno. Czułam jakby odrętwienie w miednicy. Dojrzały, głęboki głos kobiety śpiewał *My Funny Valentine*, a ja musiałam pomyśleć o tamtym zimnym dniu. Miałam znowu w uszach każdy odgłos i szmer, czułam wyraźnie zapach każdego dźwięku, każdy powiew, z którym dolatywał zapach ryb z portu. Syreny statków w oddali, błotnistą ziemię.

Był koniec października, panował wyjątkowy chłód jak na tę porę roku, zapowiadano burzę i ostrzegano przed wypadkami. Pamiętam nawet, że tamtego ranka, zanim Frank i ja pojechaliliśmy na rowerze w stronę portu, zadzwoniła Tulja i zażądała od mojego ojca, żeby nie jechał samochodem i ubrał nas ciepło. Wyruszyliśmy – ja w czerwonym szaliku, w który Gesi wplotła też swoje poczucie winy, i w kaloszach. Ojciec sprowadził je dla mnie z NRD i zakładał mi je zawsze, kiedy nie było Gesi. Cieszyłam się, że zobaczę Ivo, cieszyłam się na zimne popołudnie z Pidym i szarlotką, którą Emma zawsze starała się piec w takie chłodne dni. Cieszyłam się na zwyczajny, dobrze znany dzień.

Frank był tamtego dnia bardzo zamyślony, a kiedy już zrobił zakupy, Emma przygotowała posiłek i zjedliśmy (nie było szarlotki), kiedy już zrobiła jedyne zdjęcie mnie i Ivo, jakie się zachowało, poszli na górę do jej pokoju. W pewnej chwili wspięliśmy się na nasze drzewo kompletnie umorusani i zmęczeni. Ivo pokazywał mi horyzont i opowiadał o statkach.

Wtedy chciał zostać marynarzem, a ja błagałam go, żeby zabrał mnie ze sobą, chociaż on powtarzał ciągle, że dziewczynom nie wolno wypływać na pełne morze. Jednak ja się nie poddawałam i nadal marudziłam w głębokim przekonaniu, że uda mi się go skłonić do zmiany zdania. Nie mogłam sobie wyobrazić nic piękniejszego niż takie życie. Z niebezpieczeństwami i wielorybami, i delfinami, i rekinami, z chorobą morską i piratami, którzy napadają na nasz statek, a my go bronimy szablami i nożami. Z czapkami marynarskimi i lornetkami, z wysokimi falami u

stóp i z bezkresnym horyzontem przed oczami. Nasze marzenie, którego mocno się chwyciliśmy, w którym ważyliśmy się posuwać, przedzierać naprzód – marzenie Ivo i moje.

Nagle usłyszałam odgłos silnika i zaraz potem granatowy mercedes skręcił na podjazd i stanął przed bramą do ogrodu.

Ivo otworzył usta, a po chwili jego wargi ułożyły się w kształt zdumionego „tata”. Już właśnie miałam się ucieszyć razem z nim z dzikiego poszczekiwania Pidy’ego, który rzucił się w stronę bramy; zaraz miałam zleźć z drzewa razem z Ivo, żeby przywitać się z jego ojcem – i może rzeczywiście bym to zrobiła, gdyby nagle na twarzy Ivo nie pojawił się wyraz rozpacz.

Wspięłam się po grubej gałęzi i wstrzymałam oddech, skuliłam się, jak tylko mogłam, jak gdybym chciała się ukryć. Ivo stanął prosto i przylgnął do pnia. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się przed siebie i czekał, że zaraz otworzy się brama. Zasłony w sypialni były zaciągnięte. Kiedy Pidy zaczął ujadać, jedna z nich odrobinę się odsłoniła i przez okno wyjrzała Emma. Usłyszałam pospieszne kroki na schodach.

Ivo kochał ojca i z entuzjazmem opowiadał o tych dniach lata, kiedy do niego jeździli i robili dalekie wycieczki w góry. I chociaż do tej pory nie wiem, kim był ani jaki właściwie był ten mężczyzna, wiedziałam, że często polował i miał szafkę na akcesoria myśliwskie, którą zawsze zamykał na cztery spusty.

Miłość mogła kłamać i zdradzać, mogła ranić i oszukiwać. Przez ostatnie miesiące naprawdę dobrze nauczyłam się tej lekcji w domku przy porcie. Bałam się więc miłości tego mężczyzny, który zaraz miał otworzyć bramę i wejść do środka. Który miał odebrać mi prawo widywania Ivo. I tak w ciągu tych niewielu chwil oczekiwania zaczęłam go nienawidzić. Nienawidziłam go, zanim jeszcze wszedł do ogrodu: za jego miłość, która miała odebrać mi moją.

Usłyszałam, jak otworzyły się frontowe drzwi domu, potem zobaczyłam mojego ojca z kurtką przewieszoną przez ramię: wybiegł przez drzwiczki od piwnicy do ogrodu, a dalej ku tylnemu wyjściu. Emma z dłonią przy ustach stała przerażona u podnóża schodów i patrzyła za nim. Zaczęła mnie szukać wzrokiem, nie mogąc zawołać po imieniu. Potem spojrzała w górę – mała, filigranowa, zagubiona kobieta o zamglonych oczach – i machnęła do nas, do Ivo i do mnie. My jednak ani drgnęliśmy. Bałam się odejść i zostać też się bałam. Nagle ogarnął mnie niewypowiedziany lęk, że teraz znikniemy stąd na zawsze i przez to będę musiała zrezygnować z Ivo. A więc zdecydowałam się zostać.

W ciągu tych kilku sekund, jakie minęły od spojrzenia Emmy i zniknięcia ojca, zdecydowałam się zostać z Ivo i odwróciłam wzrok. Frank dał mi jeszcze nerwowy znak ręką, Emma wyszeptala moje imię, a ja zobaczyłam spojrzenie Ivo. Błagał mnie wzrokiem, żebym została, nie opuszczała go – więc pokręciłam głową. Potem brama się otworzyła i wysoki mężczyzna z gęstymi wąsami wszedł do ogrodu. Zagadnął przyjacielsko do Pidy’ego, obracając przy tym w rękach różne siatki i torby wyjęte z samochodu. Zaraz potem Emma wybiegła mu naprzeciw i pocałowała go lekko w usta. On objął ją w pasie i przytulał przez długi czas. Mówili coś, ale nie słyszałam co.

– Miał przyjechać dopiero za dwa dni, dopiero za dwa dni. Za dwa dni – szepnęła Ivo i spojrzał na mnie. Jedną ręką obejmowałam gałąź, a drugą próbowałam dotknąć dłoni Ivo, ale wtedy mężczyzna zaczął go wołać, więc Ivo puścił się gałęzi i zaczął szybko schodzić z drzewa. Podbiegł do mężczyzny, a ten wziął go w ramiona i podniósł jak małe dziecko. Emma szepnęła coś Ivo do ucha, a kiedy para weszła do domu, Ivo podszedł do drzewa i zawołał do mnie, żebym zeszła.

Bałam się jakiegokolwiek ruchu i nie potrafiłam dłużej powstrzymać łez, więc zaczęłam płakać. Bardzo powoli zeszłam na ziemię i nagle poczułam jeszcze większy lęk. Ojciec mnie zostawił i chociaż wiedziałam, że jestem tu z własnej woli, że zrobiłam to ze względu na Ivo, ze względu na błagalne spojrzenie Ivo, nie chciałam, żeby tak się stało.

Musiałam pójść z Ivo do domu – przedstawili mnie mężczyźnie jako koleżankę ze szkoły, która przyszła się z nim pobawić. Cztery nakrycia przy stole kuchennym wyjaśnili tym, że przywiozła mnie mama, rzekomo znajoma Emmy. Ivo i ja siedzieliśmy w kuchni ze zwieszonymi głowami i czekaliśmy, co się stanie. Mężczyzna dojadał resztki posiłku, opowiadając o podróży, o radości, że znów jest w domu, i rozdawał prezenty żonie i synowi. W końcu zostaliśmy wysłani do

pokoju Ivo, a chwilę potem usłyszeliśmy, jak zatrząskują się drzwi pokoju w końcu korytarza.

Ivo siedział na łóżku i gapił się przed siebie. Nic nie mówił. Ja też nic nie mówiłam. Obgryzałam paznokcie. Na zabawę nie mieliśmy ochoty, a Pidy'ego zostawiliśmy w ogrodzie.

Usłyszeliśmy dziwny pisk i głos Emmy, który zaraz potem przeszedł w ciche łkanie. Słysząc było też głos mężczyzny, a potem łóżko zaczęło skrzypieć głośno i groźnie pod ciężarem dwóch ciał. Ten odgłos był nam znany, a jednak tym razem miał w sobie coś strasznego. Tylko krótkie sapanie, potem znów szloch. Kilka minut później jakiś przedmiot spadł na podłogę, a mężczyzna podniósł głos. Spojrzałam na Ivo, który zasłaniał sobie uszy rękami i płakał. Co chwila potrząsał głową i kiwał się w przód i w tył. Chciałam go dotknąć, ale mnie odepchnął. Zatoczyłam się na podłogę. Głos stał się głośniejszy, bardziej nieznośny. Dało się słyszeć także Emmę. Znowu coś się przewróciło. Podpełzłam z powrotem do Ivo i znów spróbowałam go dotknąć. Zdawało się, że całe jego opanowanie zniknęło jak za sprawą czarów. Zobaczyłam wystraszonego małego chłopca, patrzącego na mnie zapłakanymi oczami. A potem zaczął mnie bić. Emma krzyczała i krzyczała.

Ivo trafił mnie w kolano i upadłam. Usiadł na mnie i ciągnął za włosy. Drapałam i próbowałam złapać go za twarz, żeby zrzucić go z siebie i znów nabrać powietrza, ale on był większy i silniejszy. Przyciskał mi nogi do tułowia coraz mocniej, aż zaczęłam kaszleć. Kaszel przeszedł w jęk i krzyknęłam.

Ale krzyki Emmy dochodzące z drugiego pokoju zagłuszyły mój głos, a ciosy Ivo doprowadziły mnie w końcu do milczenia. Kiedy udało mi się uwolnić i odczołgać, krzyki osiągnęły punkt kulminacyjny, a zrozpaczony głos nie milkł ani na chwilę – dźwięk pełen skargi, któremu nie było końca. Ivo stał obok z wykrzywioną twarzą i wstrzymywał oddech. Przez chwilę rysowało się na niej postanowienie, by pobiec do tamtego pokoju, a zaraz potem dostrzegłam strach, który go od tego powstrzymał. A potem przeniósł wzrok na mnie skuloną na podłodze, w jego oczach znów błysnął gniew. Rzucił się na mnie. Uderzył mnie pięścią w twarz i poczułam, jak po wardze spływa mi ciepły płyn. Złapałam się za usta i starałam go, chwyciłam małe pomarańczowe krzesło, które tak często służyło nam jako drabina do wspinania się na meble, mimo że nie wolno nam było tego robić, i zaczęłam nim miotać wokół siebie. Zabawki rozsypały się po podłodze, latarka z Myszką Miki, nasze robótki, nasze bloki do malowania, stos komiksów Ivo. Ivo wpatrywał się we mnie z rozpaczą. Kąciki ust opadły mu do dołu, a oczy lśniły w matowym świetle wczesnego wieczoru.

– Nienawidzę cię – powiedział i spojrzał mi w oczy. – Nienawidzę cię. To wszystko twoja wina. Ty jesteś winna, nie chcę cię nigdy więcej widzieć.

Na te słowa wrócił strach, a wraz z nim ból tkwiący na dobre w każdej mojej kończynie. Nic nie sprawiło mi tak wielkiego bólu jak to, co powiedział. Nic nie wywróciło mojego dotychczasowego życia do góry nogami tak bardzo jak spojrzenie, którym teraz mnie mierzył. A jednak stałam w miejscu i nie spuściłam wzroku. Wytrzymałam jego nienawiść.

– Powiedz mu. No, powiedz mu. Powiedz mu swojemu ojcu. Powiedz mu. Powiedz mu, jeśli masz odwagę. Kim jestem. Wtedy się mnie pozbędziesz.

Nie przestawałam wykrzykiwać tych słów, aż podszedł do mnie i zasłonił mi usta. Kiedy się upewnił, że umilkłam, zostawił mnie i wypadł z pokoju.

Już po zmroku obudził mnie dotyk miękkiej kobiecej dłoni. Leżałam na podłodze i spałam; w pobojowisku, w jakie zamienił się pokój Ivo. Emma uśmiechnęła się do mnie. Jej oczy były jak zawsze łagodne i lekko przymknięte, jakby ukrywała jakąś tajemnicę.

– Co wyście nawyrabiali? – powiedziała i odgarnęła mi włosy z twarzy. Usiadła na podłodze obok i przytuliła mnie.

– Gdzie Ivo? – zapytałam.

– Ivo wyszedł ze swoim ojcem. Odwiozę cię teraz do domu. Jest już późno. Chodź, obmyjemy ci twarz.

– Nie chcę do domu.

– Ale musisz, kochanie. Twój tata czeka na ciebie.

– Chcę do Ivo.

– Teraz to niemożliwe, Stello. Spójrz na mnie i posłuchaj: przez jakiś czas będzie trochę trudno, ale potem wszystko dobrze się skończy. Wszystko się dobrze skończy, tylko przez chwilę nie będziemy mogli się widywać i ty też nie będziesz mogła widywać Ivo, ale niedługo znowu nas odwiedzicie, w porządku?

– Jak długo potrwa ten trudny czas?

– Tego nie wiem, skarbie. Jeszcze nie wiem. Niezbyt długo. Trudne czasy zawsze wydają się człowiekowi długie, ale wcale takie nie są. Chodź, wstań, pojedziemy do domu.

– Ale ty przecież wcale nie wiesz, gdzie my mieszkamy.

– Oczywiście, że wiem, Stello.

Zaprowadziła mnie do łazienki i umyła mi twarz. Potem wsmarowała mi trochę maści w dolną wargę, która była pęknięta, i za każdym razem, kiedy pochylała nade mną twarz, widziałam w jej oczach łzy. Wszystko w tym domu zdawało się takie bliskie i spokojne. Naczynia leżące na stole w kuchni, jeszcze niepozmywane. Butelki z wodą w korytarzu. Miska Pidy’ego. Kapcie Ivo w kącie i mój kask rowerowy odłożony tu przez Franka.

– Chodź, zabierz kask – powiedziała Emma, jakby moje spojrzenie zwróciło jej uwagę. Mój kask w kwiatki, mama kupiła dwa takie, dla mnie i dla Leni. Często się o nie kłóciłyśmy, bo nie potrafiłyśmy ich od siebie odróżnić.

Pojechaliśmy dużym mercedesem przez miasto. Siedziałam z tyłu przypięta pasem i gapiłam się przez cały czas na Emmę. Sprawiała wrażenie, że dokładnie zna drogę do naszego domu. Zrobiło się bardzo późno, ulice były puste, a wiatr stawał się coraz bardziej porywisty, coraz gwałtowniejszy. Zanim wysiadłyśmy, wyjęła z torby okulary przeciwsłoneczne i założyła je, mimo że było ciemno, choć oko wykol. Wzięła mnie za rękę, stałyśmy przed naszym domem jak dwie obce osoby. Zadzwoiła krótko do drzwi, a ja czekałam, że ojciec otworzy. Ale otworzyła moja matka, a zaraz potem z pokoju nadbiegła Leni w piżamie i stanęła tuż za nią. I tak stałyśmy – Gesi i Leni z jednej strony, a Emma i ja z drugiej. Jakby Leni była córką Gesi, a ja dzieckiem Emmy, które musi zostać na krótki czas u jakiejś obcej rodziny. Nie mogłam dostrzec jej oczu zza ciemnych szkieł, ale cofnęła się o krok, kiedy ujrzała moją matkę. Wyraz twarzy mamy zdradził mi, że coś jest nie w porządku. Nie uśmiechała się, jak to robiła zawsze, widząc ludzi, nie zaprosiła Emmy do środka ani nie podała jej ręki. W pewnej chwili, odwróciwszy wzrok od kobiety w ciemnych okularach, uklękła i objęła mnie.

– O Boże, Stello. Moja dziewczynko. Tak się martwiłam. Co się stało? Co jest z...

– Bardzo mi przykro. Nie mogłam jej odwieźć wcześniej – powiedziała Emma cicho.

– Co ci się stało w wargę? O mój Boże!

Wydawało się, że Gesi traci zmysły, a chociaż przez cały czas czekałam, że ojciec pojawi się w drzwiach, on nie nadchodził. Nie było go w domu. I z jakiegoś powodu wiedziałam, że to niewybacalne, że powinien tu być, że właśnie coś potoczyło się bardzo źle.

– Przewróciłam się – bąknęłam, zanim Emma zdołała cokolwiek odpowiedzieć.

– Wyglądasz jak chłopak! – rzuciła Leni złośliwie, a Gesi rozkazała jej wracać do pokoju.

– Czy jej ojciec nic nie przekazał?

– Zadzwoił tylko i powiedział, że później odwiezie Stellę do domu. No cóż, niczego innego się też po nim nie spodziewałam. A więc teraz mamy okazję się poznać.

– Przykro mi.

– Niech pani przestanie przeproszać. To teraz nic nie pomoże. Niech pani już po prostu idzie. Niech pani wraca do rodziny.

Emma puściła moją rękę i zachwiała się. Wciąż jeszcze wpatrywała się w nasz wykafelkowany przedpokój, omiatając wzrokiem mały włącznik światła w rogu, skarpetki mojej mamy, jej wysoko upięte blond włosy, nasze tornistry na komodzie, zdjęcie rodzinne Tissmarów.

Emma odwróciła się i pobięła do samochodu – rozległ się trzask metalowych drzwi, ostry odgłos znikania.

Kiedy nacisnęła na pedał gazu, odwróciłam się, umknęłam matce i pobięłam za nią. Biegłam i co chwila wołałam ją po imieniu. Biegłam i biegłam, i słyszałam, że matka wykrzykuje moje imię, słyszałam jej kroki w ciemności za sobą.

„Niech pani idzie. Niech pani wraca do rodziny”, powiedziała moja matka do Emmy, a przecież ja też byłam jej rodziną i nie mogła mnie tak po prostu zostawić. Bo jedno wiedziałam już od dawna: niczego nie da się zostawić przez naciśnięcie pedału gazu.

Stała na światłach przy Hauptstraße, by zaraz skrócić w prawo. Wspięłam się po płocie naszych sąsiadów, który ogradzał ostatni ogródek przed ulicą, i zeskoczyłam na chodnik. Oślepiało mnie światło latarni i dokładnie w chwili, gdy się podniosłam i chciałam wybiec przed jej samochód, żeby ją zatrzymać – dokładnie w momencie, kiedy włączyło się zielone światło, a ja chciałam wybiec na Hauptstraße – matka chwyciła mnie za plecy i pociągnęła z powrotem. Nie wiem, jak jej się udało mnie dogonić bez skrótów przez płot.

Inna dziewczynka także biegła.

Tamta dziewczynka umarła.

Ja przeżyłam.

Moja mama mnie dogoniła.

Salome to się nie udało. Bo wojna była szybsza.

Milczenie pogrzebało wszystko inne między nimi – lata i dziesięciolecia, życie i marzenia.

Ja przeżyłam. Matka objęła mnie i przycisnęła do siebie tak mocno, że zabrakło mi powietrza. Przez cały czas darłam się na całe gardło. „Powiedziałam Ivo, że ma mu powiedzieć, powiedziała Ivo, że ma mu powiedzieć, powiedziała Ivo, że ma mu powiedzieć”. Aż w końcu mama zasłoniła mi usta, wzięła mnie na ręce i zaniósła do domu.

Położyła mnie w swoim łóżku, rozebrała i przykryła, a ja przez cały czas słyszałam jej płacz. Nie zadawała żadnych pytań, niczemu nie zapobiegła. Ojciec niczemu nie zapobiegł, matka niczemu nie zapobiegła, ja niczemu nie zapobiegłam.

Mama całowała mnie co chwila i tuliła do siebie. W końcu położyła się obok i objęła mnie.

Odstawiłam butelkę z wódką na podłogę i zakryłam twarz dłońmi. Radio grzmiało nadal, więc odrobinę je przyciszyłam. Potrzebowałam tych dźwięków, potwierdzenia, że jeszcze żyję, że jeszcze jest jakaś teraźniejszość. Chciałam szlochać, wyrzucić z siebie wszystkie te obrazy, ale z moich ust nie dobył się żaden odgłos, ani jeden dźwięk. Przycisnęłam ręce do ciała, jakbym mogła to wszystko z siebie wycisnąć, ale to też nic nie pomogło. Palce miałam pogryzione do krwi; pociągnęłam jeszcze jeden łyk z butelki. Gasłam papierosy prosto na podłodze, tuż koło stóp. Siedziałam w górze popiołu.

Jak mogłam być taka ślepa, żeby przeoczyć dzieci?

I skąd Ivo mógł o tym wszystkim wiedzieć? Nigdy nie opowiadałam mu o tamtej nocy.

Nigdy nie powiedziałam, że pobiegłam za jego matką, bo już wtedy wiedziałam, że zrobiłam coś nieodwołalnego, bo rozumiałam, że wprawiałam w ruch coś nieodwracalnego, wyzywając Ivo od tchórzy, jeżeli nie powie nic o nas ojcu. Nawet jeśli nie mogłam sobie wyobrazić, że Ivo mnie zdradzi, jak ja zdradziłam jego matkę – mimo wszystko wiedziałam, że moje postępowanie było niewybaczalne.

Nigdy nie opowiedziałam Ivo, że w panice wyjawiałam mamie także tę zdradę popełnioną wobec Emmy. Nie wyjaśniłam mu nigdy, dlaczego nakłaniałam go do wypowiedzenia trujących słów.

Może odgadł prawdę, a może Gesi w którymś momencie zerwała z milczeniem, może był to po prostu przypadek i owo złożenie się różnych rzeczy w jedną całość skłoniło Ivo do powrotu, do przywiezienia mnie tutaj. Do tego, by przekartkować mi przed oczami cudzą historię, która miała uzmysłwić mi moją własną, sprawić, bym katapultowała się z powrotem i na nowo przeżyła wszystko, o czym panicznie próbowaliśmy zapomnieć przez te wszystkie lata.

Ale nawet tamtej nocy – gdy zagłębiłam się w potoku wspomnień – mój pęd do autodestrukcji był na tyle ogromny, że nie dostrzegłam tego, co starał się mi pokazać, co sobie dla mnie wymarzył, zmuszając mnie do wspomnienia.

Następnego dnia rano ojciec Ivo zastrzelił ją i psa. Ze strzelby myśliwskiej przechowywanej w szafce, do której nigdy, pod żadnym pozorem nie wolno nam się było zbliżać; która była zamknięta na cztery spusty.

Tego wieczoru, gdy Emma odwiozła mnie do domu, zabrał ze sobą Ivo na spacer nad Łabą.

Wypytywał syna, a syn udzielał mu odpowiedzi, powiedział mu wszystko, co tamten musiał wiedzieć, by następnego rana zastrzelić żonę. Próbował zabić też samego siebie, ale nie starczyło mu odwagi, i w końcu zadzwonił na policję. Kiedy Ivo wrócił do domu, w ogrodzie i na ulicy świeciła luna niebieskich lamp radiowozów. Ludzie gapili się na przykryte ciało wsunięte do karetki, na mężczyznę zabranego w kajdankach i na małego, roztrzęsionego chłopca, któremu to wszystko odebrało mowę w sensie dosłownym.

Siedząc na podłodze – pijana, przyduszona własną nędzą, zatopiona w rozczulaniu się nad samą sobą – zadałam sobie pytanie, dlaczego nigdy nie udało mi się nam wybaczyć. Dlaczego nigdy nie poprosiłam o wybaczenie Ivo, dlaczego tkwiłam w tej przeklętej, lepkiej winie. Dlaczego, na miłość boską, nigdy mu nie powiedziałam, że oddałabym wszystko, by cofnąć te słowa, które jego matkę kosztowały życie. Że pędziłam w biegu o życie, żeby ją zatrzymać, że potem byłabym nawet gotowa przyjąć jego nienawiść, byleby tylko *ona* nadal żyła.

I w chwili, gdy radio posłało w eter kolejny przepalony głos, uświadomiłam sobie, że byłabym gotowa pozwolić mu odejść, zwolnić go od siebie, uniewinnić od swojej i jego winy; żebym to wytrzymała – i serce, i głowa by wytrzymały – przyjąłabym swoją niepisaną przyszłość, byle jego matka żyła, a jego los był inny niż ten, który dostał mu się przez moją miłość. Po raz pierwszy dopuściłam do siebie myśl, że może Ivo nigdy by mnie nie pokochał, gdybym nie została tam owego popołudnia i po prostu pojechała z ojcem do domu. A przyjąwszy tę myśl, przełknąwszy ją jak nieprzeżuty kęs, pogrążyłam się w sobie, zapadłam się w siebie jak lalka.

Kiedy Salome zaczęła dzwonić do drzwi, jakby się paliło, siedziałam na podłodze już od prawie czterech godzin i wypilałam prawie całą butelkę wódki.

Byłam trzeźwa. Mimo takiej ilości alkoholu miałam zupełnie jasno w głowie. Tak jasno, że aż bolało.

– Co się z tobą dzieje?

Salome usiadła przy stole i rozejrzała się naokoło.

– Gdzie Buba?

– Nocuje u kolegi. Co się stało? Piłaś.

– Mam w głowie tak jasno jak rzadko.

– Pojutrze będę tu z powrotem. Proszę, uspokój się. Wczoraj naprawdę się o ciebie martwiłam.

– Tak, tak, wkrótce znów tu będę. Wszystko jest okay, nie martw się, proszę.

Czy Salome rzeczywiście przyjęła, że jestem pijana i przesadnie reaguję, czy też po prostu nie chciała słuchać tego, co mogłabym jej powiedzieć? Nie miałam już siły tego rozstrzygać i położyłam się do łóżka. Ona położyła się przy mnie. Pewnie uważała, że ma obowiązek mnie pocieszać. Zasnęłam w ciągu kilku minut.

– Wiem, nie możesz teraz odebrać, ale muszę cię przeprosić, że kazałam ci wtedy powiedzieć o tym swojemu ojcu. Proszę, wybac mi. Ale chcę ci też powiedzieć, że to nie dopiero tamto popołudnie związało nas ze sobą. Mogło mieć taki przebieg tylko dlatego, że ja zostałam przy tobie, a ty przy mnie. Z własnej woli. Bo oboje tak chcieliśmy. To znaczy, że nie tamto zasrane popołudnie nadało wszystkiemu taki kierunek. Nie, ono uświadomiło mi, że *chcę być przy tobie i z tobą*. Zostawiłabym ci wybór, pobiegłabym, gdybym tylko mogła cofnąć czas, zeskoczyłabym z tego drzewa i dogoniła ojca. I dzięki temu oszczędziłabym ci tego wszystkiego, co się potem stało. Zrobiłabym to, gdybym mogła. Zdecydowałam się na ciebie nie wiedząc, że ta decyzja wszystko zniszczy. Ale ty też to zrobiłeś. I... byliśmy dziećmi, Ivo, baliśmy się o nasze marzenia, o to, że nas rozdzieli, o siebie nawzajem. Ale... tak, ale. To wszystko, co jeszcze mogę ci powiedzieć.

Nagrałam mu to na poczcie głosowej i rozłączyłam się. Salome spała po tej stronie łóżka, po której zawsze sypiał Ivo. Zegarek wskazywał ósmą. Poszłam do łazienki się umyć. Wyglądałam jak nieszczęście, cienie pod oczami zmieniły się w czarne wory. Wyszczotkowałam włosy i zrobiłam sobie kawę. Mimo spektakularnego napadu depresji z zeszłej nocy miałam jasno w głowie i byłam w pełni sił po tym krótkim śnie.

Tamten dzień spędziłam z Salome i Bubą na rynku. Zrobiliśmy zakupy, potem przyrządziliśmy jedzenie w domu Lado i graliśmy w karty. Do Buby przyszli koledzy; Salome i ja obsługiwałyśmy chłopców jak dwie niezamężne, cnotliwe ciotki i śmiałyśmy się przy tym z siebie.

Lado zadzwonił z wiadomością, że dzisiejszej nocy ruszają z powrotem. Salome wydawała się rozluźniona, a i mnie udało się jakoś opanować niepokój. Zasnęłam na kanapie w salonie, zamroczona dobrym jedzeniem, domowym winem i odgłosami telewizora dochodzącymi z pokoju Buby.

Mieli przyjechać późnym wieczorem. Do tego czasu posprzątałam, zrobiłam pranie i zajęłam się innymi, mało ważnymi czynnościami. Siedziałam na tarasie i jadłam lody waniliowe prosto z pudełka. Upał nie był już tak przytłaczający i coś we mnie zdawało się nieskończenie lekkie, wolne i spokojne, jakbym coś przezwyciężyła. Patrzyłam w dół na miasto i myślałam, że mogłabym świetnie sobie wyobrazić, iż zaczynam wszystko od początku. Od początku z Theo, od początku ze sobą, może też od początku z Ivo. Mogłam sobie wyobrazić, że na kilka lat wystawię Europę do wiatru i przeprowadzę się tutaj. Że odwiedzę Gesi i znowu zacznę pisać, naprawdę pisać – bez ogródek, bez ustępstw. Mogłam sobie wyobrazić, że stanę się wolna, że zostanę panią siebie i będę niezależną publicystką. Mogłam świetnie sobie wyobrazić, że zamieszkałam w tym mieszkaniu i

zasadę kwiaty na tym balkonie, Theo zaprzyjaźni się z Bubą, ja nauczę się tego obcego języka i jego piosenek, będę mogła na nowo spotkać siebie samą. Tu, uwolniona od wszelkich przymusów, wolna od zobowiązań, gotowa wszystko zakończyć.

W te myśli wdarł się dźwięk telefonu i Salome poinformowała mnie, że nie żyją.

Aleksiej dowiedział się wtedy, że jego gruzińska kochanka jest żoną wroga, a wręcz wrogię dowódcy, i że urodziła dziecko, którego był biologicznym ojcem. Powiedziała mu tamtego dnia, że odchodzi, wraca do męża. Zaklinała go, by ją puścił. Tamtej nocy błagała go o to, a on ją, żeby nie odchodziła, żeby przynajmniej raz pokazała mu jego dziecko i zastanowiła się nad rozpoczęciem z nim wszystkiego od nowa. Nana wyobraziła sobie wieczorki poetyckie i przyjęcia, ujrzała się znowu w kostiumie Desdemony, pomyślała o łagodnej, niegroźnej, młodej miłości Rosjanina i przez krótką chwilę wierzyła, że jej przyszłość mogłaby być właśnie taka. Ale trwało to chwilę, tak krótką, że zdążyła tylko pojechać z nim do jego apartamentu i zostać tam do rana, by uśmierzyć jego rozpacz swoją bliskością.

On jednak nadal chciał zatrzymać Nanę, obiecał nietykalność jej rodzinie, jeśli zostanie. Obiecał, że w najbliższych dniach wywiezie ich swoim samochodem do Batumi. Obiecał pełną ochronę dla jej dzieci i przyjaciółki, gwarantował ją nawet jej mężowi – wszyscy mieliby bez szwanku dotrzeć do Tbilisi. I dotrzymał obietnicy. Udało mu się nawet sprawić, że Lado przeżył. Lado, który stracił całą swoją brygadę, a sam ocalał, nie wiedząc, że zawdzięcza życie kochankowi żony, biologicznemu ojcu swojego jedyne syna.

Ivo odkrył to wszystko. Tygodniami korespondował z Aleksiejem Newskim.

Rosjanin obiecał Nanie, że wywiezie ją i swojego syna, jeśli tylko ona zostanie z nim kilka godzin dłużej. Nana została i zapewniła tym ocalenie całej rodzinie. Została na bombardowanie ze świadomością, że zacznie się kompletna okupacja.

Potem Salome wyjechała z Suchumi. Kilka dni później dom Nany i Lado zniknął w płomieniach. Właśnie tego dnia, kiedy Nana tam wróciła. Sama, nie w towarzystwie Rosjanina i bez jego ochrony. O ukochanej bowiem nie pomyślał, zapomniał, że jej była chyba potrzebna najbardziej. Nigdy się nie dowiedział, co dokładnie się z nią stało. Szukał jej przez trzy dni, a potem ledwo zdołał zidentyfikować spalone zwłoki kobiety. Dopiero kilka tygodni później lekarzom sądowym udało się stwierdzić z pewnością, że chodziło o Nanę.

Wróciła po prostu z jego domu do swojego. I tam trzy dni później znaleziono jej zwłoki.

Była wojna.

To był niedobry czas.

Rosjanin dotrzymał obietnicy: zrezygnował ze swojego dziecka. Zostawił mężowi Nany syna, a zrobił to tylko dla niej. Ivo obiecywał sobie pokój i obiecywał go Gruzinowi i Rosjaninowi. Ivo chciał wszystko naprawić.

Chciał poprosić obcych o przebaczenie. Dla mnie i dla siebie. Prosił o nie zmarłą matkę, dając w darze prawdę o innej zmarłej kobiecie. Chciał zawieźć Lado do mężczyzny, którego ten tak bardzo nienawidził, obwiniając go o śmierć żony – a przecież zawdzięczał mu syna, przecież tamten podarował Lado drugie życie. Tego pragnął Ivo, tak jak chciał, by mój ojciec zatrzymał jego ojca, powiedział mu prawdę i może zapobiegł niepojętemu. Chciał podarować Salome wolność, żeby mogła wyjechać, wrócić do rodziny – nie musiałyby bowiem już dłużej zastępować wspomnień Lado. A także dać wolność wyboru mnie – mogłabym odejść albo zostać, z własnej woli, a nie z przymusu, nie przez wzgląd na wspomnienie jednego popołudnia.

Chciał podarować chłopcu szansę na przyszłość bez poczucia winy, na przyszłość, jakiej pragnąłby sam dla siebie. Bardziej niż cegokolwiek innego na świecie.

Obcych ludzi w obcym kraju skłonił do tego, by przerwali milczenie. Zadawał im pytania, szukał i znalazł, chciał połączyć *wtedy* i *teraz*, bo nie udało mu się tego zrobić dla własnej rodziny.

I może też chciał opowiedzieć o małej dziewczynce, która pędziła w biegu o życie, bo wierzyła, że może sprowadzić śmierć. Opowiedzieć historię innej dziewczynki, która biegła, chcąc zatrzymać coś, czego już nie mogła zatrzymać.

Może chciał mnie zmusić do odkrycia, że tamtej nocy, gdy Emma wracała do domku w pobliżu portu, moja matka mogła skłonić ojca do wzięcia na siebie odpowiedzialności. Że Frank po

ucieczce przed mężem swojej kochanki mógł wrócić do domu i poczekać na Emmę i na mnie. Że mógł pójść do ojca Ivo i powiedzieć mu, jak bardzo pragnie jego żony, a tamtego popołudnia powinien był – wbrew mojemu życzeniu – zabrać mnie ze sobą, nawet gdyby miał mnie do tego zmusić, siłą zwlec z drzewa i wynieść na rękach. Przez drzwi do piwnicy. Na ulicę. Na zewnątrz.

Może Ivo chciał po prostu ujawnić tę cudzą historię, opowiedzieć ją, by pokazać, że te okoliczności były dokładnie tak samo odpowiedzialne za naszą winę, za naszą klęskę, jak wojna w historii Salome i Lado, Mai i Buby, Nany i Rosjanina. Że było z naszej strony błędem obarczać winą tylko samych siebie, że wszystkie nasze próby, by o winy dorosłych oskarżyć i ukarać za nie samych siebie – były skazane na klęskę przez milczenie, z jakim się do nas odnoszono. Że być może nasze nieszczęście wzięło początek tego jednego popołudnia, ale nie nasza bliskość, nie tęsknota do siebie nawzajem, nie my. Że nie mogliśmy ponosić winy za to, iż się odnaleźliśmy. Może.

Rosjanin postarzał się przez te lata. Nadal pracował w administracji, na terenie objętym wojną, sam, bez ojczyzny. Tak zapisał Ivo w folderze *Newski*, w którym znalazłam ostatnie fragmenty układanki. Ożenił się z Gruzinką, która – milcząca i zraniona – żyła u jego boku, w cieniu zmarłej.

My także żyliśmy w cieniu zmarłej.

Rosjanin opowiedział mu swoją historię. Ivo korespondował z nim miesiącami i przechowywał wszystko w folderze. Rosjanin zaś bardzo dużo pisał – o wszystkim, co Ivo musiał wiedzieć – jakby tylko czekał, że pewnego dnia jakiś nieznajomy wyzwoli go od milczenia.

A Ivo przysłuchiwał się innej historii, historii ukrytej za historią: swojej własnej.

Dzisiaj myślę, że kiedy się spotkali, Aleksiej Newski powiedział Lado prawdę o Nanie i o dniu, kiedy nie wsiadła do samochodu. Wszystko, czego dowiedział się od niego Ivo, powiedział także Lado. Potem w końcu wsiadli do samochodów. Wiem, że Aleksiej Newski też wsiadł do swojego auta. Wiem, że byli niedaleko od promenady przy plaży – nieskończenie długiego nabrzeża, które jako pierwsze odbudowano i pomalowano po wojnie, szpachlując jedynie po wierzchu całą masę dziur po kulach.

Wiem, że Lado usiadł za kierownicą, i myślę, że Ivo pozwolił na to tylko dlatego, że wierzył, iż prawda, którą właśnie poznał Lado, niesie ze sobą obietnicę – jeśli nie szczęścia, to przynajmniej spokoju. Dlaczego, dlaczego Ivo zapomniał, że prawda nie zawsze uzdrawia, ale może też zabić?

Wiem, że Lado spokojnie włączył silnik, obrócił kierownicę i ostrożnie ruszył, dając Rosjaninowi pierwszeństwo, a potem, już z lewego pasa, gwałtownie skręcił i pojawił się tuż za zieloną ladą niwą Aleksieja Newskiego. Wiem, że nie zdjął nogi z gazu i pędem wjechał prosto w zielone auto, a Rosjanin, straciwszy kontrolę nad pojazdem, wpadł w poślizg. Samochód wjechał w kamienny mur promenady, staranował go i huknął o ziemię dopiero sześć metrów niżej, zatrzymując się na piachu. Land rover Ivo nie przejechał przez barierkę, ale dachował wielokrotnie, potem zaś zatrzymał się na samym środku jezdni. Wiem, że jakiś biały mercedes pełnym gazem wjechał w prawy bok land rovera, co kosztowało Ivo życie.

Aleksiej Newski żył jeszcze przez trzy godziny, po czym zmarł wskutek obrażeń wewnętrznych. Lado żył jeszcze tylko kilka minut. Umarł, ponieważ miał zmiążdżone płuco. Ivo zginął na miejscu, jego serce od razu przestało bić.

Mężczyzną, do którego należał mercedes, był Francuz. Przeżył wypadek. Był tam jako międzynarodowy obserwator ONZ.

Musiałam zidentyfikować ich obu w kostnicy w Suchumi. Salome nie wydano zezwolenia na wjazd do miasta, w którym się urodziła. Ciała zostały przewiezione do Tbilisi samolotem.

Podczas gdy Lado został zabalsamowany, by zgodnie z tradycją prawosławną można go było oplakać i pożegnać w czasie trzydniowej ceremonii, Ivo poddano kremacji na moje życzenie. Odebrałam jego prochy i dopiero wtedy zadzwoniłam do Niemiec. Z jakiegoś dziwnego powodu najpierw zatelefonowałam do ojca. Przez dłuższy czas nic nie powiedział, nie słyszałam nawet jego oddechu, aż w końcu jęknął jak zwierzę. Słyszałam, jak płacze, i zastanawiałam się, czy kiedykolwiek wcześniej widziałam u niego taką rozpacz. Płakał tak niepomahowanie, głośno i

gwałtownie, że na ułamek sekundy zapomniałam, iż to mężczyzna, który najpierw odebrał temu chłopcu matkę, a potem narzucił mu inne życie przy swoim i moim boku. Nic nie mówiłam, nie próbowałam go pocieszać. Powiedziałam tylko, że za cztery dni wracam do Hamburga, z popiołami Ivo w bagażu, i że on ma do tego czasu wszystko zorganizować, wszystkich zawiadomić, także Gesi w Newark. A potem odłożyłam słuchawkę.

Wypowiadając te zdania, traktowałam je jak karę za wszystko, co zrobił. Później jednak pomyślałam, że Ivo nie chciałby dalszego obwiniania, i wiedziałam, że kiedy znów zobaczę ojca, powiem mu prawdę, nawet jeśli prawda zabija.

Na pogrzebie Lado setki ludzi zgromadziły się w domu z ogrodem i szopą na drewno. Trumnę ustawiono pośrodku pokoju, w którym tak często jadałiśmy, piliśmy i śmialiśmy się. Na krzesłach wokół niego siedziały kobiety ubrane na czarno, płaczki. Salome wśród nich kiwała się w przód i w tył, z zastygłą twarzą i ustami pogryzionymi do krwi. Mężczyźni stali w progu, Buba w żałobie oparty o ścianę wbijał wzrok w otwartą trumnę, w której leżał jego ojciec – jakby nic się nie stało, spokojny i doprowadzony do porządku, żeby inni mogli go opłakiwać. Żeby nie dało się po nim poznać okropieństw chwili, gdy samochód dachował. Żeby nie trzeba było widzieć tego, co on zobaczył w ostatniej sekundzie.

Obserwowałam, jak ludzie w pokoju stają kręgiem wokół trumny, szlochając, szepcząc, wzdychając i obejmując krewnych. Spojrzałam na zdjęcie Ivo ustawione obok trumny. Zdjęcie, którego jeszcze nigdy nie widziałam.

Ivo w Tbilisi. Któregoś zimowego miesiąca, zanim wrócił do Hamburga, żeby mnie zabrać i wszystko mi przypomnieć – musiałam się uśmiechnąć. Uśmiechnęłam się, bo był taki piękny, wydawał się taki szczęśliwy, jakby obiecywał niezliczone rzeczy, odkrywał niezliczone tajemnice, uszczęśliwiał niezliczone tłumy osób. Byłam jedną z nich. Patrzyłam na Ivo.

Tamtego dnia nie wypłakałam ani jednej łzy. Byłam niema. Po prostu byłam. Próbowałam wspierać Salome, która nie przespała ani chwili i niczym wierny strażnik trwała przy trumnie Lado. W chwilach, kiedy Buba zaczynał płakać albo walić głową w ścianę, próbowałam go jakoś pocieszyć, okiełznać jego bunt, wściekłość, rozpacz. Próbowałam tam być.

Nie wiem, skąd się wzięła ta moja martwa wytrwałość. Ta nieludzka wytrzymałość. Dzielność i czujność. Nie spałam, nie jadłam, nie piłam, a mimo to nie padałam z nóg.

Wytrwałam. Z dniami, które nadeszły, zmierzyłam się z taką jasnością uczuć, że chwilami zadawałam sobie pytanie, czy w ogóle jeszcze żyję, i myślałam o tym, jaką to przedziwną siłę można z siebie wykrzesać, obcując ze śmiercią.

Zorganizowałam bufet na stypę, zorganizowałam nagrobek dla Lado, zaniósłam zniszczonego laptopa Ivo do naprawy i kazałam uratować dane, które jeszcze dało się odzyskać. Zarezerwowałam sobie lot. Zadzwoeniłam do Franka i udzieliłam mu wskazówek w sprawie pogrzebu Ivo. Zatroszczyłam się o spuściznę po Ivo.

Cztery dni po pogrzebie Lado poleciałam z powrotem.

Pożegnanie miało się odbyć u Tulji. Jedni chcieli mogiły na cmentarzu w Niendorfie, inni grobu obok Emmy w Hamburgu. Wszyscy życzyli sobie kawałka Ivo. Postanowiłam wrzucić prochy do morza. Mocno trzymałam urnę i nikogo do niej nie dopuszczałam.

Nie pozwalałam na żadną pociechę, dotyk, współczucie. Ból Ivo był dla mnie święty. Ból, który mi po sobie zostawił, był jedynym, co jeszcze należało tylko do mnie, nie dało się nim podzielić. Płakałam jeden jedyny raz: kiedy znów zobaczyłam syna. Otworzyłam drzwi, a Theo przybiegł do mnie zalany łzami. Porwałam go w ramiona i nie mogłam dobyć głosu. Nie mogłam nic powiedzieć – bo co też miałabym wyjaśniać? Swoje decyzje? Swoje odejście, powrót? Mark stał w kuchni i obserwował nas z daleka. Opadłam na kolana, kiedy mój siedmioletni syn przyciskał mi ręce do szyi, szlochając głośno. Nie wiedział, co się stało, ale ja rozumiałam, że pewnego dnia będę musiała mu wszystko wytłumaczyć, a zwłaszcza tę niezdolność do bycia matką, jaką chciałby mieć. Jeszcze nie miałam pojęcia, jak to zrobię, ale wiedziałam, że do tego czasu się nauczę. A potem, gdy mi oznajmił, że przechowywał marchewki, zaczęłam płakać.

Długo siedziałam z mężem przy barku, który od zawsze był dla mnie nieznośnie drobnomieszczański – na długo zanim Ivo mnie odwiedził, wyraził tę opinię i zamilkł. Nie miałam Markowi nic do powiedzenia. Oczy mnie bolały i piekły. Przykładałam sobie kostki lodu do powiek. Nie wiem, czy potrafi mi to wybaczyć, nie oczekuję tego, ale mój ból, ból Ivo kazał mu oddać mi syna, przynajmniej w pewnej mierze. Będę musiała go odzyskać, podbić, wywalczyć, ale jednak widziałam w twarzy Marka, że nie będzie mi w tym przeszkadzać.

Tulja siedziała na huśtawce ze wzrokiem utkwionym w oddali. Usiadłam obok i położyłam dłoń na jej ręce. Po raz pierwszy dostrzegłam białe pasemko w jej kruczoczarnych włosach. Nagle wydała mi się stara i krucha. Po raz pierwszy dostrzegłam w niej starszą panią, którą przecież była już od dawna. W oddali słyszałam morze. I nie musiałam nic mówić, ona i tak wszystko wiedziała. Wszystko. Być może ta stara kobieta z białym pasemkiem we włosach była jedyną osobą, która nam przebaczyła. Nam wszystkim.

– Twoja matka przyjeżdża jutro. Powiedz siostrze, że ma ją odebrać z lotniska. Nie chcę, żeby Gesi musiała sama tu przyjeżdżać – powiedziała i chrząknęła. Potem zapaliłyśmy papierosa i patrzyłyśmy w dal. Dotknęłam lekko jej włosów i czoła. Udała, że tego nie czuje. Głaskałam ją po głowie, po policzkach i cały czas na nią patrzyłam. Patrzyłam i widziałam ból, który od tej pory zawsze już będę z nią dzielić – przez Ivo. Tylko z nią jedną. Z kobietą, która nas wszystkich wychowała.

Byliśmy sami. Tak chciałam. Rodzina. Rodzina, której nigdy nie było. Tulja, Leni, Gesi, Frank i ja. Siedzieliśmy na plaży i patrzyliśmy na morze. W pewnej chwili wypłynęliśmy łodzią. Nikt nic nie powiedział, gdy uniosłam urnę i wysypałam prochy do wody.

To była ostatnia wielka wolność, jaką mogłam mu dać. Nie mogłam zrobić nic więcej.

Potem siedzieliśmy wszyscy w ogrodzie. Nadszedł łagodny lipcowy wieczór. Piliśmy wino, które przywiozłam z domu Lado. Dla Ivo.

Piliśmy za Ivo.

Moja matka, ojciec, siostra i babcia. Bez „ale” ani „właściwie”. Jakby Ivo zjednoczył nas wszystkich w jedną rodzinę.

Opowiedziałam bardzo niewiele, tylko to, co najpotrzebniejsze. I gdyby nie oczy Tulji, które zdradziły mi, że przejrzała moją półprawdę, może sama bym uwierzyła, że zdarzył się wypadek samochodowy – banalny, zupełnie absurdalny, bezsensowny.

Ale wiedziałam, że pewnego dnia opowiem wszystko, co chciał opowiedzieć Ivo.

W sierpniu polecę z powrotem do Tbilisi. Do Salome, do Buby. Do rodziny, o której znowu będę opowiadać z „ale” i „właściwie”. Wezmę dane odzyskane z laptopa Ivo i dokończę jego reportaż. Zamieszkać z Salome i Bubą w domu, w którym wszyscy spędziliśmy dni tego lata,

śpiewaliśmy, rozmawialiśmy, śmialiśmy się i ranili wzajemnie. Nie powiem chłopcu prawdy o utracie dwóch ojców w tej samej chwili. Także Salome zdradzę tylko pół prawdy – tyle, ile musi wiedzieć, by iść dalej, nic więcej.

Mark i ja weźmiemy rozwód, choć żadne z nas jeszcze nie powiedziało tego głośno. Mark po tych siedmiu latach, w czasie których począł, a potem wychowywał ze mną dziecko, próbuje zachowywać się neutralnie i obiektywnie, nie wchodzić mi za bardzo w drogę. Wiem jednak, że najpóźniej jesienią nadejdzie ten moment. Oznajmi mi, że nie możemy już być razem. Ale teraz już się nie boję, że stracę syna. Obiecałam Theo, że zawsze będę dla niego tylko taką matką, jaką jestem, a nie inną, jakiej może by pragnął.

Odwiedzę Francuza ze służbowym mercedesem. Nazywa się Gérard. Po wypadku wziął urlop, a ja od czasu do czasu rozmawiam z nim przez telefon, bo ma poczucie winy i potrzebuje kogoś do pogadania, nie potrafi tak po prostu wrócić do dawnego życia. Wytlumaczę mu, że on w tym wszystkim nie ponosi najmniejszej winy. Zrobię wszystko, żeby nie odegrał nawet marginalnej roli w moim reportażu.

Bo wina powinna się skończyć. Powinna zostać wymazana. Chociaż wiem, że to niemożliwe, chcę spróbować. Chcę spróbować także dlatego, że Ivo próbował.

I tak siedzę tutaj, kilka dni przed wyjazdem. Siedzę tutaj, na plaży w Niendorfie, na naszej plaży, z której zawsze wypływaliśmy w zimne morze – na piasku, chłodnym i wilgotnym, bo od dwóch dni pada deszcz.

Siedzę tutaj, gdzie tak często siedziałam z tobą, siedzę tutaj, gdzie po raz pierwszy ofiarowałam ci swoje nagie ciało. Wiesz, nie potrafiłam go odpowiednio opakować, a ty nie potrafiłeś go odpowiednio rozpakować. Patrzę na wodę. To nasza zatoka, Ivo, miejsce, gdzie nikt się nie zapuszczał, bo jest tu za zimno, zbyt wiele statków stoi tu na kotwicy, piasek jest zbyt lodowaty. Siedzę tu i patrzę na morze, i z jakiegoś dziwnego powodu, którego nie potrafię zrozumieć, nie jestem smutna, zraniona, samotna, nie jestem martwa.

Widzę przed sobą twoją twarz – bladą i spokojną. I wiesz, nadal mam to stare, dobrze znane uczucie. Nie dowierzam mu, chociaż nie mijają. Zastanawiam się, jak to możliwe, że nie czuję nic poza tą bliskością. Nawet teraz... Jak to możliwe?

Nikomu nie zdołam wyjaśnić tego uczucia, gorzej jeszcze: nie wolno mi go doświadczać ze względu na to, co się wydarzyło, i ze względu na przyszłość, *moją* przyszłość. Ale je odczuwam i powoli godzę się z nim, z tym doznaniem, które – jak się wydaje – potrafi wszystko przetrwać. Potrafi przetrwać nawet tę chwilę, w której widzę twoją twarz i zastanawiam się, jak to możliwe, że teraz tu siedzę.

Mam w dłoni kartkę papieru, kartkę, która przedstawia ciebie i mnie. Przed tamtym popołudniem, kiedy staliśmy się tym, czym się staliśmy. Patrzę na ciebie i myślę, że jestem ci wdzięczna za wszystko, co mi dałeś i czego nie mogłeś dać.

Siedzę tu i patrzę na ciebie, a morze głaszcze mnie po włosach, które tak lubiłeś zaplatać. Zaraz je obetnę, bo przecież muszę się jakoś pożegnać. Nie z tobą, ze sobą. Z tym, kim byłam i kim nie mogę już dłużej być. I myślę o tym, że wiatr zabierze stąd moje włosy zupełnie tak samo jak twoje prochy. Że może spotkamy się gdzieś, w jakimś punkcie, którego nie potrafię dostrzec ani rozpoznać. To, co po nas zostało, a może też nasz początek.

Doprowadzę do końca sprawę, którą zacząłeś. I przestałam szukać odpowiedzi.

Może bliskość nie jest bólem, Ivo, jak zawsze sądziłam. Może bliskość to nie *my*, ale *ty* i *ja*, budujący mosty, zawsze ponoszący klęskę, zawsze próbujący dalej. Może.

Obcinam pierwsze pasmo, drugie, najpierw końcówki włosów. Potem zaś nożyczki pożyczone z kuchni Tulji wędrują coraz wyżej. Włosy spadają, a wiatr zabiera je ze sobą, prawie nad samą wodę. Widzę, że niesie pojedyncze pasemka, i cieszę się. Tak, cieszę się, że zostaje mnie coraz mniej.

Chciałabym, żeby prawda była taka, że twoja milcząca, smutna matka przyjęła miłość mojego zakłamanego i nieodpowiedzialnego ojca, pragnąc, by ona nie była kompromisem, przeprosinami, usprawiedliwieniem dla jej cichego cierpienia. Chciałabym, żeby prawda była taka, że po prostu czuli się szczęśliwi. Dwoje szczęśliwych ludzi. Przynajmniej chwilami. I żebyśmy my

nie mieli z tym wszystkim nic wspólnego jako dzieci. Żebyśmy byli tylko niczym rozkopy na drodze, których nie dało się wyminąć.

Ivo, wiem, że odszedłeś, bo mi przebaczyłeś.

Widzę cię i czuję odurzenie bliskością, tańczę w tym odurzeniu na grobie samotności, bo ta bliskość jest dla mnie tylko tańcem na grobie samotności, zaprzeczeniem samotności, zwycięstwem wszelkiej pogańskiej, elementarnej, dionizyjskiej żarłoczności. I muszę się uśmiechnąć.

Udało ci się, Ivo.

Zamieniłeś koniec w początek.

Moja miłość do ciebie przypomina cenne wino, którego skosztowałam i które teraz ciągle chciałabym pić. Nie mogę go już jednak odnaleźć – może zostało wypite do końca. Moja miłość do ciebie jest jak biblijny obraz winy i przebaczenia, które nigdy nie następują. Moja miłość do ciebie jest podobna tylko do ciebie.

Włosy zostały obcięte, wiatr porywa ze sobą każdy najmniejszy włos. Jestem już łysa – już prawie wszystkie odleciały. Siedzę tu jednak nadal i przyjmuję ten wiatr smagający mnie po głowie.

Czy pomyślałeś kiedyś, że słowa „żyć” i „żyć miłość” wcale tak bardzo się od siebie nie różnią?

Morze jest ciemne. Słońce zniknęło za zasłoną chmur. Mam łysą głowę, więc mogę bez przeszkód wchłaniać twoje myśli.

Twoja śmierć dzieli mnie na pół. Ale daje mi nowe życie. Życie bez „dobrze” czy „źle”, bez „ale” ani „właściwie”.

Wychodzę ci na spotkanie łysa i naga. Jestem tutaj, Ivo, nad morzem, i jestem teraz kimś także bez ciebie. Jestem sobą, Ivo, bez tamtego popołudnia, bez twojej miłości, mojej rodziny, która nigdy nie była rodziną, bez wszystkiego, co było czy jest, wcześniej czy teraz.

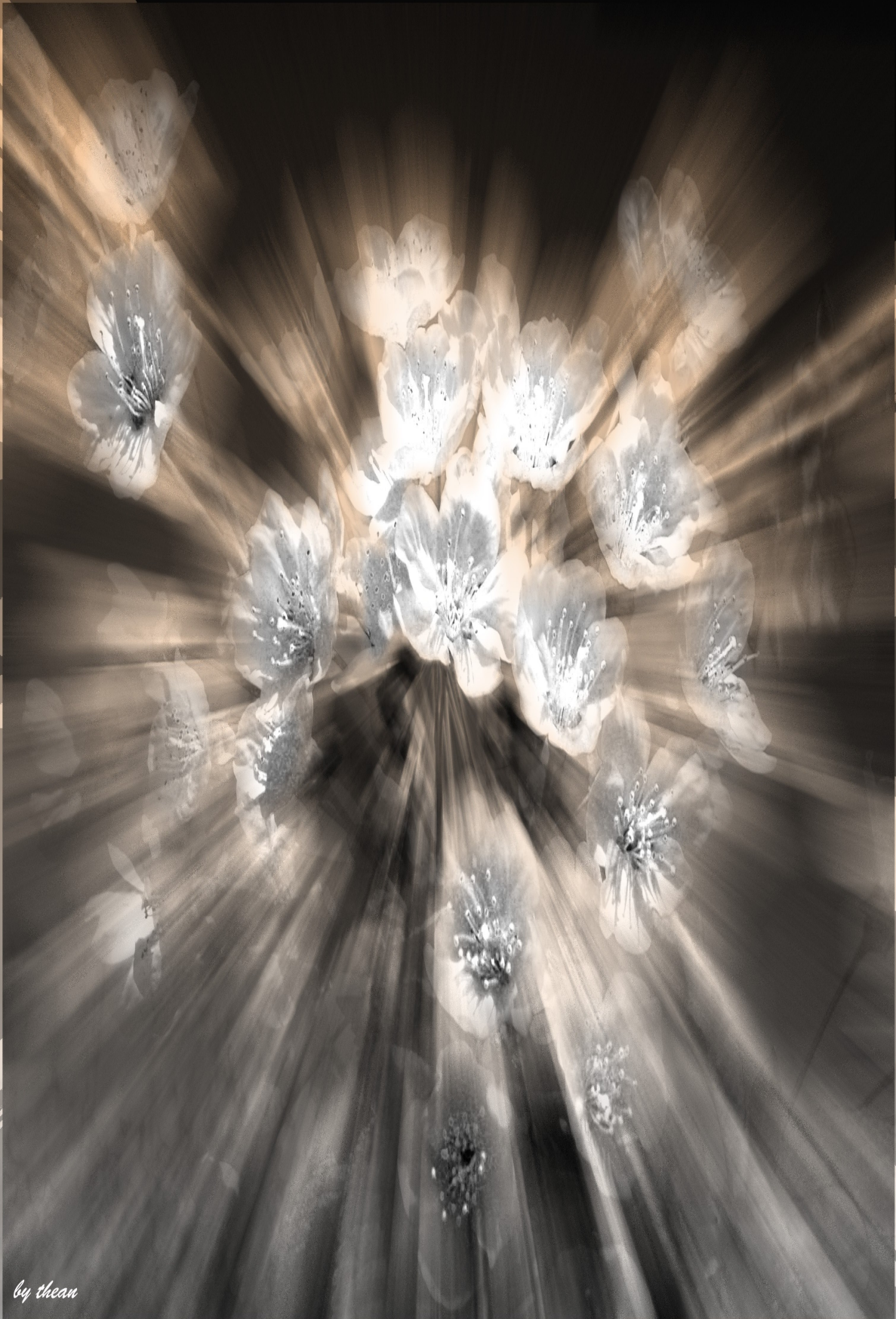
Jestem łagodna, jestem miękka jak wełna, a w środku gładka niczym jedwab – zupełnie jak niemowlę, płód: bezpieczny, upragniony i jeszcze niedotknięty przez świat.

Tak często mi zarzucałeś, że zapomniałam. Może nawet to prawda. Może nigdy tego nie wiedziałam. Do tej chwili. Do tego miejsca. I może dostrzegłam to dopiero wtedy, kiedy przestałam zwalczać w sobie tę łagodność, może dopiero, kiedy najadłam się jej do syta. Ale wiem, że nie jestem tobą, już nie.

I to odkrycie budzi we mnie równie mało lęku jak samotność, cisza, jak pytania, które padną po tym wszystkim, które może dałoby się streścić w słowie „przyszłość”. Będę musiała płakać. Wszystko, co niestrawione, będę musiała z siebie wycisnąć, a nikt nie potrzyzyma mi wtedy ręki na czole – tego też jestem świadoma. Ale jakie to ma w końcu znaczenie?

Widzę twoją twarz. Jesteś piękny. Przepiękny jak zawsze, a ja muszę się uśmiechnąć. Widzę twoją twarz i myślę, że jestem ci wdzięczna za tę łagodną bliskość – i straszliwą obcość. I pozwalam tej bliskości odejść, nawet jeśli nigdy więcej nie będę mogła dzielić z nikim tego uczucia, a przez to zostanie w końcu skazane na śmierć.

Widzę cię.



by thean